MARTA OWCZAREK & BARTEK SKOWROŃSKI

BYLE DALEJ

W 888 DNI DOOKOŁA ŚWIATA

Świat Książki

Marta Owczarek

Bartek Skowroński

Byle dalej

W 888 dni dookoła świata

Świat Książki

POLSKA: TRZY, DWA, JEDEN...

Od czego zacząć nową drogę życia? Może najpierw przydałby się dach nad głową. Odbieramy więc długo oczekiwaną paczkę. Rozpakowujemy pudło. W środku leży zwinięte nasze wymarzone, wytęsknione m1... czyli malutki, szary namiot.

Jest nieduży, ale solidny. Musi być mocny, bo będzie nam służył przez nadchodzące miesiące, a może nawet lata. Chciałoby się go jak najszybciej wypróbować, myśli same wędrują daleko, w góry, do lasu, nad oceany... Cóż, kiedy tymczasem za oknem panoszy się szarobiała, lodowata i nieprzyjemna polska zima. Do wyjazdu zostały jeszcze cztery długie miesiące.

– To co, rozbijamy się?

– No chyba!

Raz-dwa zabieramy się do dzieła i po kilku minutach w dużym pokoju jak gdyby nigdy nic staje namiot.

Teraz trzeba go jeszcze „umeblować". Dmuchamy maty i wkładamy je do środka. Zatem w naszym nowym m1 mamy już

łóżka. Dorzucamy śpiwory. Gotowe. Można iść spać.

Wpełzamy do namiotu. Jest może trochę twardo, ale poza tym całkiem wygodnie. Śpimy smacznie do rana, choć jeszcze do końca nie wierzymy, że właśnie tak będziemy spędzać wiele nadchodzących nocy.

Klamka zapadła. Data wyjazdu ustalona: lipiec 2008 roku. Data to bardzo ważna rzecz, żeby projekt się nie rozsypał, nie rozmył w szarej codzienności. Data i nic więcej. Żadnych dodatkowych warunków. Jeśli zaczniemy wymyślać jakieś warunki, to potem, gdy przyjdzie strach przed wyruszeniem, niepewność, czy to dobry pomysł i czy jesteśmy gotowi, posłużyłyby z pewnością za pretekst, żeby przełożyć wyjazd. Na rok, na pięć lat, albo może i na zawsze.

W podróż wystartujemy więc za dwa lata, licząc od dziś. Do tego czasu postaramy się żyć w miarę skromnie. To, czego nie przejemy, będziemy odkładać na wyjazd. Wyruszymy z tym, co uda nam się uskładać. Do tego dojdzie czynsz z wynajętego mieszkania. To powinno wystarczyć na rok podróży, może parę miesięcy więcej. Będziemy podróżować ekonomicznie, spać w namiocie lub niedrogich hostelach, gotować samodzielnie lub jeść w tanich przydrożnych barach. Trochę z oszczędności, a trochę dlatego, że to styl podróżowania, który zawsze najbardziej nam odpowiadał.

Wyszło jakoś naturalnie. Nikt nikogo nie namawiał ani nie przekonywał do wyjazdu. Po dwóch latach wspólnego życia i paru kilkutygodniowych wypadach po prostu za którymś razem

uznaliśmy, że podróże są tym, co daje nam najwięcej szczęścia. Że chcemy wyjechać na dłużej. Któreś z nas powiedziało jedno zdanie, drugie podchwyciło, od słowa do słowa wykluła się data: lipiec 2008. *Howgh*.

Im bliżej wyjazdu, tym bardziej jesteśmy przekonani, że to najlepszy pomysł w naszym życiu. Do ostatnich chwil ani razu nie przychodzi nam do głowy myśl, żeby zrezygnować. Nie ma strachu ani wątpliwości, których się mimo wszystko spodziewaliśmy.

Na rok przed startem wyjawiamy nasz plan najbliższym. Początkowo szokuje, ale właściwie wszyscy po cichu trochę się tego spodziewali. Mimo że perspektywa rozłąki z bliskimi była podstawowym mankamentem całego pomysłu, rodzina od początku nas wspierała. Ani razu nie usłyszeliśmy, że robimy coś głupiego, nieodpowiedzialnego, że rujnujemy sobie przyszłość. Spotkaliśmy się z tak wspaniałym zrozumieniem, że trudno za nie podziękować słowami.

Kolejna kwestia – praca. Nie ma rady, pracę trzeba rzucić. Nie chcemy palić za sobą mostów. Gdy ponownie zawitamy do kraju, prawdopodobnie będziemy mogli w ten czy inny sposób powrócić do poprzednich zajęć. Trzeba jednak złożyć wypowiedzenie. Zbieramy się i zbieramy, szukamy dobrego momentu, odkładamy tę chwilę z dnia na dzień.

– Okej, dziś to zrobimy – ustalamy przy śniadaniu.

Wracamy wieczorem do domu. Siadamy do kolacji. Zerkamy na siebie.

– Powiedziałeś?

– No chciałem, ale nie było okazji... bo musiałem szybko napisać raport, a potem zadzwonił klient... A ty?

– Ja powiem im jutro...

I tak kilka razy. W końcu się jednak zmobilizowaliśmy. Zamiast chłodu i niezrozumienia, których się trochę obawialiśmy, spotkała nas kolejna miła niespodzianka. Gratulacje za odwagę spełniania marzeń i wzruszające pożegnanie.

Przygotowań z jednej strony jest dużo, a z drugiej właściwie niewiele. Ponieważ decyzję o wyjeździe podjęliśmy z dużym wyprzedzeniem, mieliśmy czas, żeby wiele rzeczy przemyśleć na spokojnie.

Oczekiwanie na wyjazd było bardzo przyjemne, w pewien sposób należało już do samej podróży.

Na trzy miesiące przed wyjazdem zaczynamy poważniejsze działania. Przechodzimy szczepienia, choć większa ich część i tak pozostała nam po wcześniejszych podróżach. Zakładamy konto w banku, takie, aby nie pobierano prowizji za zagraniczne wypłaty. Opróżniamy mieszkanie i zaczynamy szukać najemcy. Na wszelki wypadek podpisujemy pełnomocnictwa dla rodziny. Wyrabiamy nowe paszporty i międzynarodowe prawa jazdy. Występujemy o kilka wiz na wjazd do państw, które planujemy niedługo odwiedzić. Skanujemy wszystkie dokumenty na wypadek kradzieży. Wykupujemy ubezpieczenie. Przeróżnych drobnych spraw wciąż jest bez liku. Gdy już nam się wydaje, że wszystko jest gotowe, zawsze wyskakuje jeszcze jakiś drobiazg, coś się przypomina.

Przede wszystkim jednak żegnamy się ze znajomymi. Ostatnie dni upływają na niekończących się imprezach.

Dosyć tych przygotowań. Pakujemy się. Ale jak to zrobić? Jak upchnąć cały nasz świat w dwa nieduże plecaki?

Namiot, maty do spania, śpiwory, czołówki, palnik, metalowe kubki, nieduży garnek, łyżka i scyzoryk. Później, w drodze, dochodzi kolejna, bardzo przydatna rzecz, bez której nie rusza się z domu porządny polski turysta – grzałka elektryczna. Parę ciuchów i kilka kosmetyków: mydło, szampon, krem (tak, Bartku, przyda się krem), dezodorant. Do tego lekarstwa, których zabieramy zdecydowanie za dużo. Większość albo się przeterminowała i musieliśmy je po drodze wyrzucić, albo dojechały z powrotem do Polski. Z perspektywy czasu wiemy, że zabieranie leków „na wszelki wypadek" jest bezsensowne. Warto zawsze mieć przy sobie polopirynę, coś przeciwbólowego, jodynę, opatrunek, ewentualnie awaryjną dawkę antybiotyku. Leki na zatrucia znacznie lepiej kupić tam, gdzie człowieka dopadnie niemoc, gdyż miejscowi najlepiej się orientują, czym skutecznie ją zwalczać. Poza nielicznymi ekstremalnymi sytuacjami, jak przejazd przez pustynię, na całym świecie, nawet w tych „egzotycznych" miejscach, są lekarze i apteki, w których w razie potrzeby można kupić potrzebne medykamenty.

Nasuwa się jednak pytanie: Co z malarią? Na ten temat krąży wiele mitów. Ostatecznie zabieramy ze sobą lek Malarone, który weźmiemy, gdy okaże się, że jest źle: cztery tabletki naraz, aby mieć siłę dotrzeć do najbliższego szpitala. Jednak nie będziemy łykać żadnych leków profilaktycznie. Słusznie czy nie, wychodzimy z założenia, że przy paromiesięcznym pobycie w zagrożonej okolicy ciągłe przyjmowanie leku być może

przyniosłoby więcej szkód niż pożytku. To, co ma sens na krótkim wyjeździe, na dłuższą metę nie zdaje egzaminu.

Dotąd w sprawie zawartości plecaka byliśmy względnie zgodni. Teraz pora dorzucić trochę skarbów. Każde z nas ma inne priorytety.

– Chyba żartujesz. Mieliśmy redukować bagaż!

– Ale to jest bardzo ważny kabelek. Zobaczysz, przyda się... – Bartek z miną winowajcy szybko chowa do plecaka kolejny zwój mający połączyć jakąś tajemniczą baterię z inną niezwykle istotną wtyczką.

Tak jest przed każdym wyjazdem. Z uporem maniaka gromadzi stertę przejściówek, kabli, ładowarek i baterii i zawsze staczamy o nie wojnę.

Myśląc, że Bartek akurat nie patrzy, usiłuję wcisnąć między koszulki drugą książkę. Na próżno.

– I jeszcze to chcesz nosić?! Taką cegłę?!

– Przecież ma miękką okładkę...

Najważniejsze, że plecaki się dopięły. Wystarczyło jeszcze miejsca na mały komputer Everun. Aparat fotograficzny zmieścił się do kieszeni, bo zaczynamy podróż z niedużą „idiotenkamerą" (którą zamieniliśmy potem na lustrzankę).

Co warto było zabierać, a czego nie, wyjdzie, jak to się mówi, w praniu. Najwyżej dokupimy coś w trasie albo odeślemy zbędne rzeczy pocztą.

No to co? Gotowi? Oczywiście, że nie! Ale i tak jedziemy!

MONGOLIA: PIECHOTĄ NA ZAĆMIENIE SŁOŃCA

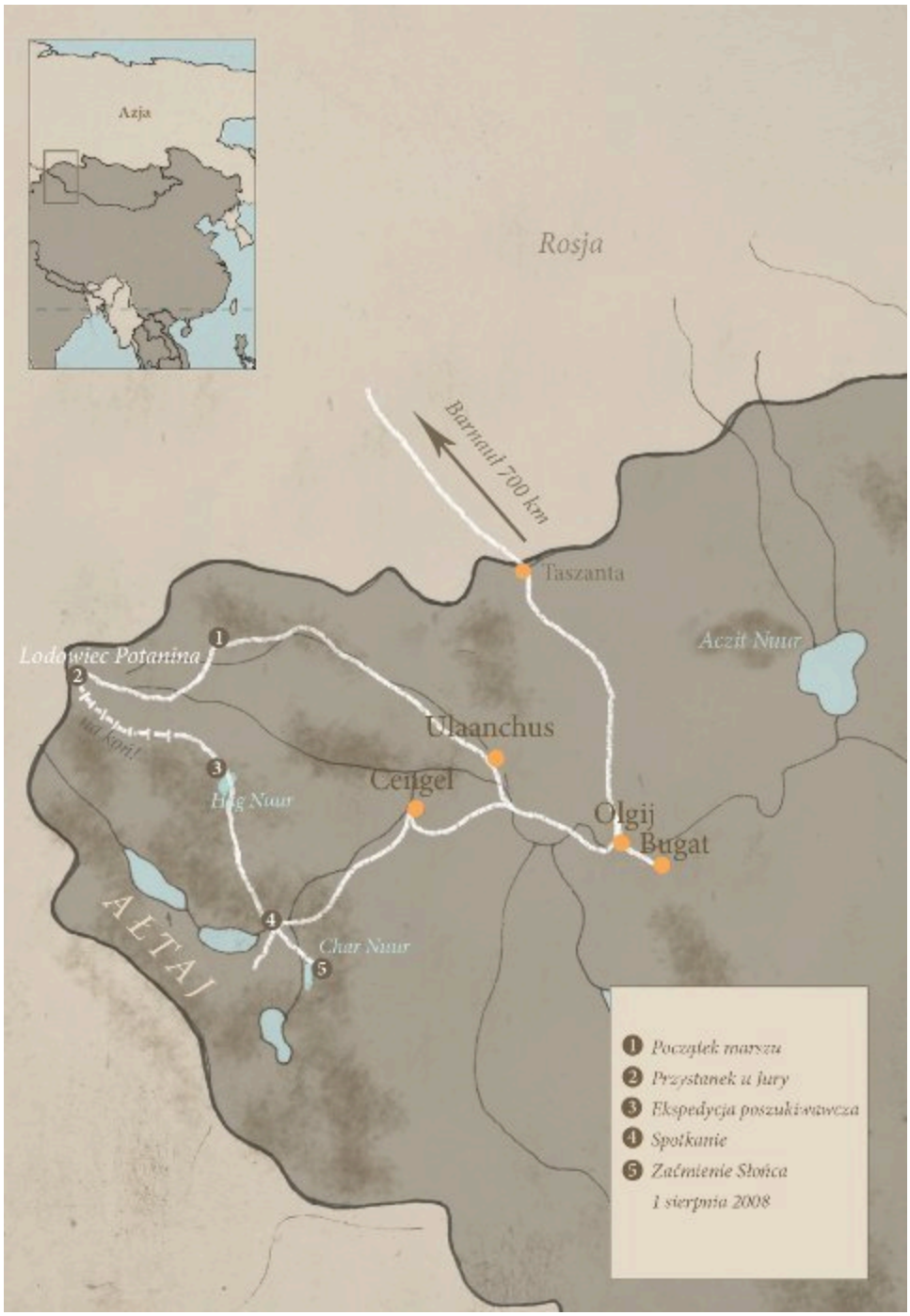

– Konie wam uciekły – nie tyle pyta, ile łamanym rosyjskim stwierdza stojący przed jurtą Mongoł na widok naszych zmęczonych min i ciężkich, wypchanych po brzegi plecaków.

Zaprzeczamy. Żadnych koni nigdy nie mieliśmy.

– Aha, czyli zepsuł się wam łazik – kiwa ze zrozumieniem głową. Skoro nie przybyliśmy na koniach, dedukuje, to widać musieliśmy dostać się na ten koniec świata samochodem. Tymczasem my znowu zaprzeczamy.

– To co wy tu robicie? – mężczyzna jest mocno skonfundowany.

– A tak sobie, widzi pan, idziemy przez góry...

– Ale po co?

– A bo ładnie tu macie...

Każdy Mongoł wie od dziecka, że nie po to stworzono konia, żeby człowiek musiał zapychać przez góry na własnych nogach. I do tego objuczony bagażem! No, chyba że jest bogaty i nowoczesny, wtedy zamiast konia kupuje sobie rozklekotany ruski łazik. Ale żeby piechotą? Nie do pomyślenia. Coś tu ewidentnie nie gra. Mężczyzna łypie na nas podejrzliwie wąskimi, skośnymi oczkami, marszczy szerokie, płaskie czoło. Albo regularnie robimy go w balona, albo mamy nierówno pod sufitem. Tak czy siak, trzeba z nami ostrożnie.

W końcu ciekawość wygrywa. Mężczyzna zaprasza nas do swojej jurty, jak nakazuje obyczaj, częstuje herbatą z mlekiem, zjełczałym masłem i solą. Przedstawia rodzinę. Powoli opowiadamy, skąd się tu wzięliśmy i co robimy. Są zdumieni, lecz niezwykle serdeczni.

– Jesteście pewni, że nie potrzebujecie pomocy, żeby wrócić? – dopytują co kilka minut.

Ale po kolei... Dlaczego Mongolia i dlaczego na piechotę? Przed wyjazdem długo głowiliśmy się, od czego zacząć. Czy lepiej ruszyć

w prawo, czy w lewo. Na wschód czy na zachód. To jak, rzucamy monetą? Albo może lepiej z zamkniętymi oczami wcelujmy palcem w globus? Każdy sposób jest dobry, żeby znaleźć się tam, gdzie diabeł mówi dobranoc. Gdzie nie ma klimatyzowanych autokarów i natrętnych handlarzy wciskających do rąk turystów paciorki, dywaniki czy posążki. Tam, gdzie czas się zatrzymał i zachowała się jeszcze odrobina autentyczności, a ludzie witają podróżnych z niekłamaną ciekawością.

Postanawiamy zastosować stary, wypróbowany sposób, żeby dotrzeć do miejsc, gdzie zdaniem wielu nie ma po co jechać. Dawno temu wymyślił go Bartek, powoli wciągając w projekt przyjaciół. Metoda znakomicie działa do dziś. Cóż to takiego? Ano, zamiast celować palcem w globus, jedziemy po prostu tam, gdzie akurat odbywa się jeden z najbardziej magicznych, wyjątkowych i tajemniczych spektakli przyrody.

Zaćmienie Słońca... Są tacy, dla których te niezwykłe chwile, gdy księżyc zakrywa tarczę słoneczną i na kilka minut w ciągu dnia zapada ciemność, to cel sam w sobie. Nie liczy się nic innego, miejsce zaćmienia, ludzie i przyroda są drugorzędne. Dla nas odwrotnie. Zaćmienie jest pretekstem. Prawda, że czekamy na ten moment w napięciu i niepewni pogody, robimy zakłady, czy tym razem znowu się uda, czy nie będzie chmur, czy zdążymy dojechać na czas tam, gdzie trzeba. Ale jeszcze ważniejsze od zaćmienia jest to, gdzie jesteśmy, co robimy, kogo spotykamy.

Operacja każdorazowo wymaga starannego przygotowania. To robota Bartka. Najpierw trzeba ustalić, którędy będzie przebiegał pas całkowitego zaćmienia Słońca. Jest to obszar szerokości około sześćdziesięciu kilometrów, przy czym najlepiej znaleźć się

wówczas jak najbliżej tak zwanego *center line*, czyli środka pasa zaćmienia, gdzie będzie ono trwało najdłużej. Po określeniu „trasy" zaćmienia wybieramy na mapie punkt, w którym chcemy je obserwować. Są miejsca lepsze i gorsze, bo do obserwacji potrzebna jest ładna, bezchmurna pogoda i dobra widoczność horyzontu. Gdy wytypujemy już swój punkt docelowy, musimy sprawdzić, kiedy dokładnie – i to z dokładnością co do sekundy – Słońce zniknie w tym właśnie punkcie. Wszystkie te informacje można ściągnąć na przykład ze strony NASA. Potem zostaje już tylko najmilsza część – zaplanować, w jaki sposób się tam dostać. Im mniej dostępne miejsce, tym ciekawiej, tym większa radość i satysfakcja. Oczywiście, jeśli wszystko się uda.

Śledzimy na mapie pas zaćmienia, do którego ma dojść w lipcu 2008 roku. Północno-zachodni kraniec Mongolii... góry Ałtaju... tam nas jeszcze nie było... Ten mało znany rejon wydaje się dobrym początkiem podróży. Najpierw musimy więc dotrzeć do miasteczka Olgij, niedaleko miejsca, gdzie stykają się granice Rosji, Kazachstanu, Chin i Mongolii. Tam zrobimy zapasy, zorganizujemy transport, który wywiezie nas w głąb Ałtaju Mongolskiego, skąd zaczniemy wędrówkę w stronę samotnego górskiego jeziora, nad którego brzegiem rozbijemy obóz i zobaczymy zaćmienie. Dlaczego piechotą? Dobre pytanie. Prawdę mówiąc, nie mamy pojęcia, dlaczego. Bez powodu, tak po prostu wyszło. Ktoś rzucił pomysł, żeby na początek rozruszać kości, i tak już zostało. Na podstawie starych rosyjskich map i Google Earth wytyczamy trasę tak, żeby prowadziła blisko rzek, dzięki czemu będziemy mogli zaopatrywać się w wodę, a także wśród jezior i lodowców, żeby było pięknie. Bartek godzinami

ślęczy w internecie, planując każdy kilometr szlaku. Nie udało nam się znaleźć opisów tego terenu w przewodnikach ani opracowaniach, więc studiowanie map to jedyna metoda, żeby cokolwiek zaplanować. Na miejscu wspomożemy się GPS-em, bo o drogę raczej nie będzie kogo spytać. Sami do końca nie jesteśmy pewni, jak to wszystko wyjdzie, ale w tym cały urok.

Wśród naszych przyjaciół jest wielu amatorów zaćmień Słońca i dalekich wypadów. Nagle ktoś rzuca propozycję: A może odprowadzimy Martę i Bartka nie tylko na Centralny, ale aż do Mongolii? Od słowa do słowa, w rezultacie ruszamy na podbój krainy Czyngis-chana całkiem sporą, dziewięcioosobową załogą: oprócz nas jedzie brat Bartka Jacek z Ulą, Pedro, Pingwin, Podgór oraz Ewa z Czubaką. Ba, kolejna trójka obiecuje do nas dołączyć dwa tygodnie później, tak żeby zdążyć na wspólne oglądanie zaćmienia.

Rosja – w drodze do Mongolii

Pierwotny plan był taki, żeby dojechać do Mongolii kultową koleją transsyberyjską. Niektóre pociągi zaczynają trasę

w Berlinie. Po szybkim rekonesansie ustaliliśmy, że o dziwo znacznie taniej i przypuszczalnie pewniej będzie załatwić bilety przez Niemcy. Zrobiliśmy rezerwację w zaodrzańskim biurze, zapłaciliśmy. Tymczasem po tygodniu dzwoni do nas człowiek z Berlina i strasznie nas przeprasza, potwornie mu głupio i w ogóle, ale w chwili, gdy kolej transsyberyjska zaczęła oficjalną sprzedaż biletów, wszystkie miejsca były już wykupione przez ultrazaradne rosyjskie agencje turystyczne... Oczywiście zwrócą pieniądze, niemniej z transportu nici. Próbowaliśmy jeszcze coś wskórać przez biura rosyjskie, lecz zażądali takich pieniędzy, że odpuściliśmy. Zamiast tego zastosowaliśmy plan B, to znaczy pogmatwaną, ale znacznie tańszą i szybszą opcję autobusowo-lotniczą.

Po dwóch dniach nieustających przesiadek lądujemy wreszcie w rosyjskim mieście Barnauł, dwieście pięćdziesiąt kilometrów od Nowosybirska, skąd już blisko do granicy z Mongolią (choć „blisko” to pojęcie względne, w Rosji bowiem nic nie jest blisko). Mimo że Mongolia to wielki kraj, przejść granicznych mają tu jak na lekarstwo. Od strony rosyjskiej są właściwie tylko dwa: jedno kolejowo-samochodowe w Altanbulag i jedno zwykłe na północnym zachodzie w Taszancie, gdzie chcemy się dostać.

Mniej więcej sto kilometrów przed Taszantą w jednej sekundzie zmienia się krajobraz. Jakbyśmy nagle wjechali do zupełnie innej krainy. Znikają zbocza porośnięte lasami. Znika w zasadzie wszystko. Gdzie nie spojrzysz – pustka. Żadnych osad, żadnych dróg, żadnej roślinności, tylko bezkresne, szare, żwirowe

przestrzenie i piętrzące się w oddali nagie szczyty, niekiedy okryte śnieżną czapą. I piękno, i straszno. Jak u diabła ci ludzie tu żyją? Do Taszanty docieramy wieczorem. Kilka glinianych chałup przy drodze – ot i całe miasto.

Jak dotąd podejrzanie dobrze nam idzie... Za dobrze. Wykrakaliśmy. No to się zaczyna. Przez granicę dziś nie przejdziemy, bo za późno. Jutro też nie, bo akurat trwa Naadam, czyli jedno z najważniejszych mongolskich świąt narodowych i urzędnicy mają wolne. Pojutrze też nie, bo będzie niedziela.

– Spróbujcie w poniedziałek – radzi miły pogranicznik na rowerze i przezornie znika w jednej z chałup.

Usiłujemy wywalczyć, żeby nas wpuścili już teraz, bo chcemy zobaczyć Naadam, doroczne zawody, w trakcie których mężczyźni i chłopcy sprawdzają się w trzech tradycyjnych dyscyplinach: zapasach, wyścigach konnych i strzelaniu z łuku. Wprawdzie największa fiesta odbywa się w stolicy Mongolii Ułan Bator, gdzie i tak nie planowaliśmy dotrzeć, ale mniejsze miasteczka też mają swoje imprezy i liczyliśmy, że uda nam się na którąś załapać, tym bardziej że lokalne zabawy mają często w sobie więcej autentyczności i klimatu. Pogranicznicy pozostają jednak nieczuli na nasze argumenty, nie przejedziemy i kropka.

Po przekroczeniu granicy. Droga do Olgij

Cóż robić. Musimy zaczekać dwa dni. Nieopodal skalistym wąwozem płynie rzeczka, wokół niej oaza zieleni. Nic wielkiego, trochę krzaków i trawy, ale to wystarcza, żeby założyć całkiem sympatyczne obozowisko i eksplorować okoliczne góry.

Wreszcie nadchodzi dzień ataku na Mongolię. Schengen to to nie jest. Przekroczenie granicy i dotarcie do większej miejscowości po stronie mongolskiej, łącznie około stu osiemdziesięciu kilometrów, zajmuje nam calusieńki dzień. Najpierw znajdujemy właściciela łazika, Mongoła, który godzi się nas przewieźć na drugą stronę. Negocjowanie, pakowanie, do wozu się ładowanie. Zamiast jednak do granicy, mężczyzna wiezie nas wcześniej na targ i do hurtowni, gdzie przedsiębiorczy Mongołowie postanawiają wyładować łazik towarami na handel oraz dodatkowymi pasażerami. Robi się ciasno, ale co tam, ważne, że do przodu. Mijają kolejne godziny, wreszcie ruszamy w kierunku

granicy. Niebawem okazuje się, że skręcamy z głównej drogi, bo zdaniem naszego kierowcy do łazika wejdą jeszcze dwie osoby. W sumie jest nas już szesnaścioro. Kompresujemy się, jak tylko się da, wciągamy brzuchy. Początkowo każdy walczy o dodatkowe centymetry. Tu nie ma miejsca na uprzejmości, panie przodem i temu podobne fanaberie. Tu trzeba swoją mikroprzestrzeń wywalczyć wierceniem się, bioderkiem i łokciem. A jak się wreszcie przyjmie optymalną pozycję, należy zastygnąć w niej do czasu, aż człowiek zacznie drętwieć. Inni też zamarli w bezruchu, zatem jeśli ty się przemieścisz, zaburzysz mozolnie wypracowaną harmonię łazika i wszyscy pozostali będą musieli mościć się od nowa.

Na granicy okazuje się jednak, że jest problem. Rosyjscy urzędnicy doszli do wniosku, że mamy o sześciu pasażerów za dużo i że tak nie przejedziemy przez odprawę. Zresztą trudno się z nimi nie zgodzić, jesteśmy ściśnięci jak sardynki. Powstaje jednak pytanie, kogo wyrzucić z łazika? Każdy zapłacił, więc każdy chce jechać. Kierowca, uśmiechając się nieśmiało, pyta, czy cztery osoby z naszej załogi mogłyby pojechać następnego dnia. My, też się uśmiechając, odpowiadamy, że nie, nie mogłyby. Kto pierwszy, ten lepszy, więc niech wysiądą ci, którzy dołączyli ostatni. Po godzinie dyskusji uśmiechy znikają. Używając różnych argumentów, udaje się nam wreszcie przekonać pana do naszej wersji i ostatecznie polska wycieczka jedzie w całości, a pozostali nadprogramowi pasażerowie wysiadają i będą sobie załatwiać inny transport (niestety nie można przekraczać granicy pieszo). Jeszcze tylko demonstracja siły: rosyjscy urzędnicy zza biurka dla

zasady grzmią na nas okrutnie, żeby było jasne, że opuszczamy wielkie imperium, i ruszamy dalej.

Kończy się asfalt, zaczynają jurty, kozy, konie i jaki – kudłate, przypominające żubra, odporne na mrozy i złą pogodę. Tak, jesteśmy w Mongolii! Zmianę krajobrazu widać gołym okiem. Teraz do Olgij, czyli ostatniej ostoi cywilizacji, skąd wyruszymy na spotkanie zaćmienia Słońca. Ale drogi do Olgij w zasadzie nie ma. Między górami rozpościerają się jedynie piaszczysto-żwirowe połacie, gdzie samochody same wybierają sobie tor jazdy. W ten sposób powstaje jakby wielopasmowa, nieregularna, szutrowa autostrada. Jej „pasy" często się rozgałęziają, bo wielu kierowców jedzie do celu po prostu na azymut, więc bez znajomości terenu trudno się połapać, gdzie skręcić. Nasz szofer jest jednak w swoim żywiole, łazik chyba też. Mężczyzna ewidentnie się popisuje. Trochę przed nami, ale głównie przed jedyną mongolską pasażerką, której nie wyrzucił na granicy. Jedną ręką prowadzi rozpędzony samochód, drugą poszukuje kolana towarzyszki. Tymczasem z tyłu dogania nas inny pojazd. Dodajemy gazu, tamten też przyspiesza. Zaczyna się wyścig, wyprzedzanie, zajeżdżanie drogi. Trzęsie, telepie, na zakrętach zginamy się w przechyle, prawie wyskakujemy z toru. Na przełęczy silnik strasznie rzęzi, ale zaczynamy zdobywać przewagę. Przeciwnik zostaje w tyle. Wygrywamy! Po kilometrze nasz Kubica zatrzymuje się, wysiada, kładzie na trawie, zapala papierosa i ostentacyjnie czeka na rywala-frajera. Scena jak z kreskówki. Udowodniwszy, że jest mężczyzną, kierowca jeszcze poważniej zabiera się do romansowania z pasażerką, zaczyna jej śpiewać mongolskie serenady...

Olgij to zdecydowanie dziura, tak nam się przynajmniej wydawało, gdy zobaczyliśmy je po raz pierwszy. Trochę betonowych domków, gdzieniegdzie jurty, puste ulice, po których hula wiatr, a czasem przeczłapie leniwie krowa czy koza. Zupełnie paranormalnych zdolności wymaga spacer po zmroku: dookoła ciemno jak... wiadomo gdzie i u kogo, a co krok czają się pod nogami otwarte studzienki kanalizacyjne. Jeżeli nie zapamiętałeś swojej trasy za dnia, już po tobie.

– Teraz uwaga, odbijamy w lewo, bo tu jest największa *elephant trap* – nawigując do baru, ostrzega Jonas, Litwin, który przyjeżdża tu od wielu lat i zna Olgij jak własną kieszeń. Każdej chodnikowej zasadzce nadał inną nazwę.

Jak – nieodłączny element krajobrazu górzystej północno zachodniej, górzystej części Mongolii

W miastach mongolskie konie coraz częściej są zastępowane mechanicznymi

Najpiękniejszą rzeczą w Olgij jest jego bajkowa sceneria. Po południu na horyzoncie zbierają się gigantyczne, wielobarwne burzowe chmury, a ich fantazyjne kształty zaczynają się mienić wszystkimi odcieniami różu, oranżu i czerwieni. Potem, gdy stopniowo przechodzą w groźną szarość, zlewają się w jedno z ciemnymi konturami gór. Nic tylko patrzeć i patrzeć... I patrzeć...

Zaczynamy przygotowywać się do długich, samotnych, pieszych tygodni. W tej części kraju mieszka wielu Kazachów, a i do Rosji rzut beretem, więc próbujemy dogadywać się po rosyjsku, niestety z mizernym skutkiem. Najważniejsze jednak, że po dłuższych staraniach udaje nam się w końcu uzyskać na policji zezwolenie na poruszanie się w obszarze przygranicznym, bo zaplanowany przez nas szlak wiedzie bardzo blisko Chin. Już prawie chcieliśmy dać sobie z tym spokój, bo przecież któż by nas miał sprawdzać

w tych górach, ale jak się potem okazało, całe szczęście, że zdobyliśmy odpowiednie dokumenty.

Równoprawny uczestnik ruchu drogowego

Kolej na przygotowanie plecaków. Wymaga to finezyjnej logistyki. Mimo że staraliśmy się maksymalnie odciążyć bagaż, i tak mamy wrażenie, jakbyśmy wypchali go kamieniami. Namiot, karimaty, śpiwory, palnik i butla z gazem, minimum ciepłych ciuchów – to jeszcze nic. Największy ciężar stanowi bowiem jedzenie. Wybieramy się przecież na zupełne pustkowie. Może uda się natknąć na jakieś osady i uzupełnić zapasy, ale pewności nie ma. Z mapy nie wynika, żeby w górach były jakieś ludzkie siedziby. Spróbujemy złowić trochę ryb, jednak na wiele więcej nie możemy liczyć. Wszystko, czego potrzebujemy, powinniśmy więc zabrać ze sobą.

W związku z tym wybieramy przede wszystkim taką żywność, która nie zajmuje dużo miejsca, ale po ugotowaniu zwiększy

objętość i wypełni głodne brzuchy. Dalej produkty wysokokaloryczne. Ładujemy do plecaków torby ryżu, suszone warzywa i owoce, czekoladowe batony, do tego odrobina przypraw, żeby ryż miał jakiś smak, trochę oliwy, herbata, płatki owsiane, mleko w proszku. Makaron jest niestety dosyć ciężki w stosunku do ilości jedzenia, jaką z niego można przygotować, więc zabieramy go niewiele, tylko na niedzielne obiadki... Będziemy gotować wspólnie i sprawiedliwie dzielimy między siebie poszczególne paczki.

W oddali migają białe punkciki – samotne jurty

Pochłaniamy ostatni obiad w Olgij. Trafiamy do jakiejś pracowniczej stołówki przy głównym placu. Zamawiamy, każdy bierze inny zestaw. Pani ze zrozumieniem kiwa głową, po czym podaje wszystkim to samo, dwa dania: na pierwsze zupa

z pierożkami, na drugie pierożki bez zupy. Proste, ale dużo i smacznie, a całość kosztuje osiemset tugrików, czyli niecałe dwa złote. Zajadamy, nie wiedząc jeszcze, że niedługo będziemy śnić nocami o takich pierożkach albo jakimkolwiek innym jedzeniu...

Wypasanie zwierząt to podstawowe zajęcie tutejszych mieszkańców

Około dwunastej przyjeżdża umówiony łazik, zresztą ten sam, którym dotarliśmy z Taszanty, żeby wywieźć nas jakieś sto kilometrów w głąb gór, skąd chcemy zacząć wędrówkę. Targujemy się i pomni ostatnich przygód zapowiadamy kierowcy, że tym razem dostanie tylko zaliczkę, a pozostałą część, gdy dowiezie nas na uzgodnione miejsce. Mężczyzna marudzi jednak, że nie ma na benzynę, co oczywiście jest bujdą: należy do lepiej prosperujących lokalnych cwaniaków. Niech mu jednak będzie, zapłacimy za benzynę, a resztę na miejscu. Umowa stoi. Jedziemy na stację benzynową, ale jakoś naokoło. Przystajemy pod jednym z domków, a tu déjà vu: dosiada się para staruszków, podobno rodzice kierowcy. Robi się ciasno, ale niech jadą, co tam, w końcu nie przekraczamy dziś granicy. Na stacji benzynowej niespodziewanie wybucha kolejna awantura, bo na odcinku dwóch kilometrów między domem a stacją kierowca dziwnym trafem zapomniał, jak się umówiliśmy, i żąda całej sumy z góry. Chwilę trwa, zanim udaje się przywrócić mu pamięć. Wreszcie jedziemy. Czasem za oknem migają w oddali białe punkciki – samotne jurty. Kierowca wyjaśnia nam, że to pasterze, którzy latem wędrują ze swymi stadami daleko w góry, stawiają jurtę i tak spędzają lato. Wypasają głównie jaki, niekiedy owce lub kozy. Jesienią, gdy temperatury drastycznie spadają, a mogą tu sięgać zimą nawet minus pięćdziesięciu stopni, większość pasterzy przenosi się do miasta, żeby przetrwać najcięższe miesiące. Dla nas to ważna informacja: mamy sporą szansę natknąć się co jakiś czas na pasterzy, kupić od nich jedzenie, może nawet trochę mięsa. Po paru godzinach podskoków na wertepach docieramy nad

umówione jezioro. Nie ma wiatru, tafla jak lustro, a w niej odbite nagie szczyty gór. Dookoła tylko łypiące na nas zza kamieni zdumione susły, czyli małe futrzaki przypominające wiewiórki. Poza tym nie widać żywej duszy. Wypakowujemy plecaki, kierowca odjeżdża.

Odtąd jesteśmy zdani tylko na siebie.

Przed zmrokiem rozbijamy namioty. Robi się coraz zimniej, bo trzeba pamiętać, że znajdujemy się na wysokości dwóch i pół tysiąca metrów n.p.m. To co, rozpalamy ognisko? Wtedy nagle jaskrawo uświadamiamy sobie, że będzie problem z drewnem. Okolica jest całkowicie pozbawiona drzew i krzaków, sporadyczne kępki trawy wzdłuż koryt rzek to cała roślinność, jakiej możemy się spodziewać. Mamy wprawdzie do gotowania gaz, ale raczej nie wystarczy nam na całą wędrówkę. Trzeba będzie coś wymyślić. Na razie robimy dobrą kolację. Na pierwszy wieczór zabraliśmy frykasy, ba, nawet warzywa, bo uznaliśmy, że skoro tego dnia nie będziemy jeszcze daleko chodzić, możemy sobie pozwolić na małe szaleństwo. Pełny brzuch na dobry początek.

Po pierwszej nocy wiemy już, że każdy ciepły ciuch był warty zabrania. Wprawdzie w dzień słońce praży tak, że pocimy się nawet w bezrękawniku, ale amplitudy temperatur są ogromne, różnica między dniem a nocą potrafi sięgać trzydziestu stopni. Na dodatek ustawiliśmy obóz blisko wzniesienia i cały ranek pozostajemy w cieniu. Nauczka na przyszłość. Chłopaki pierwsi wygrzebują się ze śpiworów, uzbrajają wędki i idą sprawdzić, jak to jest z tą słynną mongolską „rybałką”, o której tyle się

naczytaliśmy przed wyjazdem. Na razie jeszcze dla rozrywki, a nie dla przetrwania. Blachy na spiningach imponujące, chłopaki rzucają, rzucają, przenoszą się dalej, znowu rzucają – nic. Obleźli już pół jeziora – bez rezultatu. Nagle w oddali pojawia się na koniu jakaś postać. Parkuje zwierza i idzie nam na spotkanie. Okazuje się, że przybyszy jest dwóch – ojciec i syn. Witamy się, mężczyzna wyciąga z wora kilka kostek czegoś twardego, chyba suszony ser i kanister świeżego mleka. To pierwszy przejaw tradycyjnej mongolskiej gościnności, z którą później tak wiele razy się spotkamy. Próbujemy się dogadać, lecz idzie średnio. Rozczarowani wskazujemy wędki:

– *Ryby niet!*

Mężczyzna ogląda wędki i szeroko się uśmiecha. Woła coś do syna, młody biegiem leci po kamienie. Ojciec bierze kamień do ręki, odwraca go i pokazuje przyklejone do niego larwy owadów. Odrywa je, tłumaczy, jak usunąć osłonkę i zainstalować niedoszłego owada na haczyku. Za wskazówki rewanżujemy się kilkoma zanętami. Wreszcie przybysze wsiadają na konia i odjeżdżają, a chłopaki zgodnie z instrukcją przezbrajają wędki. Spławiki, haczyki, żyłka, wszystko elegancko. Zabierają się od nowa do roboty i faktycznie działa! Po godzinie mamy śniadanie dla wszystkich. Nie są to co prawda morskie potwory, ale to i tak dobry początek.

Teraz ryby trzeba usmażyć. To jak będzie z tym ogniem? Rozglądamy się wkoło, usiłujemy znaleźć choćby kawałek drewienka, ale nic z tego. Za to w trawie leży wiele... wyschniętych jaczych placków. Opór psychiczny jest, ale chłopaki postanawiają sprawdzić, czy placki nadają się na paliwo.

Z poprzednich wyjazdów pamiętamy, że tak właśnie radzili sobie górale na Kaukazie. Jak się później okaże, to także tutejsza metoda zdobywania ognia. Jeśli wejdziesz między wrony... Babska część ekipy nie chce mieć z tym nic wspólnego, ale chłopaki zbierają suche placki i rozpalają z nich ognisko. Dymi, nie jest to co prawda jałowcowy aromat, ale w końcu pojawia się ogień. Ryba usmażona na cennych kroplach oliwy smakuje doskonale.

Przed zmrokiem znajdujemy odpowiednie miejsce na rozbicie namiotów

Po południu zwijamy obozowisko i w drogę. Planujemy iść przez góry dziesięć dni, żeby w końcu dotrzeć nad jezioro HagNuur, gdzie umówiliśmy się z pozostałą trójką znajomych. Plecaki są solidnie przeciążone, mamy jednak świadomość, że w miarę konsumowania zapasów z każdym dniem będzie coraz łatwiej. Solidarność solidarnością, ale gdy przed kolejnymi posiłkami ustalamy, co ugotować, tak się zawsze dziwnie składa, że każdy ma ochotę zjeść to, co akurat jemu przypadło do niesienia. Ciężar

plecaków daje się we znaki nie tylko na podejściach, ale również przy przechodzeniu przez liczne strumienie, gdy trzeba balansować na śliskich kamieniach. Podobno najlepsza metoda na pokonywanie płytkiej wody to nie balet na głazach, ale szybkie, zdecydowane kroki przez nurt. Weź się jednak człowieku zmuś, żeby świadomie wdepnąć suchym butem w strumień... Ale prędzej czy później i tak każdy z nas ląduje w wodzie.

Niby jesteśmy na odludziu, a tu już za pierwszą przełęczą zaskoczenie: ni z tego, ni z owego dochodzimy do posterunku pograniczników. Kto by się spodziewał. Nie są zbyt serdeczni, każą nam się wylegitymować, żądają paszportów i pozwolenia na pobyt w strefie przygranicznej. Wygrzebujemy z plecaków wszystkie dokumenty. Panowie jakby zdziwieni, by nie rzec: rozczarowani, że mamy potrzebne papiery. Liczyli, że się trochę przy nas rozerwą, pomęczą, postraszą i uzasadnią tym swoją obecność na pustkowiu, a tu nici. Ale i tak sterczymy przed ich budą prawie godzinę, zanim wreszcie uznają, że nie mają się do czego przyczepić, i puszczają nas dalej. Nie zdajemy sobie sprawy, że naprawdę mieliśmy szczęście i że brak pozwolenia mógł całkowicie popsuć nam plany. Dopiero po powrocie usłyszeliśmy historię znajomych Litwina Jonasa, którzy kilka dni po nas pojechali na wielodniowy rafting. Stwierdzili, że pozwolenie to jakaś bzdura, bo wiadomo, że tu nikt nikogo nie sprawdzi. Tymczasem w drodze zatrzymali ich strażnicy i... aresztowali „za niemanie" pozwolenia na strefę przygraniczną, potem zaś trzymali przez cztery dni bez jedzenia w lodowatej i ciemnej lepiance. W końcu puścili jednego z nich, Andrieja, żeby wrócił do Olgij, załatwił zezwolenia i z nimi wrócił, wtedy dopiero uwolnią

pozostałych. Wygłodniały Andriej szedł sam sto kilometrów po górach, zanim złapał samochód, który dowiózł go do miasta. Spotkaliśmy go po naszym powrocie w Olgij, gdy właśnie ledwo żywy wysiadał z łazika.

– Muszę szybko zdobyć zezwolenie, bo oni dalej siedzą uwięzieni w górach! – wystękał, pochłonął kolację i padł spać. Jonas migiem zorganizował papiery i wysłał zaufanego kierowcę na ratunek. Godziny mijały, ale chłopaków ciągle nie było. Wrócili dwa dni później. Okazało się bowiem, że owszem, wysłannik pognał czym prędzej ich uwolnić, ale w powrotnej drodze akurat przejeżdżali koło jurty jego wuja, więc się zatrzymali przywitać, a wuj akurat miał trochę wódki, więc kierowca tak serdecznie witał wuja, że tego dnia nie był w stanie ruszyć dalej...

Po dwóch godzinach ulewa ustaje. Można rozbić obóz

Po kilku godzinach marszu Mongolia pokazuje nam, na co ją stać. Od razu pierwszego dnia, żebyśmy wiedzieli, w co się pakujemy. Z budujących się od rana chmur zaczyna przeraźliwie lać. Ze wszystkich stron otacza nas istny Mordor. Walą pioruny, grzmoty ogłuszają. Moment idealny, bez dwóch zdań, bo akurat znajdujemy się na przełęczy. Czujemy się jak piorunochrony. Wkładamy wodoodporne peleryny i czym prędzej schodzimy w dolinę. Leje i błyska się coraz bardziej. Pocieszamy się, że teraz pioruny nas nie dosięgną, i faktycznie, błyskawice walą jak opętane głównie w szczyty otaczających gór. Wkoło nas rozgrywa się niesamowite stroboskopowe przedstawienie. Rozkładać namiotów nie ma sensu, bo po kilku sekundach wszystko byłoby mokre na wskroś, a noc w zalanym śpiworze przy zerowej temperaturze nie należy do najprzyjemniejszych. Nie ma ani jednego drzewa czy skały, pod którą moglibyśmy się schronić. Zasiadamy w kręgu na kamieniach. W tych kapturach i powiewających pelerynach, wśród pędzących chmur i oślepiających błyskawic wyglądamy jak rada upiorów. Czekając, aż ulewa trochę osłabnie, z nudów prowadzimy absurdalne dyskusje na temat prawdopodobieństwa oberwania piorunem. Wreszcie po dwóch godzinach na chwilę przestaje lać. Wykorzystujemy ten moment, żeby rozstawić obóz.

Przez kolejne dni pogoda zdecydowanie się poprawia. Nawet jeśli pada, to już nie z taką siłą. Ewidentnie przeszliśmy pierwszy sprawdzian i teraz może być już tylko lepiej. Zwłaszcza rano niebo jest bezchmurne, a wschodzące coraz wyżej słońce pali niemiłosiernie. Koło południa zaczynają się jednak budować burzowe chmury. Przewalają się nad nami z zawrotną prędkością,

tworząc magiczny spektakl cieni, przybierają dziwaczne kolory i kształty, jakich nigdy jeszcze nie widzieliśmy. Czasem faktycznie potrafi z nich popadać, a ulewa jest zwykle intensywna, za to trwa nie dłużej niż godzinę, dwie. Pod wieczór znów wychodzi słońce. Nie przeszkadza to zbytnio w naszej wędrówce, chociaż trochę się niepokoimy, czy uda nam się zobaczyć zaćmienie Słońca, które wypadnie po siedemnastej, czyli właśnie wtedy, gdy prawdopodobieństwo zachmurzenia jest największe. Pożyjemy, zobaczymy.

Częściej niż deszcz obserwujemy niesamowite zjawisko, które nazwaliśmy suchymi burzami. Nadciągają czarne chmury i widać, jak zwisa pod nimi przezroczysta firanka deszczu. Mimo to na ziemię nie spada ani jedna kropla. Prysznic znika nad naszymi głowami w połowie drogi. Powietrze jest tak suche, że woda paruje, zanim zetknie się z ziemią.

Kosmiczna sceneria – nad nami przechodzi sucha burza

Miejsce, w którym się znaleźliśmy, jest nieziemskie. Surowe, tajemnicze i hipnotycznie piękne. Otaczające góry mają po trzy tysiące metrów, jednak wydają się niższe, bo sam płaskowyż położony jest na wysokości ponad dwóch tysięcy metrów. Na zboczach tańczą przedziwne cienie, tak że wydają się one pluszowo miękkie, jakby okrywał je zielonkawoszary dywan. W rzeczywistości są jednak nagie lub pokryte wyschniętą trawą, na najwyższych szczytach leży wieczny śnieg. W dolinach migoczą lodowate jeziora. Powietrze jest tak czyste, że patrząc w ich taflę, czasem trudno stwierdzić, gdzie rzeczywistość, a gdzie odbity obraz, gdzie dół, a gdzie góra...

Mongolia stroi sobie z nas żarty. Oszukuje bezczelnie i szyderczo się śmieje. Chodzi o odległości. Zwykle jesteśmy w stanie określić, choćby w przybliżeniu, jak daleko od nas znajduje się wypatrzony punkt. O, do tamtego jeziora, które widać z przełęczy, nie może być więcej niż trzy kilometry. Tymczasem idziemy, idziemy, trzy kilometry dawno za nami, a jezioro dokładnie w tym samym miejscu, co było! Po sześciu kilometrach również niewiele się zmienia. Patrzymy na siebie zdumieni i nie możemy uwierzyć. Jakbyśmy wpadli w jakąś magnetyczną pułapkę. Niezależnie od tego, ile przejdziemy, i tak tkwimy w miejscu! W rezultacie potrzebujemy całego dnia, żeby wreszcie po pokonaniu dwudziestu kilometrów usiąść nad brzegiem jeziora. Powietrze jest bowiem tak przejrzyste, że wszystko wydaje się na wyciągnięcie ręki, choć naprawdę położone jest hen daleko.

Już w pierwszych dniach przekonujemy się, że nie jesteśmy całkiem sami. Prawda, nie ma tu wsi ani miasteczek, ale co pewien czas spotykamy ludzi. Zwykle są to pojedynczy pasterze na koniach, czasem samotnie stojąca jurta. Nasz widok ich zdumiewa i początkowo zachowują się nieufnie, po pierwsze dlatego, że wielu nigdy wcześniej nie spotkało Europejczyka, a po drugie stanowimy grupę liczniejszą od nich, więc gdyby się okazało, że nasze zamiary są niecne, mielibyśmy przewagę... Pozostaje też problem komunikacyjny. Niekiedy znają choć trochę rosyjski, ale do rozmów służą nam głównie ręce i rysunki na piasku. Szybko jednak przełamujemy nieufność. Mongołowie są bardzo gościnni. Tradycja nakazuje zaprosić wędrowców do środka jurty, poczęstować herbatą i jadłem. Jesteśmy zawsze głodni jak wilki i chętnie rzucilibyśmy się na każde jedzenie, wiemy jednak, że to ludzie ubodzy i sami mają niewiele, więc nie chcemy ich objadać, zwłaszcza że jest nas aż dziewięcioro.

Gościnność to mongolska cecha narodowa

Tradycja nakazuje poczęstować herbatą

Jurta, zwana tu również gerem, wbrew pozorom okazuje się całkiem przestronnym i ciepłym schronieniem. Jej postawienie

zajmuje zaledwie kilka godzin. Można ją transportować końmi albo samochodami z miejsca na miejsce w poszukiwaniu lepszych pastwisk. Drewniany rozkładany stelaż okrywany jest najpierw szczelnie ciepłym wojłokiem, na zewnątrz zaś owijany białym płótnem. Następnie dla wzmocnienia całość okręca się grubymi sznurami, pozostawiając jedynie mały otwór w dachu, którym do wnętrza wpada światło i przez który wychodzi komin kuchenki. Przy ścianie wisi sznurek. Gdy zaczyna padać lub nadchodzi czas spoczynku, wystarczy za niego pociągnąć i wówczas płachta zamyka otwór. Lepsze jurty miewają drewniane podłogi zamiast klepiska. Każdy namiot wyposażony jest w maleńkie, malowane lub rzeźbione drzwiczki. Trzeba się schylić, żeby wejść do środka. Teoretycznie w jurtach mongolskich wejścia skierowane są na południe, w kazachskich zaś na wschód. Ale ponieważ znajdujemy się na styku tych narodów, zasady żadnej nie ma. Wejście jest po prostu tam, gdzie lepszy widok, gdzie bliżej do rzeki, gdzie mniej wieje. Ważniejsza od tradycji okazuje się pragmatyka. Wnętrze wyścielane jest wzorzystymi dywanami, na ścianach zawieszone różności: broń, narzędzia, ubrania. Pośrodku, w prostym blaszanym piecyku, pali się ogień. Piecyk ogrzewa jurtę i jednocześnie służy za kuchnię. Obok piecyka na drewnianej półeczce zgromadzone jest skromne kobiece królestwo: kilka zdezelowanych garnków, talerzyków czy kubków, zapas mąki i oliwy, trochę soli, suszonego mięsa. I oczywiście herbata, którą tu przechowuje się w kruchych blokach i w razie potrzeby odłamuje kawałki, żeby je zaparzyć. Gdzieniegdzie porozstawiane miski i wiadra, w których przygotowuje się ser. Zamiast drewna Mongołowie dorzucają do ognia... oczywiście, a jakże, zeschnięte

placki jaka. Przy ścianach leżą posłania mieszkańców. Pomieszczenie wypełnia charakterystyczny smrodek skór zwierzęcych, starego sera i dymu.

O najwyższym statusie majątkowym rodziny świadczy posiadanie telewizora i anteny satelitarnej. Szokujące zestawienie: prymitywna jurta, a w środku cała rodzina wpatrzona w tysiąc trzysta czterdziesty odcinek najpopularniejszego serialu. Ale podobnie jest na całym świecie: choćby nie wiem jak zacofany i ubogi kraj, choćby ludzie mieszkali w lepiankach i nosili łachmany, i tak zawsze ktoś będzie miał komórkę lub telewizor. Globalizacja. Zastanawiamy się, skąd mają tu prąd? Linii wysokiego napięcia nie uświadczysz, żaden generator nie huczy. Otóż okazuje się, że przed każdą jurtą stoją nowe baterie słoneczne.

– Skąd je macie? – pytamy zaskoczeni. Gospodarze nie wyglądają nam na takich, co śledzą nowinki techniczne.

– Projekt rządowy – wyjaśniają poważnie. – Każdemu takie dali.

Jedną jurtę zamieszkuje wspólnie kilka pokoleń

Kuchnia mongolska nie należy do szczególnie wykwintnych i urozmaiconych. Szczerze mówiąc, trzeba sporej siły woli, żeby się do niej przyzwyczaić. Mimo że oszczędzamy jedzenie i praktycznie ciągle jesteśmy na granicy głodu, i tak mamy wstręt do potraw, którymi częstują nas gospodarze. Po wejściu do jurty serwują nam zawsze kubki z sutej czajem, czyli herbatą z mlekiem, solą i zjełczałym masłem. Podobno w najbardziej tradycyjnej wersji do kubka dodaje się kilka okruchów odchodów jaka, ale tego na szczęście nam oszczędzono. Do herbaty wszyscy żują *kyrt*. Są to twarde jak skała, sfermentowane i wysuszone na słońcu serowe kostki, w smaku nieco kwaskowe. Jak człowiek bardzo głodny, to je zje, ale jak nie musi, to lepiej trzymać się od nich z daleka. Dużo łatwiej przełknąć burcoki, to znaczy chlebki smażone na głębokim oleju. Bezpośrednio po przygotowaniu są nawet smaczne, niestety jednak rzadko udaje nam się załapać na świeże.

Jeśli już kobiety biorą się do smażenia, robią na zapas całe worki, starczające co najmniej na tydzień lub dwa. Po jednym dniu burcoki twardnieją i stają się nieapetyczne; takich najczęściej możemy skosztować. Przed ugryzieniem dobrze rozmoczyć taki suchar w herbacie. Podstawowa ciepła strawa to zupa. Przepis jest raczej mało skomplikowany: do gotującej się wody Mongołowie wrzucają kawałki suszonego mięsa jaka lub kozy, żeby rozmiękły i dały się pogryźć, a żeby nadać potrawie jakikolwiek smak, dodają szczyptę soli, choć i to nie zawsze. Wbrew naszym oczekiwaniom rzadko natomiast natrafiamy na słynny kumys, czyli sfermentowane kobyle mleko. Udało nam się go spróbować zaledwie dwa razy. Podobno to bardzo zdrowe. Tak się zawsze usprawiedliwia wszystkie paskudztwa.

Pewnego dnia natykamy się na siedlisko złożone z kilku jurt. Zapraszają nas do środka. Schylamy się, żeby przejść przez niewielkie drzwiczki, plecaki zostawiamy na zewnątrz. Myśleliśmy, że się wszyscy nie pomieścimy, ale ku naszemu zdumieniu wnętrze okazuje się bardzo obszerne. Trudno uwierzyć, ile narodu może się tu zmieścić! Weszła nasza dziewiątka, gospodarzy pięcioro plus chmara dzieciaków i ciągle jest dużo miejsca. Ponoć mongolskie jurty są mniejsze, ta natomiast jest kazachska. Bogata rodzina, na półce wypatrzyliśmy nawet kamerę. Mamy szczęście, bo mówią po rosyjsku, więc jest szansa na coś więcej niż tylko kiwanie głowami i głupkowate uśmiechy. Gospodarz jest zachwycony lornetką Jacka.

– Ja bym ją od ciebie kupił... – wyznaje.

– Ale po co ci taka lornetka?

– No jak to: po co, oczywiście do wypatrywania bydła.

Głupie pytanie, fakt. Niestety nie możemy oddać lornetki, bo to prezent-pamiątka. Mężczyzna jest bardzo zmartwiony, ale nie poddaje się tak łatwo i co pewien czas wraca do tematu.

– Czekajcie, ja mam przecież mały monokl, gadżet za dziesięć złotych – przypomina sobie Ewa. Nasz gospodarz ogląda urządzenie. Lornetka co prawda fajniejsza, ale luneta też niczego sobie.

– To ile za niego chcecie?

– E... nie chcemy pieniędzy... chyba że macie trochę nadprogramowego jedzenia?

Gospodyni wyciąga spod łóżka dużą, dopiero co przygotowaną bryłę białego sera.

– *Machniom?*

– *Machniom.*

Monokl przechodzi na wyposażenie jurty, a my dostajemy kawał wyjątkowo smacznego jadła.

Takie smakołyki zdarzają się jednak rzadko. Z jedzeniem faktycznie mamy problem. Nasze zapasy kurczą się bardzo szybko, mimo że gospodarujemy nimi oszczędnie. Obiady wystarczają do zaspokojenia głodu, lecz do poczucia sytości nam daleko. W czasie trekkingu zużywamy spore zasoby energii. Teoretycznie dostarczamy sobie dziennie około dwóch tysięcy kalorii, ale nasze brzuchy nie chcą uwierzyć na słowo, że to wystarczająca ilość. Burczą i burczą. Pod koniec z łezką w oku kroimy na plasterki ostatniego batona... Doskwiera nam też brak warzyw. Mamy trochę suszonych, ale to za mało. Witaminy uzupełniamy tabletkami. Najgorzej, gdy ktoś zacznie masochistyczne zwierzenia z serii „a ja to bym teraz zjadł...". Ślinimy się wtedy jak psy Pawłowa.

Ratują nas ryby. Trudno uwierzyć, ale w kraju, który jest rajem wędkarzy, rzadko jada się ryby i uważa się je za mięso gorszej kategorii. Mieszkańcy wolą żuć łykowate suszone mięso jaka. I bardzo dobrze. Dzięki temu rzeki i jeziora obfitują w ryby i co pewien czas możemy zafundować sobie prawdziwą ucztę, tym smaczniejszą, że zdobytą samodzielnie.

Raz, idąc wzdłuż strumienia, nacięliśmy cały worek pieczarek. Dumni pokazujemy naszą zdobycz napotkanemu jeźdźcowi. Ten jednak patrzy na nas z politowaniem, że zamierzamy jeść takie śmieci. No pewnie, lepiej połamać zęby na czerstwych burcokach...

Pierwszym charakterystycznym punktem na naszej trasie jest Lodowiec Potanina, położony na samiutkiej granicy. Po drugiej stronie są już Chiny. W pocie czoła pniemy się wyżej i wyżej, aż wreszcie w oddali ukazuje się majestatyczny biały jęzor. U jego podnóża stoi jurta. Podchodzimy bliżej. Kończą się nam zapasy jedzenia i liczymy na to, że uda nam się coś kupić. Zaglądamy do wnętrza. Przy piecu grzeje się dwóch mężczyzn.

– Można u was coś kupić?

– *My nie magazin* – niechętnie cedzi przez ramię starszy z nich.

Jura jest glacjologiem. Wraz ze swoim pomocnikiem mieszka miesiąc u stóp lodowca i dokonuje pomiarów, potem wymienia ich kolejna ekipa. Po przełamaniu pierwszych lodów (tak, to dobre określenie, skoro witamy się z glacjologiem) mężczyźni stają się bardzo sympatyczni. Przypominają sobie, że pytaliśmy o zakupy.

– To czego wam trzeba?

– Piwka byśmy się napili – rzucamy pół żartem, pół serio.

Na te słowa Jurze świecą się oczy. Wsiada na konia.

– To ja jadę na granicę do sąsiadów, osiemnaście kilometrów stąd, tam sprzedają szmuglowany alkohol.

Wraca po kilku godzinach. Zamiast piwa kupił wódkę, bo w trakcie jazdy wyszło mu, że wtedy za tę samą cenę będzie można skuteczniej się zbombardować. W jurcie całą noc trwa impreza. Odpalają generator, huczy z kasety *Indijskoje disco, a nasze szczastie tak blisko*... Słuchamy opowieści Jury, przerywanych co chwila okrzykiem:

– *Dawaj po sta gram*!

Rano Jura chodzi zmartwiony. Nie dał rady się obudzić, żeby dokonać swoich pomiarów.

– *Siewodnia gaława nie rabotajet* – żali się co chwilę. Zabiera nas za to na spacer po lodowcu, przy czym upiera się, żebyśmy wzięli ze sobą magnetofon. W rytmie *Indijskoje disco* chodzimy po lodowcu, zaglądamy w szczeliny...

Skoro tak dobrze poszło mu z alkoholem, pytamy Jurę, czy przypadkiem nie byłby w stanie zorganizować dla nas koni na dzień, może dwa? Trochę urozmaiciłoby nam to wędrówkę, poza tym w Mongolii po prostu nie wypada ani razu nie usiąść w siodle. Żaden problem. Jura może wszystko.

Następnego dnia rano czekamy spakowani w blokach startowych, ale koni ani widu, ani słychu. W południe staje się jasne, że nie dotrą. Jura obiecuje, że następnego dnia na pewno już będą. Muszą być, bo mamy dzień opóźnienia i piechotą nie wyrobimy się do HagNuur na spotkanie z pozostałą częścią naszej ekipy.

Wreszcie są konie. Dziewięć sztuk plus... wielbłąd?

– *Eto berbelut* – potwierdza Jura. – Zabierze wasze plecaki.

Większość z nas po raz pierwszy siedzi na koniu. Większość plecaków pierwszy raz siedzi na berbelucie. Na szczęście koniki są małe i spokojne. Po chwili udaje nam się je opanować. Najpierw człapiemy stępa, potem kłusujemy, a wreszcie nawet próbujemy galopować. Dosiadanie mongolskich koników to zupełnie co innego niż tradycyjna jazda konna i nawet ci, którzy wcześniej jeździli, muszą się przestawić. Z kolei początkującym łatwiej ujarzmić niskiego, krępego zwierzaka niż tradycyjnego wierzchowca. Tylko Bartkowa chabeta jakaś nieposłuszna. Nie działają na nią ani prośby, ani groźby, człapie sobie wolno i ma wszystko gdzieś. Skutkuje dopiero widok bata. Po piętnastu,

dwudziestu kilometrach zaczynamy nieśmiało narzekać na tyłek i kolana. Po trzydziestu kilometrach otwarcie jęczymy. Po czterdziestu słychać już tylko przekleństwa. Ledwo trzymamy się w siodłach, wszystko boli jak nie wiem co. A właściciel koni rześki jak panna młoda, pogania nas, bo nie zdążymy przed zmrokiem. Jak on to robi?!

Koniki są małe i spokojne, po chwili udaje nam się je opanować

Do ustalonego miejsca dojeżdżamy o zmroku. Za nami pięćdziesiąt kilometrów, zatem udało się nadrobić czas spędzony pod lodowcem. Myśleliśmy, że właściciel koni przenocuje z nami. Ten jednak postanawia od razu wrócić! Nie wierzymy. Po pięćdziesięciu kilometrach on tak po prostu zawraca, żeby przejechać po nocy kolejne pięćdziesiąt! Ma chłop zdrowie. Żal nam koni, ale w końcu chyba wie, co robi. Żegnamy się i padamy spać. Tej nocy wszyscy śpimy na brzuchach...

Jak dotąd jest nas dziewięcioro. Brakująca trójka: Wiolka, Basia i Marcin, przyjechała do Mongolii dopiero tydzień po nas. Jeszcze w Polsce uzgodniliśmy, że spotkamy się wszyscy dwudziestego czwartego lipca nad jeziorem HagNuur. Już wiemy, że zdążymy na czas, bo wszystko idzie zgodnie z planem. Zbliżamy się do jeziora. Podgór pędzi pierwszy, plecak nagle dziwnie przestaje mu ciążyć, bo wśród brakującej ekipy jest jego żona. Dochodzimy na miejsce – a tu pusto. Czekamy i czekamy, lecz do wieczora nikt się nie zjawia. Następnego dnia również cisza. Robimy naradę. Podgór chce do żony, więc trzeba coś wykombinować. Nagle widzimy, że z daleka nadjeżdża samochód. Rzucamy wszystko i biegniemy go zatrzymać. Zauważyli nas, podjeżdżają. Niestety to nie nasze zguby. Okazuje się jednak, że łazik jedzie w kierunku, z którego powinna przybyć brakująca grupa. Mają w środku jeszcze odrobinę miejsca i zgadzają się zabrać trzy dodatkowe osoby. Szybka decyzja: Podgór, Ewa i Czubaka wyruszą łazikiem na poszukiwania. My podążymy piechotą w ich kierunku. Z góry określamy współrzędne miejsc, w których zamierzamy kolejno obozować przez następne dni. Dzięki temu, gdy misja poszukiwawcza odnajdzie zagubioną trójkę, będą dokładnie wiedzieli, gdzie powinniśmy się tego dnia znajdować, a to pozwoli im ponownie do nas dołączyć. Dodatkowo ustalamy, że w każdym z obozów pozostawimy ukrytą kartkę z informacją, kiedy tu byliśmy. Gdyby grupa Podgóra mimo wszystko w jakiś sposób minęła się z nami, po odnalezieniu kartki będą wiedzieli, co robić dalej. Zdajemy sobie sprawę, że

przypomina to zabawę w podchody, ale to jedyna metoda, żeby się odnaleźć. Idziemy przez cztery dni. Przy każdym postoju zostawiamy listy. Pewnie leżą pod skałami do dziś... Czwartego dnia mija nas ciężarówka. Załadowana po dach, ale podwiozą nas. Chłopaki wdrapują się na pakę i sadowią obok żywej kozy, damy zostają zaproszone do kabiny. Samochód dowozi nas do mostu, czyli kolejnego miejsca potencjalnego spotkania. Przed mostem na brzegu rzeki stoją trzy namioty. To muszą być oni! Ale nie wiadomo czemu nie wychodzą nam naprzeciw. Hmm, niezbyt to miłe. A może gdzieś sobie poszli? Podchodzimy i dopiero wtedy wyskakuje komitet powitalny: z chlebem, pomidorami i piwem. Po tygodniach postu rzucamy się na jedzenie. Okazuje się, że wieczorem tego samego dnia, którego się rozstaliśmy, misja poszukiwawcza dotarła nad popularne jezioro Choton Nuur. Jadąc łazikiem wzdłuż brzegu, zobaczyli turystów na koniach, podjechali... To nasze zguby!

Teraz wszyscy razem powędrujemy na zaćmienie Słońca.

Udaje nam się na czas dostać do punktu, w którym zaplanowaliśmy oglądanie zaćmienia. Jesteśmy w komplecie. Miejscówka przepiękna, tak jak to sobie wymarzyliśmy. Rozstawiamy obóz nad wściekle turkusowym jeziorem Char Nuur na wysokości ponad dwóch i pół tysiąca metrów n.p.m. Jezioro wygląda zachęcająco, zwłaszcza w ciągu dnia, gdy słońce mocno praży. Próbujemy się kąpać, ale najwięksi twardziele są w stanie wytrzymać w jego lodowatej wodzie najwyżej kilka minut.
W ogóle trzeba przyznać, że kąpiele w tym klimacie nie należą do najprzyjemniejszych. Nawet w upalny dzień woda w strumieniach i jeziorach jest tak lodowata, że człowiek w sekundę drętwieje.

Obóz nad jeziorem Char Nuur

Cóż, udało nam się dotrzeć w porę na sam środek pasa zaćmienia, ale czy uda się je obejrzeć? Od kilku dni pogoda po południu jest zawsze marna, niebo zachmurzone. Podgór tradycyjnie zakłada się z Bartkiem o flaszkę wódki, czy tym razem zobaczymy zaćmienie, i mamy cichą nadzieję, że jak zwykle przegra.

W końcu nadchodzi tak długo oczekiwany dzień, pierwszy sierpnia. Niebo jest bezchmurne. Ale spokojnie, nie zapeszajmy, to dopiero poranek, po dwunastej wszystko może się jeszcze zmienić... Szukamy dobrego miejsca do obserwacji. Wybieramy szczyt pobliskiej góry, z którego rozpościera się widok na wszystkie strony. Już po dwunastej, a niebo nadal bez jednego obłoczka! Zasiadamy na szczycie, przez specjalne „zaćmieniowe" okulary widać, jak Księżyc stopniowo zjada tarczę słoneczną. My pozostajemy oświetleni, ale od północnego zachodu po wzgórzach przesuwa się cień Księżyca. Stopniowo gasną kolejne chmury, nadciąga noc. Trzy! Dwa! Jeden! Zero! O 16.57 i 46 sekund Słońce znika na naszych oczach! Pojawiają się słabe gwiazdy. Tarcza Słońca jest teraz idealnie zakryta, można bezpiecznie patrzeć bez ochronnych okularów na jego piękną koronę. Trwa to dwie minuty i dziesięć sekund. Powoli znowu robi się jasno, wraca dzień, a cień Księżyca przesuwa się dalej i dalej na południowy wschód...

Czekając na zaćmienie Słońca

Kolejne zaćmienie dopiero za rok.

Gdy po trzech tygodniach spędzonych na pustkowiu wracamy do Olgij, miasteczko wydaje nam się prawdziwą metropolią, pełną ludzi i sklepów. Objadamy się za wszystkie czasy. Wszyscy bardzo schudliśmy, rekordzista jedenaście kilogramów...

Przyjaciele wracają do Polski. Dla nich to koniec wakacji, dla nas początek samotnej podróży. Najpierw jednak trzeba wydostać się z Mongolii. Następny kierunek to Chiny. Najłatwiej byłoby przekroczyć granicę w północno-zachodnich Chinach i zjeżdżać na południe w stronę Tybetu. Niestety okazuje się, że jedyne przejście graniczne położone w tej części Mongolii jest dostępne

wyłącznie dla lokalnej ludności. Dałoby się wprawdzie załatwić, żeby Mongołowie nas wypuścili, ale z Chińczykami nie będzie dyskusji. A może przez Kazachstan? Mówią, że do Ałma Aty lata niedrogi samolot. Idziemy do „biura" linii lotniczej, która ma na wyposażeniu jednego „Antka" latającego tam raz w tygodniu. Rano o dziewiątej meldujemy się pod drzwiami biura lotniczego. Ludzi przybywa. Czekamy godzinkę i przychodzi Pan Urzędnik. Łokciem, łokciem, i wpychamy się pierwsi. Mówi po rosyjsku, to już coś. Ale wolne miejsca w samolocie mają dopiero na wrzesień. Robimy tragiczne miny...

– *Szto tak diełat'?* U nas wiza tylko do czternastego *awgusta*, nie możemy jej przedłużyć... Pomożecie? – żartujemy.

Pan Urzędnik niby nas nie dostrzega, nos do góry, ale wyjmuje z kieszeni komórkę i gdzieś dzwoni. Chyba zadziałało! Nauczyliśmy się, że jeśli chcemy cokolwiek uzyskać w takich sytuacjach, najlepiej, gdy traktujemy urzędników jak wszechmocne bóstwa. Za chwilę przychodzi inny urzędnik, niesie ręcznie zapisane, wystrzępione papierki z kolumnami nazwisk. Jak nic listy pasażerów! Dumają, kreślą, dyskutują, trwa to z piętnaście minut. Siedzimy, nic nie rozumiejąc, ze zbolałym wyrazem twarzy. Nagle urzędnik znowu na nas patrzy:

– Paszporty u was są?

– *Kanieszna* – wręczamy mu dokumenty.

Z niedowierzaniem patrzymy, jak na jedną z owych tajemniczych list pan wpisuje nasze nazwiska. Każą nam iść do pokoju obok i przez czterdzieści minut wypisują bilety. Na czwartek czternastego sierpnia, czyli na najbliższy wylot i ostatni

dzień ważności wizy. Mamy nadzieję, że listy pasażerów nie podrą się do czasu wylotu...

Włóczymy się kilka dni sami po górach w oczekiwaniu na samolot. Tuż przed wylotem dowiadujemy się jednak, że będą problemy. Samolot nie leci bezpośrednio do Ałma Aty, ale ma międzylądowanie w Öskemen i tam odbywa się odprawa graniczna. Nie ma szans, żeby w Öskemen wystawili kazachską wizę, to mogą zrobić tylko w Ałma Acie, więc w ogóle prawdopodobnie nie pozwolą nam dalej lecieć i... deportują. Przeczuwamy problemy.

– Co się martwisz, najwyżej zjemy w domu schabowego z ziemniaczkami i pojedziemy dalej... – Bartek umie dodać otuchy.

Po powrocie miasteczko wydaje nam się prawdziwą metropolią

An-24 rozpędza się po nieutwardzonym pasie startowym, wzbijając tumany kurzu, i już po chwili unosi się nad górami. Co za maszyna! Trochę taka tekturowa i dziwnie skrzypi...

Obmyślamy strategię na dalszą przeprawę. Przede wszystkim w Öskemen spróbujemy w ogóle nie opuszczać samolotu. Niestety po wylądowaniu każą wszystkim wysiąść do odprawy. Stajemy w kolejce. Dziewczyna w okienku przegląda paszporty i w końcu pada pytanie, które paść musiało:

– A wiza gdzie?

Tłumaczymy, że nie wiedzieliśmy o lądowaniu w Öskemen i chcieliśmy wyrobić wizę w Ałma Acie.

– Nie, nie, powinniście mieć wizę już teraz, bez tego nie możecie lecieć dalej.

Dziewczyna ma na imię Natasza i mimo wszystko chce jakoś pomóc. Niby groźnie pokrzykuje, ale uśmiecha się, żartuje i przede wszystkim działa. Chodzimy po lotnisku od pokoju do pokoju, Natasza wydzwania, tłumaczy i prosi, żeby pozwolili nam lecieć dalej. Przychodzi szef, robi awanturę, że do czego to podobne, abyśmy mieli wbite w paszporcie wizy mongolskie, chińskie, indyjskie, nawet wietnamskie, a kazachskiej nie! Tłumaczymy, że nie planowaliśmy jechać przez Kazachstan.

– To my was odeślemy z powrotem do domu!

Ciekawe tylko jak, bo następny samolot leci dopiero za tydzień. Nie za bardzo mają czym nas deportować. I to nas ratuje. Spisują protokoły. Natasza śmieje się, że szef nerwowy, ale bez paniki, w podobnej sytuacji byli już Francuzi i ich puścili. Dopiero później dowiadujemy się, że również Anglicy, ale ci niestety skończyli na Heathrow... Godzina krzątaniny, telefonów, straszenia i... uff, lecimy dalej! Najwidoczniej uznali, że najłatwiejszym rozwiązaniem problemu będzie przesłanie go do Ałma Aty. Lądujemy o 22.30. Na miejscu już o nas wiedzą. Przy wysiadaniu

z samolotu każą wszystkim pasażerom pokazywać dokumenty, żeby wyłapać nielegalnych imigrantów.

– To my – przyznajemy się, podając paszporty.

Pakują nas do policyjnej furgonetki i dowożą na terminal, żebyśmy przypadkiem nie uciekli z lotniska. Żeby dostać kazachską wizę tranzytową, musimy mieć bilet do Chin, którego nie dało się kupić w Olgij. Idziemy w obstawie do kas biletowych, ale nie wiedzieć czemu nie sprzedają tu żadnych biletów do Chin. Urzędnicy robią się nerwowi. Mają dość. Każą nam zostać do jutra na lotnisku i zorganizować bilety rano. Na szczęście okazuje się, że na lotnisku działa internet. Po nocy spędzonej w hali przylotów rozpoczynamy obdzwanianie rozmaitych biur, przez które dałoby się kupić bilety. Próbujemy też prosić o pomoc polską ambasadę, ale odpowiadają z ulgą w głosie, że skoro siedzimy w terminalu, to znaczy, że jeszcze nie wjechaliśmy na terytorium Kazachstanu, a zatem ambasada nie musi się niczym przejmować. W końcu przemiły pracownik jednego z biur przyjeżdża na lotnisko, w asyście strażników odbiera od nas kopie paszportów i chińskich wiz (trzeba je pokazać, żeby kupić bilety międzynarodowe), po czym rusza po bilety na pociąg, który jedzie do chińskiego Urumczi. Czy to nie oszust? Kto wie. Nie mamy wyboru, musimy mu zaufać. Po godzinie wraca z biletami. W okienku przybijają stempel i... system nas przyjmuje! Legalnie wkraczamy do Kazachstanu! Długo tu nie zabawimy, bo wiza tylko na pięć dni, ale przynajmniej nie wracamy na Okęcie!

F1
STELS

CHINY: ELEKTRYCZNY PING-PONG

Opuszczamy Pekin i przenosimy się pociągiem na południe Chin, do miasta Changsha.

Zmęczyło nas zwiedzanie w stylu klasycznym: pociąg, hostel, armia terakotowa, znowu pociąg, hostel, Zakazane Miasto i tak

w kółko. Przestało to sprawiać radość i wyssało energię. Zabrakło w tym spontaniczności, niewiadomej, emocji, czyli tego wszystkiego, co nieodłącznie powinno się wiązać z podróżą.

Przyszedł zatem czas na poważne decyzje. Trzeba urozmaicić nasze działania.

– To co, kupujemy?

– Bartek, ale co my potem z nimi zrobimy?

– Jak to co, sprzedamy.

– A jak nikt nie będzie chciał odkupić?

– To rozbierzemy na części i wyślemy w paczce do Polski...

Raz się żyje. Od jutra zaczynamy nowy, elektryczny etap naszej podróży.

Po długich tygodniach mongolskiej włóczęgi rodzi się w nas poczucie obowiązku. Nie możemy ciągle tylko szwendać się po pustkowiu. Powinniśmy zobaczyć wreszcie coś sławnego, bo potem wrócimy do domu, spytają nas: A w Chinach byłeś? A Armię Terakotową widziałeś? A Wielki Mur? I będzie wstyd. Nikt nam nie uwierzy, że odwiedziliśmy Państwo Środka. Wypada trochę pozwiedzać.

Pociąg z Kazachstanu dowozi nas do chińskiego miasta Urumczi. Ciekawa rzecz: całe wagony są wypchane kazachską młodzieżą jadącą na studia do Chin.

– Bo to i tanio, i przyszłościowo – tłumaczy współpasażerka z przedziału.

Na granicy wielogodzinny postój. Celnicy z neurotyczną gorliwością sprawdzają wszystkie bagaże. Nasze też rozbebeszyli.

Zainteresowali się przewodnikiem, który leżał na półce. Kartkują, nagle zaczynają jazgotać między sobą podniesionymi głosami. Zbiegają się pozostali celnicy. O co chodzi?

– W przewodniku Tajwan jest zaznaczony na mapie jako oddzielne państwo. Chcą skonfiskować przewodnik... – tłumaczy kazachska studentka.

Jak zapowiedzieli, tak zrobili. Bez gadania. Wielki Brat ciągle jeszcze patrzy...

Ustalamy trasę od Urumczi przez Kaszgar aż do Pekinu. Bartek nie jest przekonany do tego planu, on zawsze woli wędrować własnymi ścieżkami, ale ja się uparłam, że musimy pozwiedzać i kropka.

Żeby jednak dokądkolwiek pojechać, trzeba najpierw kupić bilety. Idziemy na dworzec kolejowy. Tłok jak w ulu. Kilka okienek, gigantyczne kolejki, wszyscy pchają się jeden na drugiego. Przed kasami ludzie dosłownie wchodzą sobie na plecy, istny amok. Na załatwienie sprawy w okienku masz zaledwie kilka sekund, bo potem tłum odepchnie cię w tył. Nie ma czasu na pytania, wyjaśnienia, dyskusje nad wyborem połączenia. Krzyczysz do kasjerki, jaki chcesz bilet, wręczając jej z góry odliczone pieniądze, i odbierasz go w ostatniej chwili, zanim wrzeszczący tłum wypchnie cię z kolejki. Zawahasz się – po tobie. Przed zakupem biletu należy się więc przygotować. Na wielkiej ścianie wisi gigantyczny elektroniczny rozkład jazdy. Cudownie. Cała tablica w migoczących krzaczkach, w życiu nie dojdziesz, dokąd co jedzie. Są co prawda cyfry arabskie, ale wszystko inne po chińsku, z nazwami miast na czele. Na stacji nikt nie mówi w żadnym obcym języku. W końcu udaje nam się złapać młodą

Chinkę, która twierdzi, że zna angielski, i zgadza się kupić dla nas bilety do Kaszgaru. Z angielskim sprawa wygląda tak, że na pytanie *Do you speak English?* Chińczycy zwykle odpowiadają *Yes*, a potem okazuje się, że to jedyne słowo, jakie znają. Częściowo na migi, częściowo po angielsku udaje się wreszcie wytłumaczyć dziewczynie, dokąd i kiedy chcemy jechać, a ona w odpowiednim momencie przekazuje tę informację w kasie. Na sto procent sami nie zdążylibyśmy wyjaśnić wszystkiego pani w okienku. Po tej nauczce zawsze przychodzimy na dworzec przygotowani. Na karteczce przeznaczonej dla kasjerki przerysowuję sprawdzoną wcześniej chińską nazwę miejscowości, do której chcemy się dostać, obok wpisuję datę, jeśli na ten dzień nie ma już biletów, podaję następną datę. Do tego dochodzą oznaczenia rodzaju pociągu i miejsca w przedziale, które też przerysowujemy na karteczce. W ten sposób idzie sprawnie. Ja zamawiam, a tymczasem Bartek odgania nachalnych, napierających z każdej strony ludzi. Chińczycy nigdy nie zaczekają na swoją kolej, nieważne, czy stoi pięćdziesiąt osób, czy trzy, i tak będą próbowali wepchnąć się przed ciebie. Zwykle nas to śmieszy, ale czasem mamy ochotę ich rozszarpać.

W Kaszgarze mieszka muzułmańska mniejszość ujgurska

Mimo wszystko trzeba przyznać, że tutejsza kolej jest niesamowicie zorganizowana. Dworce są ogromne, często nowoczesne, bardziej przypominają terminale lotnicze niż stacje kolejowe. W większych miastach odjeżdża naraz tyle pociągów, że ogarnięcie takiej liczby wymaga naprawdę bardzo sprawnej organizacji. Mimo to wszystko działa bez zarzutu. Przed wejściem na dworzec zawsze trzeba przejść kontrolę. Wpuszczają tylko tych, którzy mają bilety, bo kasy mieszczą się w oddzielnych halach. Skanują bagaż. W ten sposób konfiskują nam turystyczną butlę z gazem. Zawsze staczamy również walkę o Bartkowy nóż, który o dwa centymetry przekracza dopuszczalne normy. Za którymś razem, gdy go zabierają i za nic nie chcą zwrócić, a my nie chcemy się poddać i go utracić, idziemy na kompromis: Chińczycy na czas podróży deponują nóż u konduktora. Dostaliśmy go z powrotem

po dojechaniu na miejsce, ale po tej przygodzie zdecydowaliśmy się odesłać nóż do Polski, aby następnym razem nie kusić losu.

Kaszgar, jeden z najważniejszych przystanków na Jedwabnym Szlaku, gdzie mieszają się różne kultury i narody, to bardzo ciekawe miejsce. Oprócz Chińczyków, którzy przybyli ze wschodu kraju, mieszka tu muzułmańska mniejszość ujgurska, która w ostatnim czasie ostro walczy o swoją tożsamość. Przed naszym przyjazdem zamordowano przy użyciu domowej roboty materiałów wybuchowych szesnastu chińskich urzędników (w trakcie olimpiady, żeby zwrócić uwagę świata na ten zapomniany zakątek). Konflikt wisi w powietrzu, ale na ulicach panuje spokój. Pomiędzy tysiącami straganów z jedzeniem, genialnymi owocami (chluba prowincji), przyprawami, warsztatami rzemieślników wszelkiego sortu, w oparach pieczonych szaszłyków przepływają tłumy o ciekawych, przemieszanych chińsko-ujgurskich rysach. Po odludnej Mongolii wielką przyjemność sprawia nam zjedzenie zupy na gwarnym bazarze czy obserwowanie ludzi zgromadzonych przed meczetem. Wyjątkowym doświadczeniem okazuje się też wizyta na słynnym targu zwierzęcym. Setki owiec, kóz, krów i osłów, ubijanie interesów. Piękny, malowniczy bałagan...

Trzeba jednak przyznać, że jak na razie ta część kraju, czyli prowincja Xinjang, nie wygląda bardzo „chińsko". Często przypomina raczej Bliski Wschód niż Chiny. Widzimy wielu muzułmanów, meczety, chleb wypiekany w wielkich glinianych piecach.

Rząd w Pekinie stara się utrzymać kontrolę nad tym regionem, zasiedlając go „prawdziwymi” Chińczykami ze wschodu, których kusi atrakcyjnymi cenami mieszkań czy ofertami pracy. Kilkakrotnie widzieliśmy na pustyni niedawno wzniesione miasta, zbudowane od zera, z partyjnego nakazu. Wszystko nowe, wszędzie trwa budowa.

Ale dosyć Kaszgaru, czas ucieka, wiza tylko na dwa miesiące, więc trzeba pędzić dalej!

Z Kaszgaru pociągiem do Hotenu, tam pierwszy poważny problem z brzuchem. STOP. Z Hotenu przez piaszczystą pustynię Takla Makan autobusem sypialnym (dziwna konstrukcja z rzędami piętrowych łóżek) do Korli, skąd przesiadka do Dunhuangu. STOP. Zwiedzamy skalne świątynie z gigantycznymi posągami Buddy, potem na wydmy i do Xining. STOP. Kilka dni w prowincjonalnym klasztorze mnichów, chwila oddechu, znowu pociąg do Xi’an, spacer po murach, wypad, żeby zobaczyć armię z terakoty, zaliczone, uff, jeszcze tylko góra Hua Shan i do Pingao. STOP. Czerwone latarnie, stare uliczki, kramy z pamiątkami. STOP. Pekin, Chiński Mur, Tiananmen, Zakazane Miasto. STOP.

STOOOOOP!!!

Tak się nie da! Koniec z tym maratonem. Nie zobaczymy całych Chin w dwa miesiące! Jesteśmy zmęczeni, mamy dosyć. W taki sposób można podróżować na kilkutygodniowym urlopie, ale to nie zdaje egzaminu na dłuższą metę. Wizytowanie kolejnych zabytków i atrakcji staje się niemal rutyną, łapiemy się na tym, że oglądamy je bardziej, żeby „odhaczyć”, niż żeby czerpać z tego autentyczną przyjemność. Zmieniające się jak w kalejdoskopie świątynie, pagody, posągi Buddy zaczynają się nam zlewać

w jedną masę. Niby obskoczyliśmy niemal wszystkie atrakcje na trasie, a mamy poczucie, że niewiele widzieliśmy i nic nie wiemy o tym kraju. Nie ma okazji przyjrzeć się życiu zwykłych ludzi, zostać chwilę w jednym miejscu, zastanowić się, poobserwować.

Tą metodą nie okrążymy świata. Musimy coś zmienić. Potrzebny jest jakiś pomysł, coś ciekawego, co nas wyrwie z turystycznej rutyny. Lepiej skoncentrować się na mniejszym terytorium i eksplorować je na własną rękę.

✦ ✦ ✦

Pekin okazuje się idealnym miejscem na chwilę oddechu, a to dzięki wstawiennictwu pani Ani Trziszki, a potem gościnności pana ministra Marka Łyżwy i pani Anny Łyżwy z polskiej ambasady, którzy nie dosyć, że nas przygarnęli, to jeszcze nakarmili bigosem i gołąbkami.

Pingao. STOP. U mnichów. STOP. Armia terakotowa. STOP.

W Pekinie trwa akurat paraolimpiada. Zamierzaliśmy tylko odwiedzić olimpijską wioskę, ale skoro trafiliśmy na finał, to przecież grzech nie zobaczyć. Uparliśmy się na mecz koszykówki na wózkach, lecz na te najbardziej widowiskowe rozgrywki wszystkie miejsca od dawna wykupione. Zagadujemy dziewczynę sprawdzającą bilety, czy przypadkiem może coś zostało, ta zaś miło się uśmiecha i każe nam szybciutko wchodzić do środka... Mecz jest niesamowity. Piękna walka między Kanadyjczykami i Australijczykami zakończona zwycięstwem tych ostatnich, przy rewelacyjnym dopingu pomalowanych na żółto i wymachujących pluszowymi kangurami Ozzich. Patrząc na grę, całkowicie zapominasz, że zawodnicy są niepełnosprawni. Wózki dosłownie tańczą w powietrzu, a oni są tak zręczni, że prawdopodobnie mało kto byłby w stanie wrzucić im choćby jednego kosza.

Wracając jednak do pytania, w jaki sposób dalej podróżować...

To nieprawda, że w Pekinie jest dziewięć milionów rowerów. W Chinach jeżdżą teraz masowo rowery elektryczne. Pierwszy raz zobaczyliśmy je jeszcze w Kaszgarze. Zdumiało nas, że na ulicach taki ruch, tyle skuterów, a mimo to wkoło cisza... O co chodzi? Coś mamy ze słuchem? Nie, po prostu pojazdy napędzają cichutko bzyczące silniki na baterie.

Od tej pory ciągle nam te „elektryki" chodziły po głowie. Bardziej przypominają skutery niż rowery, bo bateria jest ciężka jak silnik. Mają pedały, ale bez prądu daleko się nie ujedzie, maszyna waży bowiem tak dużo, że po kilku kilometrach można wyzionąć ducha. Pedały służą raczej na wypadek, gdyby bateria skończyła się tuż przed domem. Akumulator ładuje się osiem godzin i wystarcza na pięćdziesiąt, siedemdziesiąt kilometrów. Prędkość przelotowa – średnio dwadzieścia kilometrów na godzinę, maksymalnie może ze czterdzieści...

Słowo się rzekło.

W południowochińskim mieście Changsha, gdzie przyjechaliśmy z Pekinu nocnym pociągiem, odwiedzamy sklepy z „elektrykami". Oglądamy, wybrzydzamy, zastanawiamy się i wreszcie po południu dobijamy targu.

Odbieramy kluczyki do dwóch czerwonych, sześćdziesięciowoltowych, czterystupięćdziesięciowatowych potworów. W pakiecie wynegocjowaliśmy dodatkowe boczne kosze bagażowe, w których umieścimy plecaki, owinąwszy je wcześniej nieprzemakalną folią.

Mamy mnóstwo dobrej energii na dalszą drogę, w przenośni i w bateriach naszych rowerów. Wreszcie dzieje się coś innego. Trzeba tylko jeszcze nazwać nasze maszyny. Są dwie, więc musi być dla nich jakiś wspólny mianownik, najlepiej coś trochę chińskiego... Mamy! Idziemy do punktu ksero, żeby przygotowali dwie tabliczki. Po chwili odbieramy gotowe etykietki.

Ping i Pong są gotowe do drogi.

Pierwsze chwile niestety w deszczu. Do tego wyjazd z Changsha okazał się dosyć męczący, w korku i spalinach.

Potem „elektryki" przechodzą chrzest bojowy, bo nagle kończy się asfalt i pojawia czerwone błoto. Ludzie patrzą zdumieni: rowery elektryczne i owszem, tylko że w mieście, po ulicach. Ale jechać tym na wieś? Po szutrach? Czy myśmy zgłupieli?

Zaczyna się ściemniać, baterie na wyczerpaniu. Jesteśmy w jakiejś małej wsi. Zatrzymujemy się w sklepiku i usiłujemy wytłumaczyć sprzedawczyni, że mamy namiot i chcielibyśmy

gdzieś się rozbić na noc. Na-miot. Roz-bić. Tu-taj. Pokazujemy na migi, rysujemy na ziemi. Robi się małe zbiegowisko, wesoło, w końcu załapali. Nie zgadzają się jednak, żebyśmy spali na zewnątrz, sklepowa daje nam swój pokój i pozwala doładować baterie do rowerów. Nie chcą za to przyjąć ani juana.

Stopniowo rozgryzamy nasz sprzęt, uczymy się sensownie organizować dzień. Ping i Pong wystarczają na mniej więcej sześćdziesiąt kilometrów. Podróżujemy więc w ten sposób, że średnio po czterdziestu, pięćdziesięciu kilometrach, zanim akumulatory całkiem padną, robimy przerwę na doładowanie baterii. Zwykle stajemy przy jakiejś budce z jedzeniem, zamawiamy obiad i przy okazji pytamy, czy możemy podpiąć się do prądu. Po jedzeniu zostawiamy je jeszcze na dwie godziny, a sami rozglądamy się po okolicy. Potem, z podładowanymi bateriami, jesteśmy w stanie przetoczyć się jeszcze mniej więcej trzydzieści, czterdzieści kilometrów. Dziennie przejeżdżamy zatem średnio około osiemdziesięciu kilometrów. Oczywiście zdarzają się nam także dni leniucha, gdy pokonujemy tylko niewielki odcinek.

Tak jak nas ostrzegano, po zużyciu prądu pedałować praktycznie się nie da. Pedały mają małe przełożenie i są przyczepione bardziej dla zasady. Jedyny sens ma pedałowanie jednocześnie z pracą baterii, aby ją trochę wspomóc i przedłużyć przez to jej żywotność.

Na początku trochę się martwimy, że nie będziemy mogli nocować „na dziko” w namiocie, bo w nocy trzeba ładować baterie, a więc mieszkać wśród ludzi. Ale po pierwszym dniu zdajemy sobie sprawę, że i tak nie mielibyśmy gdzie się rozbijać. Trudno

o ustronne miejsce, nawet z dala od miasta. Między wioskami na każdym centymetrze kwadratowym są pola i uprawy, zwykle podmokłe, a jeśli już znajdzie się suchy kawałek, zawsze stoi na nim jakaś zagroda albo dom. Każdy skrawek ziemi jest zagospodarowany.

Baterie rozładowują się w najdziwniejszych miejscach. Od nich zależy nasz los: to one wyznaczają postoje i noclegi. Totalna loteria. Czasem trafi się miasteczko z tanim hotelem, innym razem zapomniana przez Boga wieś, nigdy nie wiadomo. I to właśnie najbardziej nam się w tym wszystkim podoba. Brak planu, za to tysiąc okazji, żeby się przypatrzyć, jak żyją zwykli ludzie.

Drugiego dnia baterie padły przed wiejską podstawówką z internatem. Oj, będzie wesoło... Już przy samym wejściu oblega nas chmara wrzeszczących dzieciaków. Zbiega się cała szkoła, małolaty wyją z radości, że wreszcie dzieje się coś ciekawego i jest okazja, żeby uciec od zeszytów. Również dla nauczycieli jesteśmy nie lada atrakcją. Niektórzy znają kilka słów po angielsku, więc tym razem łatwo jest wytłumaczyć, że podróżujemy i szukamy noclegu. W rezultacie dostajemy do spania jedną salę, gdzie rozkładamy maty i śpiwory. Potem jakaś nauczycielka zaciąga mnie do swojej klasy. Pomieszczenie jest ciemne, tłoczy się w nim może z pięćdziesiątka uczniów. Stare, odrapane ławki, strasznie brudne ściany. Kobieta ustawia mnie na środku. Dzieci odśpiewują piosenkę, a potem na trzy cztery krzyczą:

– *Welcome to China!*

– Pikćer hew? – pyta nauczycielka. – Foto hew?

Wyciągam aparat, pani wyjmuje mi go z rąk.

– Pikćer łiz ju – dyryguje i każe mi stanąć między uczniami. Idę na wskazane miejsce, i to jest błąd. Nagle cała klasa rusza na mnie, żeby być na zdjęciu za rękę z białasem albo chociaż dotknąć głowy, włosów, nogi, czegokolwiek! Wreszcie nie wytrzymuję ciężaru. Padam na ziemię, a nade mną kłębią się dzieciaki. Czuję się jak broniący piłki zawodnik All Blacks, ledwo mam czym oddychać. W końcu kobieta jakimś cudem ściąga ze mnie uczniów, znowu widzę światło...

Wieczór spędzamy w asyście uroczej nauczycielki plastyki, która najwyraźniej najlepiej w całej szkole zna angielski. Jest niezwykle ciekawa świata i ambitna, marzy jej się ucieczka z prowincji. Tymczasem nie ma łatwego życia. Mieszka pięćdziesiąt kilometrów od szkoły, w której przebywa od poniedziałku do piątku, na weekend wraca do siebie, do swojego synka, zbyt małego, żeby zabierać go ze sobą do pracy, więc w czasie jej nieobecności chłopca wychowuje babcia. Pytamy, jak to jest z dziećmi w Chinach. Ile naprawdę można ich mieć? Kobieta chyba nie chce poruszać kontrowersyjnych tematów. Wyjaśnia, że w miastach i na wschodnim wybrzeżu, gdzie zaludnienie jest największe, ciągle obowiązuje zakaz posiadania więcej niż jednego dziecka, ale na wsiach przymyka się na to oko. Poza tym bogaci mogą sobie pozwolić na dwójkę potomstwa, po prostu za posiadanie drugiego uiszczają wysoką karę. Przy trzecim kobiecie grozi sterylizacja.

Welcome to China!

Przez cały wieczór do naszego pokoju zaglądają ukradkiem dzieciaki. Skośne oczka śledzą zza firanek każdy nasz krok. Gdy się zorientują, że je zobaczyliśmy, szybko uciekają, żeby za moment podglądać z innego miejsca.

Rano się żegnamy. Nauczycielka plastyki obdarowuje nas na pamiątkę własnoręcznie wykonanymi tradycyjnymi malunkami z dedykacją. Kilkoro uczniów przynosi liściki napisane po angielsku, domagając się, żebyśmy odpisali. Odpisujemy, maluchy są przeszczęśliwe.

Przejeżdżamy przez prowincję Hunan, na południowy zachód od Changsha. Nie ma nic konkretnego do zwiedzania, po prostu

jedziemy i przypatrujemy się zwyczajnym Chinom. Sporo pól ryżowych, czasem ku naszej radości pojawiają się rolnicy w stożkowych kapeluszach. Obraz Chin wykreowany przez telewizję i kolorowe czasopisma jest właśnie taki: pola ryżowe, zgięci wpół chłopi w słomianych nakryciach głowy, w miastach tysiące rowerów, a nad tym wszystkim powiewa czerwony sztandar. Jednak w większości kraju takie obrazki są rzadkie. Dzisiejsze Chiny to przeważnie nie podróż do przeszłości, tylko pędząca naprzód gospodarcza potęga. Przypuszczalnie i my uczestniczymy w pewien sposób w kreowaniu tej fałszywej wizji. Przecież częściej sfotografujemy tarasy ryżowe i tradycyjnie ubranych ludzi niż zwyczajną, szarą codzienność. Będziemy opowiadać o wizycie w drewnianej chacie, a nie o smrodzie spalin albo nocy w tanim hotelu.

O ile atrybutem współczesnego Chińczyka nie jest już stożkowy kapelusz, o tyle z całą pewnością stała się nim piżamka. Wkładają ją późnym popołudniem i paradują tak ubrani po ulicach. Raz nawet w pekińskim centrum handlowym widzieliśmy popijające kawę wymalowane modnisie w zwiewnych, jedwabnych nocnych wdziankach. Podobno na czas olimpiady wydano zakaz wychodzenia na ulicę w piżamach, ale to ewidentnie walka z wiatrakami.

Co rano widzimy, jak przed niemal każdym urzędem lub sklepem stoją w szeregu pracownicy, często ubrani w jednakowe robocze mundurki. Odbywa się apel. Apele to widok tutaj niemal tak charakterystyczny jak kolorowe piżamki. Przed pracownikami stoi szef i robi im wykład. Następnie pracownicy występują kolejno z szeregu i o czymś opowiadają. Gdy jeden skończy mówić,

albo zostaje zbesztany przez szefa, albo zbiera oklaski. W ten oto sposób omawiane są sukcesy i porażki poprzedniego dnia pracy. Skarcony pracownik przyznaje, co zrobił źle, i proponuje, w jaki sposób naprawi swój błąd.

Nie mniej ważna od apeli jest gimnastyka. W parkach i na skwerach stoją przyrządy gimnastyczne. Nie dla ozdoby. Co rano rzesze Chińczyków wyginają się, napinają i rozciągają. Inni trenują tai chi. Jeszcze inni puszczają latawce. Takie obrazki widzimy w każdym mieście, w każdej prowincji. Robią to z niezwykłą sumiennością i z rzadko spotykanym w Europie zaangażowaniem. Tak tutaj jest: jeśli Chińczyk do czegoś się weźmie, czy to będzie gimnastyka w parku, czy prowadzenie sklepiku, czy gra na instrumencie – będzie to robił wytrwale, za wszelką cenę dążąc do perfekcji.

Sadzenie ryżu, prowincja Guizhou

Gdziekolwiek się zatrzymamy, wszyscy są bardzo życzliwi, ciekawscy i pomocni. „Elektryki" bawią ich i zawsze są dobrym pretekstem do rozmowy. Jeżeli tylko miejscowi dysponują aparatem, koniecznie chcą sobie z nami zrobić zdjęcie. Pewnego razu zdecydowaliśmy się rozbić namiot. Było to w górach, wieczorem miejsce wydawało się nawet ustronne. Gdy obudziliśmy się rano – oślepił nas błysk fleszy. Wokół namiotu zebrał się tłumek i czekał, aż z niego wyjdziemy... W ogóle fotografia stała się w kraju Mao niezwykle modna. Bogatsi wyruszają z domu obwieszeni tysiącem monstrualnych aparatów i obiektywów, wystrojeni w fachowe kamizelki. Do perfekcji (prawdopodobnie jest to rezultat wielu godzin przed lustrem) opanowali profesjonalne pozy: wykroki, przykucnięcia, całą choreografię.

Oprócz aparatów atrybutem każdego Chińczyka jest fikuśna komórka. Stragany z telefonami to istny lunapark. Wszystkie telefony są pokaźnych rozmiarów, króluje kolor złoty i srebrny. Wokół obudowy świecą w rozmaitych sekwencjach kolorowe diody. Niektóre modele wyposażone są w odbiorniki telewizyjne. Istnieją też wersje dedykowane, na przykład cała poświęcona Bruce'owi Lee.

Porozumiewamy się na migi, no prawie, bo Bartek idealnie opanował zwrot *pidziu pinda* (zimne piwo). Ale na początku nawet z gestami nie było łatwo. Zamiast rysowania cyferek pokazywali nam na palcach, ile co kosztuje, kłopot tylko w tym, że mają tu zupełnie inny system oznaczania liczebników. Kłóciliśmy się zawzięcie w przekonaniu, że nas bezczelnie oszukują.

– Ile? – pytamy. Sprzedawca wyciąga dwa palce: wskazujący i kciuk. Zatem uznajemy, że rzecz kosztuje dwadzieścia juanów. Wręczamy sprzedawcy sto i czekamy na resztę, a ten zamiast osiemdziesięciu wydaje nam tylko dwadzieścia juanów.

– Dawaj resztę, oszuście!

Z czasem połapaliśmy się, że palec wskazujący i kciuk oznacza ósemkę, a nie dwójkę, bo dwójkę pokazuje się palcem wskazującym i środkowym. Tego rodzaju pułapek jest pełno na każdym kroku.

Chińskie przysmaki, od góry: stuletnie jaja, suszone kurczaki, szaszłyki

Choćby zamawianie jedzenia. Gdy za pierwszym razem weszliśmy do baru i dostaliśmy menu złożone z samych chińskich znaków, zbaranieliśmy. Strzelaliśmy na chybił trafił z różnym skutkiem. Raz, było to jeszcze w Donghuang, ktoś nam powiedział, że to miejsce, gdzie najlepiej przyrządzają ośle mięso, tradycyjny lokalny rarytas, i że koniecznie powinniśmy skosztować. Skoro tak, zaszalejemy. Prosimy o najlepsze ośle danie, jakie mają. Po chwili pan przynosi nam maleńki talerz. Żarty jakieś. Tak drogo i tylko tyle osła? Dawać mi tu porządną porcję! Pan patrzy nieco zdziwiony, ale posłusznie przynosi pełną michę. Przyglądamy się. Dziwne takie jakieś... Jakby przezroczysta, gumowata skóra... Na sąsiednim stoliku leży karta. Biorę ją i jeszcze raz zerkam, żeby zweryfikować nasze zamówienie, o proszę, ta jest wyjątkowo po angielsku, szkoda, że wcześniej jej nie zauważyliśmy. Sprawdzam, co zamówiliśmy. Jak w mordę strzelił: *donkey's cock*... Oślą kuśkę sobie zafundowaliśmy... Z dokładką!

Najczęściej jednak po prostu zerkamy, co jedzą sąsiedzi, i jeśli wygląda wystarczająco apetycznie, prosimy o to samo. Któregoś dnia w jednym z hoteli nauczyli nas podstawowych znaków: ryż, kluski, kurczak, ryba, mięso. Od tej pory zaczęliśmy zamawiać w miarę świadomie.

Kuchnia w każdej prowincji jest inna. Na zachodzie przypomina chwilami arabską. Na wschodzie najczęściej dostajemy kawałki mięsa z warzywami, zawsze krótko smażonymi w woku, świeżymi i chrupiącymi. Trzeba uważać na kurczaki, bo zwykle podawane są „razem z kurnikiem", czyli pokrojone na kawałki bez wyjmowania kości. Chińczycy nie jedzą aż tyle ryżu, jak się

powszechnie uważa. Przy bogatszych stołach miseczka z ryżem służy raczej do tego, żeby „osuszyć" w niej chwycony pałeczkami kąsek. Bardzo często ucztują przy dużych, okrągłych, obrotowych stołach. Wszyscy zamawiają wspólne potrawy i później kręcą stolikiem, żeby po nie sięgnąć. Jedzenia jest znacznie więcej, niż klienci są w stanie pochłonąć. W skromniejszych lokalach zwykle serwują zupę, kluski i nasze ulubione manty, czyli pierożki gotowane na parze, podawane w specjalnych koszyczkach.

Niezależnie od regionu wszędzie pije się herbatę. Zieloną i słabą. Nikt nie rusza się z domu bez termosu do parzenia herbaty. Wrzątek można dostać za darmo na dworcach, w sklepach, w pociągach. Służy nie tylko do zaparzenia herbaty, ale również do zalania zupy w proszku. To dziwne, ale mimo że w Chinach na każdym kroku dostępne jest tanie, świeże jedzenie, ludzie masowo konsumują sztuczne yum-yumki.

Jedząc, siorbią, mlaszczą i chlapią. Ale to jeszcze nic. Najgorsze ze wszystkiego jest siarczyste spluwanie. Odgłos energicznie odkrztuszanej śliny słyszymy od samej granicy. Robią to wszyscy i wszędzie: mężczyźni, kobiety, dzieci, w domu, na ulicy, w pociągach, prosto pod nogi. Wielokrotnie się zdarza, że stojąca obok ładna młoda dziewczyna nagle przestaje się uśmiechać, żeby odkrztusić i wyrzucić z gardła na chodnik zebraną ślinę. Trudno się do tego widoku i dźwięku przyzwyczaić.

Zaczynamy w końcu wjeżdżać w góry. Na podjazdach baterie tracą sporo prądu, Mocno pedałujemy, żeby je wspomóc. Na przełęcz podjeżdżamy już na ostatnim elektronie. Widzimy transparent *scenic spot* i strzałkę w prawo. Odpuszczamy hamulce. Po paru minutach zjazdu co prawda nie widać *scenic spot*, ale za to jest wioska. Przed domem siedzi pan, więc pokazujemy, że chcemy gdzieś tu się przespać. Mężczyzna okazuje się wioskowym znachorem. Najpierw prowadzi nas do jednego domu, każe zostawić Pinga i Ponga. Potem idziemy do drugiego domu, gdzie gospodyni proponuje jedzenie, ale jest już późno, nie

chcemy robić kłopotu. Koniecznie namawiają, żebyśmy przyszli jutro rano na śniadanie. Okazuje się, że spać będziemy jeszcze w innym miejscu w kanciapie przy „przychodni" znachora. Następnego dnia gospodarz zrywa nas na nogi o szóstej rano i zagania na śniadanie: kurczaka przemielonego „z kurnikiem", mięsa prawie wcale, głównie łapki, łebek i chrząstki. Potem koniecznie chce nam coś pokazać w okolicy. Zamierzaliśmy jechać dalej, ale znachor nalega. Okej, jest wcześnie, nie chcemy mu robić przykrości, dwie godzinki opóźnienia nie zaszkodzą, a może zobaczymy coś nietuzinkowego. Tymczasem nie wiadomo skąd podjeżdżają dwa motocykle-taksówki, na jeden mamy wsiąść my, na drugi ładuje się gospodarz. Jedziemy ze dwa kilometry dalej. Wysiadka, płacimy za transport. Okazuje się, że jesteśmy na parkingu zatłoczonym drogimi samochodami – przy bramie do *scenic spot*. Płacimy i wchodzimy do parku. Nie tego się spodziewaliśmy, ale co robić. Przewodnik, choć nie pierwszej młodości, uparcie drepcze za nami. W tłumie chińskich turystów wchodzimy na szczyt. Miejsce faktycznie śliczne, wapienne formacje wyrastające z zielonego lasu, ale oglądanie go w towarzystwie hordy jazgoczących Chińczyków jest irytujące. Tak zresztą wygląda większość popularnych miejsc w Chinach i staramy się od pewnego czasu ich unikać. Dochodzimy do małej świątyni, w której siedzi mnich – znajomy znachora. Należy zostawić ofiarę. Wyciągamy parę juanów, ale oni żądają co najmniej stu, czyli więcej, niż zwykle płacimy za noclegi. Coraz mniej nam się to wszystko podoba. Wracamy do wioski około trzynastej. Żegnamy się i chcemy dać pieniądze za gościnę: tyle, ile zapłacilibyśmy za podobne jedzenie w barze, coś za nocleg,

ładowanie baterii. A oni na to, że tyle to za mało, i żądają kwoty wyższej niż za dobry hotel i jedzenie w eleganckiej restauracji w Pekinie. No tak... po tylu dniach bezinteresownej życzliwości, z jaką spotykaliśmy się po drodze, odwykliśmy od traktowania nas jak „białej skarbonki". Uciekamy czym prędzej z tej pazernej wsi, mamy nauczkę na przyszłość. Gościnność i turystyka rzadko idą w parze. Tam, gdzie pojawiają się turyści, miejscowi stopniowo przestają się interesować przybyszami, przyklejają do twarzy fałszywe uśmiechy i koncentrują się na tym, jak wyciągnąć z nich pieniądze. Niby nic w tym dziwnego, ale mimo wszystko nieprzyjemnie.

Góry zaczęły się na dobre. Teraz nadchodzi prawdziwy sprawdzian dla „elektryków". Wspinamy się na solidną przełęcz... nagle Pong zazgrzytał i stanął. Przegrzał się z wysiłku. Mechanizm nie podołał na takim podjeździe. Odczekaliśmy parę minut, rower ostygł i ruszył, ale za kilka metrów znowu padł. I tak w kółko. Zamieniamy się na rowery, Bartek jedzie na moim zepsutym i ostro pedałuje, aby wspomóc baterię. Po dwóch godzinach dojeżdżamy do miasteczka Ziyuan. Bartek ledwo dycha. Pedałowanie na rowerach elektrycznych to naprawdę ciężka robota. Idziemy do mechanika i opisujemy, w czym problem. Mężczyzna ogląda rower, sprawdza go, a ten złośliwiec działa teraz bez zarzutu. Zawsze tak jest. Bartek decyduje się sam pogrzebać w Pongu. Po chwili z roweru zaczyna wystawać mnóstwo kolorowych kabli. Dłubie, sprawdza, jest w swoim żywiole, aż w końcu lokalizuje usterkę: za mocno obciążyłam

rower na podjeździe, kostka (cokolwiek to jest) stopiła się i doszło do zwarcia. Wracamy do warsztatu i pokazujemy, w czym rzecz. Mechanicy są pod wrażeniem. Pong znowu działa!

Przed nami coraz wyższe i wyższe wzniesienia. Wspomagamy rowerki, pedałując ile sił, ale i tak tuż przed przełęczą tym razem Bartkowy Ping staje w miejscu i ani rusz. Podczepiamy linkę i Pong holuje Pinga na przełęcz, potem *unplugged* zjeżdżamy do miasteczka. Znajdujemy elektronika, który przy użyciu lutownicy do rynien naprawia uszkodzenie. Druga awaria za nami, w Ping-Pongu remis jeden do jednego.

Naprawianie Ping-Pongów staje się powoli rutyną. Co pewien czas w trakcie podjazdów któryś z silników przegrzewa się, coś się w środku topi. Bartek powoli staje się ekspertem w dziedzinie naprawy „elektryków". Fakt, to nie jest idealny sprzęt na górskie drogi. Równie dobrze moglibyśmy wjechać kosiarką. Czasem śmiejemy się przez łzy...

Po drodze robi się coraz ładniej. Wjeżdżamy na tereny zamieszkane przez mniejszości Dong, Miao, Yao i jeszcze parę innych, mieszkające w drewnianych domach i budujące piękne zadaszone mosty. Starsze kobiety mają uszy rozciągnięte od ciężkich kolczyków, niektóre noszą przedziwne fryzury z bardzo długich włosów, okręconych wokół głowy jak turban i upiętych nad czołem.

Jesteśmy na południu Chin, a w tym rejonie jedzą psy. Ulicą jedzie taczka ze sprawionym Burkiem. Odtąd, zanim wezmę kęs, dokładnie badam każdą potrawę...

Robimy postój na obejrzenie największej okolicznej atrakcji, czyli tarasów ryżowych koło Longsheng. Rzeczywiście piękny

widok: po horyzont rozciągają się symetryczne, złociste łuki upraw. Tyle że to bardziej na pokaz, normalnie nikt nie utrzymuje pól uprawnych w tak idealnej harmonii i porządku.

Miasteczko Dongów, w tle brama wjazdowa do miasta

Teraz zapowiada się łatwiejszy kawałek. Droga płaska i zapewne zadbana, bo to czerwona „krajówka” o numerze 231. Niestety po kilku kilometrach zaczynają się roboty drogowe. Nie ma asfaltu, tylko kamienie pokryte warstwą czerwonego pyłu o konsystencji mąki. Jak wjedzie w coś takiego ciężarówka, a kursują jedna za drugą, w końcu przecież trwa budowa, przez minutę widoczność spada do dwóch metrów. Piach wdziera się do oczu, ust, nosa. Rowery na takiej nawierzchni ledwo ciągną. Pot się z nas leje, jesteśmy cali oblepieni grubą warstwą pyłu. Klniemy na czym świat stoi i ciężko nam idzie wzajemne

przekonywanie się, że przecież sami tego chcieliśmy, że to lepsze niż jazda klimatyzowanym autokarem, prawdziwa przygoda, o której później będziemy wszystkim opowiadać...

Dopiero w połowie drugiego dnia droga się poprawia. Dojeżdżamy do wioski Zhaoxing zamieszkanej przez mniejszość Dongów. Miejsce jak z folderu wycieczki po Chinach... Stare, malownicze, drewniane chaty stojące nad rzeką, przed nimi suszy się ryż, bawełna, chili... To nasza nagroda za poprzednie dni.

Potem zgodnie z planem zmierzamy na północny zachód w kierunku Guiyangu. Po drodze spotykamy rowerzystę z Belgii. Mówi, że warto zahaczyć o wioskę Basha, zamieszkaną przez lud Miao. Wioska jest na samym szczycie góry. Ping-Pongi nie podołały, jak zwykle baterie rozładowały się pięć kilometrów przed celem. Ostatni kawałek musimy je pchać, bo po takiej stromiźnie mimo najszczerszych chęci nie da się pedałować. Basha okazała się drewniana i maleńka, zaledwie kilkanaście domków. Wkoło, na specjalnie zbitych palach, porozwieszane pęki ryżu. Wieśniacy chodzą poubierani w tradycyjne stroje. Kobiety noszą coś na kształt kolorowego fartuszka, ale przebojem są mężczyźni z ogolonymi głowami i jednym długim kosmykiem na czubku. Kosmyk skręcają w koczek, a czoło owijają zawiązywanym z przodu kawałkiem materiału. Wychodząc z domu na pole czy do lasu, zabierają ze sobą długie, cienkie strzelby.

W wiosce oprócz nas jest czworo chińskich turystów. Jeden bardzo dobrze zna angielski. Oznajmia, że jutro o dziesiątej ma podobno przyjechać dużo ludzi i będzie dla nich występ.

I faktycznie: następnego dnia punktualnie przyjeżdżają dwa autokary Francuzów, a wieśniacy robią pokaz: z tańcami,

goleniem głowy sierpem i strzelaniem z pukawek. Nasi chińscy znajomi w pierwszym rzędzie oczywiście wyginają się w fotograficznych pozach, strzelając miliony fotek.

– Zobacz, Pierre, nie zapłacili nic za występ i za nasze pieniądze robią najwięcej zdjęć – dąsa się *mademoiselle* w zwiewnej sukience. Po godzinie autokary odjeżdżają, a wioska wraca do normalności.

Miasteczko Zhaoxing

Tarasy ryżowe Longsheng

Jadąc przez te rejony w kierunku Guiyangu, mijamy jeszcze wiele innych wiosek mniejszości narodowych. Ludzie noszą interesujące, jednakowe stroje, nie jesteśmy tylko do końca pewni, na ile to odwieczna tradycja, a na ile komunistyczna uniformizacja. Prawdopodobnie jedno i drugie. Komunistyczny fartuszek, ale wyszywanka taka, jakiej nauczyła prababcia. Niekiedy na nasz widok kobiety z piskiem chowają się do domów. Dopiero po chwili wychodzą, ciekawość bierze górę. Oglądają sobie nas i rowery, a my ich stroje i biżuterię.

Kobieta z ludu Miao

Niestety ogromną przeszkodą w kontaktach jest bariera językowa. Porozumiewamy się na migi, w miarę łatwo potrafimy przekazać, że potrzeba nam noclegu, jedzenia czy że popsuł się rower. Tyle wystarczy, żeby przetrwać w drodze. Pewnego dnia szukamy mleka. Tłumaczymy pani w sklepie na różne sposoby: białe, do picia, dla dzieci... Nic. W końcu Bartek przykłada ręce do głowy na kształt rogów, wydaje z siebie „muuuuu", a następnie w okolicach klatki piersiowej wykonuje ruch imitujący dojenie. Wszyscy leżą na ziemi ze śmiechu, ale pokaz skutkuje. Niestety taka pantomima to zbyt mało, żeby zrozumieć historię i zwyczaje, wsłuchać się w opowieści miejscowych, których z pewnością mają niemało...

Po przejechaniu ponad tysiąca dwustu kilometrów docieramy do Guiyangu. Kończy się nam wiza i trzeba opuścić Chiny. Czas pożegnać Pinga i Ponga. Opracowujemy strategię sprzedaży „elektryków". Kupić było łatwo, trudniej się ich pozbyć, zwłaszcza bez wspólnego języka.

Najpierw idziemy zatem do najlepszego hotelu, gdzie jest szansa znaleźć kogoś, kto mówi po angielsku. Udało się. Rozbawiony recepcjonista tłumaczy i pisze na kartce zdanie: „Chcę sprzedać dwa prawie nowe elektryczne rowery". Następnie odszukujemy miejsce, gdzie handlują takimi rowerami. Podchodzimy ich taktycznie. Wskazujemy rower podobny do naszego i pytamy, za ile by go sprzedali. Podają zawyżoną cenę. Na to my pokazujemy kartkę z tłumaczeniem i wrzucamy niższą cenę. Sprzedawcy są zdumieni, ale z zainteresowaniem oglądają Pinga i Ponga. W końcu dobijamy targu. Na całej operacji straciliśmy nieporównywalnie mniej, niż wydalibyśmy w tym czasie na pociągi i autobusy.

Taniec ze strzelbami w miasteczku Basha

Mimo licznych awarii, wyczerpujących się non stop baterii, przez co musieliśmy wiele razy wzajemnie się holować, mimo deszczu i spalin, ciężkich nocy w rozmaitych, często podłych warunkach, to był nasz najlepszy czas w Chinach.

Można przecież w przyszłości robić tak z różnymi innymi środkami transportu: kupować je i sprzedawać z niewielką stratą przed opuszczeniem danego państwa. Głowy się nam otwierają. Zaczynają kiełkować różne pomysły.

Ale przedtem jeszcze czeka nas trochę wędrówki...

NEPAL: ŚCIEŻKI NIEZNANE

– Bartek, czujesz coś?

– Nie, a ty?

– No właśnie też niespecjalnie...

Za chwilę przekroczymy legendarną granicę czterech tysięcy metrów n.p.m. Tyle się nasłuchaliśmy o chorobie wysokościowej, że wręcz na nią czekamy. Tymczasem pod nami zostało już trzy tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć metrów, a my wciąż w pełni sił.

– Nie boli cię chociaż głowa, nic?

– Nie, a ciebie?

– Czy ja wiem... Może idzie się trochę trudniej niż przedtem...

– Bo tu jest trochę bardziej stromo niż przedtem...

Jesteśmy niemal rozczarowani. Nie wiem, czego się spodziewaliśmy. Czegokolwiek. Jakiegoś znaku, że przekroczyliśmy magiczną granicę. Ale żeby tak niezauważalnie, bez jakichkolwiek zmian na ciele i umyśle? Czujemy się oszukani...

Nepal i Himalaje. Na sam dźwięk tych słów chce się założyć plecak i iść przed siebie. To jedno z tych miejsc, które po prostu musiały znaleźć się na naszej trasie. Zwłaszcza po zatłoczonych, hałaśliwych Chinach nie możemy się doczekać, kiedy wyruszymy w samotne góry.

Mieliśmy zamiar przekroczyć granicę między Chinami a Nepalem w Tybecie, jednak sytuacja polityczna pokrzyżowała nam plany. W związku z powstaniem tybetańskich mnichów w lecie 2008 roku rząd w Pekinie najpierw całkowicie zamknął drogi dojazdowe do Tybetu, a gdy je wreszcie otworzył, pozwolił na poruszanie się po tybetańskiej stolicy Lhasie i jej okolicach tylko w asyście „akredytowanego” chińskiego przewodnika. Co

najgorsze, lądowa granica z Nepalem nadal była zamknięta. Spotkaliśmy podróżników, którzy mieli podobne plany do naszych, pojechali do Lhasy, licząc na to, że uda im się ominąć system, jednak musieli się poddać i wrócili z kwitkiem. Po długich wahaniach z żalem kupujemy bilet lotniczy z Chengdu do nepalskiego Katmandu.

Każdy po wylądowaniu w Katmandu prosto z lotniska trafia do dzielnicy zwanej Thamelem. Thamel można określić jako turystyczne getto, nieprawdziwe miasto w mieście inne od wszystkiego, co je otacza. Piętrzą się tu tanie hotele, sklepy z podrabianą odzieżą trekkingową i sprzętem. Ubrania mają logo Northface, ale z oczywistych przyczyn każdy nazywa je Northfake. Do tego anglojęzyczne księgarnie, supermarkety, piekarnie, kafejki internetowe i miliony agencji podróży. Jednym słowem wszystko, czego mógłby potrzebować zagraniczny turysta. W Thamelu nie mieszka dosłownie ani jeden zwykły Nepalczyk. To miejsce służy wyłącznie do zarabiania na obcokrajowcach. Nie ma co kryć, po trzech miesiącach w drodze nam też zaczęła lecieć ślinka na widok bagietki, żółtego sera i nutelli. Nie byliśmy w stanie odmówić sobie zakupu „Newsweeka".

Nepal to jedno z nielicznych miejsc, gdzie widzi się wielu Polaków. Nasz język rozbrzmiewa niemal równie często jak niemiecki czy francuski. Tu każdy miejscowy wie, kim byli Jerzy Kukuczka i Wanda Rutkiewicz. Zresztą oprócz wielkich himalaistów przyjeżdżali tu od lat również zwykli miłośnicy gór, dla których tani Nepal był szansą na realizację podróżniczych marzeń.

Zaczynamy przygotowywać się do trekkingu. Znów będziemy duuużo chodzić. Marzą nam się samotne góry, noce w namiocie, kąpiele w strumykach. Chcemy spędzić kilka tygodni, po prostu idąc przed siebie. Bez pośpiechu, zatrzymując się tam, gdzie akurat będziemy mieli ochotę, bez napięcia, zdani tylko na własne

siły. Jednak widząc, że każda agencja turystyczna oferuje wypad pod Everest albo Annapurnę, zaczynamy się zastanawiać, czy faktycznie mamy na to szansę. Podobno oba szlaki są zatłoczone i coraz bardziej skomercjalizowane. Z Katmandu wyruszają w Himalaje całe pielgrzymki. Na porządku dziennym są nawet takie cuda jak przenośne toalety. Tragarze wnoszą na plecach również klatki z żywymi kurczakami. Jeszcze kilka lat temu sporo górskich szlaków, w tym pod Everest, kontrolowali maoiści. Zdarzały się napaści na turystów, a pobieranie haraczu za przejście było normą, niemal zamieniło się w bilet wstępu w góry. Odkąd jednak maoiści zostali dopuszczeni do władzy, problem bojówek prawie całkowicie znikł, a liczba turystów na szlakach szybko wzrosła.

Gdy mówimy, że chcemy pójść sami, ostrzegają nas, że bez przewodnika znającego lokalny język niechybnie umrzemy z głodu.

– Przecież nie dacie rady wytłumaczyć w górskiej wiosce, że na przykład chcecie kupić kartofle – przekonuje nas jeden z właścicieli biur podróży. Trudno mu się zresztą dziwić: Nepal to jedno z najuboższych państw na świecie, a turystyka stała się jego podstawowym źródłem dochodów. Wszelkimi sposobami przekonuje się więc przyjezdnych do skorzystania z usług agencji. Jednak do kieszeni przewodników, a tym bardziej tragarzy, trafiają tylko marne grosze. Wynagrodzenie tragarza, który tygodniami niesie na plecach kilkadziesiąt kilogramów, to zaledwie kilka dolarów. A chętnych i tak nie brakuje. Większość pieniędzy przejmują właściciele biur podróży, jedni z nielicznych Nepalczyków, którym się jako tako wiedzie.

Już po pierwszych chwilach wiemy, że ani pod Annapurnę, ani pod Everest nie pójdziemy. Himalaje są tak wielkie, a wszyscy za wszelką cenę gnają w to samo miejsce. Uznajemy, że mamy inne priorytety niż zobaczenie z bliska tych słynnych szczytów. Może kiedyś, innym razem. Bardziej zależy nam teraz na ciekawej, niezależnej wędrówce niż klasycznej, niestety wydeptanej już dziś himalajskiej ścieżce. W Katmandu można oczywiście zorganizować trekking w nieznane miejsca, ale to kosztuje. Tyle nie mamy. Kupujemy więc mapy. Problem w tym, że chociaż kilka znanych szlaków opracowano całkiem dobrze, o pozostałej części gór niewiele wiadomo. Poszczególne mapy różnią się od siebie odległościami, ułożeniem poziomic, nazwami miejscowości.

Aby zdobyć informacje, uciekamy się nawet do podstępu. Chodzimy po agencjach i pytamy, czy oferują wyprawy w rejon, który sobie upatrzyliśmy. W kilku biurach są gotowi pójść tam, gdzie chcemy. Wobec tego wypytujemy ich dalej o konkrety: jak dokładnie miałaby wyglądać trasa, czy będziemy się po drodze zatrzymywać w jakichś wsiach, przechodzić rzeki, na jakiej wysokości pokonamy przełęcze itd. Skrzętnie zapamiętujemy wszystkie szczegóły i w ten sposób powoli udoskonalamy naszą mapę. Próbujemy też sprawdzić to wszystko w Google Earth. Większość tej żmudnej roboty wykonuje Bartek.

Wreszcie uznajemy, że więcej zrobić się nie da. Pozostaje tylko przygotować plecaki. Zabieramy absolutne minimum: namiot, śpiwory, karimaty, palnik z gazem, komplet ciepłych ubrań i zmianę bielizny. Nie mamy tragarzy, więc każdy kilogram będziemy musieli wnieść na własnych plecach, co zdecydowanie sprzyja racjonalnemu odchudzaniu bagażu. Jak zwykle

prowadzimy wojnę kabelkowo-książkową. Bartek nie jest w stanie rozstać się z paroma niezwykle ważnymi wtyczkami, ja zaś twardo utrzymuję, że na wszystkich postojach będę czytać. Te dyskusje prowadzimy od lat i zawsze kończą się awanturą. Tak już mamy.

Najważniejsze, że zgodnie z mapą powinniśmy co trzy, cztery dni dochodzić do ludzkich siedlisk, więc nie musimy zabierać aż tak wielkich zapasów jedzenia jak w Mongolii. Trasa nie powinna być trudna technicznie. Najwyższe punkty, które planujemy odwiedzić, to niewiele ponad cztery i pół tysiąca metrów n.p.m., co na himalajskie warunki nie jest niczym szczególnym. Powinno za to być dziewiczo i spokojnie.

Wędrówkę zaczniemy we wsi Betravati, oddalonej od Katmandu o pięć godzin jazdy. Stary, rozklekotany autobus wyrusza wypchany po brzegi, ale tuż za miastem zatrzymuje się, a większość pasażerów wchodzi na dach. Przed następną miejscowością stop – i ekipa dachowa wraca do autobusu. A za wioską znowu przesiadka na dach. I tak w kółko. Jazda na dachu jest zabroniona, stąd te liczne zmiany miejsc. Przedstawienie odbywa się przed każdym posterunkiem policji.

Dojeżdżamy do Betravati. Dziś już daleko nie zajdziemy, jest za późno. Rozbijamy namiot nad rzeką, kilka kilometrów za wsią.

Przez kolejne dni idziemy głęboką doliną wzdłuż rzeki Trisuli. Jest gorąco. Dookoła huczą wielkie, potężne wodospady. Gdy natykamy się na łagodniejszy spadek wody, bierzemy w nim fantastyczny prysznic. Stąd nie widać jeszcze wysokich pasm gór.

Musimy przejść wiele kilometrów i wspiąć się znacznie wyżej, żeby ujrzeć słynne białe ośmiotysięczniki.

Nepalczycy dźwigają na plecach ciężkie kosze...

Od czasu do czasu mijamy maleńkie wioski. Tutaj nie dochodzi już droga. Spotykamy jedynie chłopów dźwigających na plecach ciężkie wiklinowe kosze, podtrzymywane pasami zaczepionymi o czoło. To mieszkańcy wyższych partii Himalajów, którzy w ten sposób transportują w doliny artykuły rolnicze na handel. Głównie ziemniaki, czasem fasolę, wyhodowane w pocie czoła na nieurodzajnych stokach. Za swój trud i długą, mozolną wędrówkę dostaną bardzo niewiele.

Napotkani Nepalczycy są niezwykle mili. Jeden z postojów robimy przy strumyku, który okupują już wędrowcy z wypchanymi koszami, też mają przerwę w trasie. Pytamy, czy możemy kupić od nich... oczywiście ziemniaki. My się najemy, a i oni będą mieli mniej do dźwigania. Dostajemy chyba z kilogram,

za żadne skarby nie chcą słyszeć o zapłacie. Zaczynamy sobie zatem przyrządzać kartoflany obiad, ale zanim się ugotuje, panie częstują nas swoją potrawą: ryżem, fasolą i ziemniakami. Głupio odmówić, lecz nie chcemy ich objadać, wiedząc, że sami mają niewiele. Przyjmujemy symboliczne porcje, a w ramach rewanżu dzielimy się słodyczami.

...podtrzymywane pasami zaczepionymi o czoło

Pewnego dnia spotykamy parę Duńczyków, którzy wkrótce skończą swoją wędrówkę tam, gdzie my ją zaczęliśmy. Twierdzą, że jesteśmy pierwszymi turystami, których widzą od dwunastu dni. Wykorzystujemy okazję, żeby zasięgnąć informacji topograficznych. Wypytujemy ich przewodnika i weryfikujemy nasze mapy. Wygląda na to, że całkiem sensownie ułożyliśmy trasę, częściowo pokrywającą się z marszrutą Duńczyków, choć pewne poprawki i tak były konieczne. Musimy zrezygnować z jednego odcinka, gdzie, jak się okazuje, leży śnieg i potrzebny

byłby sprzęt alpinistyczny. Przewodnik jest zaskoczony, że tak dobrze udało się Bartkowi zaplanować wędrówkę, ale przewiduje, że sami raczej się zgubimy i prawdopodobnie będziemy musieli zawracać. Trudno stwierdzić, na ile jest to szczera troska, a na ile standardowa gadka, która ma nas zniechęcić do samodzielnych wędrówek.

To już piąty dzień marszu. Dziś powinniśmy dojść do pierwszej zaznaczonej na naszej mapie miejscowości Gatlang zamieszkanej przez lud Tamangów. Mamy nadzieję uzupełnić tam zapasy i jeden dzień odpocząć. Wchodzimy na przełęcz i wtedy po raz pierwszy rozpościera się przed nami zapierający dech widok majestatycznych, ośnieżonych, najwyższych himalajskich pasm. Fakt, że trzeba było aż pięciu dni i wejścia na wysokość trzech tysięcy metrów, żeby ujrzeć wysokie góry, uświadamia nam ich ogrom i potęgę. W dole, po drugiej stronie przełęczy, rysują się dachy Gatlangu.

Całkiem spora wioska. Mają tu nawet *guesthouse* za dwa dolary od osoby, to znaczy materac z kocem w drewnianej chałupie, więc zaszaleliśmy. Spotykamy również innych turystów, gdyż w Gatlangu nasza trasa przecina się z innym szlakiem. Cały następny dzień leniuchujemy, wałęsamy się po wsi, podglądamy zwyczaje ludzi. Noszą kolorowe, zużyte ubrania, na nogach – mimo niskiej temperatury – mają zwykłe gumowe klapki. To i tak znak czasu, jeszcze kilkanaście lat temu wszyscy chodzili po górach boso.

Tymczasem dowiadujemy się, że za dwa dni w Gatlangu będzie święto. Niestety tak długo nie chcemy siedzieć w tym samym miejscu. Ponieważ jednak podobno o dzień drogi stąd są gorące źródła, decydujemy się na mały wypad. Wrócimy akurat na festyn.

Żeby zażyć gorącej kąpieli, nepalski góral musi odbyć pielgrzymkę do Tatopani, co dosłownie oznacza „ciepłą wodę". Woda ma prawie czterdzieści stopni i rdzawy kolor. Z pewnością robi dobrze na wiele dolegliwości, więc okoliczni mieszkańcy taplają się w niej z upodobaniem. Basen jest prymitywny, murowany, za to rozpościera się z niego widok wart miliona dolarów. Nocą, gdy już wszyscy śpią, ponownie wskakujemy do gorącej wody. Nad nami lśnią gwiazdy.

Po kąpieli w Tatopani wracamy do Gatlangu na festyn. Oj, poświętowało towarzystwo, a świętowanie polegało głównie na wlewaniu w siebie *raksi* – lokalnego trunku z kukurydzy. Mieli tańczyć i śpiewać, dzień wcześniej nawet trenowali.

– To jak będzie z waszymi tańcami? – pytamy.

– Hmm, nie dzisiaj, raczej nie dzisiaj... – odpowiada wymijająco właściciel *guesthouse'*u, chwiejąc się na nogach.

Opuszczamy Gatlang i wspinamy się na przełęcz, żeby dostać się do kolejnej doliny, do miejscowości Somtang. Zatrzymujemy się na noc na polanie, nieopodal strumienia, osłonięci od wiatru przez zbocze góry. Rano okazuje się jednak, że gorszego punktu na obóz nie mogliśmy wybrać. Zbocze co prawda chroniło od wiatru, ale spływało po nim całe zimne, wilgotne powietrze z gór i osiadało akurat na naszej polanie. O świcie budzi nas przejmujące zimno.

Nie możemy opanować dygotu. Gdy wreszcie wyglądamy na zewnątrz, żeby nabrać wody na herbatę, okazuje się, że strumyk jest skuty lodem. Wszędzie szron, nasz namiot zamarznięty. Opuszczanie śpiwora o poranku zawsze jest walką z samym sobą, ale tym razem było to wyjątkowo trudne. Najgorsze jest wkładanie nóg w zamarznięte, zesztywniałe buty. Dwadzieścia metrów dalej trawa jest sucha. Gdybyśmy rozbili się w nieco większej odległości od strumyka, poza linią spływu powietrza, byłoby tak miło...

Wioska Gatlang, mieszkaniec z ludu Tamangów, za pasem słynny nóż kukri

Nieczynna kopalnia cynku i ołowiu na wysokości czterech tysięcy metrów

Ubieramy się, zwijamy obóz i energicznym krokiem, żeby jak najszybciej się rozgrzać, schodzimy do Somtangu. To nie żadna wioska, ale pięć położonych w dolinie chałup. Stąd spróbujemy wejść trochę wyżej, po raz pierwszy w życiu przekroczyć granicę czterech tysięcy metrów n.p.m. Wchodzimy bez problemów. Na wysokości czterech tysięcy stu metrów robi się może odrobinę dziwnie, lekko kręci się w głowie, trochę ciężej się idzie, ale w sumie to nic wielkiego. Nocą pobolewała głowa, lecz następnego dnia przeszło. Uznajemy, że się zaaklimatyzowaliśmy.

Dochodzimy do starej, nieczynnej kopalni cynku i ołowiu. Ruiny przemysłowych konstrukcji na czterech tysiącach metrów, na tle szczytów gór, wyglądają dość surrealistycznie. Mijamy kopalnię, ukrywamy plecaki wśród kamieni i wchodzimy wyżej, na wysokość czterech tysięcy sześciuset metrów, pod granicę śniegu lodowca Paldor. Dopiero teraz odczuwamy wysokość. Jakby

przywiązali nam odważniki do nóg. Zmęczenie ogarnia niewyobrażalnie szybko. Mimo to biały szczyt zaczyna hipnotyzować. Coś niewytłumaczalnego ciągnie wyżej i wyżej. Zaczynamy nabierać ochoty, żeby kiedyś spróbować prawdziwej wspinaczki. Jak na złość raptownie psuje się pogoda. Po krótkiej chwili lodowiec ginie w chmurach, zrywa się silny wiatr, krajobraz tonie w ciemnej mgle. Czas schodzić. Po drodze zaczyna padać deszcz ze śniegiem. W Somtangu pozwalają nam się przespać w jednej z chat. Przyrządzają też prosty posiłek i sprzedają ryż na następne dni.

Rano nie pada, ale pogoda nie wydaje się stabilna. Słońce to świeci, to chowa się w chmurach. Liczymy jednak na szczęście. Poza tym nie wybieramy się przecież w bardzo wysokie góry. Zaczynamy wspinać się na przełęcz Pangsang, na wysokości trzech tysięcy dziewięciuset metrów, na której zbiega się kilka szlaków łączących górskie wioski. Słońce znika definitywnie. Zrywa się przejmujący, silny wiatr. Temperatura raptownie spada i zaczyna sypać śnieg. A przecież wszyscy nas zapewniali, że o tej porze roku, w październiku, nie powinno się to zdarzyć. To jednak góry, gdzie pogoda rządzi się własnymi prawami. Rozglądamy się za schronieniem. Jest zagroda dla owiec, w środku przeraźliwie brudna, ale jeśli nie znajdziemy nic lepszego, będziemy musieli się nią zadowolić. Postanawiamy wspiąć się jeszcze kawałek wyżej, może natkniemy się na lepsze miejsce na obóz. Oprószeni śniegiem dochodzimy do przełęczy. Ku naszej radości, bo sypie coraz mocniej, widać jakąś szopę.

Nepalczycy chodzą po górach w klapkach

Wchodzimy do środka. Jedna izba, powierzchnia może piętnaście metrów kwadratowych, dwa paleniska, wokół ognia

siedzą stłoczeni nepalscy górale, których, tak jak nas, złapała w drodze śnieżyca. W domku nie ma komina, więc jest siwo od dymu, jak w wędzarni, można się udusić. Ale przynajmniej ciepło. Domek należy do robotników, którzy chcą postawić tu buddyjską świątynię. Zapraszają nas do ogniska, ogrzewamy skostniałe ręce. Na zewnątrz coraz większa zawierucha. Chyba dziś dalej nie pójdziemy.

– Będzie można u was przenocować? – pytamy na migi, składając ręce pod uchem i pokazując kawałek podłogi. Gospodarz zgadza się, przydzielają nam kąt. Próbujemy jakoś się komunikować. To dobry moment, żeby nauczyć się kilku nepalskich słów. Rysujemy na kartce różne przedmioty albo pokazujemy je rękami, a oni odgadują, o co pytamy i tak powstaje mały słownik.

– A jak jest góra? – pytamy, rysując szczyt.

– *Himal*.

Tak po prostu. Himalaje i góry to dla nich jedno.

O szóstej robi się całkiem ciemno i towarzystwo zaczyna układać się do snu. Ludzie poupychani na podłodze jak śledzie. Okazuje się, że w naszym kącie musi zmieścić się jeszcze jedna osoba. I tak przy palenisku rozkłada się gospodarz, obok niego pośrodku Bartek, a *sister*, czyli ja, ląduje pod ścianą, żeby nie przytulać się po ciemku do gospodarza. W gardło gryzie dym, lecz to i tak zdecydowanie lepsza opcja niż nocleg na śniegu. Jeśli jutro się nie wypogodzi, to nie ma co, zakosztujemy nepalskiego folkloru na całego...

Po ciężkiej zimnej nocy pożegnanie z gospodarzami przed dalszą wędrówką

Rano niepewnie wystawiamy głowy za drzwi... uff, niebo czyste. Tyle że na ziemi biało. Bałwana można by ulepić. I ziąb jak nie wiem co, poniżej zera. Nie byliśmy przygotowani na takie fanaberie pogodowe. Ale jak pięknie... Pozostali wędrowcy również szykują się do drogi. Aż ciarki chodzą po plecach na widok tutejszych kobiet, które ruszają dalej w zdartych japonkach, okryte jedynie bawełnianą chustą.

Wędrujemy dalej. Idziemy granią na wysokości czterech tysięcy metrów. Przed nami najtrudniejsza, ale i najbardziej spektakularna część trasy. Niestety koło dwunastej znowu pojawiają się chmury. Na szczęście nie pada, ale słabnie widoczność. We mgle nasza ścieżka całkowicie znika. Chyba zboczyliśmy ze szlaku. Nie za bardzo potrafimy ustalić, gdzie jesteśmy... Trudna decyzja: nie wiemy, czy lepiej iść dalej,

ryzykując, że zupełnie się zgubimy, czy lepiej zatrzymać się i poczekać na lepszą pogodę.

Kopczyk obo z modlitewnymi flagami, w oddali Annapurna

Na jednej z polanek napotykamy opuszczony domek pasterzy. Na dziś kończymy zabawę. Rozbijamy namiot w środku, żeby osłonić się od wiatru i zimna. Jutro rano, jeśli nie będzie chmur, zorientujemy się, gdzie jesteśmy. Pakujemy się do śpiworów i wlewamy w siebie na rozgrzewkę gorącą herbatę.

Tuż przed końcem dnia robi się nagle jakoś jaśniej... Wychodzimy z namiotu. Chmury częściowo opadły i odsłoniły oświetlone złotoczerwonymi promieniami zachodzącego słońca ośnieżone szczyty. Przez cienką warstwę obłoków, które teraz zawisły tuż pod nami, przeświturją niczym przez przezroczystą tkaninę niższe pasma gór... Wpatrujemy się długo, zupełnie nie czując zimna.

Od rana pogoda jak marzenie, zero chmur i wiatru. Mimo to nie możemy odnaleźć żadnej ścieżki. Wygląda na to, że od dawna nikt tu nie zaglądał. Po godzinie poszukiwań decydujemy się pójść przez kamieniste zbocze porośnięte krzakami, gdzie Bartek zauważył kilka dawno połamanych gałęzi świadczących o tym, że ktoś kiedyś tędy przechodził. Nie wygląda to zbyt obiecująco, ale alternatywy nie ma. Po dwóch godzinach dochodzimy do stromego, żwirowego podejścia.

– Spróbujmy się tędy wdrapać, z góry powinniśmy zobaczyć, gdzie jesteśmy.

Udaje nam się wgramolić na skałę. Nie jest to łatwe, zwłaszcza z ciężkimi plecakami. Widzimy jednak wreszcie wyraźną ścieżkę. Jesteśmy znowu na właściwym szlaku.

Wchodzimy na najwyższy punkt grani. Przed nami odsłania się panorama, o której marzyliśmy i po którą tu przyszliśmy. Dla niej warto było padać ze zmęczenia, marznąć, spać w wędzarni. Od lewej: Annapurna, Manaslu, Ganesh, Langtang... Wszystkie najsłynniejsze himalajskie szczyty jak na dłoni. Stąd nie widać jedynie Everestu. Widok jest upajający. Siedzimy na trawie przy kamiennym stożku z buddyjskimi chorągiewkami modlitewnymi i mamy ochotę zostać tu na zawsze.

Czas ruszać w dół. Nie przepadamy za schodzeniem z gór, gdy widoki stopniowo znikają, zamiast się pojawiać, gdy kończy się wędrówka. A do tego bolą kolana. Z drugiej strony trochę już kusi ciepłe łóżko i wielki, parujący talerz jedzenia.

W drodze powrotnej natykamy się na pokaźną, na oko piętnastoosobową grupę tragarzy niosącą ogromne bagaże.

– A gdzie wasi tragarze? – pyta przewodnik. Jest przekonany, że się zgubiliśmy. Opowiadamy, którędy wędrowaliśmy. Nie dowierza, że przeszliśmy tę trasę na własną rękę, niosąc plecaki z namiotem i jedzeniem. Miło się nam zrobiło, załaskotało w brzuchu.

Główny plac w miasteczku Bhaktapur, dawnej stolicy Nepalu

Grupa zaprasza nas na herbatę. Trudno uwierzyć, ale cała ta karawana tragarzy obsługuje zaledwie czwórkę brytyjskich turystów, którzy będą chodzić po górach niecały tydzień. Rozstawiają im specjalną stołówkę w osobnym namiocie. W środku rozkładany stolik, krzesełka. Stalowa cukiernica rozbraja nas do reszty. Narzekają, jak jest im ciężko, gdy rano muszą wyjść ze śpiworu na ziąb... żeby wykąpać się w wiadrze gorącej wody, którą codziennie przygotowują im do mycia.

– Całe szczęście, że chociaż w ramach pobudki przynoszą do śpiworów gorącą kawę...

Są bardzo mili, ale nie potrafią pojąć, że dobrowolnie wybraliśmy inny styl górskiej wędrówki. I nawzajem...

Na nizinnym południu Nepalu – w drodze na granicę Indii

Późnym wieczorem, po trzech tygodniach trekkingu, docieramy do wioski, z której jeździ autobus do Katmandu. Pytamy, gdzie możemy zanocować. Okazuje się, że mężczyzna, którego zagadnęliśmy, jest tutejszym policjantem. Chłopaki mimo naszych protestów odstępują nam własny pokój w komisariacie, do tego częstują kolacją, jakiej nie mieliśmy w ustach od kilku tygodni. Organizują nawet siedzące miejsca na jutrzejszy autobus. To jeszcze nic. Przez noc jeden z nich stoi pod drzwiami na warcie, żeby włos nam nie spadł z głowy...

W Nepalu spędzamy kilka nadprogramowych dni. Wszystko za sprawą wizy i naszej nadgorliwości.

Żeby podróżować po Azji, trzeba mieć bardzo dużo wiz. Im mniejszy kraj, tym większa wklejka w paszporcie, zajmująca całą stronę. Po krótkim czasie orientujemy się, że jeśli tak dalej pójdzie, będziemy musieli wyrabiać po drodze nowe paszporty.

Przy każdym przejściu granicznym błagamy, żeby przynajmniej wbijali pieczątki na stronach już wcześniej użytych, a nie – do czego niestety mają tendencję wszyscy urzędnicy – na środku nowej, jeszcze czystej. Czasem mamy szczęście, a czasem pogranicznicy udają, że nas nie słyszą lub nie rozumieją, i złośliwie przybijają stempel w centralnej części kartki.

Przygotowując się do podróży, jeszcze w Polsce biegaliśmy po ambasadach, starając się uzyskać na zapas jak najwięcej wiz, żeby nie trzeba było potem załatwiać ich na miejscu. W rezultacie w naszych paszportach czekały na swoją kolej wizy chińskie, wietnamskie, indyjskie i jeszcze kilka innych.

Z perspektywy czasu wiemy, że było to bezsensowne. Jak powszechnie wiadomo, plany są po to, żeby je zmieniać. W rezultacie odwiedzamy inne miejsca, niż mieliśmy zamiar przed wyjazdem, w innej kolejności i czasie. Część wiz wygasła, zanim w ogóle zdążyliśmy je wykorzystać. Poza tym organizowanie wiz w Azji jest stosunkowo łatwe i szybkie. Najlepiej, będąc w stolicy danego kraju, iść do ambasady państwa, które chce się odwiedzić jako następne, i tam uzyskać wizę. Bywa, że przy wjeździe do niektórych krajów, jak na przykład do Kambodży, można po prostu kupić ją na granicy.

Jednym słowem, organizowanie wiz na zapas było głupotą. Najlepiej przekonujemy się o tym, wyjeżdżając z Nepalu.

Po opuszczeniu Katmandu jedziemy w stronę granicy indyjskiej w przekonaniu, że mamy wizę indyjską, załatwioną jeszcze w Polsce.

– Słuchaj, sprawdź dla pewności, kiedy ona wygasa.

Otwieram paszport. Nasze wizy wygasną za kilka dni. To trochę za mało.

– Trudno, najwyżej pojedziemy do Delhi przedłużyć.

Jednak szybko orientujemy się, że w Indiach wizy przedłużyć się nie da. Jedyny sposób to wyrobienie nowej za granicą w indyjskiej ambasadzie.

Tradycyjne marionetki na targu w Katmandu

Klnąc na czym świat stoi, wracamy do Katmandu, żeby wyrobić nową wizę. Nie jest to takie łatwe, bo rozpoczęły się zamieszki. Tuż przed naszym przyjazdem do Nepalu abdykował król,

a maoiści, dotąd przez lata tępieni przez władze, zostali zaproszeni do współrządzenia krajem. Jednak ułożenie stosunków nie zawsze przebiega łagodnie. Tym razem w nieznanych okolicznościach zabito dwóch studentów, a oskarżenia padły na młodzieżowe bojówki maoistyczne. Ludzie wyszli na ulice, zaczęły się protesty i zamieszki. Zablokowano drogi. Powrotna podróż do Katmandu zajęła nam dwanaście godzin zamiast siedmiu.
W mieście wojsko na ulicach, porozbijane szyby, spalone stragany.

Idziemy do indyjskiej ambasady. I tu dopiero niespodzianka. Nie chcą nam wystawić nowej wizy indyjskiej, skoro stara jeszcze obowiązuje. Dwa dni trwa walka z biurokracją, wyjaśnianie i proszenie, zanim wreszcie wbijają do paszportów nowe wizy.

Mamy za swoje. Kara za nadgorliwość. Zamiast zaoszczędzić sobie problemów, zmarnowaliśmy prawie tydzień.

W końcu jednak Klejnot w Koronie staje przed nami otworem...

INDIE: NA TRZECH NOGACH

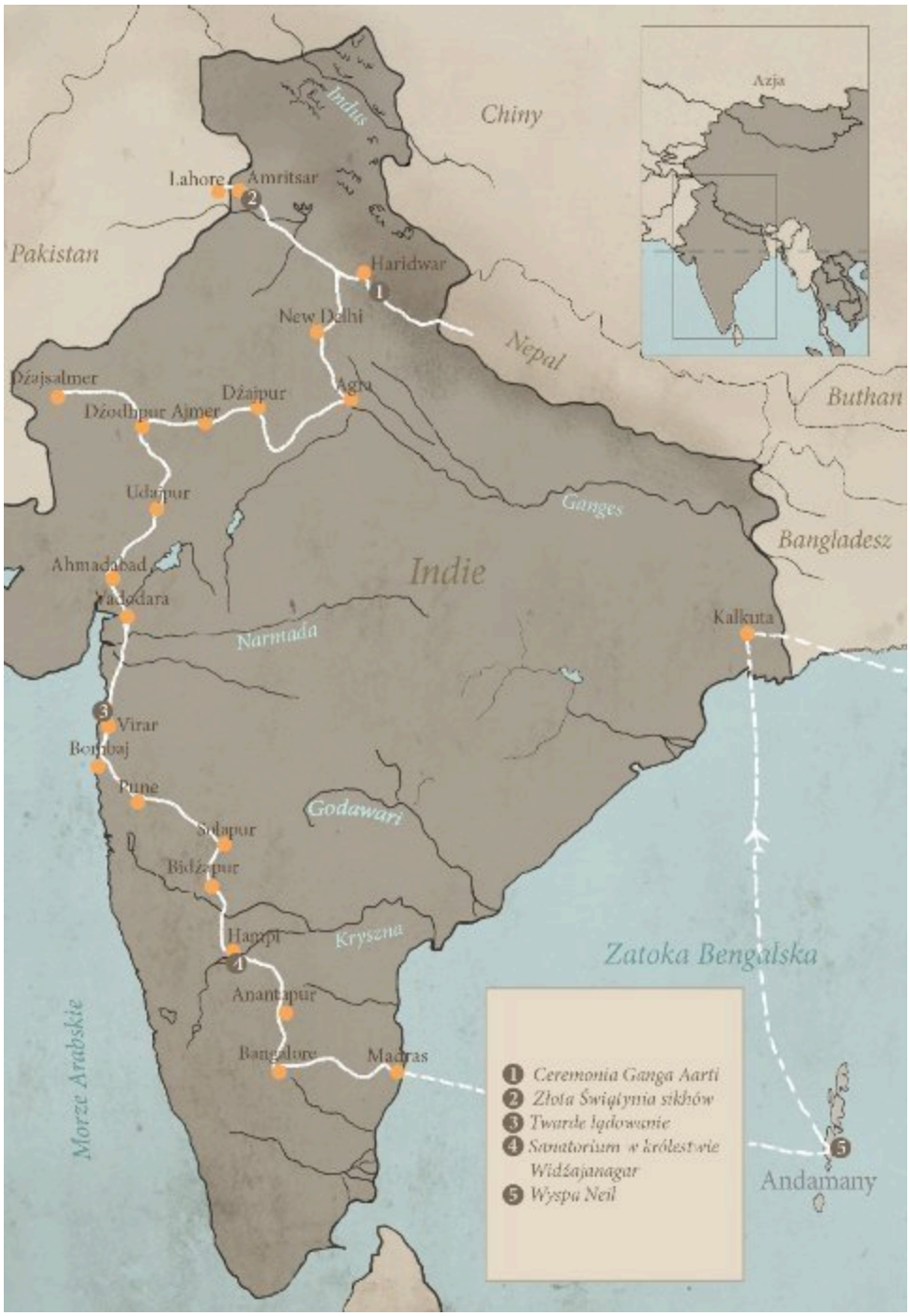

Święta krowa zrobiła krok do przodu. Nie może jednak przejść. Próbuje się wycofać. Nic z tego. Zakleszczyła się między zaparkowanymi w wąskiej uliczce samochodami i ani rusz. Ani

w tę, ani we w tę. Zwierzę z każdą chwilą ogarnia coraz większa panika, wykonując nerwowe ruchy, usiłuje rozepchnąć samochody.

Całą scenę bacznie obserwuje stojący w bramie Hindus.

– Wie pan, czyje to samochody? – pytamy zaciekawieni. Mężczyzna w odpowiedzi kołysze tylko głową w charakterystyczny dla tutejszych mieszkańców sposób.

Tymczasem krowa rozrabia coraz bardziej. Zaczyna wierzgać, wgniatając maskę auta. Mężczyzna traci zimną krew. Podbiega do zwierzęcia i sprzedaje mu siarczystego kopniaka w zad. Podziałało. Krowa rzuciła się do przodu i wydostała spomiędzy pojazdów. Dopiero wtedy nasz rozmówca zaczął zmartwiony oglądać uszkodzenia karoserii swojego auta.

Indii opisać się nie da i potwierdzi to każdy, kto kiedykolwiek postawił stopę w tym kraju. Indie trzeba powąchać, trzeba ich dotknąć, posmakować, wsłuchać się w nie, zapatrzeć w barwne korowody ludzi. To nie jest po prostu kolejny kraj, z odmienną kulturą, religią czy mentalnością. To są Indie. Nie próbujemy nawet tego definiować, bo się po prostu nie da. Przymiotnik „indyjski” to jedno z najbardziej pojemnych, wieloznacznych i pełnych sprzeczności słów na świecie.

Przygotowanie do rytualnej kąpieli w Gangesie, Haridwar

Naturę Indii najlepiej oddaje charakterystyczne kręcenie głowami, które a każdy Hindus ma we krwi. Jedyny w swoim rodzaju, płynny ruch szyją, delikatnie naśladujący znak nieskończoności, stanowi reakcję na niemal każde skierowane do nich słowa. Oznacza potwierdzenie? Aprobatę? Sympatię? Zdziwienie? Zadowolenie? Niepewność? Można się zastanawiać w nieskończoność. Czy do świątyni w tę stronę? Kiwanie. A może w tamtą? Kiwanie. Jutro nastąpi koniec świata? Kiwanie...

Już po kilku chwilach spędzonych w Haridwarze, naszym pierwszym indyjskim mieście, gdy popijając słodką herbatę z mlekiem, zaprawioną kardamonem, wpatrywaliśmy się w Hindusów odbywających rytualne kąpiele, poczuliśmy się bezpowrotnie zaczarowani. W świętej, oczyszczającej – przynajmniej teoretycznie – wodzie Gangesu falują kolorowe sari i czarne włosy kobiet. Odziani w turbany mężczyźni prowadzą

ożywione dyskusje, a pod murami pomalowani na twarzach *sadhu*, święci starcy, leniwie popalają haszysz. Wreszcie po zachodzie słońca, gdy nastają ciemności, rozpoczyna się ceremonia Ganga Aarti. Na brzeg Gangesu wystawiono posągi bogów, rozbrzmiewają śpiewy, palą się pochodnie, ludzie zaś puszczają na wodę splecione z liści koszyczki z płonącymi świeczkami. Czujemy się, jakbyśmy niechcący trafili do nieznanej baśni.

Jednak wielu Europejczyków, którzy dostają się prosto z lotniska na indyjską ulicę, doznaje szoku. Niektórzy marzą tylko o tym, żeby ten koszmar jak najszybciej się skończył. U nas adaptacja przeszła łagodnie. Może dlatego, że dotarliśmy tu

stopniowo, krok po kroku przyzwyczajając ciało i zmysły do azjatyckich warunków. Indie nas zafascynowały, mimo że z każdego kąta wyzierają tu śmieci i bieda. Żebracy, bezdomni, obdarte, kalekie dzieciaki. Po ulicach wałęsają się święte krowy, często rozwalając przy tym karoserie zaparkowanych samochodów. Gdzieniegdzie po dachach skaczą małpy. Trąbią wniebogłosy klaksony jaskrawo pomalowanych autobusów, z których wydobywa się jazgotliwa muzyka. Krążą tuk-tuki, czyli motorowe riksze. Bogatsi poruszają się kultowymi, zazwyczaj żółtymi ambassadorami albo popisują się na równie legendarnych motocyklach Royal Enfield. Niekiedy można jeszcze spotkać riksze rowerowe, a czasem nawet ciągnięte przez człowieka. Rikszarze należą do jednej z najniższych kast społecznych, żyją na granicy przetrwania.

Kolejna rzecz to religia. Hinduizm konkuruje z islamem, a miejscami również z sikhizmem i buddyzmem. Jeśli chodzi o spektakularność obrzędów i symboli wiary, Hindusi są zdecydowanie bezkonkurencyjni. Niemal przy każdym budynku natykamy się na ociekające stearyną ze świec, obsypane pomarańczowymi kwiatami i ofiarami z jedzenia posągi hinduskich bogów. Przy świątyniach czekają na swą kolej ofiarne kozy. Płoną znicze i kadzidła, rozbrzmiewają modły i śpiewy. Najbarwniejsze ceremonie odbywają się na schodach gathów, czyli nadrzecznych kąpielisk. Tu także pali się zwłoki. Największym marzeniem hindusa jest bowiem spłonąć po śmierci na stosie z naturalnego drewna. Ubodzy muszą zadowolić się automatycznym elektrycznym piecem.

Slumsy w Kalkucie

Nas jednak najbardziej urzekła Złota Świątynia sikhów w Amritsarze. Sikhizm to wyznanie będące ciekawą mieszanką hinduizmu i islamu, ale zdecydowanie odcinające się od obu tych religii. Za założyciela uznaje się Guru Nanaka. Sikhowie wierzą w jednego Boga, reinkarnację, równość wszystkich ludzi (w szczególności nie uznają hinduskiego systemu kastowego). W 1984 roku miało miejsce niepodległościowe powstanie sikhów, krwawo stłumione przez Indirę Gandhi, za co została zamordowana przez swego własnego sikhijskiego ochroniarza. Sikhowie zapuszczają brody, nie obcinają włosów i zawijają je w kolorowe turbany, noszą symboliczne noże.

Złota Świątynia mieści się na środku jeziora i jest naprawdę złota, ponoć na jej wybudowanie zużyto siedemset pięćdziesiąt osiem kilogramów kruszcu. Na parterze „mieszka” Święta Księga. Przez cały dzień jej tekst jest odśpiewywany przez specjalny

zespół muzyczny. O wpół do dziesiątej wieczorem księga „idzie spać” – uroczyście wynoszą ją w lektyce ze świątyni i zabierają do pokoju z pięknym, baldachimowym łożem. Bartkowi udaje się nawet załapać na niesienie lektyki w trakcie wieczornej ceremonii. O czwartej rano księga ma pobudkę i znowu wraca do świątyni.

Złota Świątynia sikhów, Amritsar

W świątyni pielgrzymi dostają darmowy posiłek: wspólne jedzenie, przejaw równości ludzi, jest częścią rytuału. Do wyżywienia armii pielgrzymów – dziennie wydaje się średnio czterdzieści tysięcy posiłków – potrzebna jest bardzo, bardzo duża kuchnia. Gotują ochotnicy. Owo kulinarne zaplecze świątyni okazało się nie mniej niezwykłe od części sakralnej. Wchodzimy na tylne dziedzińce i w jednej chwili przenosimy się do kingsajzu! Kotły tak wielkie, że spokojnie można w nich ugotować człowieka, dziesiątki koszy z warzywami i przyprawami. No i duma świątyni

– maszyna do produkcji *chapati*, chlebowych placków. Przyłączamy się do grupy „wałkowaczy” ciasta na placki (bo nie wszystkie *chapati* są maszynowe). Obok zapamiętale pracują armie obieraczy czosnku i fasoli, jeszcze dalej trwa wymagające herkulesowej siły mieszanie gotujących się potraw.

Kotły tak wielkie, że można w nich ugotować człowieka

W świątyni jest zaskakująco czysto. Na jej teren można wchodzić tylko boso, po uprzednim obmyciu nóg. Trzeba też zakryć włosy. Wszędzie krany z wodą i mydłem. Żadnego śmiecia na podłodze, wszystko idealnie zamiecione. Przypuszczalnie najczystszy zakątek w Indiach. Wspaniałe miejsce, w którym można siedzieć godzinami i obserwować, chłonąć nastrój, odpoczywać pod arkadami, gawędzić z ludźmi. Nas zagadnął i przez calutki dzień oprowadzał, odpowiadając na wszystkie pytania, sikh mieszkający obecnie w Kanadzie, który przyjechał w odwiedziny do rodzinnego kraju.

Amritsar zrobił na nas znacznie większe wrażenie niż inne niesamowite zakątki północnych Indii. Ani ogromny, otoczony morzem niebieskich budynków fort w Dźodhpurze, ani pustynne Złote Miasto Dźiaisalmer, ani białe świątynie Puszkaru, ani wreszcie najsławniejsze mauzoleum świata – Tadź Mahal nie utkwiły nam tak mocno w pamięci jak chwile spędzone w Złotej Świątyni.

Jadąc przez Radżastan, zastanawiamy się, w jaki sposób przemierzyć Indie. Ambassadorem? Tuk-tukiem? Może enfieldem?

Debatujemy i debatujemy.

– A może byśmy tak najpierw polatali, a potem zdecydujemy?

Jeszcze w Nepalu, w Pokharze, ujrzeliśmy paralotniarzy szybujących u podnóża Himalajów i zaczęła nas żżerać zazdrość. Wtedy z różnych przyczyn nie zdecydowaliśmy się na kurs, choć, prawdę powiedziawszy, niewiele brakowało. Od tego czasu nie dawało nam to jednak spokoju. Po przybyciu do Indii zaczęliśmy się dowiadywać, czy dałoby się tu polatać.

Otóż dałoby się. Znajdujemy zapaleńca mieszkającego w małym miasteczku niedaleko Bombaju, który od pewnego czasu uczy Hindusów paralotniarstwa. Instalujemy się w domu Samsona, a jego żona przyrządza nam codziennie wspaniałe, tradycyjne hinduskie obiady, zawsze złożone z co najmniej kilku starannie przygotowanych, urozmaiconych dań. Kuchnia indyjska, ze swymi chlebkami *roti* i *naan*, warzywno-serowymi lub mięsnymi masalami i mlecznymi słodyczami, jest jedną z najwspanialszych na świecie, ale to, co przyrządzała Rakszmi, można spokojnie

określić mianem arcydzieła. Spędzała w kuchni długie godziny i oddawała się gotowaniu całym sercem.

– A jak w Polsce przyprawiacie rybę? – pyta kiedyś przy obiedzie.

– Zwyczajnie, sól, pieprz, czosnek, cytryna...

– Jak to, tylko tyle? W Indiach każda *masala* składa się z co najmniej kilkunastu przypraw! Inna mieszanka do dań warzywnych, inna do ryb, inna do kurczaka... W mojej rodzinie kobiety wspólnie przygotowują własne masale na cały nadchodzący rok – tłumaczy Rakszmi. Na myśl o zjedzeniu ryby osolonej i popieprzonej, czyli, jak to określiła, „bez niczego", krzywi się ze wstrętem.

Flip i Flap

Gdy Rakszmi gotuje, Samson uczy nas latać. Najpierw na ziemi próbujemy stawiać czasze i utrzymać je nad sobą na wietrze. Zanim zdobędzie się doświadczenie, jest to bardzo wyczerpujące,

zwłaszcza w upale. Gdy wreszcie opanowujemy podstawy, wchodzimy na pobliskie wzgórze. Zakładamy uprzęże. W uszach mamy słuchawki podłączone do rozpadającego się radia, żeby Samson mógł udzielać nam wskazówek w trakcie pierwszych lotów. Rozpędzamy się, pompujemy czaszę, jeszcze krok... jesteśmy nad ziemią! Lecimy! Pod nami rozpościera się rozlewisko rzeczne, w oddali majaczy morski brzeg.

Pierwsze loty trwały krótko, zaledwie kilka minut. Za to ile dały nam radości! Powoli uczymy się szukać noszenia pozwalającego na dłuższe szybowanie.

Któregoś kolejnego dnia zmieniamy miejsce latania. Bardziej wymagające warunki, płaskie poletko u stóp wzgórza, na którym mamy lądować, jest niewielkie. Wspinamy się ze sprzętem na szczyt wzniesienia. Startuję pierwsza. Bartek poleci dopiero, gdy wyląduję. Rozpędzam się... jestem w powietrzu. Skręcam w lewo, bo tam jest dobre noszenie, wyciągające paralotnię niczym winda kilkadziesiąt metrów do góry. Potem stopniowo opadam, robię kółko i jeszcze raz łapię termikę... Potem jeszcze raz... W końcu jednak nie udaje mi się dolecieć do powietrznej „windy", już więcej nie dam razy się wznieść, teraz będę tylko opadać. Powinnam więc skierować się do lądowiska. Tymczasem tak mi się to podoba, że postanawiam zaryzykować i spróbować jeszcze raz znaleźć termikę. Nic z tego. Tracę sporo wysokości i teraz trudno będzie dolecieć do lądowiska. Opadam kilkanaście metrów, żeby tylko znaleźć się za drogą...

Pierwszy lot Bartka. Po starcie ze wzgórza koło miasteczka Virar.

Niestety. Lądуję tuż przed drogą i wbijam się prosto w ścianę rowu biegnącego wzdłuż pobocza. Noga o coś się zaczepia i spadam na nią całym ciężarem wraz ze sprzętem. Coś chrupie. Czuję straszny ból w nodze. Nie jestem w stanie na niej ustać.

Bartek z Samsonem zbiegają z góry. Jedziemy do szpitala. Prześwietlenie nie pozostawia żadnych złudzeń: poważne złamanie kostki. Gips po kolano na co najmniej sześć tygodni, do tego nie ma mowy, żeby opierać się na chorej nodze. Mam kupić kule i cały ten czas trzymać stopę w powietrzu.

No to sobie polataliśmy... Gdy minął pierwszy szok, gdy dotarło do nas, co się stało, przyszło załamanie i zwątpienie. Po sześciu miesiącach w drodze perspektywa spędzenia półtora miesiąca w gipsie wydała mi się nieskończonością. Jak teraz podróżować, skoro o kulach ledwo mogę chodzić?! Może to znak? Może trzeba wracać?

Jest źle. Fizycznie i psychicznie. Telefonuję do rodziców w podłym nastroju, zrezygnowana i przybita. Z Polski płynie do nas niesamowita ilość pozytywnej energii. Gdyby nie mądre, budujące słowa naszych bliskich, być może ta książka kończyłaby się już w tym miejscu...

Mimo wszystko postanawiamy się nie poddawać. Po dziesięciu dniach, gdy noga nie boli już tak bardzo, decydujemy się ruszyć dalej. Bartek niesie dwa plecaki, ładuje je do pociągu, a potem do autokaru, ja kuśtykam za nim na jednej nodze. Jakoś udało się przemierzyć siedemset kilometrów do Hampi, choć przejazd solidnie nas wymęczył. Hampi, miasteczko położone w południowej części kraju, wokół którego porozrzucane są ruiny piętnastowiecznego królestwa Widźajanagar, to dobre miejsce na „sanatorium". Wkoło gdzie nie spojrzeć granitowe skały, między którymi przycupnęły pozostałości świątyń, pałaców i łaźni. Panuje leniwy, hamakowy klimat. A że czytanie i słuchanie muzyki w końcu się nudzi, wypożyczamy skuter i objeżdżamy na nim wszystkie okoliczne atrakcje.

Na ostatni etap „zagipsowania" przenosimy się na Andamany, indyjskie wyspy w Zatoce Bengalskiej, skąd w zasadzie bliżej do Birmy i Tajlandii niż do Indii. Niektóre z wysepek nadal zamieszkują pierwotne plemiona odmawiające kontaktu z „cywilizowanym" światem. Nie ma z nimi żadnej łączności. Co pewien czas próbują się do nich dostać nieliczni poszukiwacze przygód. Niektórzy nigdy nie powrócili, zaginęli w niewyjaśnionych okolicznościach. Podobno gdy po tsunami,

które nawiedziło wyspy w 2004 roku, rządowy helikopter poleciał ocenić zniszczenia, jego załoga została na plaży zaatakowana i musiała się czym prędzej ewakuować.

Nam również nieśmiało marzyło się znalezienie sposobu, żeby dotrzeć na którąś z takich wysepek. Niestety gips definitywnie przekreślił te plany. Spędzamy za to przyjemne chwile na stosunkowo popularnych, zamieszkanych przez napływowych Hindusów, wyspach Havelock i Neil.

Wyspę Havelock wspominamy nie najlepiej. Jest ona dosyć zatłoczona i skomercjalizowana. Na dodatek właśnie tutaj przeżyliśmy najgorsze w trakcie całej podróży zatrucie pokarmowe. Co ciekawe, zmogły nas nie indyjskie specjały z ulicy, ale europejskie menu w jednym z lepszych barów na wyspie. To kolejna nauczka. Należy jeść tam, gdzie miejscowi! Jeśli wokół straganu krąży tłum tubylców, to znak, że tam dobrze karmią. Przez trzy dni leżymy w chatce z czterdziestostopniową temperaturą, jesteśmy w stanie tylko doczołgać się do łazienki. Pod koniec wyglądamy jak dwa zombi.

Wysepka Neil okazała się natomiast czarującym zakątkiem. Dni płyną leniwie, lecz przyjemnie. Kilka bambusowych domków wśród palm nieopodal piaszczystej plaży, przetykanej co pewien czas mangrowcami, wielobarwne zachody słońca, świeże ryby grillowane nad ogniskiem w palmowych liściach...

Jest cicho i spokojnie, bo nie ma tu pojazdów motorowych. Po wyspie można przemieszczać się rowerami. Z nogą w gipsie nie jest to łatwe, po kilku eksperymentach i solidnej wywrotce uznajemy, że najlepiej, jeśli będę jechać na bagażniku.

W tej sielankowej, rajskiej scenerii bolesne jest tylko jedno. Wyspę otacza kusząca, krystaliczna, turkusowa woda, w której żyją nawet endemiczne diugonie. Wprawdzie rafa solidnie ucierpiała podczas tsunami, ale nadal jest co oglądać pod wodą. Niestety pływać i nurkować mogą tylko ci, co nie mają gipsu.

Po pięciu tygodniach od złamania uznajemy, że już dosyć. Dłużej nie wytrzymamy. Nie wyjadę z Andamanów, jeśli choć raz nie zanurzę się w wodzie. Sami zdejmujemy gips. Noga po tak długim unieruchomieniu jest kompletnie bezużyteczna, ale przynajmniej można pływać! Teraz trzeba tylko ćwiczyć i cierpliwie czekać na powrót formy.

TAJLANDIA I KAMBODŻA: ODWIEDZINY

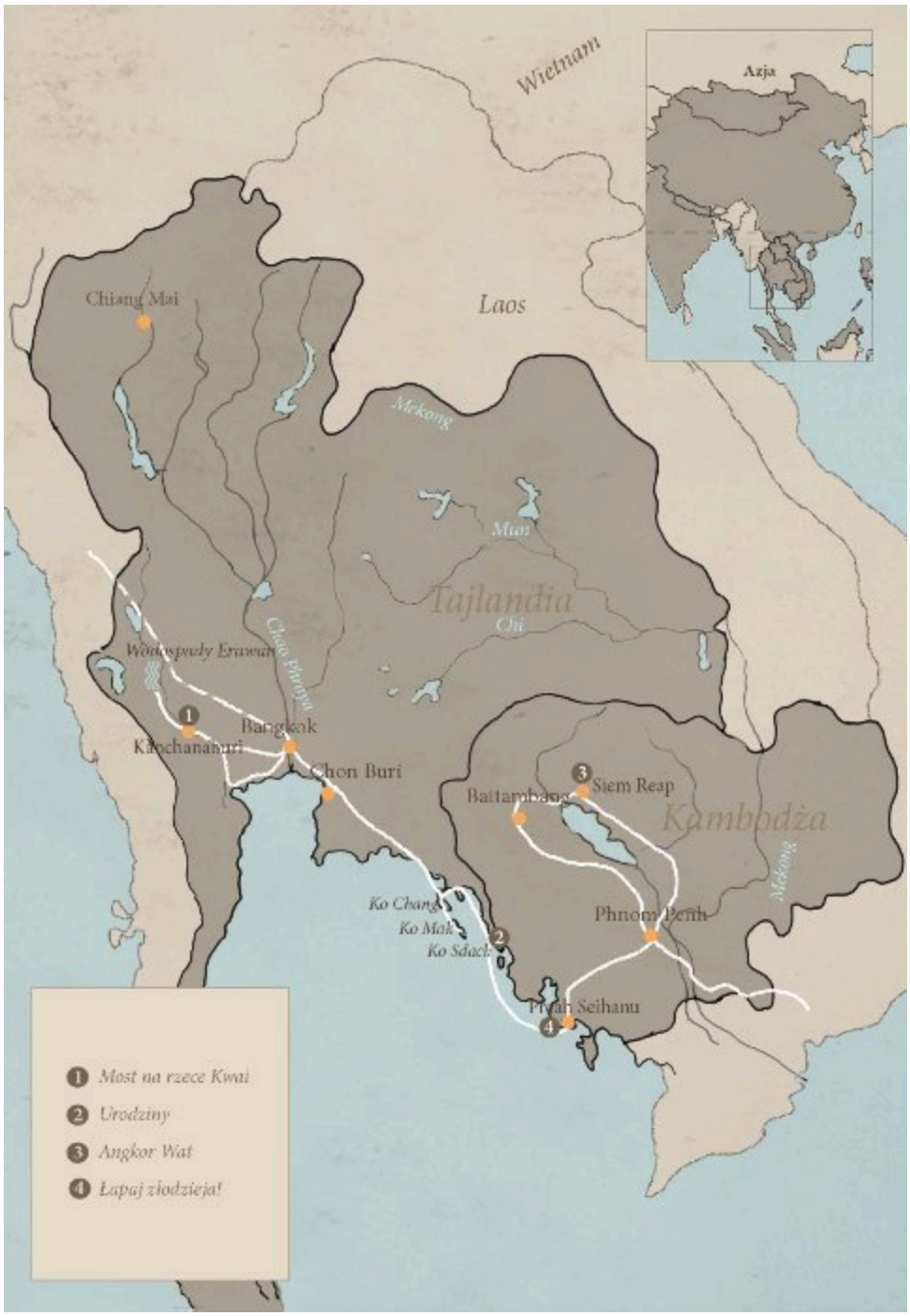

Angkor. Niesamowity kompleks khmerskich świątyń przez wieki ukryty w tropikalnej dżungli stał się największą atrakcją turystyczną Indochin.

Dziś mnichów zastąpiła armia pracujących dzieciaków, które krążąc przez cały dzień w bezlitosnym upale, usiłują sprzedać turystom pamiątki lub zaciągnąć do restauracji prowadzonej przez rodziców.

Siadam pod drzewem, żeby odpocząć. W sekundę otaczają mnie maluchy: kup wodę, owoce, T-shirt... Po minucie dzieciaki dostrzegają nowy cel ataku i odchodzą, ale jedna dziewczynka zostaje. Siada koło mnie, odstawia swój kramik z pamiątkami, wyciąga z kieszeni kawałek sznurka.

– Umiesz tak? – Zakłada nitkę na dwie ręce, a potem z prędkością światła przekłada ją między palcami. Teraz moja kolej. Pamiętam, że kiedyś bawiłam się w podobny sposób, ale najwyraźniej zapomniałam, jak to szło, i ku uciesze dziewczynki cała się zaplątałam. Mała zapomina o obowiązkach i na kilka minut znowu staje się zwykłym dzieckiem.

– A ile masz lat? – pytam.

– Dwanaście.

– A chodzisz do szkoły?

– Chodzę, od siódmej do jedenastej trzydzieści, potem muszę przychodzić tu do pracy do rodziców. Strasznie tego nie lubię, bo tu jest okropnie gorąco. No ale wiesz, jestem najstarsza, więc nie mam wyboru...

– Bardzo ładnie mówisz po angielsku.

– Tu się nauczyłam. Muszę już lecieć do pracy, bo dziś za mało sprzedałam i rodzice będą się gniewać.

Okres gipsowy wreszcie zakończony. Niestety po zdjęciu gipsu nie od razu wraca się do dawnej formy. Noga jest bardzo osłabiona i przykurczona, więc w zasadzie na nowo uczę się chodzić, co jest potwornie frustrujące. Codziennie intensywnie ćwiczę, żeby jak najszybciej odzyskać sprawność.

Noga zrosła się w samą porę, bo nadchodzi sezon odwiedzin. Jakoś tak się złożyło, że wszyscy zapowiedzieli wizytę niemal w tym samym czasie. Każdy chce uciec przed polską zimą.

Tajlandia i Kambodża będą się nam zatem nieodłącznie kojarzyć z Polską. Najpierw krótkie, lecz intensywne spotkanie w Bangkoku z przyjaciółmi Agnieszką i Arturem, którzy wracają z podróży po Indochinach. Jeszcze nie całkiem doszliśmy do siebie, gdy następnego dnia o świcie pędzimy na lotnisko... powitać rodziców. Pierwszy raz w życiu nie widzieliśmy się tak długo!

Pływający targ koło Bangkoku

Trudno wyobrazić sobie czasy, kiedy podróżni mogli się kontaktować z domem tylko listownie, a potem, gdy pojawił się telefon, wydawali ostatnie oszczędności, żeby przez kilka sekund usłyszeć głos ukochanych osób. Dziś wystarczy pójść do kafejki internetowej i za pół dolara można rozmawiać przez godzinę, a do tego jeszcze się zobaczyć. Internet jest niemal wszędzie, a korzystanie z niego – zwłaszcza w Azji – kosztuje niewiele. W ten sposób znacznie łatwiej znieść rozłąkę. Oczywiście niektórzy twierdzą, że przez to podróżowanie straciło dawną tajemniczość i magię. To prawda. Ale z drugiej strony dzięki temu decyzja o wyruszeniu w długą podróż nie jest tak trudna jak dawniej, a bliskim łatwiej ją zaakceptować.

Mimo wszystko żadna, nawet najdłuższa międzykontynentalna rozmowa nie może zastąpić prawdziwego spotkania.

Przez pierwsze wspólne dni lenimy się na wyspie Ko Mak. Plaża, palmy, pływanie, przejażdżki na skuterach, wspaniałe zachody słońca, przepyszne ryby. Bez planu, bez pośpiechu, po prostu chcemy nacieszyć się sobą.

Rybacka wioska na wyspie Koh Sdach, Kambodża

Dopiero po pewnym czasie postanawiamy zobaczyć kawałek Tajlandii. Spacerujemy wśród kapiących złotem świątyń Bangkoku, potem jedziemy na słynny pływający targ. Kąpiemy się w wodospadach Erawan pełnych podszczypujących rybek, później odwiedzamy Świątynię Tygrysów, czyli miejsce, gdzie buddyjscy mnisi wychowują i oswajają porzucone, łagodne tygrysy, do których można podejść, a nawet je pogłaskać. Co do tej ostatniej atrakcji mamy mieszane uczucia, bo zwierzęta wyglądają, jakby faszerowano je lekami, żeby współpracowały z ludźmi. Ale kto wie, może po prostu my nie potrafimy zrozumieć tutejszych technik medytacyjnych dla dużych kotów...

Kulminacyjnym punktem programu jest jednak spełnienie marzenia taty, czyli wycieczka do słynnego z filmu Davida Leana mostu na rzece Kwai. W 1942 roku Japończycy, przygotowując się do ataku na Indie, rozpoczęli budowę tak zwanej kolei śmierci, mającej służyć jako linia dostaw między Tajlandią a Birmą. Kolej, a także most, wznosili w katorżniczych warunkach jeńcy wzięci do niewoli przez Japończyków. Historyczny drewniany most dziś już nie istnieje. Ten, który odwiedzamy, jest późniejszą konstrukcją. Mimo wszystko to jednak wciąż fascynujący fragment wojennej przeszłości.

Wszystko dzieje się ostatnio w zawrotnym tempie. Tego samego dnia, w którym odprowadzamy rodziców na powrotny samolot, przylatują do Tajlandii nowi goście: brat Bartka Jacek i Ula. I znów szalona noc w Bangkoku. Potem, przemieszczając się z wolna na wschód w stronę Kambodży, zatrzymujemy się, żeby poleniuchować i ponurkować na wysepkach Ko Chang i Ko Wai. Nurkowanie rozczarowuje, bo widoczność jest mizerna. Za to w Tajlandii dobrze wiedzą, jak lubi spędzać wakacje europejski turysta. Miejscowi prześcigają się w organizowaniu imprez, oferują tanie, lecz szalenie przyjemne masaże, owocowe drinki, wśród których króluje tak zwany kubełek: poncz podawany w czymś na kształt wiaderka z piaskownicy, ze słomkami dla wszystkich pijących. Do tego pyszna, często oparta na mleku kokosowym tajska kuchnia.

15 marca, torty urodzinowe Uli i Bartka

Świątynie Angkoru

Przekraczamy granicę z Kambodżą. Jest inaczej. Mniej zachodnio. Bardziej ubogo. Ale jednocześnie coraz ciekawiej.

Z zachwytem obserwujemy niespodziewany powrót chińskich piżamek.

Pakujemy się do stojącego w porcie wodolotu wypchanego miejscowymi z towarem i na chybił trafił wysiadamy na małej, rybackiej wysepce. Wzdłuż brzegu nad turkusową wodą stoją drewniane domki na palach, kołyszą się łodzie. To już nie jest kurort, to najzwyklejszy kawałek kambodżańskiej rzeczywistości. Ubogi, nieco chaotyczny, ale niezwykle malowniczy. Chwilami wioska wygląda jak plan filmowy *Czasu apokalipsy*.

W takich okolicznościach nadchodzi ważny moment. Podwójne urodziny: Uli i Bartka. Co robić, gdy nie ma się piekarnika ani cukierni za rogiem? Na pomysł wpada Jacek. Przy śniadaniu wjeżdżają na stół dwa torty zrobione z połówek arbuza, w których palą się świeczki. Sto lat! Potem kupujemy ananasy, arbuzy, limonki, mango, mleczko kokosowe, sok z trzciny cukrowej i lokalny trunek. A że przypadkowo mieszkamy przy fabryce lodu – zamawiamy sobie jeden blok. Pakujemy to wszystko na łódź rybacką i dogadujemy się, żeby obwieźli nas po okolicznych najciekawszych wysepkach i plażach. A tam, wśród palm, robimy urodzinowe cocktail-party.

W końcu, po kilku kolejnych dniach, trafiamy do stolicy Kambodży Phnom Penh. To jeszcze nie koniec sezonu odwiedzin! Odbieramy z lotniska mamę Bartka i jedziemy do Siem Reap, obejrzeć ruiny khmerskich świątyń Angkoru, pochodzących przeważnie z XII wieku, które przez wieki pozostawały ukryte w kambodżańskiej dżungli. Budowle są rzeczywiście wspaniałe,

pokryte przepięknymi, tajemniczymi rzeźbami. Ze ścian obserwują nas nieruchome oczy kamiennych twarzy bóstw i królów, zmęczonych odwieczną walką z pożerającą je dżunglą, którym po tylu latach przyszedł wreszcie z odsieczą człowiek z piłą mechaniczną...

Mnisi z Angkoru

Sama Angkor Wat, czyli największa świątynia kompleksu, jest najbardziej skomercjalizowana i zatłoczona. Dziesiątki

naganiaczy, w większości kilku- lub najwyżej kilkunastoletnich dzieciaków, które sprzedają pamiątki, zamiast odrabiać lekcje. Widząc te dzieci, zawsze mamy dylemat: z jednej strony ma się ochotę dać im zarobić kilka groszy, z drugiej – jeśli to zrobimy – przyczynimy się do utrwalenia takiego stanu rzeczy.

Znacznie ciekawsze od głównego kompleksu okazują się dalej położone, mniejsze świątynie, jeszcze nie do końca przygotowane dla zwiedzających. Tu można odnaleźć odrobinę magii, z której w dobrej wierze ograbiono główny kompleks.

Z Angkoru płyniemy łodzią na południowy zachód do Battambangu. Samo miasteczko nie jest tak ciekawe jak podróż łodzią. Co kilka kilometrów natykamy się na malownicze „pływające wioski". Tu całe życie toczy się na rzece. Na łodziach mieszczą się domy, sklepy, szkoły, posterunki policji, ba – nawet kościół!

Pływający sklep w drodze do Battmabangu. Tu całe życie toczy się na wodzie

Na zakończenie kambodżańskiego urlopu mamie Bartka należy się trochę wody i piasku. Wracamy do nadmorskiego miasta Preah Seihanu, żeby stamtąd przerzucić się na dwa, trzy dni na jakąś małą wyspę. Umawiamy na następny dzień łódź, która ma nas dowieźć na plażę marzenie. Wieczorem idziemy jeszcze na ucztę z owoców morza. Pochłaniamy kilogramy krabów, ryb i krewetek i z napełnionymi brzuchami toczymy się błogo do naszego hostelu. Już prawie jesteśmy na miejscu, gdy mija nas wolno trzech chłopaków na skuterze. Zawracają, mijają nas znowu...

– Złodzieje!!! – rozlega się nagle krzyk mamy Bartka.

Klasyka. Takie sceny zdarzają się tu niemal codziennie. Jeden chłopak prowadzi skuter, środkowy „rwie" torebkę, a trzeci, ostatni, trzyma środkowego, żeby przy szarpnięciu nie zleciał z siodełka. W zawieszonej na ramieniu saszetce mamy był

paszport... Zawsze ten sam dylemat: zostawić cenne rzeczy w hotelu, w którym różnie może być, czy lepiej nosić je przy sobie. Akurat tym razem okazało się, że lepiej byłoby w hotelu.

Mały mieszkaniec rzeki Sangke

Bartek rzuca się biegiem za złodziejami. Zatrzymuje jakiegoś mężczyznę na skuterze i zaczynają pościg.

Zostajemy z mamą same na środku drogi. Mama martwi się o Bartka.

– Przecież nie pojechał sam, na pewno dadzą sobie radę, Bartek nie zrobi nic głupiego – usiłuję przekonać mamę, ale przede wszystkim siebie.

Co robić? Jechać na policję? Na razie czekamy na ulicy. Po jakichś dwudziestu minutach podjeżdża do nas mężczyzna, z którym Bartek gonił złodziei. Zbiera się tłumek. Wszyscy krzyczą i wymachują rękami, robi się zbiegowisko. Chyba mówią, że złodziej został złapany, ale niezupełnie rozumiemy.

– Gdzie jest Bartek? – usiłujemy wyciągnąć z nich podstawową informację. Jeden tuk-tukarz wygląda rozsądnie. Odciągam go na bok i jeszcze raz pytam, czy coś wie.

– *Ju-la-ki, hazbent kecz him. Hazbent on polis nał!*

Zatem pakujemy się do tuk-tuka i każemy jechać na policję. Wiezie nas i wiezie, w coraz ciemniejsze zaułki...

– Gdzie ta policja? – zaczynamy się denerwować, czy przypadkiem to nie jakieś kolejne oszustwo.

– *Not far, not far.*

Na wszelki wypadek, gdyby się na przykład okazało, że zamiast na posterunek trafimy w ciemną uliczkę, gdzie koledzy tuk-tukarza obrobią nas do reszty, dyskretnie chowam w bieliznę kartę kredytową i większość pieniędzy, zostawiając w portfelu dla zmyłki kilka dolarów. Ale nie, w końcu jest posterunek.
A dokładnie ciemna rudera z dwoma umundurowanymi mężczyznami i kilkoma innymi obwiesiami w rozchełstanych koszulkach, przypominającymi bardziej kumpli Pol Pota niż policjantów. Za to nie ma Bartka...

– Gdzie Bartek?!

– *Ju-łejt-hir, hi-kams-sun* – tłumaczą.

Nagle mama Bartka pokazuje chłopaka przypiętego kajdankami do motocykla.

– Marta, to chyba ten złodziej, poznaję, faktycznie go złapali!

Po piętnastu minutach nerwowego czekania przyjeżdża Bartek. Pojechał po nas do hotelu, żebyśmy się o niego nie martwiły.

– Dopadam tego gościa ze skuterem i filmowo zwracam się do niego: *Follow this bike!* – opowiada. – Złodzieje oddalają się szybko, więc cały czas poganiam mojego szofera! Aż mu niechcący

podarłem przy tym koszulkę... Złodziei uciekających na motorze jest trzech, nas na jednostce pościgowej dwóch. Jest trochę pod górkę, więc jako lżejsi mamy przewagę i powoli ich doganiamy. Są jakieś trzysta metrów od nas. Nagle skręcają w prawo w ciemną uliczkę za bazarem. My za nimi. Widzę ich światła tylko przez jedną, może dwie sekundy, bo ponownie skręcają w prawo. Zakręt i znowu ich widzimy. Chyba trochę odpuścili, bo jesteśmy znacznie bliżej. Kolejny skręt w lewo i wjeżdżają na wielki, pusty plac, oświetlony tylko przez palące się hałdy śmieci. Wyraźnie zwalniają, poczuli się bezpiecznie. Zajeżdżamy im znienacka drogę. Jeszcze w biegu zeskakuję ze skutera i lecę do nich. Na nogach mam obuwie pościgowe typu klapek japoński *made in India*, lekko zużyty. Dopadam ich i nie zastanawiając się, lutuję ostatniemu pacjentowi w gębę. Chyba dosyć mocno, bo ich motor aż walnął o ziemię. Koncentruję się na jednym złodzieju, którego udało mi się dopaść, gdy tymczasem drugi ucieka. Trzeci podnosi motor i odjeżdża. Po jakimś czasie przybiegają ludzie. Proszę, żeby ktoś wezwał policję. Złapany złodziej chce się wyrwać, próbuje wszystkiego, zaczyna udawać konwulsje. Dostaje kolejny cios w złodziejski łeb. Zdecydowanie pomaga. Gość leży przyduszony, przybywa policja. Zakuwają go w kajdanki. Jedziemy na posterunek.

Bartek opowiada, a tymczasem podjeżdża motocykl z następnym skutym chłopaczkiem. Policjant dorwał drugiego złodzieja, gdy ten wrócił na placyk sprawdzić, jak sobie poradzili jego koledzy. Niestety torby mamy nie znaleziono. Zniknęła wraz z trzecim zakapiorem.

Każą nam wszystkim przenieść się na inny posterunek, żeby spisać protokoły. Aresztowani jadą z policjantami na motocyklach, przypięci kajdankami do siedzeń. Na drugim posterunku czeka grupka rozleniwionych stróżów prawa na dyżurze. Jeden ze złodziei próbuje coś tłumaczyć, skamląc jak psiak. Na to policjant chlast! – bezceremonialnie strzela go w gębę i poprawia kopniakiem. Cisza ma być! Czekamy z godzinę nie wiadomo po co. W końcu każą nam wracać do hotelu i przyjść jutro rano o ósmej. Podobno złodzieje przyznali się, podali namiary na trzeciego kumpla – może go znajdą? Może odzyskamy paszport?

Noc mija nam raczej bezsennie. Punkt ósma stawiamy się na policji. Przyprowadzają złodzieja w kajdankach. Spisują protokoły – idzie ciężko, bo tylko jeden z policjantów zna trochę angielski. Nadchodzi punkt kulminacyjny: musimy rozpoznać napastnika. Każą Bartkowi stanąć obok złodzieja, wskazać na niego palcem, zrobić minę wyrażającą „to ten", a pan policjant pstryka im zdjęcie telefonem komórkowym – żeby był dowód do akt. To już wszystko. Trzeciego złodzieja nie ujęli. Paszportu nie znaleźli.

Kiepsko. Mama za cztery dni wylatuje. Wobec tego trzeba zacząć organizować dokumenty pozwalające opuścić Kambodżę. Problem w tym, że w Kambodży nie ma polskiej ambasady, najbliższa dopiero w Bangkoku.

Zorganizowanie w tak krótkim czasie *laissez-passer*, czyli dokumentu zastępującego paszport, graniczy z cudem, gdyż ścieżka administracyjna okazuje się wyjątkowo zawiła. Z pomocą przyjaciół w Polsce, po niezliczonych telefonach do ambasady francuskiej w Phnom Penh, ambasady polskiej w Bangkoku, Ministerstwa Sprawiedliwości i urzędu gminy, w ostatnim dniu przed wylotem mamy odbieramy potrzebne dokumenty. Ale to nie wszystko. Okazuje się, że musimy jeszcze załatwić kambodżańską wizę wyjazdową. Jakoś udaje nam się wybłagać, żeby wydali ją w jeden dzień, bo mama za kilka godzin odlatuje.

W samą porę. Zdobyliśmy wszystko, co trzeba. Po załatwieniu formalności idziemy zwiedzić Pałac Królewski w Phnom Penh. Nagle, w momencie gdy płacę przy kasie za bilety, tłumek odciąga mnie w tył i nieomal tracę równowagę. Po chwili okazuje się, że nie mam portfela. Drę się, żeby zamknęli bramy, bo mnie właśnie obrabowano, ale panowie policjanci (tak, tak, Pałac Królewski jest strzeżony, a jakże...) robią głupie miny i ani palcem kiwną. Nie chcą zamknąć bramy, sprawdzić wychodzących. Co więcej, całe zdarzenie zostało nagrane przez zamontowaną przy kasie kamerę. Domagamy się, żeby odtworzyli nagranie. „Szef wyjechał, jest poza Phnom Penh, nie mamy kluczy, nie wiem, nie znam się, zarobiony jestem, *I don't speak English*...". Tak oto wygląda symbioza kambodżańskiej policji i złodziei w zabytkach Phnom

Penh... Na szczęście wiele nie ukradli, ale fakt, że zdarzyło się to właśnie w tej chwili, rozwścieczył nas do reszty.

Cóż, wcześniej czy później musiało nas to spotkać. I nieprzypadkowo zdarzyło się najpierw w turystycznym, nadmorskim Preah Seihanu, a potem w stolicy Phnom Penh. Im większe miasto, im liczniejsi cudzoziemcy, im sławniejszy zabytek, tym poważniejsze ryzyko rabunku czy innych nieprzyjemnych sytuacji. I odwrotnie: wbrew pozorom im większe pustkowie, im spokojniejsza wioska, im ubożsi, lecz mniej anonimowi mieszkańcy – tym bezpieczniej i sympatyczniej. Przez kilka następnych dni jesteśmy przeczuleni, rozglądamy się dookoła, chorobliwie pilnujemy dokumentów i podejrzliwie obserwujemy każdego, kto podejdzie za blisko. Po tygodniu wszystko mija. Zachowujemy podstawowe środki ostrożności: karty i dokumenty chowamy w różnych miejscach tak, aby w razie kradzieży stracić tylko część, staramy się posługiwać drobnymi pieniędzmi, żeby nie budzić zainteresowania grubszym banknotem. Poza tym żyjemy jak przed kradzieżą. Z paranoją pod rękę nie sposób podróżować.

Dwa miesiące odwiedzin, plażowania i zabytków dobiegły końca. Teraz bierzemy się poważnie do realizacji od dawna odkładanych planów.

WIETNAM I LAOS: SŁUCHAJĄC, JAK ROŚNIE RYŻ

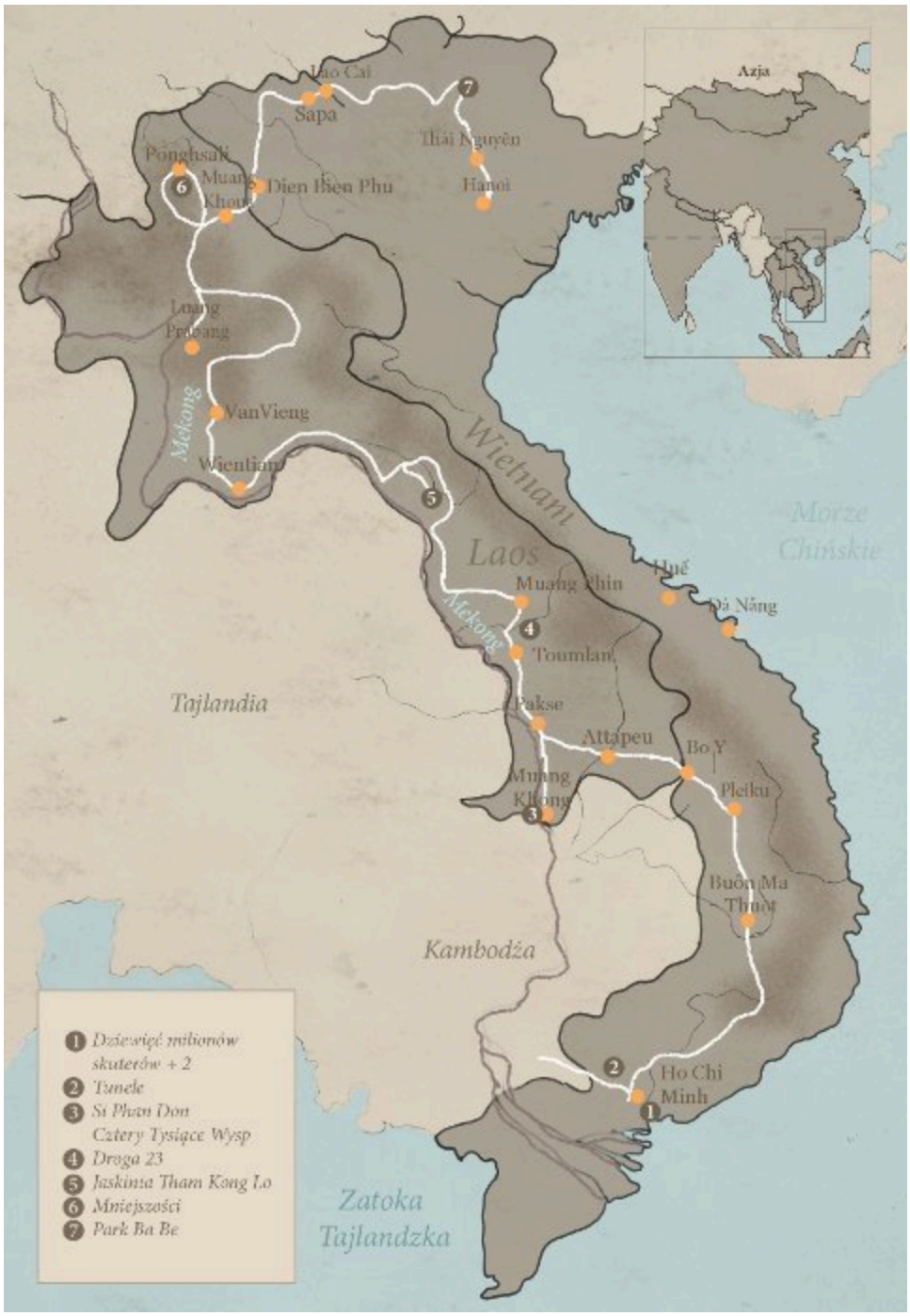

Łapie nas ulewa. Wkładamy peleryny i jedziemy dalej. Burza rozpętała się jednak na dobre, ledwo widać drogę. W końcu poddajemy się i parkujemy nasze świeżo zakupione skutery pod jakąś przydrożną wiatą.

– Jak ci się jedzie? – pyta Bartek.

– Dobrze, tylko wiesz, straszne wertepy.

– Jakie wertepy, ja nic nie czułem? Przecież droga jest płaska jak stół.

– No takie, że aż kierownica lata i trudno ją utrzymać.

– Hmm... Pokaż mi tę twoją rakietę. – Bartek ogląda moją hondę. – Uhmm... A powiedz, od dawna są te wertepy?

– Ze dwadzieścia minut będzie.

Bartek patrzy przerażony.

– Dziewczyno, ty od dwudziestu minut jedziesz z przebitym tylnym kołem...

Od czasu chińskich rowerów elektrycznych ciągle chodziło nam po głowie, żeby kupić kolejny środek transportu. Nie przypuszczaliśmy, że będziemy musieli aż tak długo na to czekać, ale przygoda z gipsem wszystko opóźniła.

Milion skuterów plus dwa nasze, Ho Chi Minh

Podobnie jak w Chinach, chcemy poruszać się tym, czym miejscowi. W południowo-wschodniej Azji na drogach królują małe skutery, o silnikach nieprzekraczających stu centymetrów sześciennych. Jeździliśmy na nich już kilkakrotnie w Tajlandii i Kambodży i było to całkiem sympatyczne. Teraz czas na własny sprzęt. Zamierzamy przejechać na nim Wietnam, Laos, być może także Tajlandię i Malezję. Okazuje się, że nawet gdybyśmy chcieli, w Wietnamie i tak nie można kupić motocykli większych niż sto siedemdziesiąt pięć centymetrów sześciennych. Ciekawe czemu? Może dlatego, że policja jeździ na mniejszych, więc obywatele nie powinni być od nich szybsi?

Operację zakupu skuterów przeprowadzimy w Ho Chi Minh, który najwyraźniej idealnie się do tego nadaje. Po ulicach jeżdżą ich miliony! Prawie w ogóle nie ma samochodów. Przed każdym skrzyżowaniem czeka na swoją kolej stado dwukołowców. Potem

ruszają wszystkie naraz, wpychając się jeden na drugi. Przypomina to bardziej ul niż ulicę.

Zastanawiamy się, jakie skutery kupić: nowe czy używane? Najpierw oglądamy używane. Trudna sprawa, bo okazuje się, że prawie wszystkie sprzęty to stare chińskie podróbki znanych marek. Niektóre mają znak „Homda" czy „Honba", ale w większości skopiowano również nazwę i dealerzy usiłują sprzedać je za cenę oryginału. Wietnamscy mechanicy są mistrzami powierzchownej restauracji motocyklowych trupów i trzeba wprawnego oka, żeby zorientować się, czy to markowy pojazd, czy odmalowana podróba, jak bardzo ma przekręcony licznik (bo że ma, to wiadomo, pytanie tylko: o ile), czy miał wcześniej solidny wypadek i tak dalej. Tym razem zainwestujemy znacznie większą kwotę niż w Chinach, więc i decyzję trzeba podjąć z namysłem.

Gdy dla porównania odwiedzamy salon Hondy, okazuje się, że pięcioletnie motocykle są niewiele tańsze od nowych. Kalkulujemy, że w tej sytuacji chyba lepiej kupić nowe: przynajmniej będziemy mieli pewność, co dostajemy, a poza tym nowe będzie potem łatwo sprzedać. Nawet w dziale z „second-hondami" zauważyliśmy, że oryginalne cieszyły się dużym zainteresowaniem, podczas gdy na podróbki nikt nie zwracał uwagi.

Niezależnie od tego, jakie motocykle kupimy, żeby przekraczać nimi granice, trzeba mieć odpowiednie dokumenty. Sprawa nie jest taka prosta. Wygląda na to, że ciężko będzie zarejestrować je na siebie. Usiłujemy znaleźć jakąś władającą angielskim przyjazną duszę skłonną pomóc z tutejszą papierologią.

W internecie wyszukujemy kontakty do ludzi, którzy się takimi sprawami zajmują, ale niestety tylko w Hanoi, na drugim końcu Wietnamu. Wreszcie jednak pewien człowiek z Hanoi daje nam telefon do swojego znajomego z Ho Chi Minh, który zna angielski i może będzie potrafił coś doradzić. Dzwonimy do niego, mówimy, że jesteśmy Polakami, co by chcieli motocyklami do Laosu, a najlepiej jeszcze dalej...

– *Where are you now*? – pada pytanie po drugiej stronie słuchawki. – Okej, mogę do was podjechać, poczekajcie, będę za jakieś dwadzieścia minut.

I tak poznajemy Kima Linha. Obiecuje, że podzwoni, gdzie trzeba i spróbuje się zorientować w sytuacji.

Po południu dostajemy SMS-a: „Co robicie dziś wieczorem? Może przyjedziecie do mnie na kolację?". Spędzamy przemiły wieczór u rodziny Kima, jego żona przygotowała wspaniałą ucztę.

Niestety następnego dnia Kim potwierdza to, co już wiedzieliśmy: na siebie skuterów nie zarejestrujemy. Jedyne rozwiązanie to zarejestrować je na Wietnamczyka i podpisać z nim umowę sprzedaży, podbić ją w biurze notarialno-policyjnym i przetłumaczyć na angielski u tłumacza przysięgłego. Z tymi dokumentami podobno wyjedziemy z Wietnamu, mimo że maszyny będą zarejestrowane na inną osobę. Postanawiamy nie wnikać w logikę tej procedury, ważne, żeby było dużo kolorowych pieczątek. Kim proponuje, że zarejestruje skutery na siebie. Oczywiście możliwe, że to wszystko przekręt, ale naszemu przyjacielowi dobrze patrzy z oczu, więc postanawiamy mu zaufać.

Machina rusza... Kupujemy skutery! Ostatecznie decydujemy się na hondy Wave Alpha, rakiety po sto centymetrów sześciennych. Razem mamy zatem już dwieście centymetrów. Teraz musimy jakoś dojechać nimi do hotelu. Mam śmierć w oczach. Ulice w Ho Chi Minh to nie jest wymarzone miejsce do rozpoczęcia kariery motocyklisty. Wszyscy jadą, jak chcą i gdzie chcą, trąbiąc do tego wniebogłosy. Wyprzedzają, wpychają się, jeżdżą pod prąd, skręcają nagle i bez ostrzeżenia. Czasem pasażer siedzący na tylnym siedzeniu da znak ręką, że pojazd planuje skręt, ale kierunkowskazu Wietnamczycy używają naprawdę sporadycznie. Do tego wszystkiego dochodzi slalom między ulicznymi straganami i handlarzami. Totalny galimatias, a mimo to nikt się nie zderza, w jakiś magiczny sposób, szóstym zmysłem, antycypują nieobliczalne zachowania pozostałych uczestników ruchu i w ostatnim momencie, gdy zderzenie jest tuż-tuż, robią precyzyjny unik. Należy działać zdecydowanie. Nie można się czaić, czekać na czyjąś uprzejmość, liczyć na to, że nas przepuszczą.

– Poczekaj, jak ja mam wyjechać z tego sklepu na ulicę?!

– Odjazd! – Bartek, nie czekając, rusza w tłum pozostałych motocykli. Cóż robić... Przy skręcie w lewo wydaje mi się, że już na wieki zostanę na skrzyżowaniu. W końcu zagryzam zęby i wśród wycia klaksonów, udając, że nie widzę wszystkich, którzy się na mnie pchają, po prostu ruszam. Podziałało.

Tunel z wojny amerykańsko-wietnamskiej pod Ho Chi Minh

Rejestrujemy skutery na nazwisko Kima. Cała papierkowa zabawa trwa aż dziesięć dni. Na szczęście w tym czasie możemy

jeździć na tymczasowych numerach, dzięki czemu zwiedzamy okolice Ho Chi Minh i czas mija szybko.

Wokół Ho Chi Minh, aż po granicę z Kambodżą, rozciąga się sieć podziemnych tuneli (łącznie około czterystu kilometrów), w których w czasie wojny Wietkong i wspierający Północ wieśniacy stworzyli prawdziwe państwo, podczas gdy teren nad nimi kontrolowała armia Wietnamu Południowego i Amerykanie. Jedziemy obejrzeć te tunele na naszych hondach, które przy okazji przechodzą chrzest bojowy. Przy wejściu do kompleksu jest świątynia buddyjska, upamiętniająca poległych. Wchodzimy do środka – a tu ku naszemu zdumieniu z ołtarza zamiast Buddy uśmiecha się do nas posąg wujaszka Ho... Zanim wpuszczą nas do podziemi, musimy jeszcze obejrzeć propagandowy film o dzielnej dziewczynce, która rzucała granatami w amerykańskie helikoptery. Wreszcie są tunele. Te udostępnione do zwiedzania mają powiększone wejścia. Wejściem pierwotnych rozmiarów może bym się jakoś przecisnęła, ale Bartek, a tym bardziej uzbrojony po zęby amerykański żołnierz, niekoniecznie. Między schronami porozstawiane są pułapki. Konstrukcja jest prosta, acz straszna: drewniana klapa pokryta liśćmi, która odwraca się, gdy się na nią stąpnie, a żołnierz wpada do dołu i nadziewa się na wystające bambusowe szpikulce... Co do samych tuneli – kilka z nich, podobnie jak otwory wejściowe, powiększono do rozmiarów akceptowalnych dla zachodniego turysty. Między tunelami wykopano większe pomieszczenia. Dziś zdobią je umundurowane manekiny północnowietnamskich żołnierzy.

– Chcecie zobaczyć, jak to naprawdę wyglądało? To skręćmy w ten mały korytarz, który nie został poszerzony od czasów wojny.

Wyjście jest za pięćdziesiąt metrów – mówi oprowadzający nas Wietnamczyk i z małpią zręcznością, idąc w kucki, znika w maleńkim otworze. Czołgamy się za nim przez pięć minut. Mężczyzna przemieszcza się w norze tak sprawnie, że po kilku sekundach tracimy go z oczu. Wypełzamy totalnie spoceni, czerwoni, zasapani, coraz lepiej rozumiejąc, dlaczego Amerykanie wycofali się z tego kraju.

Zatem startujemy.

Pierwszego dnia wyruszamy dopiero w południe. Pakowanie zajęło trochę czasu, bo jeszcze nie mamy w tym wprawy. Plecaki umieszczamy na siedzeniach za sobą, dla dodatkowego zabezpieczenia wkładamy je do dużych wodoodpornych toreb. Wszystko przypinamy elastycznymi gumami. Kupujemy zamki, zapasowe dętki i łatki, i oczywiście obowiązkowe kaski.

Średnia przelotowa sześćdziesiąt, siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Po wyjeździe z miasta na drodze robi się trochę luźniej i można przyspieszyć, ale i tak trzeba mieć oczy dookoła głowy. Nigdy nie wiesz, kiedy z naprzeciwka nadjedzie inny motocyklista albo wyskoczy na jezdnię wózek z owocami. Niektóre skutery są tak obładowane, że trudno zrozumieć, jakim cudem w ogóle jadą. Na siedzeniu często tłoczy się nawet pięć osób, kobiety trzymają na kolanach malutkie dzieci. Naszymi faworytami zostali mężczyźni przewożący na dwóch skuterach dwudziestometrową metalową rurę: dwóch jadących na pierwszym skuterze trzymało jeden koniec, a dwóch innych jechało dwadzieścia metrów za nimi i unosiło drugi.

Po dziesięciu dniach walki z wietnamską biurokracją skutery gotowe do drogi. Startujemy!

Mają również charakterystyczny strój: bluza z suwakiem na plecach. Takie rozwiązanie chroni przed wiatrem i palącym słońcem, a jednocześnie z tyłu wentyluje. Kobiety wkładają długie cienkie rękawiczki, niczym od wieczorowej sukni. Nie chodzi tu o ostatni krzyk motocyklowej mody, ale o osłonę przed słońcem. Ja również uzupełniam swój ekwipunek o podobne rękawice.

Mkniemy na północ, ku granicy z Laosem. Jeśli na pierwszym przejściu nas nie przepuszczą, będziemy testować wszystkie następne, aż do skutku.

Wietnamski skuter przewiezie wszystko

Jest upalnie. W trakcie jazdy wiatr miło chłodzi, ale gdy się zatrzymamy, w sekundę robimy się mokrzy. Co kilka kilometrów pod drzewami, w cieniu znajdują się specjalne miejsca postojowe dla strudzonych kierowców: rząd hamaków i budka z zimnymi napojami. Bardzo przyjemnie można w nich rozprostować nogi po wielogodzinnej jeździe.

Mimo ogromnych upałów po południu prawie codziennie leje. Powoli nadciąga pora deszczowa, ale w tych temperaturach deszcz za mocno nie dokucza. Ulewy są przewidywalne i nie trwają dłużej niż dwie godziny, więc łatwo zaplanować dzień tak, żeby za bardzo nie zmoknąć. Oczywiście im wcześniej wystartujemy, tym lepiej. Z tym jednak różnie bywa.

Na obiad często zatrzymujemy się na zupę *pho*. To proste, najpopularniejsze danie można dostać wszędzie. Gdziekolwiek się zatrzymasz: w mieście, na wsi, w przydrożnej budzie – zawsze znajdziesz stragan z *pho*. Jest to rosół z płaskim makaronem ryżowym i kawałkami mięsa. Na oddzielnym talerzu podają limonkę i zieleninę, czyli kiełki sojowe, miętę i kilka innych tajemniczych liści, które należy porwać i wrzucić do gorącego wywaru. Następnie wszystko trzeba zamieszać z dodatkiem odrobiny marynowanego czosnku i kilku kropel sosów o różnej konsystencji. Uzależniamy się od tej zupy. Nie ma dnia bez przynajmniej jednego talerza. Jeżeli nie *pho*, to *nem*, czyli sajgonki. Występują tu w dwóch wersjach: smażone na głębokim oleju lub świeże. Te ostatnie zdecydowanie przypadły nam do gustu. Pewnego dnia trafiamy do baru, gdzie dostaje się zestaw różnych specjałów, które dobiera się wedle uznania i zawija w okrągłą kartkę papieru ryżowego. Kładą przed nami stos zmoczonych arkusików (dzięki temu stają się elastyczne), różne kawałki mięsa, pokrojone na długie cienkie wstążki warzywa, kluseczki ryżowe i kilka sosów. Odrobinę każdego składnika należy położyć na papierze ryżowym, złożyć boki do środka, a następnie całość ściśle zwinąć. Początkowo robimy to niezdarnie, ale szybko nabieramy wprawy. Pychota.

Oczywiście *pho* i sajgonki to tylko maleńki kawałek wietnamskiej kuchni, która jest niezwykle bogata, aromatyczna i różnorodna. Na pierwszy rzut oka nieco podobna do chińskiej, jednak łatwo zauważyć różnicę. Dominują kluski lub ryż z przeróżnymi mieszankami mięs i warzyw. Często dodają do tego sos rybny o silnym, delikatnie mówiąc, specyficznym zapachu.

Początkowo trudno się do niego przekonać. Ogólnie jednak bardzo nam ta kuchnia odpowiada.

W Wietnamie wytwarza się wyjątkową kawę, podawaną w oryginalny sposób

Południowo-wschodni Wietnam słynie również z doskonałej kawy. W głównym mieście tego regionu, Buôn Ma Thuôt, robimy sobie dwudniowy postój, objeżdżając plantacje kawy i chłodząc się w okolicznych wodospadach. Kawa faktycznie okazuje się fantastyczna, o lekko czekoladowym posmaku. Króluje marka Trung Nguyen. Parzy się ją w małych filtrach, stawianych bezpośrednio na szklankach. Ciemny napój kapie do naczynia wypełnionego na dnie słodkim skondensowanym mlekiem. Jak przeleci cały wrzątek, filtr się zdejmuje i można pić. Najwyższa kategoria tej kawy to tak zwany *luwak*. Jak powstaje? Lepiej nie pytać przed spróbowaniem. Otóż dawno temu łaskuny, zwane inaczej cywetami, pożarły plantacje kawy. Ich organizmy nie były jednak w stanie strawić owoców w całości. Wieśniacy znaleźli

w odchodach zwierząt nadtrawione ziarna, obmyli je i postanowili wykorzystać ponownie. Ku ich zdumieniu okazało się, że kawa uzyskana z przetrawionych owoców ma znacznie delikatniejszy i szlachetniejszy smak. Od tego czasu zaczęto celowo wykorzystywać łaskuny do produkcji kawy. Dziś połknięte owoce odratowuje się nie z odchodów, ale... uff, co za ulga – z wymiocin. Prawda jednak jest taka, że w wietnamskich kawiarniach nigdy nam się nie udało dostać luwaku. Paczkę tej kawy kupiliśmy dopiero po dłuższych poszukiwaniach, choć i tak okazała się imitacją: wprawdzie z owoców użytych do jej wytworzenia usunięto cierpki smak, lecz bez pomocy łaskunów. Prawdziwy *luwak* był poza naszym zasięgiem, a jego cena to ponad tysiąc euro za paczkę. Zaparzyliśmy w tradycyjny sposób. Cóż... Smaczna, jak i wszystkie inne kawy Trung Nguyen, lecz różnica nie jest aż tak odczuwalna. Niestety lub na szczęście.

Stopniowo posuwamy się na północny zachód, w stronę Laosu. Przy skrzyżowaniu zrobił się mały korek. Toczymy się powolutku do przodu za wielką ciężarówką, Bartek pierwszy. Nagle rozlega się straszny huk. Patrzę na Bartka – ma minę, jakby dostał obuchem w łeb, rozgląda się tępym wzrokiem... Matko Boska, postrzelili go! Ale nie. Rusza się. Chyba chce coś powiedzieć.

– O kur... – bełkocze.

– Wszystko dobrze? Co to było?! – Widzę, że lusterko hondy jest rozbite w drobny mak.

Jadącej przed nami ciężarówce eksplodowała tylna opona. Dziura na dwie pięści. Jak koło wybuchło, powietrze pod

ciśnieniem wraz z kawałkami opony uderzyło prosto w Bartka, ogłuszając go na kilka sekund i rozbijając przy okazji lusterko. Całe szczęście, że miał zamknięty kask, bo inaczej twarz naszpikowałoby mu odłamkami szkła. A tak tylko kilka nieszkodliwych kawałków utkwiło mu w ręce. Panowie z ciężarówki przepraszają, przywożą nowe lusterko. Schodzi z nas stres. Rozstajemy się w miłej atmosferze.

Poza tą przygodą jedzie się doskonale. Skutery działają bez zarzutu. Często za to łapiemy gumy. Ale to nie problem: wulkanizacje są dosłownie co sto metrów. Majstrowie załatwiają sprawę w kilka minut, bez ściągania koła, kosztuje to około pięćdziesięciu groszy. W razie gumy szybciej przepchniesz skuter do warsztatu, niż wyjmiesz z bagażu narzędzia. Chwila moment i dętka załatana.

Granica z Laosem w Bo Y od niedawna ma status przejścia międzynarodowego. Najpierw Wietnamczycy sprawdzają paszporty. Następnie przechodzimy do drewnianej budki celników wietnamskich. Urzędnik z okienka ma jakieś wątpliwości co do hond, biegnie po szefa. Szef pyta, czy mamy dowody rejestracyjne.

– Mamy, o, proszę, dwa.

– Świetnie, to dobrej drogi życzymy!

– A jakieś papierki dla skuterów, nic nam nie dacie?

– Nie, nie trzeba, jedźcie.

Więc jedziemy. Teraz kolej na Laotańczyków. Widzimy, że inni ludzie idą do domku celników po jakieś papiery. To my za nimi. Przedstawiamy sytuację: mamy dwa własne skutery kupione

w Wietnamie, chcemy nimi przejechać przez Laos do Tajlandii, więc potrzebujemy dokumentu potwierdzającego legalny wjazd do Laosu, żeby nie było potem problemów na granicy tajskiej.

Wjazd do Laosu, nagła zmiana scenerii

– Dobrze, wjeżdżajcie.

– Ale my chcielibyśmy jeszcze papier, na przykład taki – tu pokazujemy zezwolenie na tymczasowy import i przewóz motocykla przez Laos, które znaleźliśmy na jakimś forum internetowym, podobno wymagane przy opuszczaniu Laosu. Oglądają. Czekamy w makabrycznym upale ze trzy godziny. Ostatecznie mówią, że żadnego dokumentu nie wystawią, bo w zasadzie nie można przejeżdżać z Wietnamu do Laosu motocyklem, ale wszyscy i tak to robią, więc żebyśmy sobie po prostu wjechali, pozwiedzali, a potem wrócili do Wietnamu. Jeśli koniecznie chcemy jakiś papier, możemy spróbować szczęścia w urzędzie komunikacyjnym w Attapeu, sto kilometrów od

granicy. Podbijamy paszporty i wjeżdżamy do Laosu. Plan minimum i tak wykonany! Jeśli potem wpuszczą nas do Tajlandii, to świetnie, a jeśli nie, to też dobrze, wrócimy pozwiedzać północny Wietnam.

Po przekroczeniu granicy świat nagle zmienia się nie do poznania. Wszystko wygląda inaczej. Nikt nie trąbi, nie wyprzedza. Jedziemy sto dziesięć kilometrów na godzinę nową, piękną, pustą górską drogą. Po obu stronach las tropikalny. W porównaniu z wietnamskimi drogami to istny raj.

W Attapeu podejmujemy ostatnią próbę wyegzekwowania dokumentów. Zaliczamy chyba z osiem urzędów – od urzędu komunikacji, przez policję, aż po rządowe biuro turystyczne i jeszcze parę innych. Od Annasza do Kajfasza. Każdy kombinuje, jak by tu pozbyć się problemu. Na zakończenie trafiamy do jakiejś placówki celnej.

– Idźcie z tym na policję!

– Byliśmy.

– To do urzędu komunikacji!

– Byliśmy.

– To do urzędu gminy!

– Byliśmy.

Urzędnik ma zatroskaną minę. Gdzieś telefonuje. Wreszcie obwieszcza: nie dostaniemy żadnych pozwoleń, właściwie powinniśmy wrócić do Wietnamu. Wobec tego wychodzimy, postanawiając robić swoje i więcej o nic nie pytać, bo w końcu przez tę nadgorliwość ktoś faktycznie każe nam zawrócić.

Świątynia w Champasak, jeden z nielicznych zabytków Laosu

W Laosie nie ma wielu zabytków i turystycznych atrakcji w tradycyjnym rozumieniu. Miłośnicy świątyń zbudowanych przez Khmerów wybierają Kambodżę, amatorzy plaży i turkusowej wody Tajlandię, pasjonaci historii trafiają do Wietnamu. Dlatego w Laosie nie widuje się zbyt wielu wycieczek.

Buddyjskie świątynie w Luang Prabang

Wśród skromnych zabytków Laosu zdecydowanie króluje jego dawna stolica Luang Prabang. Chwilami odnosimy wrażenie, że więcej tu wspaniałych, pozłacanych buddyjskich świątyń niż zwykłych domów. Po ulicach przemykają pomarańczowo odziani mnisi. Zgodnie z tradycją każdego ranka przechodzą przez miasto w procesji, zbierając jedzenie – teoretycznie ich jedyny posiłek. W praktyce mnichom, zwłaszcza tutejszym, żyje się dziś dostatnio. Dla wielu ubogich mieszkańców jest to najłatwiejsza droga do zdobycia edukacji i podwyższenia statusu społecznego. Luang Prabang to nie tylko stare świątynie. Gorące popołudnie można przyjemnie spędzić w jednej z licznych kawiarenek nad brzegiem Mekongu, obserwując rzeczne życie: barki, rybaków, skaczące do wody dzieciaki, wieczorem zaś zjeść kupioną na ulicznym straganie pieczoną rybę nadziewaną trawą cytrynową albo suszone wodorosty posypane sezamem. Luang Prabang jest

miejscem niezwykłym: bogata buddyjska tradycja w zadziwiająco harmonijny sposób łączy się tu z postkolonialnym, sennym francuskim urokiem i barwnym azjatyckim zgiełkiem.

Zwiedzanie Laosu polega głównie na niespiesznym szwendaniu się, podglądaniu, jak żyją mieszkańcy, podziwianiu przyrody. Najczęściej wybierają ten kierunek ludzie podróżujący niezależnie. Panuje leniwy, hamakowy klimat.

Mnisi obserwują delfiny z Mekongu na granicy laotańsko-kambodżańskiej

Tak jest chociażby na Si Phan Don, czyli Czterech Tysiącach Wysp powstałych na majestatycznej rzece Mekong, przy granicy laotańsko-kambodżańskiej. Wysepek jest faktycznie dużo – od takich dwa na dwa metry, które znikają pod wodą podczas pory deszczowej, po kilkukilometrowe, jak ta, na której się zatrzymaliśmy. Wyspy zmieniają się z roku na rok. Najpierw przyjeżdżali tu autsajderzy, żeby polenić się w hamaku, wykąpać w rzece, posiedzieć kilka dni w ciszy i spokoju, przyjrzeć się życiu

rybaków. Potem zaczęli napływać hipisujący backpakersi, pojawiły się skromne restauracje, zapachniało marihuaną. Biznes się rozkręcał. Dziś na wyspach wciąż jest cicho, ale turystów przybywa. Jeszcze nie ma elektryczności, lecz to kwestia czasu: widzimy, że trwa montowanie przewodów. Za kilka lat będą tu huczały dyskoteki, piwo zastąpią drinki z parasolkami i powstaną eleganckie hotele.

Innym zakątkiem, który podobnie jak Si Phan Don zyskuje coraz większą popularność wśród odwiedzających, jest Vang Vieng. Ale jak ma zachwycać, skoro nie zachwyca? Tu zmiany zaszły już znacznie dalej. Wioska faktycznie położona malowniczo, nad rzeką płynącą wśród pionowych skał. Jednak poza tym to po prostu turystyczne getto w środku Laosu. Nepalski Thamel w wersji mikro. Nieco wymarły, gdyż w przewodniku napisali, żeby nie odwiedzać Laosu w maju, bo za gorąco i zaczyna się pora deszczowa. Niedobitki, które zignorowały przestrogę, to głównie nieprzytomnie pijani obywatele Zjednoczonego Królestwa, którzy bawią się jak na wieczorze kawalerskim w Krakowie. A ci, co już nie są w stanie się bawić, zalegają w kafejce przed telewizorem, oglądając dziesięć razy z rzędu ten sam odcinek serialu *Przyjaciele*. Można też sobie zafundować *happy shake*'a albo zamówić skręta. Są też grzybki halucynogenne zbierane przez miejscowych po drugiej stronie rzeki w okolicach bawolich placków. I oczywiście *tube-ing*, czyli spływ rzeką na traktorowej dętce, od baru do baru. Aż strach pomyśleć, co tu się dzieje w sezonie.

Rybak z Si Phan Don

Jednak większość kraju wciąż zachowała swoją tożsamość. Życie toczy się dawnym rytmem, a turyści są jedynie gośćmi. Któregoś dnia usłyszeliśmy o niedawno odkrytej dla zewnętrznego świata jaskini Tham Kong Lo. Podobno jest jedną z najdłuższych na świecie. Rzeka wpływa pod kilkusetmetrową, pionową skałę i przedziera się przez nią ogromnym podziemnym korytarzem całe siedem kilometrów, żeby wypłynąć po przeciwnej stronie. Przeprawa łódką zajmuje prawie godzinę. Ciemności, tylko co pewien czas mijamy czółna wypakowane tubylcami z towarem, kozami, krowami. Chociaż od czasu do czasu zaplącze się tu jakiś zwiedzający, nikt na niego specjalnie nie zwraca uwagi. Jaskinia jest przede wszystkim szlakiem transportowym między oddzielonymi górą wioskami. W powrotnej drodze nasza łódź nagle się zatrzymuje. Utopiliśmy śrubę napędową. Nasi przewoźnicy zaczynają poszukiwania: jeden z lampą górniczą na czole nurkuje po śrubę na dno jaskini, a drugi stoi na powierzchni i trzyma mu akumulator od tej lampy. Ciekawe rozwiązanie.

Wprawdzie dalibyśmy radę wrócić z prądem, ale właściciele łódki przez pół godziny ambitnie nurkują, chcąc odzyskać cenną śrubę. Poddają się dopiero, gdy nadpływa inna łódka, która bierze nas na hol.

Wioska na północy Laosu, przy drodze pomiędzy Muang Kham a Sop Nat

Ważenie białasa

Laozabawki

Najpiękniejsza okazała się północna część Laosu, prawdziwy skuterowy raj. Zakręty, po obu stronach zielone góry, wioski, w których czas się zatrzymał, machające na powitanie chmary dzieciaków. Ta część kraju została jednak w latach siedemdziesiątych silnie zbombardowana przez Amerykanów i gdzieniegdzie ciągle jeszcze można spotkać niewybuchy. Wprawdzie ekipy saperów od lat oczyszczają teren, ale są jeszcze miejsca, gdzie trzeba chodzić tylko po specjalnie oznaczonych ścieżkach. Mieszkańcy często ustawiają szczątki bomb przy drodze niczym pomniki, czasem przekształcają je w swoiste rzeźby, a nawet robią z nich łodzie czy koryta dla zwierząt.

W okolicznych górach mieszka wiele mniejszości narodowych, które zachowały swoje odwieczne stroje i zwyczaje. Spotkania z nimi są zwykle bardzo sympatyczne. Początkowo zachowują się

nieufnie, ale po chwili udaje się rozładować napięcie. Raz tylko trafia się niemiła niespodzianka. Przystajemy przy przydrożnym straganie, żeby kupić coś do picia. Sprzedawca zaaferowany ogląda nasz aparat – tajemnicze urządzenie w postaci zoomu zupełnie go rozbroiło. Żartujemy sobie, że my tacy wielcy, a Laotańczycy maleńcy (rzeczywiście, Azjaci w porównaniu z Europejczykami wyglądają na niedużych), następnie na potwierdzenie wśród salw śmiechu stajemy kolejno na sklepowej wadze. Po chwili nadciąga grupa kobiet w tradycyjnych strojach, na głowach mają czapy z ponaszywanymi monetami. Panie, zupełnie nieonieśmielone, dają do zrozumienia, że też chcą fotkę. Świetnie, ustawiajcie się! Ale szefowa grupy pokazuje na naszyte na czapce monety. Panie, najwyraźniej doświadczone w postępowaniu z turystami, chcą sprzedać swoje zdjęcie.

W swoim czasie wielokrotnie dyskutowaliśmy ze sobą i z innymi ludźmi o zjawisku „fotki za pieniądze", pojawiającym się w krajach uznawanych za egzotyczne. Wielu przyjezdnych nie ma

nic przeciwko temu i są gotowi rozdać monety, żeby później móc w domu pochwalić się spotkaniem z „dzikimi”. Niby nic w tym złego, a jednak tego nie lubimy. Z jednej strony rozumiemy, że dla miejscowych, zwykle ubogich ludzi, to forma zarobku, z drugiej jest to nieprzyjemne. I nie chodzi o pieniądze, bo żądane kwoty są niewielkie, ale o niemiłe uczucie, że uczestniczymy w maskaradzie. Że ci ludzie nie są sympatyczni dlatego, że miło nam się razem spędza czas, ale dlatego, że chcą coś sprzedać. Paniom z monetami na czapkach uprzejmie dziękujemy.

Kuchnia laotańska jest taka jak ten kraj: prosta, lecz smakowita. Przypomina w pewnym stopniu kuchnię wietnamską, lecz daleko jej do tamtejszej wirtuozerii. Bazą niemal każdego posiłku jest słodkawy, lepki ryż serwowany w słomkowym koszyczku. Je się go rękami, formując w palcach niewielką kulkę. Do tego kawałek mięsa lub – równie często – słodkowodna ryba. Można też dostać sałatkę z siekanej gotowanej wołowiny, tak zwaną *laap*, podawaną wraz ze stertą świeżych ziół. Wszystko to należy popić piwem Beerlao.

Tu, na północy kraju, spotyka nas najdziwniejsza kulinarna przygoda. W miasteczku Phongsali na boisku trwa lokalny jarmark. Składa się z trzech działów: bazaru, piwiarni pod namiotami i kasyna. Przy kilku stolikach ludzie grają w ruletkę wykonaną z tektury, z podczepionym modelem samolotu w roli wskaźnika, inni w karty, kawałek dalej rzucają lotkami do baloników. Jest wesoło, więc może i my się zabawimy. A co jecie smacznego? Jajka? Dobrze, też poprosimy. Bartek rozbija

skorupkę, a tu chlup! – wyskakuje z niej na talerz brunatnosiny embrion ptaszka... Myśleliśmy, że może zamówiliśmy zepsute jajko, ale nie: sąsiedzi ze smakiem pałaszują niedoszłe kurczaki. Poddajemy się.

Pewnego razu Bartek postanawia wystawić na próbę moją miłość do niego i do hondy. Szperał w internecie po różnych forach i wynalazł przejazd drogą 23, podobno niezapomniane, wspaniałe przeżycie, *just blast*.

Będzie *offroad*...

Pierwszy dzień po żwirze i wertepach, ale spokojnie daje się jechać. Przed nami rzeka. Most najwyraźniej się zawalił... Za to w pobliżu jest pan z tratwą, dzięki czemu sprawnie przeprawiamy się na drugi brzeg. Zatrzymujemy się na odpoczynek w małej wsi. W sekundę zlatują się wszystkie dzieciaki. Obstępują hondy z mieszaniną fascynacji i strachu w oczach. Nieczęsto ktokolwiek tu przyjeżdża.

Pierwszy dzień offroadu zakończony sukcesem. Docieramy do wsi Toumlan. Idziemy coś zjeść. Widzimy, że przed wejściem właściciel usiłuje obrać kokosa. Męczy się potwornie, a efekt marny.

– Daj to, chłopie... Patrz, jak to się robi! – Bartek, wykorzystując afrykańsko-andamańskie doświadczenie, szybko i sprawnie obiera kokosa. Notowania białego człowieka w środkowo-wschodnim Laosie znacząco rosną.

Drugi dzień na drodze 23 zaczął się miło. Nawierzchnia żwirowa, ale całkiem całkiem. Co pewien czas trzeba sforsować

strumyk, bo mosty nie wytrzymały próby czasu. Poza tym da się jechać. Gdzieniegdzie wśród bujnej roślinności powycinane poletka uprawne, mijamy kilka leśnych chałup. Pod jedną z nich kobiety tkają. Warsztat jak za króla Ćwieczka. Prawdziwa podróż w czasie.

Wesoły początek drogi, która istnieje tylko na mapie

Tuż za chałupami droga się pogarsza. A w zasadzie nie tyle się pogarsza, ile po prostu najzwyczajniej się kończy. Zostaje tylko wąska, zarośnięta ścieżynka przez dżunglę. Albo piach po kostki, albo błoto po kolana, albo sterty kamieni, albo krzaki... Co robić, pędzimy dalej po ten *blast* z prędkością pięciu kilometrów na godzinę. Ostatnie deszcze prawie doszczętnie zmyły przejazd. Robi się skwar, jesteśmy głodni, bo ruszyliśmy bez śniadania, uznając, że zjemy coś po drodze w jakiejś wsi. Pierwsza, druga, trzecia godzina, a tu nic – żadnej osady czy chałupy, tylko dżungla dookoła. Jest, delikatnie mówiąc, ciężko. Co kilkadziesiąt metrów

zjazd wśród śliskich głazów, zwieńczony przeprawą przez strumień. W jednej z rzek Bartek gubi swoje słynne indyjskie klapki pościgowe, w których dogonił kambodżańskiego złodzieja. Zastanawiamy się, czy nie zawrócić. Jesteśmy skonani.

Po pięciu godzinach nie wierzymy własnemu szczęściu: wreszcie widać jakieś chałupy! Pić i jeść dajcie, dobrzy ludzie! Zapraszają do środka. Niestety kompletnie nie możemy się porozumieć. Próbujemy ze słownikiem o coś pytać, ale wygląda na to, że niewiele rozumieją nawet po laotańsku albo my niewłaściwe wymawiamy słowa, a oni nie potrafią czytać. Dają nam jednak jeść. Wsuwamy po garści ryżu, zagryzamy bananem i wypijamy po dzbanku mętnej wody niewiadomego pochodzenia. Można ruszać dalej.

Od lewej: przeprawa przez strumień, pertraktacje na piasku pod zburzonym mostem.

W brzuchach wprawdzie lepiej, ale droga niewiele się zmieniła. Jedyne, co nas ratuje – nie pada i wygląda na to, że już dzisiaj raczej nie popada. Gdyby doszedł do tego deszcz, bylibyśmy zgubieni.

Przed zachodem słońca docieramy do dużej rzeki. Most zburzony. Wiedzieliśmy o tym, lecz uznaliśmy, że znajdziemy jakąś przeprawę. I faktycznie – pojawia się mężczyzna z czółnem. Po kilkuminutowych pertraktacjach przeprowadzonych na piachu przy użyciu patyka wsiadamy do chybotliwej łódki. Skutery przyczepiamy gumami do mocowania bagaży, a łódkowy, brodząc po pachy w rwącej wodzie, pcha ten kram na drugi brzeg. Konstrukcja groźnie się huśta, łódka robi raz to, co chce Laotańczyk, a raz to, co chce rzeka. Udało się. W ostatnich minutach dziennego światła wjeżdżamy wreszcie na żwirową drogę! Po jedenastu godzinach jazdy dojeżdżamy do celu –

miasteczka Muang Phin. Mięśnie bolą tak, jakby ktoś w nie wbijał gwoździe. Pokonanie zaledwie siedemdziesięciu kilometrów zajęło cały dzień. Najwyraźniej nasi informatorzy byli tu w porze suchej... Mamy jednak satysfakcję z przejechania najtrudniejszego jak dotąd odcinka.

Po tej przeprawie przez cały dzień leżymy w hostelu i umieramy. Jedyna nasza aktywność to zakup nowych laoklapek dla Bartka.

Skończył nam się Laos. Odwiedziliśmy prawie wszystkie interesujące nas zakątki tego kraju. Może to kwestia hond, które wiozą nas, gdzie tylko chcemy, może pustych i ciekawych dróg, może uroczych, wiecznie roześmianych i bezproblemowych ludzi – faktem jest, że Laos to jeden z najprzyjemniejszych punktów dotychczasowej podróży. Nadal istnieją tu miejsca, w których można zapomnieć o rozpędzonej i konsumpcyjnej zachodniej cywilizacji, przenieść się w czasie. Francuzi, opisując swe kolonie, zwykli mawiać, że Wietnamczycy uprawiają ryż, Kambodżanie się przyglądają, a Laotańczycy słuchają, jak rośnie. Taki właśnie jest Laos. Spokojny, cichy, uśmiechnięty i zamyślony, zdystansowany wobec reszty świata. Lecz czas ucieka i zbliża się spotkanie z przyjaciółmi, na które musimy zdążyć. Po długiej dyskusji podejmujemy decyzję o powrocie do Wietnamu. Gdybyśmy pojechali przez Tajlandię i Malezję, musielibyśmy dzień w dzień jedynie „robić kilometry", bez szansy na postój, rozejrzenie się po okolicy. Takie podróżowanie traci cały urok. Do tego dochodzą nas

wieści, że na południu na dobre zawitała pora deszczowa. Postanawiamy zatem objechać północny Wietnam.

Błotnistą drogą międzynarodową kategorii drugiej, poprzecinaną małymi rzeczkami i strumieniami, docieramy do granicy laotańsko-wietnamskiej w Dien Bien Phu. Ruch raczej mały. Podjeżdżamy na motocyklach do okienka. Pan sprawdza paszporty. Kartkuje, wzdycha. Mamy wrażenie, że szuka powodu do draki.

– Wasze paszporty są w porządku... – mruczy pod nosem zmartwiony. – Ale złamaliście przepis! Widzicie tamten znak stopu? Powinniście tam zaparkować skutery, zamiast podjeżdżać na nich do okienka!

Śliska i błotnista droga do granicy laotańsko-wietnamskiej

Wybałuszamy oczy. Przecież wcześniej z dziesięć minut staliśmy przed tym znakiem stopu, ale na zewnątrz budynku nikogo nie było, więc podjechaliśmy do okienka.

– Nie, nie. Złamaliście przepis – mężczyzna upiera się przy swoim. – Musicie zapłacić karę! Od znaku stopu do okienka jest piętnaście metrów. Po dwa dolary za każdy metr wykroczenia od skutera! Piętnaście razy dwa daje pięćdziesiąt dolarów od głowy!

Nie wnikając w jego matematykę, bo po trzydzieści też nie zapłacimy, robimy smutne miny i tłumaczymy, że my turyści, nie wiedzieliśmy, przepraszamy, i tak dalej. Po wielu wcześniejszych doświadczeniach z urzędnikami wiemy, że awanturą niczego się nie wskóra, lepiej brać ich pod włos. Pan kiwa głową.

– Dobrze, to obniżę wam do stu tysięcy kipów.

Czyli po sześć dolarów od każdego. To już lepiej. Targujemy się dalej, ale jest nieugięty. W końcu uznajemy, że lepiej zapłacić mandat, niż się awanturować i doprowadzić do tego, że przyczepią się do hond. Płacimy. Dostajemy nawet pokwitowanie. I wtedy przychodzi celnik.

– A taki dokument macie? – Mężczyzna pokazuje kwit na tymczasowy import pojazdu, o który bezskutecznie błagaliśmy przy wjeździe.

– Panie, ja o ten dokument przez trzy godziny walczyłem na granicy!!! Powiedzieli, że to dają tylko na samochody!!! – eksploduje Bartek. Celnik chyba się orientuje, że już więcej pieniędzy od nas nie wyciągnie.

– Dobrze, dobrze, jedźcie, miłego dnia...

Teraz do kontroli wietnamskiej. Skoro zwykle mili Laotańczycy zgotowali nam takie pożegnanie, wolimy nie myśleć, co będzie u Wietnamczyków. Nastawienie bojowe, przewrażliwieni stajemy pięćdziesiąt metrów od budki. Ale Wietnamczycy od razu wołają, żebyśmy podjechali. Nie dowierzamy im. Dla pewności gasimy

silniki i prowadzimy skutery. Jak paranoja, to paranoja. Jednak tym razem jest miło i sympatycznie, panowie są zdaje się odrobinę podchmieleni. Przechodzimy badanie medyczne – łącznie z mierzeniem temperatury w uchu, bo chcą sprawdzić, czy przypadkiem nie przywozimy świńskiej grypy.

Znowu jesteśmy w Wietnamie! Po dziesięciu kilometrach świat nagle się zmienia. Bogatsze domy. Tłok na drodze. Wszyscy trąbią nie dlatego, że coś się dzieje, ale dlatego, że mają klakson. Jeżdżą pod prąd, wpychają się... Zdążyliśmy już zapomnieć, jak się tu jeździ, trzeba się będzie na nowo przestawić. Dien Bien Phu to miejsce, gdzie Wietnamczycy w 1954 roku zadali ostateczny cios kolonialnej potędze Francji. Można obejrzeć francuskie czołgi, cmentarze poległych, wzgórza z okopami, na których toczyły się najcięższe walki. Stacjonujący tu Francuzi nie wierzyli, że Wietnamczycy będą zdolni przewieźć ciężką broń przez otaczającą miasto dżunglę i zaatakować twierdzę. Ale oni nadludzkim wysiłkiem, krok po kroku, przetransportowali cały sprzęt. Absolutny hit to rower bojowy, który był w stanie przewieźć przez tropikalny las aż trzystuczterdziestopięciokilogramowy ładunek.

Niestety tu mamy do czynienia z jedyną w Wietnamie próbą oszukiwania. Pani w hotelu rano nie pamięta, że cena za nocleg, jaką podała, była dwa razy niższa od tej, której żąda teraz, w barze domagają się innej kwoty, niż to wynika z karty, albo doliczają dodatkowe pozycje do rachunku. W Dien Bien Phu najwyraźniej do dziś wierzą, że Europejczyków można wykiwać.

Wietnamczycy są bardzo dumnym narodem. Mówią o sobie, że to oni wyswobodzili Azję Południowo-Wschodnią od Francuzów, zwyciężając pod Dien Bien Phu, wypędzili do domu Amerykanów, pokonali Chiny. Któż zatem mógłby się z nimi równać? Trzeba też przyznać, że są niezwykle szybcy, energiczni, wydajni, ambitni, zdolni do nieprawdopodobnych poświęceń i ciężkiej pracy. Mało który Europejczyk byłby w stanie dorównać im pod tym względem. Wspominamy Wietnamczyków bardzo ciepło. Zanim przyjechaliśmy do Wietnamu, słyszeliśmy od wielu turystów złe opinie o jego mieszkańcach. Że pazerni, interesowni, nieprzyjemni, oszukują. Nasze odczucia były zupełnie inne. Na każdym kroku, poza jednym wyjątkiem, który zdarzył się w Dien Bien Phu, spotykaliśmy życzliwych, uczynnych, przesympatycznych i interesujących ludzi, na czele z nieocenionym Kimem, dzięki któremu zorganizowaliśmy skutery i z którym do dziś utrzymujemy kontakt.

Górzysty północny Wietnam to, podobnie jak sąsiedni Laos, teren zamieszkany przez liczne mniejszości narodowe. Przejeżdżając przez góry, często mijamy „gaździnki” w kolorowych fartuszkach i ciekawych nakryciach głowy. Jedna grupa czeka na przystanku, na którym się zatrzymaliśmy. Wesołe panie zerkają na nas, o czymś gadają między sobą, zaśmiewając się. Zaczynamy się wygłupiać. Przejmują nasze hondy, po czym wśród pisków i krzyków zaczynają je testować. Kończy się na wspólnej motocyklowej sesji fotograficznej, tym razem bezpłatnej. Obiecujemy wywołać i wysłać zdjęcia, kiedy dojedziemy do Sapy.

Sapa, słynny górski kurort, wygląda tak jak wszystkie górskie kurorty na świecie. Na tutejszych Krupówkach góralki w ludowych strojach sprzedają pamiątki. O proszę, nawet mają drewnianego Jezuska! Zaczynamy rozglądać się za oscypkiem...

Niestety trafiamy na fatalną pogodę. Sapa przez cały nasz pobyt pogrążona jest w wielkiej mokrej chmurze. Wyjście w góry musimy sobie odpuścić.

Na pożegnanie Wietnamu postanawiamy przejechać przez Park Narodowy Ba Be, drogą numer 279. Jak wiemy z doświadczenia, drogi, których numer zawiera 2 i 3, bywają trudne (droga 321 w Chinach, droga 23 w Laosie). Ale tym razem jest tylko dwójka, więc spokojnie ruszamy w trasę. Początek uroczy – Wietnam w wersji laotańskiej: puste, wiejskie drogi, drewniane chałupy. Drugiego dnia kończy się asfalt, ze trzy godziny brniemy przez

bagnisko. Wreszcie po południu pojawia się normalna droga. Do celu zostało około sześćdziesięciu kilometrów. Teraz już powinno pójść łatwo. Zjadamy zupę i mkniemy dalej. Nagle wyrasta przed nami tama, której nie ma na mapie.

– Do Ba Be to tędy? – upewniamy się. Potwierdzają, więc jedziemy prosto. Po niedługim czasie droga się kończy i wpada do jeziora. W miejscu, gdzie na mapie wiedzie droga 279, płynie teraz woda. Okolica została zalana po zbudowaniu tamy. Zaraz zajdzie słońce. Jesteśmy potwornie zmęczeni. Co robić, pakujemy motocykle na łódkę i płyniemy. Po półgodzinie przybijamy do brzegu, tuż przed wodospadem.

Kto dla kogo jest większą atrakcją? Zapisywanie adresu, obiecujemy wysłać wspólne zdjęcia

– Ba Be?

– *Yes*, Ba Be.

Z trudem wprowadzamy hondy na stromy i śliski brzeg. Bartek trzyma kierownicę i dodaje gazu, właściciele łódki pchają z tyłu, błoto chlapie na wszystkie strony, po chwili wszyscy są brudni po zęby. Nareszcie wjeżdżamy na betonową ścieżkę. Ruszamy, a tu biegnie jakiś chłopak, wykrzykując:

– Ba Be? Musicie wziąć łódkę!

Chyba żartuje, przecież już płynęliśmy łódką do Ba Be.

– Nie, ta ścieżka zaraz się kończy, jak chcecie do Ba Be, musicie zapłacić za następną łódkę – i rzuca astronomiczną cenę. – Prędko się decydujcie, bo już po zachodzie słońca, jak teraz nie wyruszymy, to dziś was nie zabiorę.

Oczywiście próbujemy negocjować, lecz nasza pozycja jest, jak by to powiedzieć, nie najlepsza. Szybka decyzja: trochę zbijamy cenę i płyniemy.

Po przeprawie przez zalew wprowadzamy hondy na stromy i śliski brzeg

Zapada zmrok. Jest niemal mistycznie, jakbyśmy wpływali do krainy czarów. Nad głowami księżyc w pełni, po górach i rzece przesuwają się tajemnicze cienie. Na obu brzegach migoczą miliony świetlików. Zaczyna się unosić mgła. Aż ciarki przechodzą, tak pięknie. Tu muszą błąkać się duchy zmarłych... Wielu Wietnamczyków wierzy, że jeśli ciało zmarłego nie zostanie pochowane, dusza tuła się zawieszona między życiem a śmiercią. W trakcie wojny amerykańskiej miliony ludzi zginęły w nieznanych okolicznościach. Ich rodziny nie mogą zaznać spokoju, póki nie ustalą, co stało się z ciałem i nie złożą go do grobu. Zwracają się więc do jasnowidzów, którzy pomagają odnaleźć szczątki utraconych krewnych.

Po godzinie wysiadamy. Są jakieś domki, napis „Ba Be National Park".

Głównym punktem parku jest naturalne, zielone jezioro otoczone wapiennymi górami porośniętymi tropikalnym lasem, pełnymi jaskiń i wodospadów. Góry odbijają się w nieruchomej tafli wody, wkoło krążą barwne motyle. Wieśniacy pracują na maleńkich poletkach, przy brzegu zaś uwijają się rybacy. Jest cicho i spokojnie, co nieczęsto się zdarza w hałaśliwym i zwykle gęsto zaludnionym Wietnamie. Warto było się namęczyć, żeby tu dotrzeć.

Na dzień przed planowanym przyjazdem do Hanoi umieszczamy ogłoszenie o sprzedaży hond na internetowym forum obcokrajowców mieszkających w tym mieście, poleconym przez nauczycielkę angielskiego, którą spotkaliśmy w Ba Be. Telefon się

rozdzwania. W efekcie, wjeżdżając do miasta, mamy już umówionych kilka spotkań z potencjalnymi nabywcami.

Spotykamy się z nimi, pokazujemy skutery, negocjujemy. Między spotkaniami wałęsamy się po upalnym, wilgotnym, zatłoczonym i gwarnym Hanoi. Mimo że zwykle wolimy naturę niż miasta, Hanoi nas urzekło. To miejsce, do którego chce się wracać. Wąskie, kolorowe ulice pełne odrapanych postkolonialnych kamienic, miliony tanich barów z pysznym jedzeniem. Co krok kawiarnie. Owszem, nieco inne niż w Paryżu, ale za to z niedrogą, wyśmienitą kawą.

Na każdym rogu królują *bia hoy*, czyli po prostu uliczne piwiarnie. Przy stolikach o każdej porze dnia i nocy tłumy ludzi piją świeże piwo po złotówce za kufel, zajadając do niego różne smakowite przekąski. Kelnerzy uwijają się z zimnymi kuflami i odhaczają na serwetkach liczbę przyniesionych piw. Jak w czeskich knajpach. Podobno to zresztą od Czechów nauczyli się warzyć piwo.

Ostatecznie sprzedajemy hondy z niedużą stratą. Rozsmakowaliśmy się w takim podróżowaniu. Bartek zaczyna mnie urabiać, żebyśmy w przyszłości spróbowali czegoś nieco większego. Kiedyś byłam zdecydowaną przeciwniczką motocykli, ale kto wie, kto wie?

Teraz jednak czas na zupełną zmianę scenerii...

WYSPY PACYFIKU: ATOMOWY RAJ

Rozstawiamy namioty przy pustej, ustronnej plaży, w cieniu palm. Przed nami rozciąga się widok na krystaliczne morze i sąsiednią wysepkę. Tak właśnie powinna wyglądać wyspa

idealna, niczym wzór z Sèvres: skupisko zielonych palm otoczone białym piaskiem i turkusową wodą.

Musimy tylko mieć się na baczności, żeby przypadkiem kokosy nie spadły nam na głowę. Jest tak gorąco, że co chwila schładzamy się w morzu. Jednak woda również ma około trzydziestu pięciu stopni i na długo taka kąpiel nie wystarcza... Ktoś idzie... To miejscowy rybak, który mieszka nieopodal. Właśnie wraca z podwodnego polowania z kuszą. Niesie ryby. Podchodzi i wręcza je nam.

– *How much*? – pytamy.

– *Five*.

– *Five dollars*? – upewniamy się. To dobra cena jak na tyle białego mięsa. Na to rybak zdumiony zaprzecza:

– *Five fishes*! *Gift*!

I jak tu nie uwierzyć, że trafiliśmy żywcem do raju...

Zbliża się czas kolejnej wizyty przyjaciół. Miejsce spotkania nietypowe: atol Majuro na Wyspach Marshalla. Dlaczego tam? Wszystko z powodu kolejnego, najdłuższego w tym stuleciu zaćmienia Słońca...

Zamierzaliśmy dopłynąć na Wyspy Marshalla jachtostopem, jednak mamy pecha: nadszedł sezon tajfunów i wszystkie jachty przez najbliższe miesiące będą stać w porcie. Statki handlowe rzadko odwiedzają tamte strony, a te, które znaleźliśmy, nie chcą brać pasażerów. Zostaje nam tylko podróż samolotem. Długo zastanawiamy się, czy w tej sytuacji warto poświęcić tak znaczną część naszych funduszy, żeby dostać się do Majuro. Jedyną linią,

która tam lata, jest Continental Airlines. Ostrzegają nas, że lot będzie długi i żmudny, bo samolot ląduje po drodze kolejno na wszystkich większych wyspach Mikronezji.

– A czy można by zrobić tak, żebyśmy mogli się zatrzymać na każdym z tych atoli i kontynuować podróż dopiero po pewnym czasie? – pytamy nieśmiało, bo to byłoby zbyt piękne.

– Ależ oczywiście, nie ma problemu.

Okazuje się, że w ramach jednego biletu możemy sobie zafundować dwumiesięczne zwiedzanie kilku atoli na północnym Pacyfiku, swobodnie i bez dodatkowych opłat żonglować datami kolejnych przelotów. Skoro tak, kupujemy bilety.

Lecimy na zależną od Stanów Zjednoczonych wyspę Guam. To popularne miejsce wypoczynku Japończyków i ceny też są w standardach japońskich. Główne miasto miejscowi nazywają Małym Tokio. Poza tym na wyspie mieszczą się amerykańskie bazy wojskowe. Większość mieszkających na Guamie Amerykanów to żołnierze na kilkuletnich kontraktach. Mają tu między innymi samoloty B-52, ale oficjalnie nikt nie wie, czy trzymają też głowice nuklearne. Mieliśmy odebrać tutaj paczkę z Polski z naszym sprzętem nurkowym. To być może jedyna w życiu okazja, żeby odwiedzić dalekie atole Pacyfiku, więc chcemy nurkować, ile się da. Niestety przesyłka się spóźnia i jesteśmy zmuszeni spędzić na Guamie znacznie więcej czasu, niżbyśmy sobie tego życzyli. Na szczęście poza głównym miastem jest tu wiele uroczych, pustych miejsc, zwłaszcza na północy wyspy. Sęk w tym, że nie możemy przedostać się na samą plażę, bo wszędzie wzdłuż niej ciągną się prywatne posesje. Na drodze,

przed tabliczką „Manny's Paradise" stoi starszy pan. Pytamy, czy wie, którędy można dotrzeć do plaży.

– Tędy, zapraszam. Ja jestem Manny.

Tak trafiamy do pierwszego oficjalnego raju na naszej oceanicznej trasie. Miejsce bajkowe. Ławy i grill w cieniu palm, prywatna plaża, biały piasek, turkusowa woda. Manny jest wyspiarzem. Jego dziadek był Portugalczykiem, a babka pochodziła z rdzennie guamskiego ludu Chamoro. Mieszka i nocuje w mieście, ale w dzień przyjeżdża „na działkę". Niezobowiązująco pytamy, czy może wie, gdzie by tu można rozstawić namiot... I tak oto, w oczekiwaniu na naszą ekspresową przesyłkę, instalujemy się u Manny'ego. Całkiem niedaleko, nieomal o rzut krabem, jest najgłębsze miejsce na Ziemi: Rów Mariański.

Następny pacyficzny postój robimy na atolu Truk (Chuuk), należącym już do Mikronezji. To dlatego z takim utęsknieniem czekaliśmy na nurkowy ekwipunek. Na Truk przyjeżdża się bowiem nurkować na wrakach. To spełnienie marzeń każdego nurka. W 1944 roku Amerykanie zatopili tu japońską flotę. Na dnie leży około sześćdziesięciu okrętów wojennych, z działami, czołgami, ciężarówkami, samolotami. Cała laguna jest jednym gigantycznym, podwodnym muzeum Wojny na Pacyfiku. Pokłady statków, gdzie dociera więcej światła, są obrośnięte kolorowymi koralami, a wewnętrzne pomieszczenia zamieszkują miliony ryb i innych morskich stworzeń.

Nocujemy za symboliczną cenę w pomieszczeniu dla pracowników hotelu, a to dzięki pomocy przesympatycznego nowozelandzkiego divemastera. On też podróżował dookoła świata i doskonale rozumie, że nie możemy sobie pozwolić na spanie w hotelu, które w całej Mikronezji są bardzo drogie.

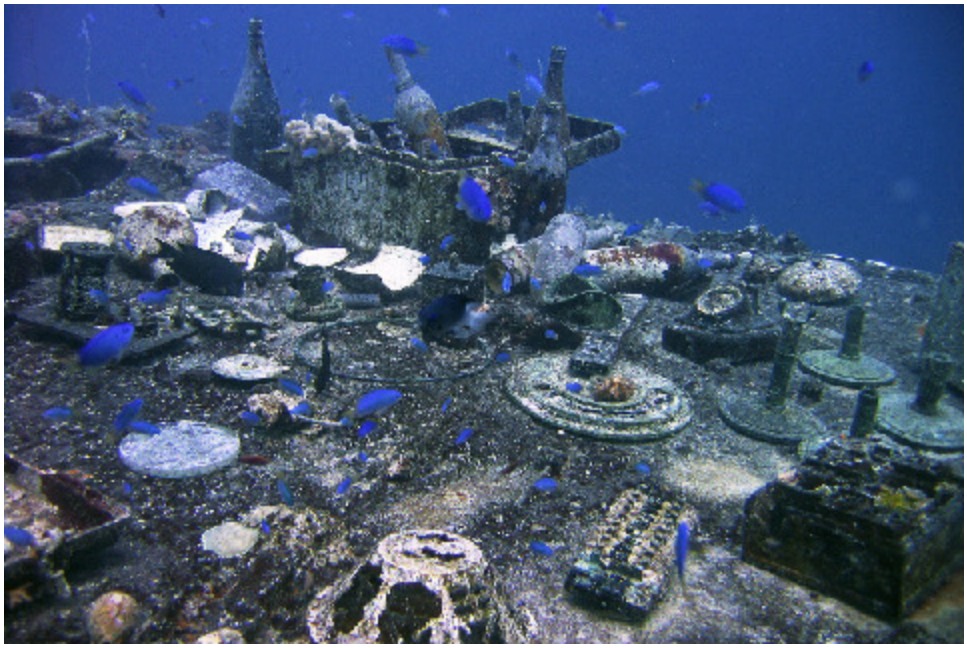

Podwodne muzeum Wojny na Pacyfiku, wyspa Truk

Nurkowanie na Truku to pomysł Bartka – ja byłam przekonana, że nie odważę się wpłynąć do wnętrza okrętów. Jednak podwodna eksploracja wciąga coraz bardziej, zapuszczamy się głębiej i głębiej, od płycej położonych mostków kapitańskich, przez zakamarki maszynowni, wąskie kajuty, aż po myśliwce Mitsubishi Zero, zatopione w dolnych ładowniach na głębokości czterdziestu kilku metrów. Na jednym z okrętów, które odwiedziliśmy, kręcono podobno „archiwalny" początek filmu *Titanic*. Można nawet stanąć na dziobie, na którym miała rozegrać się słynna romantyczna scena...

Z Truku teleportujemy się na kolejną wyspę Mikronezji: Pohnpei. Musimy zorganizować noclegi. W rezultacie po krótkim rekonesansie zakładamy bazę na końcu wąskiego cypla, pod palmową wiatą, u miłej wyspiarskiej rodziny. Wiata okazuje się absolutnym szczytem tutejszej sztuki budowlanej. Brak ścian zapewnia miły przewiew, a gdy pada, rozłożysty dach fantastycznie chroni przed deszczem i silnymi porywami wiatru: bez szwanku przetrwaliśmy solidną burzę.

Kąpiel w wodospadzie, wyspa Pohnpei

Na Pohnpei nie ma białych plaż, za to jej wzgórza pokrywa bujna, przepiękna dzika roślinność. Nic dziwnego, skoro na wyspę spada najwięcej deszczu w całej Mikronezji. Wśród palm i kwiatów ukryte są samotne wodospady, w których można do woli pływać. Co krok natykamy się na pozostałości z drugiej wojny

światowej, ślady walk na Pacyfiku: a to czołg, a to działo zarośnięte trawą. Z krzaków wzdłuż drogi wystają również niestety dziesiątki porzuconych, zardzewiałych wraków samochodów, których nikt nie wywozi, bo się nie opłaca.

Główną atrakcją na Pohnpei są ruiny Nan Madol, kamiennego miasta wybudowanego około XII wieku z heksagonalnych bazaltowych słupów. Nie wiadomo, skąd ten budulec wziął się na wyspie. Ruiny zalewane są przypływami oceanu, w związku z czym trzeba starannie dobrać porę zwiedzania, aby woda nie odcięła drogi powrotnej. Miejsce działa na wyobraźnię. Brodząc po kolana w wodzie wśród namorzynów, zastanawiamy się, jak wyglądało dawne życie tropikalnego imperium, gdzie odbywały się ceremonie i rytuały, jak żyli jego mieszkańcy.

Nasz obóz u wyspiarskiej rodzinki na Pohnpei

Za to nurkowanie na Pohnpei nas rozczarowało. Woda okazała się mętna z powodu częstych deszczów. Manty, osiągające

rozpiętość nawet dziewięciu metrów niesamowite morskie „żaglowce”, z których słyną tutejsze wody, nie chciały się zbliżyć. Widzieliśmy je tylko w trakcie pływania po powierzchni. Spotkanie z tymi olbrzymami to niezapomniane doznanie. Aż trudno uwierzyć, że to przyjacielskie stworzenia.

Kolejny przystanek to Kosrae, naszym zdaniem najpiękniejsza wyspa Mikronezji. Króluje nad nią Finol Finkol, czyli Śpiąca Dama: góra, której grań układa się w kształt leżącej kobiety. Co do atrakcyjności jej wdzięków zdania są podzielone, podobnie jak w kwestii urody tutejszych niewiast. Młode dziewczyny o lśniącej, czekoladowej skórze, długich, kręconych włosach i wydatnych ustach są bez dwóch zdań pięknościami. Jednak szybko po skończeniu dwudziestu lat ich kształty znacznie się zaokrąglają i dawne piękności przeistaczają się w radosne „Panie Kuleczki”. Z dawnej urody pozostaje tylko ciepłe, wesołe spojrzenie.

Panie Kuleczki po mszy, wyspa Kosrae

Większość wyspy pokrywa endemiczny las tropikalny. Niektóre gatunki drzew przetrwały tylko tutaj. Wzdłuż linii brzegowej rozciąga się gąszcz mangrowców, pijących wodę pajęczyną nadziemnych korzeni. Pożyczamy kajak i przedzieramy się slalomem po zarośniętych, wąskich kanałach. Plątanina gałęzi i korzeni tworzy gęste, tajemnicze tunele, pełne ptactwa i owadów.

Wyspiarze są przemili, gościnni i roześmiani. Przed przyjazdem słyszeliśmy, że ponoć są też głęboko religijni, a w niedziele spotykają się w rozbrzmiewających śpiewem kościołach. Okazuje się jednak, że Kościół to największy tutejszy despota, trzymający wszystkich na krótkiej smyczy. W niedzielę trzeba iść na mszę, bo jak nie, to na przykład interes potem będzie ciężko załatwić czy nie dostanie się jakiegoś zezwolenia. Większość – zwłaszcza młodych – przychodzi na niedzielną mszę ewidentnie pod przymusem i ziewając z nudów, kiwa się w ławce. Tego dnia nie wolno nic robić: pikniki, wizyty w barze, nawet kąpiel w morzu są surowo zabronione. Nurkowanie też jest naturalnie wykluczone, więc w zamian robimy obchód wyspy: najpierw spacerujemy wśród kamiennych ruin średniowiecznego miasta, potem idziemy do wodospadu nałapać krewetek. Tak jak nas poinstruowano, zabieramy torebkę foliową, wkładamy do niej trochę mięsnych resztek i czekamy z przynętą pod wodą. Bartek przez dwie godziny brodzi w zimnym strumieniu.

– Już ją prawie miałem! – krzyczy co chwila. Krewetki niestety pouciekały.

Co do nurkowania, Kosrae nie ma żadnej wielkiej podwodnej atrakcji, ale na taką przejrzystość wody, sięgającą pięćdziesięciu metrów, jeszcze nigdy nie natrafiliśmy. Widoczność jest tak idealna, że chwilami aż trudno uwierzyć, że znajdujemy się głęboko pod powierzchnią.

Rok temu rozpoczęliśmy naszą podróż zaćmieniem Słońca w mongolskich górach. Teraz, w lipcu 2009 roku, trafiamy na środek Pacyfiku, na Wyspy Marshalla.

Dziwne to miejsce. Raj na ziemi? Chyba tak. Sceneria jak z podrasowanej w Photoshopie strony tytułowej katalogu ekskluzywnego biura podróży: lazurowe wody, szumiące palmy, białe, piaszczyste plaże, na które jeszcze nie dopłynęły śmieci. Cały rok wyspy ogrzewa równikowe słońce. Nie ma rzek, lecz deszcze padają wystarczająco często, żeby każdy zgromadził potrzebną ilość słodkiej wody, a jednocześnie na tyle rzadko i łagodnie, że nie są dokuczliwe. Nie docierają tu pacyficzne tajfuny. Tradycyjna wyspiarska dieta to kokosy, owoce chlebowca i banany, których nie trzeba uprawiać, wystarczy jedynie po nie sięgnąć. Albo nie, po co się męczyć, jeszcze lepiej zaczekać, aż same spadną. Do tego ryby, ośmiornice i langusty, w które obfitują tutejsze wody.

Las mangrowy, wyspa Kosrae

Jest też jednak ciemna strona raju. To właśnie na Marshallach w latach czterdziestych i pięćdziesiątych Amerykanie wykonali dziesiątki prób nuklearnych. Przed rozpoczęciem testów ludzi przesiedlono z atolu Bikini na znacznie mniejszą i nieurodzajną, a do tego zamieszkaną przez złe duchy wyspę Rongerik, gdzie po niedługim czasie zaczęli przymierać głodem. Większość z nich przesiedlono więc ponownie, na równie nieurodzajną wyspę Kili. Wszystko odbyło się dobrowolnie, za zgodą lokalnych przywódców, którym wyjaśniono, że dzięki ich poświęceniu na Ziemi zapanuje pokój. A potem, po kolejnej eksplozji na Bikini, wiatr powiał w niewłaściwą stronę, spychając radioaktywną chmurę nad Rongerik, ciągle zamieszkaną przez rodziny, które nie zdążyły przenieść się na Kili. Na tropikalne wyspy spadł pierwszy na tych szerokościach geograficznych śnieg, którym bawiły się dzieci. W latach siedemdziesiątych uznano, że skażenie zmniejszyło się

na tyle, aby pozwolić ludziom na powrót. Diagnoza okazała się jednak zbyt optymistyczna, więc rychło zarządzono ponowną ewakuację.

Dziś „cywilizowany” świat stara się zadośćuczynić wyspiarzom za dawne krzywdy. Na Marshalle w ramach pomocy wysyłane są puszki tak zwanego spamu, czyli mielonki, oraz niesprzedane przez święta butelki coca-coli z Mikołajem. Mnożą się tajemnicze projekty pomocy, a misjonarze rozmaitych Kościołów walczą o rząd wyspiarskich dusz.

Zmienia się także tradycyjna marshallska dieta. Świeżą rybę zastępują importowane chemiczne kurczaki. Na obiad hot dog, na deser chipsy...

Marshallski raj

Chińscy przedsiębiorcy na wielkich, nowoczesnych, wyposażonych w helikoptery łodziach wyłapali z wód otaczających główny atol Majuro prawie całą populację tuńczyka.

I jeszcze jedno. Atole tworzące Marshalle są tak płaskie, że jeśli poziom oceanu będzie się podnosił, niebawem znikną z mapy świata.

Lądujemy w Majuro, stolicy Wysp Marshalla. Następnego dnia pędzimy na lotnisko powitać Ulę i Jacka, świeżo upieczoną młodą parę w podróży poślubnej, oraz Podgóra.

Atol Majuro ma dziwny kształt: jest długi na przeszło czterdzieści kilometrów, lecz niezwykle wąski, szerokości nie większej niż sto metrów. Jesteśmy trochę rozczarowani. Zamiast dzikich plaż wokół nas rozciąga się niezbyt ładne, choć w sumie

dosyć nowoczesne miasteczko, z supermarketami, fast foodami, taksówkami. Gorąco i parno. Gdyby nie okrąglutkie, uśmiechnięte czarnookie panie w obszernych, kwiecistych sukienkach, ciężko byłoby uwierzyć, że jesteśmy na środku Pacyfiku.

Wyspy Marshalla z lotu ptaka

Nie ma jednak co narzekać. W końcu Majuro jest dla nas tylko punktem przesiadkowym. Mamy kilka dni, żeby zorganizować transport na jeden z dalszych atoli, przez które przebiega pas całkowitego zaćmienia Słońca.

Szwendamy się po Majuro i rozpytujemy, jak dostać się na inne wyspy. Do obserwacji zaćmienia najlepiej nadają się Jaluit, Kili i daleki Enewatak. Jest opcja awionetkowa, ale po pierwsze: droga, po drugie: samolot w zasadzie już pełny, po trzecie: nie wiadomo, czy w ogóle poleci. Trafiamy do portu.

Po kilku dniach oczekiwania w końcu odpływamy z Majuro

– Czy będzie coś wypływało na dalsze atole?

– Tak, tamten statek. Raz na trzy miesiące robi dwu-, trzytygodniową rundę po południowych atolach. Najpierw dobije do atolu Jaluit, potem do wyspy Kili, dalej do Namdriku, Ebonu i wróci do Majuro...

– A kiedy wypłynie?

– Dziś wieczorem. Chyba. Jeśli zdążymy załadować towar.

Używając całego uroku, na jaki było nas stać w trzydziestopięciostopniowym skwarze, wkręcamy się na listę pasażerów. Kupujemy jedzenie na najbliższe dni rejsu i czekamy. Załadunek odbywa się jednak w wyspiarskim, zwolnionym tempie.

– To co, jest szansa, że statek dziś wypłynie?

– Eee, no raczej nie...

– A jutro?

– Eee, może, chociaż jutro niedziela, a tu ludzie nie są przyzwyczajeni do pracy w niedzielę.

– A w poniedziałek?

– No, w poniedziałek powinien.

Czekanie kilka dni w pełnej gotowości w dusznym, zatłoczonym porcie średnio się nam uśmiecha. Zagadujemy kapitana, a ten proponuje, że zadzwoni do nas na kilka godzin przed wypłynięciem. Umowa stoi. Wobec tego uciekamy na najdalszy kraniec atolu Majuro, rozbijamy pod palmami namioty, taplamy się w wodzie, zajadamy banany, kokosy i owoce chlebowca, pocimy się i czekamy na telefon... I czekamy. I czekamy. W końcu w niedzielę po południu sami dzwonimy do kapitana.

– Załadunek trwa, czekajcie dalej.

W poniedziałek rano znów telefonujemy.

– Jak tam?

– Czekać.

W południe – nie do wiary – dzwoni kapitan.

– Przyjeżdżajcie, wieczorem powinniśmy wypłynąć.

Rejs sponsorowany jest przez Unię Europejską, a podstawowy cel to przewiezienie baterii słonecznych na atol Namdrik oraz kontenera darowanych kurczaków na wyspę Kili. Ale oczywiście przy okazji każdy chce zrobić swój mały biznes i zapakować na pokład trochę dodatkowego towaru czy pasażera. W efekcie wokół statku kłębi się kolorowy tłum, wszędzie piętrzą się sterty paczek, tobołków i skrzynek. Co robić? Nie ma już czasu na takie zabiegi, statek wkrótce odpłynie.

Z naszych obliczeń wynika, że zaćmienie wypadnie na wyspie Kili. I tu pewien kłopot. Wyspa, ze swoją nuklearną spuścizną,

nie jest miejscem, gdzie chciałoby się gościć turystów.

– Nie mogę was zabrać na Kili bez specjalnego zezwolenia. Tam nie można tak po prostu sobie popłynąć – martwi się kapitan.

– Ale skąd mamy je wytrzasnąć?

– Z ministerstwa, od mera Kili.

– Widzicie tego łysawego jegomościa w kwiecistej koszuli stojącego koło motorówki? To jest właśnie mer Kili – podpowiada ktoś, kto przysłuchiwał się naszej dyskusji z kapitanem. Idziemy do mera.

– Musicie mieć zezwolenie potwierdzone przez ministerstwo – nokautuje nas na wstępie.

– Ale nie ma na to już czasu! Czy nie mógłby pan udzielić zgody bez ministerstwa? – nie ustępujemy.

– Hm... No w sumie... – mer drapie się w głowę. – Przyprowadźcie do mnie kapitana.

Pędzimy zatem po kapitana. Mężczyźni coś szepczą, na koniec podają sobie ręce.

– Załatwione – obwieszcza kapitan – wsiadajcie.

Przed zachodem statek wreszcie wypływa. Ludzie porozkładali się po całym pokładzie. Każdy szuka skrawka powierzchni, na którym spędzi kolejne dni rejsu. Wygląda to trochę jak obóz uchodźców. Kurczaki, które przez kilka nadprogramowych upalnych dni czekały w kontenerach na załadunek, zaczynają coraz mocniej dawać o sobie znać.

Metodą małych kroków zakładamy bazę na mostku kapitańskim. Jesteśmy ciekawostką, więc traktują nas w uprzywilejowany sposób. Co godzina zapraszają na jedzenie.

– Może jeszcze trochę kurczaczka? Nie? Dobry kurczaczek, importowany...

Wieczorem rozkładamy legowiska na pokładzie, ale po chwili budzi nas deszcz. Przenosimy maty do środka, wciskamy się między Panią Kuleczkę, jej synka i jeszcze kilku innych spryciarzy, którzy zaanektowali cenne centymetry podłogi na mostku kapitańskim, i tak udaje się przetrzymać noc.

Po południu kolejnego dnia docieramy na Jaluit. Stąd można już oglądać zaćmienie. Statek miał tu zostać przez dzień, dwa, jednak kapitan decyduje, że szybko rozładują towar i jeszcze wieczorem ruszają na Kili. Krótka narada: zostać na Jaluicie czy płynąć dalej? Żałujemy, że nie możemy lepiej poznać wyspy, lecz decydujemy się płynąć. Za bardzo kuszą nas dalsze atole.

Nocą dopływamy do Kili. Statek staje na kotwicy, a po ludzi i towar (w tym rozkładające się kurczaki) podpływa z brzegu łódka. Wysiadamy na plaży. Ciemno. Podchodzi kilku lokalnych policjantów. Traktują nas podejrzliwie, chcą rewidować bagaże. Żądają pozwolenia na pobyt na wyspie, dopytują, czy nie jesteśmy dziennikarzami. Rozmawiamy, tłumaczymy, że przyjechaliśmy obejrzeć zaćmienie Słońca, odpłyniemy statkiem, który ma stać na kotwicy do jutrzejszego wieczora, i że na Majuro mer Kili zezwolił na wizytę.

– Jak nie wierzycie, spytajcie kapitana.

Policjanci w końcu przyjmują te wyjaśnienia. Ba, przydzielają nam nawet pokoje do spania, żebyśmy mogli odpocząć po podróży.

Zasypiamy w sekundę i dopiero następnego dnia mamy okazję zobaczyć, jak wygląda obóz atomowych uchodźców. Na wyspie, wśród palm, zamiast tradycyjnych chałup stoją identyczne baraki,

a każdy – aż trudno uwierzyć – wyposażony w satelitarny internet. Obok zarośnięty plac, który dawno temu miał być boiskiem do koszykówki. Mieszkańcy nie muszą za nic płacić ani pracować, żyją podobno z zagranicznych darów. Na Kili nie toczy się zwykłe życie. Nic do siebie nie pasuje, razi.

Leniwy dzień w osadzie na atolu Jaluit

Powoli szykujemy się do zaćmienia Słońca, które ma nastąpić za trzy godziny. Nagle przybiega posłaniec.

– Statek odpływa! Szybko!

A to się pospieszyli! Znowu dylemat, co robić. Jeśli zostaniemy, utkniemy na Kili nie wiadomo na jak długo. Jeśli popłyniemy, jest ryzyko, że wyjdziemy za pas zaćmienia Słońca. Robimy szybkie kalkulacje, biorąc pod uwagę prędkość i kierunek statku... Wychodzi jednak, że w trakcie zaćmienia powinniśmy nadal znajdować się w pobliżu głównego pasa. Wracamy na statek, tym bardziej że nad Kili gromadzą się chmury, które nie wróżą

obserwacyjnego sukcesu. Mimo to żal, że nie było czasu, aby dowiedzieć się więcej prawdy o ludziach z Bikini.

Znowu płyniemy, pogoda dobra. Księżyc powoli zjada tarczę słoneczną. Razem z kapitanem i załogą obserwujemy to przez specjalne filtry. Pozostali pasażerowie nie są w stanie pojąć, czym się tak podniecamy. Wreszcie, dwudziestego drugiego lipca o 15.45, gdy wokół nas po horyzont tylko fale, znika całe Słońce... Ciemnieje, widać pojedyncze gwiazdy... Kapitan z pomocnikami porzucili stery i wylegli na pokład, żeby obserwować astronomiczny spektakl, więc w rezultacie statek zbacza z kursu i zaczyna się chaotycznie kręcić. Część pasażerów trochę przestraszona, chowają głowy pod koszulami... A bo to wiadomo, co się stanie? Lepiej nie ryzykować.

Sukces po raz kolejny! Było to najdłuższe zaćmienie Słońca w XXI wieku, u nas trwało cztery minuty i czterdzieści osiem sekund. Stopniowo jaśnieje. Już po wszystkim. Ale dla nas to dopiero dobry początek. Przed nami kolejne gorące marshallskie dni...

Wieczorem po zaćmieniu statek dopływa do malutkiego atolu Namdrik. Trafiamy na odpływ. Gdybyśmy chcieli wydostać się od razu na ląd, trzeba byłoby przejść z bagażami dwieście metrów w ciemnościach po ostrej, śliskiej rafie... Niektórzy niecierpliwi, ryzykując zatopienie towaru, wysiadają od razu. My zostajemy do rana na statku i czekamy na łódkę.

Zaćmienie Słońca, 22 lipca 2009 roku

Nareszcie o świcie lądujemy na plaży. Dowiadujemy się, skąd ten cały pośpiech. Otóż nasz kapitan złapał kolejną fuchę, w związku z czym chce obskoczyć wyspy bez zapowiadanych postojów, na które tak liczyliśmy, i wrócić czym prędzej na Majuro. Jest czwartek. We wtorek powinien ponoć przylecieć na Namdrik maleńki samolot, którym być może będziemy mogli wrócić. Zaryzykujemy. Statek odpływa, my zostajemy...

Namdrik jest końcem świata. Mieszka tu sześćset osób, z czego ponad połowa to dzieci. Nie ma samochodów, ludzie przemieszczają się rowerami albo małymi żaglówkami. Bardzo rzadko przylatuje tu awionetka, jeszcze rzadziej przypływa statek. Poznajemy mera Namdriku. Pytamy, ilu turystów rocznie dociera na wyspę.

– Hmmm... no, w zasadzie jesteście pierwsi. Przyjeżdżają czasem ludzie z rządowych projektów, takich jak na przykład te baterie słoneczne, ale tak dla przyjemności to nigdy...

Zaprasza nas do siebie na noc. Nie chcemy jednak nadużywać gościnności i następnego dnia rozstawiamy namioty na krańcu atolu, pod palmami. Jedyny mankament to brak słodkiej wody. Mamy trochę zapasów w butelkach, ale to za mało. Odkrywamy, że przy chacie postawionej obok trawiastego pasa startowego sąsiadującego z naszą miejscówką jest zbiornik na deszczówkę. Jak tu się do niego dostać? Rozwiązaniem okazuje się znaleziony na plaży półtorametrowy kawałek gumowego szlauchu. Wkładamy jeden koniec do zbiornika. Zasysamy powietrze z drugiej strony... Poszło! Cała nasza piątka ustawia się w rządku i kolejno, jedno po drugim, bierzemy błyskawiczny prysznic. Napełniamy też butelki. Wracamy przez pas startowy czyściutcy i zadowoleni.

W nocy pada mocny, tropikalny deszcz i uzupełnia zbiornik. I tak codziennie.

Polski obóz na atolu Namdrik

Na Namdriku handel w zasadzie nie istnieje. Jest jeden mały sklepik, czasem ktoś kupi w nim cukierki lub ryż, ale mieszkańcy, jak za dawnych czasów, żywią się głównie rybami, owocami chlebowca i bananami. Sklepik zapewnia jednocześnie łączność ze światem, bo jego właściciel posiada jedyne na wyspie radio. Dzięki rozpiętej między palmami antenie można między innymi ustalić, kiedy wyląduje awionetka, i zamówić miejsca na lot. W taki właśnie sposób organizujemy sobie powrót.

Marshallskie dzieciaki

Pewnego razu idziemy do wioski po banany.
– Poczekajcie, zaraz wam przyniesiemy.
Po chwili w naszych rękach lądują wielkie kiście bananów.
– Ile płacimy?

– Nic, za takie rzeczy u nas się nie płaci. Banany, kokosy i chlebowce po prostu się zrywa i zjada...

Były to rajskie dni, ale nawet w raju po pewnym czasie zaczyna się trochę nudzić... Najwyższy czas na coś nowego. Po pięciu dniach na wyspie idziemy do małej budki służącej jako terminal lotniczy. A tu pusto. Zaczynamy się obawiać, że samolotu nie będzie, gdy jednak ktoś się pojawia. Rozpoczynamy „odprawę". Pulchna czekoladowa pani w barwnej szerokiej sukience, otoczona gromadką dzieciaków, przynosi pod pachą wagę łazienkową. Najpierw waży nas, potem plecaki i wszystko skrzętnie zapisuje w zeszycie. Po dwóch godzinach wreszcie ląduje mały samolot.

Marshallska dieta: owoc chlebowca, banany

Lecimy dalej, ale nie prosto na Majuro, bo okazuje się, że samolot najpierw zatrzyma się na atolu Jaluit, którego nie zdążyliśmy zobaczyć w drodze na zaćmienie Słońca.

Co można zrobić na atolu Jaluit? Można buszować wśród krzaków, poszukując pozostałości z drugiej wojny światowej, ale jeszcze lepiej pójść na ryby. A konkretnie na tuńczyki. Jak to się robi? Ano najpierw trzeba znaleźć kogoś z łódką z silnikiem. Dogadujemy się i następnego dnia wyruszamy wielokrotnie przemalowywaną drewnianą łupiną na połów.

Wypływamy poza atol na otwarte morze. W oddali, tuż nad powierzchnią wody, unosi się dziwna, ciemna chmura. Kierujemy się w jej stronę.

– To stado ptaków: znak, że pod wodą kręci się ławica małych ryb. Ptaki polują na nie od góry, a tuńczyki od dołu – wyjaśnia rybak.

Terminal lotniczy, atol Namdrik

Rozwijamy szpule z grubą żyłką i wielgachnymi woblerami, wyrzucamy za łódź i przepływamy przez środek ptasiego kłębowiska. Minuta i... jest! Wyciągamy pierwszą rybę, pięknego tuńczyka żółtopłetwego. Wyrzucamy kolejny raz... i znowu mamy! I znowu! O, ta chyba się urwała. A nie, ciągnie. Walczy straszliwie, ledwo można utrzymać. Gdy już prawie udaje nam się wydobyć zwierza, linka znów się luzuje. Na powierzchnię wyciągamy na haku... odgryziony łeb tuńczyka. Obok łódki śmiga tylko cielsko odpływającego rekina, który ukradł naszą zdobycz.

Łączny wynik polowania: dwanaście tuńczyków. Wieczorem robimy *sashimi*. I steki. I *ceviche*. I jeszcze raz *sashimi*... A potem dla odmiany zjadamy sobie trochę tuńczyka.

Wspomnienie z wojny na Pacyfiku

Wreszcie mały samolot zabiera nas z powrotem na Majuro. Mamy jeszcze kilka dni i postanawiamy spędzić je na nurkowaniu. Znaleźliśmy japońską bazę nurkową, ale żądają takich pieniędzy, że musimy zrezygnować. Szukamy dalej. W końcu namierzamy Mata. Trudno stwierdzić, czym się zajmuje, ale między innymi ma trochę sprzętu nurkowego, butle, sprężarkę. Nie chce mu się iść z nami, bo dopiero wrócił ze Stanów Zjednoczonych i stęsknił się za swoją chyba ze czterdzieści lat młodszą, śliczną tutejszą żoną, jego czwartą... Za symboliczną opłatą pożyczamy od niego nabite butle oraz brakujący sprzęt i płyniemy na sąsiedni atol Arno, gdzie ponoć jest ładna rafa. Po godzinie podskoków na falach przybijamy do brzegu. Znajdujemy miejscowego rybaka, który obiecuje nas zawieźć na rafę tam, gdzie zawsze nurkują Japończycy. Pod wodą – wszystko, co można sobie wymarzyć: nienaruszona rafa, rekiny, żółwie...

Endura

Plaża na atolu Arno, ostatnie chwile na Marshallach

Suszenie kokosów na koprę

Nie da się ukryć, że Arno to miejsce bajkowe, jedno z najpiękniejszych, jakie widzieliśmy na Wyspach Marshalla. Nie

dziwi, że właśnie tutaj mieściła się niegdyś słynna szkoła miłości. Starsze kobiety uczyły przyszłe małżonki, jak dać szczęście swemu mężczyźnie. Jedna z tych młodych dziewcząt miała zostać wybranką króla.

Na Arno mieszka Amerykanin, Michael. Stara się spłacić moralny dług swoich ojców i zrobić coś dla wyspiarzy, ale idzie mu ciężko.

– Chciałem im wybudować boisko do koszykówki, bo widzę, że lubią grać – opowiada. – Załatwiłem beton, pogoniłem mężczyzn do pracy. Wylaliśmy boisko. Potem wyjechałem do domu na dwa miesiące, w tym czasie chłopaki mieli dokończyć robotę. Wracam – a boisko jest dokładnie w takim stanie, w jakim je zostawiłem. Pytam, czemu nic nie zrobili. A ci odpowiadają, że jak byłem na miejscu, dostawali ode mnie jedzenie, a tak za darmo to przecież nie będą harować... Wściekłem się i tłumaczę, że ja tego boiska nie potrzebuję, że to przecież dla nich i ich dzieci! Wzruszyli tylko ramionami...

Pytamy, z czego tu ludzie żyją. Ano jedyną rzeczą, jaką wytwarzają, jest kopra, czyli suszony miąższ kokosów, z którego potem wyciska się olej. Koprę sprzedają jedynemu lokalnemu przedsiębiorcy. Dostają za nią kilka dolarów, które potem mogą wydać w małym sklepiku, będącym własnością... tego samego przedsiębiorcy.

Tak to właśnie wygląda. Wszyscy wkoło starają się wyspiarzom pomóc, zmienić ich przyzwyczajenia, mentalność. Tubylcy nie stawiają oporu, przyjmują biernie pomoc i rady i dalej robią swoje, a raczej – nie robią prawie nic. Baterie słoneczne rdzewieją, boisko zarasta trawą, zasadzone warzywa więdną...

Mikronezja i Wyspy Marshalla to niewątpliwie zapomniany zakątek świata, chociaż wcale nie dziki. Cywilizacja dotarła tu dawno temu, językiem urzędowym stał się dziś angielski, a w sklepikach można dostać zagraniczne produkty.

Najbardziej do myślenia daje widok porozrzucanych na wyspach pozostałości z drugiej wojny światowej. Oglądając archiwalne zdjęcia, ciężko sobie wyobrazić, że te spokojne, tropikalne wyspy były świadkami zaciętych walk i prób nuklearnych.

Mimo dokonujących się zmian pozostał tu jednak leniwy, uśmiechnięty wyspiarski duch, dziewicza natura i krystaliczny ocean. Trudno przewidzieć, kiedy się to zmieni, ale wydaje nam się, że przeobrażenia, jakie miały nastąpić, już się wydarzyły. Dziś nadal jeszcze są tu miejsca, w których można poczuć, że trafiło się do ostatniego raju na ziemi.

MALEZJA I INDONEZJA: POD PRĄD

Smoki z Komodo. Warany, czyli ogromne, dwu-, trzymetrowe prehistoryczne jaszczury, żyjące tylko w tej części świata, faktycznie chwilami przywodzą na myśl legendarne potwory.

Z natury nie są to sympatyczne stworzenia. Mamusia i tatuś często zjadają swe pociechy, jeśli młode nie zdążą uciec przed nimi na drzewo. Mimo pozornej ociężałości warany są bardzo zwinne, potrafią osiągać prędkość do dwudziestu kilometrów na godzinę.

Miejscowi straszą nas opowieściami o tym, jak to jaszczury pożarły nieostrożnych przybyszy.

– Nawet najmniejsze draśnięcie ich zębów prowadzi do śmierci – wyjaśniają. – Tysiące bakterii znajdujących się w ślinie zwierzęcia błyskawicznie wywołują śmiertelne zakażenie krwi.

Dziś warany się rozleniwiły. Ich ulubione miejsce to zaplecze kuchni przy wejściu do parku narodowego, gdzie warują niczym psiaki, licząc na darmowy kąsek.

Są na ziemi takie miejsca, o których marzy się od zawsze. Dla mnie jednym z nich było Borneo. Uparłam się, żeby choć na chwilę tu zajrzeć. Zobaczyć tajemniczą, dziką krainę zarośniętą tropikalnym lasem, pełną dziwnych, endemicznych stworzeń.

Zmierzając na spotkanie przyjaciół, z którymi umówiliśmy się w Indonezji, wysiadamy w malezyjskiej części wyspy, w mieście Kota Kinabalu, stolicy prowincji Sabah. Wypożyczamy skutery. Tym razem nie ma czasu na kupowanie własnych. Niestety Borneo okazuje się jednym z większych rozczarowań naszej podróży. Rzeczywistość nie dorównuje wyobrażeniom. Większość dżungli wykarczowano pod uprawę palmy olejowej. Las przetrwał już tylko w nielicznych parkach narodowych. W niektórych z nich można obejrzeć zwierzęta w porze karmienia, gdy przychodzą do specjalnie skonstruowanych platform obserwacyjnych. Dziwaczne

małpy nosacze, których samce charakteryzują się długim, komicznym kulfonem, faktycznie nas rozczuliły, a ich rezerwat w zatoce Labuk, gdzie je oglądaliśmy, okazał się całkiem przyjemnym miejscem. Nie da się już tego powiedzieć o słynnym rezerwacie orangutanów Sepilok, zatłoczonym i paskudnie skomercjalizowanym.

Nosacz

Na każdym kroku promowana jest turystyka zorganizowana. Ceny wstępów i noclegów są dostosowane do portfela zamożnego turysty i znacznie odbiegają od azjatyckich standardów. Gdy o cokolwiek pytamy, doradzają, żeby najlepiej kupić cały pakiet wycieczkowy, wsiąść do autokaru i zaliczyć kolejno wszystkie atrakcje. Ludziom podróżującym indywidualnie trudno się tu odnaleźć.

Mapa ze wskazówkami miejscowych

Na Kinabalu, najwyższym szczycie tej części świata (cztery tysiące dziewięćdziesiąt pięć metrów n.p.m.), też czekała nas niemiła niespodzianka. Na górę nie można wejść bez przewodnika, mimo że szlak oznaczony jest tak, że pięciolatek nie zdołałby się zgubić. Nie wolno nocować w namiocie. Tłok jak na Giewoncie w lipcu. Sama góra jest niezwykle piękna, jednak sposób, w jaki można na nią wejść, potrafi zniechęcić.

Drinking session – trzeba zatkać nos, żeby pijący nie udawał

W rezultacie najlepszy z całej wycieczki okazał się objazd południowej części prowincji, gdzie nie ma żadnych popularnych atrakcji. Miejscami deszcz rozmył gruntowe drogi, ale jak dobrze wiemy, dla dzielnych hond Wave nie ma rzeczy niemożliwych. Mapa tego regionu jest tak marna, że przejeżdżamy tę trasę wyłącznie dzięki wskazówkom miejscowych. Ludzie bardzo życzliwi, zapraszają nas do siebie na noc, częstują jedzeniem. W jednym z domów mają dzisiaj – jak się dowiadujemy – *drinking session*. Drewniana chałupa na palach, w środku jedna wielka izba ze stołem zastawionym podejrzanymi przysmakami, a wkoło stołu rodzina kolejno sączy przez długie słomki lokalny zajzajer z wielkich dzbanów. Gdy wypije się swoją porcję, trzeba dolać do dzbana szklankę wody. Najlepiej też zatkać pijącemu nos, żeby nie oszukiwał.

W ogólnym rozrachunku Borneo nas nie zachwyciło. Może gdybyśmy mieli więcej czasu i zapuścili się w część indonezyjską, wyglądałoby to inaczej. Jednak próbka, którą dostaliśmy, solidnie nas zniechęciła. Bez żalu opuszczamy wyspę, tym bardziej że już czekają kolejni przyjaciele!

W drodze na Mount Kinabalu

Choć od ostatniego spotkania z rodziną i polskimi przyjaciółmi na Marshallach minęły zaledwie dwa tygodnie, już pędzimy na indonezyjską wyspę Jawa, powitać Sandrę i Michała.

Radość, radość, radość. Spotkanie wypadło o siódmej rano, przez co strasznie podpadliśmy wszystkim mieszkańcom hostelu. Kto to słyszał, żeby robić tyle hałasu, gdy porządni ludzie jeszcze śpią! Ale witać się cicho po tak długim rozstaniu zwyczajnie się

nie da. Sporo w tym winy obsługi samolotu, którym przylecieli nasi goście.

– Popatrzcie, na pokładzie rozdawali takie porcelanowe holenderskie domki do postawienia na półce. Co my z tym zrobimy, chyba komuś damy, bo przecież nie będziemy tego wozić... – zastanawia się Sandra.

Bartek bierze upominek do ręki.

W drodze na wulkan Merapi, wyspa Jawa

Przy kraterze wulkanu Merapi, wyspa Jawa. Po erupcji w 2010 r to miejsce przestało istnieć

– Wiecie, one jakby chlupoczą… – ogląda spód domku. Jest koreczek, a przy nim malutki napis „Bols”.

– Taaak? A my wybraliśmy najmniejsze domki…

Gdy wreszcie się przywitaliśmy, zaczęliśmy układać plan na nadchodzące tygodnie. Dla nas pomysł był oczywisty. Sandry i Michała też nie trzeba było długo namawiać. Wobec tego wypożyczamy cztery skutery i w drogę.

Najpierw krążymy wśród zabytków otaczających Yogyakartę. Między innymi odwiedzamy buddyjską świątynię Borobudur i hinduistyczną Prambanan.

Potem postanawiamy wejść na jeden z licznych jawajskich wulkanów. Wyglądają niezwykle: z płaskiej wyspy wyrastają znienacka gigantyczne, dymiące stożki.

Decydujemy się na wulkan Merapi. Zostawiamy skutery we wsi u podnóża i jeszcze przed wschodem słońca w ciemnościach

zaczynamy wspinać się na szczyt. Pod nami powoli, w pomarańczowo-różowych barwach budzi się dzień. Ostatnie podejście strome, a wspinaczkę utrudnia sypki, usuwający się spod nóg żwir. Na górze roztacza się księżycowy krajobraz. Z krateru unosi się dym, mocno śmierdzi siarką. Miejscowi zbierają jej kawałki, żeby potem sprzedać, bo podobno leczy choroby skórne.

Tego dnia Merapi był spokojny. Jednak dziś, gdy piszemy te słowa, miejsca, w którym wtedy staliśmy, już nie ma. Niespełna rok później wybuch rozsadził skały i lawa zniszczyła okoliczne wioski.

Przenosimy się w okolice wyspy Komodo. Naszym głównym celem nie są jednak słynne warany, lecz nurkowanie. O wyspach Flores i Komodo krążą legendy. Tu spotykają się dwa oceany: Indyjski i Pacyfik. Powoduje to silne prądy, przez co nurkowanie może okazać się sporym wyzwaniem. Ale właśnie dzięki nim wody otaczające wyspy obfitują w pożywienie i przyciągają miliony morskich stworzeń, które przypływają tu ucztować.

W zależności od miejsca pod wodę można schodzić tylko w określonych godzinach, aby uniknąć najsilniejszych prądów. Mała pomyłka spowodowałaby, że wyniosłoby nas hen, nawet kilka kilometrów dalej od punktu, w którym się zanurzamy. Jest też ryzyko, że natrafi się na prądy zstępujące, które potrafią na zawsze ściągnąć nurków na dno. Siła prądu zależy od fazy Księżyca. Najmocniejsze, tak zwane prądy sygizyjne, pojawiają się w okolicy nowiu i pełni.

Już samo zanurzenie okazuje się mocnym doznaniem. Zawsze nas uczono, żeby po wskoczeniu do wody w nabitych kamizelkach najpierw w parach dokładnie sprawdzić sprzęt, swój i partnera. Tutaj nic z tych rzeczy. W wodzie nie ma na to czasu, wszystko musi być precyzyjnie przygotowane jeszcze na łodzi.

– Gotowi? Powietrze wypuszczone z kamizelek? Maski na twarzach? Trzy, dwa, jeden...

Wypadamy z łódki do wody i natychmiast z całych sił pracujemy płetwami, żeby przejść przez prąd płynący pod powierzchnią. Jeśli ktoś nie może wyrównać ciśnienia w uszach – kończy nurkowanie, bo nie ma szans, żeby zrobić jakikolwiek postój. Zatrzymujemy się dopiero na głębokości dwudziestu metrów. Tu pojawiają się podwodne skały, których trzeba się złapać, aby prąd nie porwał nas dalej. Można trochę odetchnąć. Można się rozejrzeć.

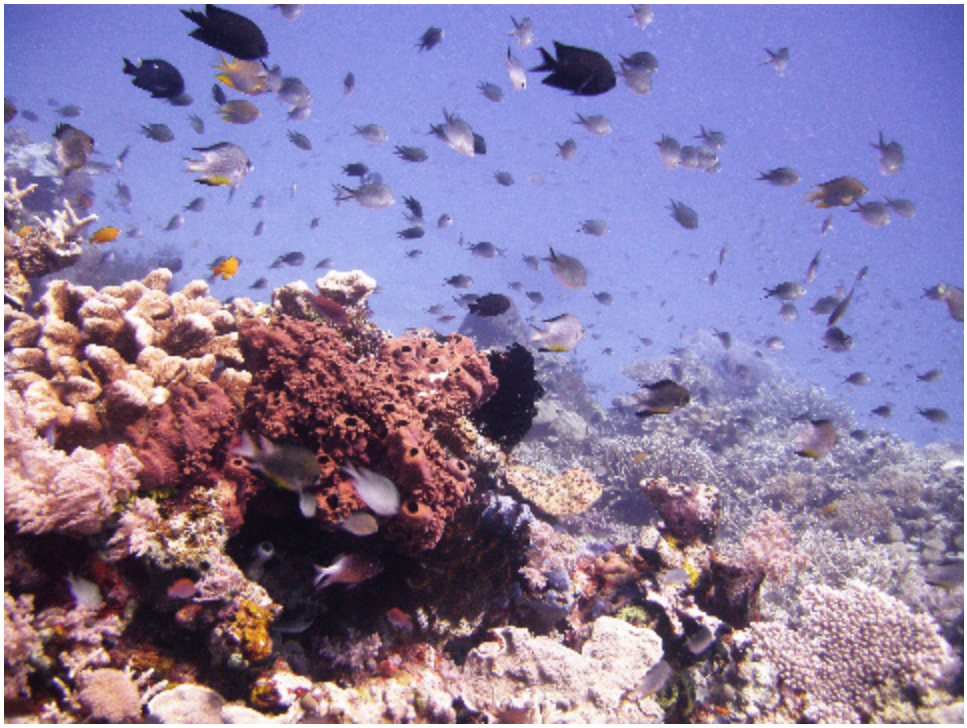

Podwodna rafa w okolicy wyspy Komodo

Teraz dopiero zaczynamy podziwiać podwodny świat. Takiego bogactwa fauny i flory jeszcze nigdy nie widzieliśmy. Niezliczona ilość rekinów, tuńczyków, napoleonów, papugoryb i tysiące innych gatunków krąży tuż przed naszymi nosami. Między kamieniami czają się skorpeny, żabnice, płaskogłowowate, węże i mureny. Pewnego razu natykamy się również na żółwia wielkości małego fiata. Jest tak ciężki i ogromny, że niemal nie potrafi już pływać, a jedynie ociężale „galopuje" po dnie. Liczy około stu lat.

Wciągające są również nurkowania nocne. Te, w przeciwieństwie do nurkowań dziennych, są spokojne i bez stresu. Z latarkami w dłoniach przeczesujemy rafę w poszukiwaniu rozmaitych stworów żerujących tylko w ciemnościach: od krewetek i langust po rozmaite odmiany krabów i skrzydlice.

Podwodne prądy dały nam popalić. Po pierwszych zanurzeniach uznaliśmy jednak, że wiemy już, „czym to się je" i jak sobie radzić.

– Bądźcie przygotowani. Pod koniec nurkowania w kanionie pojawi się trochę prądu (*just a little bit of current*) i będzie trzeba kawałek się przemieścić, przytrzymując się skały – ostrzega przed kolejnym zanurzeniem Nick, nasz przewodnik.

Niespecjalnie się tym przejmujemy. Nurkowanie przebiega wyjątkowo spokojnie. Tańczące węgorze, maleńka żabnica, piękna rafa, prąd ledwo odczuwalny. Powoli kończy się powietrze. Czas wracać. Wpływamy do kanionu. E tam, tu też nie ma żadnego prądu. Nagle jednak czujemy, że jakaś dziwna siła zaczyna zasysać nas do góry. Zatrzymujemy się dopiero przy wyjściu z kanionu. Nick odwraca się i daje znaki, żebyśmy po wypłynięciu za ścianę złapali się od razu skały. Znika za rogiem.

Gdy tylko wydostajemy się z kanionu, zaczyna się piekło, jakiego nawet nie przeczuwaliśmy. Nick przyczepił się do skały specjalnym hakiem, który wcześniej służył mu do pokazywania podwodnych stworów. Koniec pałąka przywiązał do swojego pasa i w ten sposób, powiewając jak chorągiewka, jest w stanie oprzeć się porywającemu prądowi. Nam pozostaje poszukiwanie jakiegokolwiek kamienia, którego moglibyśmy się złapać. Siła wody jest tak potężna, że odrywa nas od skały, zdziera z twarzy maski i wyrywa z ust automaty. Bąble wydostającego się z automatów powietrza, które normalnie uciekają pionowo ku powierzchni, teraz poruszają się w poziomie. Sami nie wiemy, czy czepiać się skały, czy raczej ratować maski. Walka z prądem powoduje, że zużywamy straszne ilości kończącego się już powietrza. Sandra w trakcie zmagań traci paznokieć, wszyscy mamy poranione dłonie...

W końcu, gdy nie jesteśmy w stanie dłużej walczyć czy przeczołgać się po skałach ani kawałka dalej, Nick daje znak, żeby się puścić. Prąd w jednej sekundzie porywa nas i po kilku chwilach szalonej jazdy wyrzuca nad spokojniejszym, płaskim kawałkiem rafy. Gdy dochodzimy do siebie, nad naszymi głowami majestatycznie żeglują dwie wielkie, kilkumetrowe biało-czarne manty.

Myśleliśmy, że to było najtrudniejsze, co nas może spotkać. Myliliśmy się.

– To jeszcze nie było to. Chcecie przejechać całą trasę z prądem? – pyta Nick.

Po ostatnich doświadczeniach mamy pewne obawy, ale w końcu po to tu przyjechaliśmy.

Smok z Komodo

Wpadamy do wody. Naszym zadaniem jest teraz po prostu utrzymać się w nurcie na stałej głębokości. Unosimy się

z prędkością piętnastu kilometrów na godzinę, w dole migają rafy, a my mkniemy ramię w ramię z żółwiami i innymi podwodnymi stworami, które też załapały się na morski „tramwaj". Jednak jeśli się komuś wydawało, że to leniwe nurkowanie, to się grubo mylił. Chwila nieuwagi i znosi nas nie tam, gdzie powinniśmy się znajdować, znienacka wybija do góry albo ściąga w dół. Powrót na dobrą trajektorię jest morderczą pracą. Wychodzimy ledwo żywi dobre kilka kilometrów od miejsca, w którym zeszliśmy pod wodę. To bez wątpienia najtrudniejsze nurkowanie, jakie dotychczas wykonaliśmy.

Schodząc pod wodę po cztery razy dziennie, wynurkowaliśmy się za wszystkie czasy. Widzieliśmy i doznaliśmy rzeczy, o których wcześniej nie mieliśmy pojęcia. Jesteśmy zmęczeni, ale każde zanurzenie było warte wysiłku. To zdecydowanie jedno z najwspanialszych naszych nurkowań. Nauczyliśmy się bardzo dużo.

Sandra i Michał wracają do Polski, zabierają sprzęt nurkowy. My natomiast, po przeszło roku, ostatecznie opuszczamy Azję.

AUSTRALIA: OUTBACK NA CZTERY KOŁA

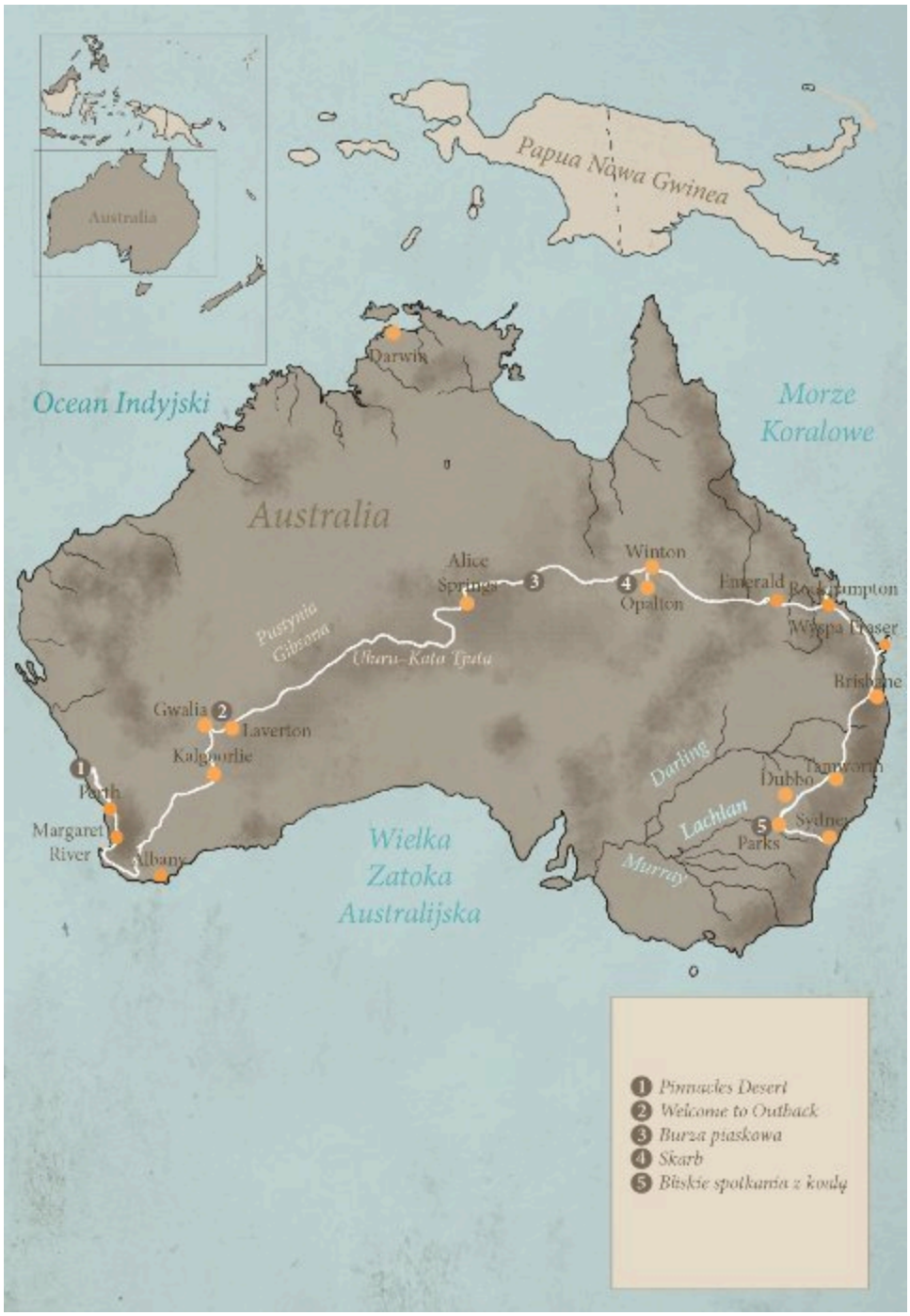

– Widziałaś go? Następny! I następny! Cholera, ile ich tu jest!

Przed nami po obu stronach drogi jedna wielka rzeź. Na poboczu co kilka metrów leżą truchła roztrzaskanych przez samochody kangurów. Jest ich więcej niż słupków odmierzających

odległość. Wokół martwych zwierząt kłębią się chmary kruków i sępów, rozdziobując na strzępy swą ponurą kolację. Co jakiś czas bucha przez okno ohydny smród padliny. A to dopiero początek przeprawy przez Outback... Tymczasem nasz samochód nie ma bullbaru, albo, jak go tu często nazywają, roobaru (od słowa *kangaroo*), czyli metalowej osłony na przedzie pojazdu, chroniącej go w razie zderzenia ze zwierzakiem, tu najczęściej oczywiście kangurem.

Zwalniamy. Przygotowujemy się psychicznie na podróż z dodatkowym pasażerem w kabinie. Nie ma się co łudzić, wcześniej czy później jakiś kangur na pewno wleci nam przez przednią szybę.

– Cała droga przez Outback tak będzie wyglądać? – rozmawiamy na kempingu z kierowcą ciężarówki.

– *No worries, mate*, jeżdżę od dwudziestu lat i tylko dwa razy zabiłem kangura – odpowiada. – Zasada jest prosta: one wyłażą na drogę pod koniec dnia, gdy robi się chłodniej. W dzień siedzą przeważnie w zacienionych krzakach. Trzeba po prostu unikać jazdy o zachodzie i po zmroku. Jeśli będziecie się tego trzymać, nie powinniście mieć problemów...

Pomysł na Australię zrodził się jeszcze w Polsce. Ustaliliśmy, że jeżeli uda się nam tu dotrzeć, kupimy używany terenowy samochód, wielki kanister wody i benzyny i przejedziemy Australię „na skróty", po przekątnej, przez pustynię i bezkresny, rozgrzany do czerwoności Outback, czyli odludną, środkową część

kontynentu. Jak nam się znudzi i uznamy, że czas zmienić otoczenie, pojazd sprzedamy i ruszymy dalej.

I tak po przeszło roku naszej podróży lądujemy w Perth, na południowo-zachodnim wybrzeżu Australii. To pierwsze po tak długim czasie miejsce przypominające europejską cywilizację. Rzucamy się na bułki, ser żółty, plasterek wędliny i oczywiście tutejsze wino. Azjatycka kuchnia jest wspaniała, lecz po rocznym poście białas, choćby nie wiem jak bardzo wstydził się do tego przyznać, zacznie się ślinić na widok kiczowatych czekoladek z supermarketu i jogurtu w plastikowym kubeczku. Czujemy się wśród kolorowych regałów jak Alicja w krainie czarów.

– Chodź tu szybko, popatrz, nie uwierzysz!!! – Bartek ma oczy jak talerze i uśmiecha się od ucha do ucha, niemal podskakuje z radości. Stoimy przed lodówką. W jej głębi, między paczką kabanosów a wędzonym łososiem, leżą jak gdyby nigdy nic... matiasy! *Made in Poland*! Łza się w oku kręci...

Jedna rzecz jest jednak złowróżbna. Chodzi o potwornie wysokie ceny, które po taniej Azji wydają nam się jeszcze wyższe, niż są w rzeczywistości. Miejsce namiotowe na kempingu okazuje się dwa razy droższe od dobrego wietnamskiego hotelu. Będziemy musieli przez większą część czasu spać na dziko. Ale nie bardzo nas to martwi, bo właśnie tak planowaliśmy: błądzić po bezdrożach, spać w samochodzie lub namiocie, gotować przy ognisku...

Australijczycy robią wrażenie najbardziej pozytywnych ludzi na świecie. Uśmiech i *no worries* to niemal narodowe credo. W kolejce w sklepie wszyscy ze sobą rozmawiają, nikt się nie wścieka, gdy ktoś przez pół minuty żartuje z kasjerką, zamiast

szybko załatwić swoje i wyjść. Kierowca w autobusie dla każdego wsiadającego ma miłe słowo, cierpliwie tłumaczy nam, gdzie i jak powinniśmy się przesiąść. Samotna starsza kobieta zagaduje sąsiadów, a oni, zamiast gapić się w okno, udając, że nie dostrzegają wariatki, gawędzą z nią jak u cioci na imieninach. Może to małe zaludnienie sprawia, że ludzie się do siebie garną, może ciepły klimat sprzyja wzajemnej życzliwości, tak czy inaczej, dobrze się dzieje. Po pracy młodzi szybko wyskakują z garniturów, wkładają pianki i z deską surfingową pod pachą pędzą nad morze. Po cichu myślimy sobie, że gdybyśmy mieli kiedyś opuścić Polskę, Australia mogłaby być dobrym miejscem do życia.

Pierwsze dni, wypełnione po brzegi poszukiwaniem samochodu, spędzamy na kempingu w Perth. Jest bardzo zimno. Chcieliśmy wprawdzie trochę odpocząć od upałów, ale żeby aż tak?! Przeskok z czterdziestostopniowego indonezyjskiego skwaru w kilkustopniową australijską wiosnę, która niestety nie jest tak kwitnąca i słoneczna, jak to sobie wyobrażaliśmy, przeżywamy boleśnie. O tej porze roku na kempingu mieszkają tylko w swoich przyczepach stali rezydenci, którzy ze współczuciem obserwują, jak w strugach deszczu kładziemy się spać do namiotu. Wymyśliliśmy jednak pewną metodę na nocny chłód. Wieczorem w łazience gotujemy grzałką wodę i wlewamy wrzątek do plastikowych butelek, które następnie umieszczamy w śpiworach. Termofory działają wspaniale. Nad ranem butelki wciąż są ciepłe.

Im szybciej kupimy samochód, tym prędzej wjedziemy w gorący Outback. Uzbrojeni w lokalną gazetę typu „sprzedam – kupię" wertujemy ogłoszenia, starannie oglądamy samochody. Nie

możemy sobie pozwolić na wpadkę, bo zainwestujemy w pojazd większość naszych oszczędności i potrzebujemy gwarancji, że po stu kilometrach nic mu nie odpadnie, nie pęknie ani nie rozsypie się silnik. Musi być na tyle popularną marką, żeby po wszystkim łatwo było go sprzedać i odzyskać fundusze na dalszą drogę. Poza tym, skoro planujemy jeździć po buszu i plażach, przydałby się napęd na cztery koła. I na tyle obszerne wnętrze, żeby dało się w nim spać.

Jeździmy i wybrzydzamy. A to za drogi, a to książka serwisowa podejrzanie wypełniana tym samym długopisem przez ostatnie pięć lat, a to na jeździe próbnej samochód znosi na lewo...

Odwiedzamy też aukcję używanych aut: działa to tak, że najpierw człowiek wybiera sobie na placu pojazd, który mu się podoba, potem zaś licytuje; w ciągu godziny idzie pod młotek około pięćdziesięciu samochodów. Prowadzący aukcję wyrzuca z siebie potok słów z prędkością karabinu maszynowego, nawet nie jesteśmy w stanie wszystkiego zrozumieć, a trzeba się szybko orientować, żeby podnieść rękę we właściwym momencie. Mała pomyłka i zostalibyśmy właścicielami ciężarówki! Poza tym sprzedają tutaj bardzo dużo samochodów pracujących w okolicznych kopalniach, często po zalaniu, w fatalnym stanie. Gdybyśmy trafili na taki, mielibyśmy poważny problem.

Wreszcie po kilku intensywnych dniach znajdujemy coś w sam raz dla nas: dziesięcioletniego mitsubishi challangera, od pierwszego właściciela, kobiety, która jeździła nim do pracy i z powrotem. Brak śladów poważniejszych przejść czy nadprogramowej eksploatacji, nic nie cieknie i nie rdzewieje, zadbany w środku. Bierzemy.

Teraz jeszcze rejestracja. Po doświadczeniach z rodzimymi urzędami i z biurokracją wietnamską przy kupowaniu skuterów mamy świadomość, że zarejestrować samochód w obcym kraju będzie ciężko. Układamy taktykę wojenną, szykujemy odpowiedzi na wszelkie podchwytliwe pytania. W bojowych nastrojach wkraczamy do biura transportu. Składamy papierki, po czym jeżymy się gotowi do natarcia. W okienku odbiera je od nas miła dziewczyna, przez chwilę wstukuje coś do komputera.

– Poproszę dwa dokumenty tożsamości z podpisem – uśmiecha się do nas. Podajemy paszport i zastanawiamy się, jaki jeszcze dokument możemy pokazać.

– Może macie na przykład kartę kredytową? – pomaga dziewczyna. – Super, to wystarczy. Szerokiej drogi.

Tak po prostu. Stoimy jak wryci. Nie możemy uwierzyć, że po pięciu minutach od wejścia do biura zakończyliśmy całą rejestrację.

– A dałaby nam pani jakiś dokument, żeby w razie czego pokazać policji, że to nasze, albo przy sprzedaży?

– Jeżeli chcecie, nie ma sprawy, ale nie potrzebujecie żadnych potwierdzeń, wszystko figuruje już przecież w systemie. – Kobieta jest zaskoczona, wyraźnie rzadko spotyka się z taką nadgorliwością. Polak jednak jest czujny i podejrzliwy. Nigdy nic nie wiadomo. Dopiero gdy dostaliśmy do ręki wydruk, poczuliśmy się pewnie. Chociaż w sumie szkoda, że tyle naszej chytrej strategii poszło na marne...

Kupujemy dwudziestolitrowy kanister na wodę i dodatkowy zbiornik na paliwo. Do tego powiększamy bagaż o tanią kuchenkę gazową, kilka podstawowych naczyń i plastikową lodówkę turystyczną. Z myślą o pustynnych upałach zamiast specjalnych wkładów utrzymujących niską temperaturę wypełniamy ją butelkami z lodem, dzięki czemu mamy i chłód w lodówce, i dodatkowy zapas wody.

Zanim ruszymy w Outback, chcemy wypróbować samochód. Na pierwszy ogień odbijamy nieco na północ, do niesamowitej Pinnacles Desert. Nieopodal oceanu niespodziewanie wyrasta z piaszczystych wydm milion wapiennych kikutów. Obfitujący w muszle po skorupiakach pustynny piasek, wypłukiwany deszczem i smagany wiatrem, utworzył takie właśnie dziwaczne formacje. Owe tajemnicze stożki to pozostałości drzew, które dawniej rosły w tym miejscu. W pomarańczowych promieniach zachodzącego słońca naszpikowane milionami stożków wydmy tworzą obraz nie z tej ziemi.

Pinnacles Desert, Australia Zachodnia

Samochód, odpukać, działa idealnie. Na dodatek możemy wystartować w konkursie na najczystsze szyby w Australii. Nieprzyzwyczajeni do ruchu lewostronnego, kierownicy po prawej stronie samochodu i odwrotnie rozmieszczonych przełączników, bez przerwy włączamy wycieraczki zamiast kierunkowskazu.

Wjeżdżamy na plażę, na piach. Jedzie się bez problemu. Trochę się zakopujemy, ale to dlatego, że mamy za dużo powietrza w kołach. Po plaży najwygodniej jechać sposobem Australijczyków – tuż przy linii wody, gdzie podłoże jest twardsze i można łatwiej przyspieszać. Pusto, nie ma ludzi, pędzi się kilometrami, rozchlapując fale. Trzeba tylko pamiętać, żeby po takiej zabawie umyć samochód z soli. Najlepiej przejechać po prostu wzdłuż najbliższego strumienia lub małej słodkowodnej rzeczki.

Z dnia na dzień robi się cieplej, wiosna przyszła na dobre. Na polach kwitną dywany kolorowych kwiatów.

Na mniej uczęszczanych drogach wszyscy kierowcy się pozdrawiają, nieznacznie unosząc prawą dłoń z małym palcem, kciuk pozostaje przyklejony do kierownicy. Im bardziej odludny odcinek, tym więcej takich serdeczności. Po reakcjach mijanych kierowców można się zorientować, jak daleko odjechaliśmy od większego miasta lub głównej drogi.

Po jeździe brzegiem morza dobrze jest spłukać sól w słodkowodnym strumieniu

W każdej, nawet najmniejszej mieścinie istnieje biuro informacji turystycznej z tysiącem ulotek reklamujących okoliczne atrakcje. Naszym najważniejszym odkryciem w jednym z takich biur jest katalog wszystkich parków narodowych, z opisem dojazdów i położonych w najpiękniejszych zakątkach Australii półdzikich kempingów, na których można nocować za darmo lub za niewielką opłatą. Zwykle jesteśmy na nich sami, tylko w weekend czasami zjawiają się lokalni wakacjowicze. Mniej więcej raz w tygodniu fundujemy sobie prawdziwy kemping, gdzie można porządnie się umyć w ciepłej wodzie, uprać ubrania czy skorzystać z internetu. W pozostałe dni zostają nam kąpiele w rzeczkach albo w garnku z wodą.

Mimo że nasz samochód po rozłożeniu tylnych siedzeń i umieszczeniu na nich mat nadaje się do spania, i tak częściej wybieramy namiot. Jest wygodniejszy i można go rozstawić

szybciej niż przeorganizować samochód do wersji sypialnej. Samochód przy zamkniętych oknach bardzo w nocy paruje, para się skrapla, wewnątrz robi się duszno i wilgotno. Z kolei przy otwartych oknach jest zimniej niż w namiocie albo deszcz leje się do środka. Gdy natomiast jest gorąco, do środka wlatują tabuny muszek i komarów i trudno się ich potem pozbyć. Znacznie przyjemniej śpi się wówczas pod siatką namiotu, bez naciągania tropiku.

W każdym parku jest publiczny grill.

– To co, spróbujemy?

– No pewnie.

W sklepie pakujemy do koszyka kawał mięsa na grilla. Na etykietce napisali, że zwierz ten jest zdrowy i pożywny, a ponadto przyjazny środowisku, ponieważ nie emituje do atmosfery tyle metanu co, dajmy na to, taka krowa. W ten sposób stajemy się właścicielami kawałka kangura. Wprawdzie nie pieczemy go na ruszcie niczym barana, używając przy tym ogona zamiast korby, tylko kulturalnie smażymy steki, ale i tak to całkiem nowe doznanie. Wygląda apetycznie.

Australijskie symbole. Od góry: kangury, kukabura

– I jak, smakuje ci?

– Pycha. Podobne do wołowiny.

– Kto by pomyślał...

Nie o takich kangurach jednak marzyliśmy. Jak dotąd widzieliśmy tylko kilka nieżywych na poboczu drogi i kawałek jednego na talerzu.

Pewnego wieczoru parkujemy w lesie, nieopodal jeziora. Zaczynamy rozstawiać namiot, podnosimy głowę – z odległości trzech metrów przypatruje się nam jak gdyby nigdy nic stado dużych kangurów. Niby każdy wie, jak one wyglądają, ale zobaczyć je pierwszy raz na wolności to niesamowita frajda. Stworzenie jest absurdalne: pyszczek myszy i odwłok w kształcie gruszki. Zaśmiewamy się w duchu, żeby ich nie wypłoszyć. W końcu zwierzaki uznają, że jesteśmy nudni, bo kolejno, bęg, bęg, podskakując, znikają wśród drzew. Odtąd widzimy ich coraz więcej: w lasach, na polach, na łąkach. Duże i małe, sporo kangurzyc z maleństwami. Za każdym razem reagujemy euforycznie, są tak cudaczne i sympatyczne, że człowiekowi gęba sama się śmieje na ich widok.

Południowo-zachodni kraniec Australii jest pełen zieleni, lasów, rzek, pól uprawnych. Niemal europejski, gdyby nie latające dookoła stada papug. Często, zwłaszcza o poranku i wieczorami, rozbrzmiewa charakterystyczny, głośny, przeciągły skrzek, coś między rechotem żaby a histerycznym ludzkim śmiechem. To kukabury chichotliwe, duże ptaki z rodziny zimorodków, które żyją tylko w tej części świata. Australijczycy ubóstwiają je niemal tak bardzo jak misie koala. Gdy jeden z nich rozpocznie koncert, pozostałe natychmiast mu odpowiadają. Ptaki są bardzo odważne. Wiedzą, że ludzie je kochają i nic im nie zrobią, więc podlatują całkiem blisko. Bartek trenuje ich mowę. Po kilku próbach

z dumą wydobywa z siebie dźwięk prawie idealny. Na nagrodę nie musi długo czekać: po sekundzie „uruchamiają się" pozostałe kukabury. Więc Bartek jeszcze raz. I jeszcze. W końcu, po kilkunastu odpowiedziach, ptaki zaczynają skrzeczeć tak schrypniętym głosem, że postanawiamy litościwie dać im odetchnąć.

Ta część Australii, zwłaszcza okolica Margaret River, słynie z wyrobu win. Smakują doskonale i do tego są znacznie tańsze od europejskich. Co kilka kilometrów można odwiedzić winnicę, degustować, kupić butelkę w stosunkowo przystępnej cenie.

Rosną tu również jedne z najwyższych drzew na świecie, osiągające sześćdziesiąt metrów wysokości eukaliptusy, zwane *tingle trees*. Można sobie nawet przejść między ich koronami metalowym mostem zawieszonym na wysokości czterdziestu metrów. Imponujące, choć wolimy oglądać drzewa z dołu, bez świecących konstrukcji.

Dosyć tej zieleni. Samochód wypróbowany, sprawny, zatem czas na realizację naszego planu. Ruszamy w stronę miasta Kalgoorlie-Boulder, skąd rozpoczniemy pustynną przeprawę do Alice Springs.

Nikt nigdy nie osiedliłby się w Kalgoorlie-Boulder, gdyby nie złoto. Legendarna „złota mila" – podobno jedno z najbogatszych złóż na świecie – ściągnęła tu pod koniec dziewiętnastego wieku. tysiące poszukiwaczy. Znienacka na środku pustyni wyrosły osady, kopalnie. Doprowadzono linię kolejową łączącą Kalgoorlie z zachodnim wybrzeżem, ale przede wszystkim zbudowano

kilkusetkilometrową rurę doprowadzającą z Perth wodę.
W mieście i jego okolicach mnożą się pozostałości z minionych czasów: stare budowle, maszyny. Spora część przedsiębiorstw funkcjonuje do dziś, w tym gigantyczna kopalnia odkrywkowa nazywana „Wielki Dół”. Wzdłuż jej stromych tarasów kursują olbrzymie ciężarówki wywożące rudę: zwykłe samochody wyglądają przy nich jak pudełka zapałek.

Kuchnia i warsztat samochodowy w opustoszałej Gwalii

Kierując się dalej na północny wschód, do Lavertonu, mijamy wiele opustoszałych kopalnianych miasteczek, złożonych z jedynej ulicy, wzdłuż której stoją rozwalające się, blaszano-drewniane budynki. Wkoło panoszą się zardzewiałe wraki samochodów, gwiżdże złowrogo wiatr, pali słońce. Na horyzoncie terkoczą metalowe wiatraki pomp wodnych.

W jednym z takich miejsc spędzamy prawie cały dzień. Jest to Gwalia, osada otaczająca niegdyś jedną z największych kopalni złota w Australii, zwaną „Sons of Gwalia". Kopalnię zamknięto w 1963 roku. Górnicy opuścili wtedy osadę, porzucając swe ubogie blaszane domy, meble, narzędzia, maszyny... Niedawno Gwalią zaopiekowała się grupa entuzjastów. W budynkach administracyjnych stworzyli muzeum, gdzie można obejrzeć stare szyby, maszyny, a nawet dom, w którym u schyłku dziewiętnastego wieku. mieszkał prezydent Herbert Hoover –

wówczas inżynier zawiadujący kopalnią. Jednak to nie muzeum powoduje, że Gwalia jest miejscem szczególnym, ale otaczające ją miasto widmo. Przez kilka godzin szwendamy się po opuszczonych ruderach, w których czas zatrzymał się w latach sześćdziesiątych. Niczego nie wyniesiono, wszystko jest otwarte. Zaglądamy do domów, warsztatów, zagraconych podwórek, gdzie stoją zardzewiałe rowery, a nawet wraki starych samochodów. W pokojach stoły, krzesła, łóżka, lodówki, naczynia, dziecięce zabawki sprzed kilkudziesięciu lat. To autentyczna podróż w czasie. W paru domach do dziś mieszka kilkanaście starszych osób.

Początek najdłuższego skrótu na świecie

Wreszcie docieramy do Lavertonu. To koniec cywilizacji, koniec asfaltu, skraj Pustyni Gibsona. Dalej już tylko wyschnięte krzaki i czerwony pył. Zaczyna się Outback. Tankujemy po brzegi paliwo, wodę i w drogę. Do najbliższego miasta, czyli Alice Springs, mamy

ponad półtora tysiąca kilometrów. Co kilkaset kilometrów powinny być stacje, w których można uzupełnić zapasy, co prawda za dwukrotnie wyższą cenę.

Musimy zdobyć zezwolenie na przejazd, bo trasa wiedzie przez terytoria należące do Aborygenów. Nikt nas potem nigdy nie sprawdzi, ale jeszcze o tym nie wiemy, więc postanawiamy postarać się o wymagany dokument. Aby dostać zezwolenie, należy wypełnić odpowiedni formularz w internecie, odczekać kilka godzin, odebrać maila i wydrukować. To wszystko. Coraz bardziej podoba nam się tutejsza biurokracja.

Rozgrzane powietrze tworzy drgające miraże

Australijczykom trudno było zrozumieć, że chcemy przejechać przez pustynię.

– Po co? Przecież tam nic nie ma... – mówili, dziwnie na nas patrząc, ilekroć obwieszczaliśmy im swój plan. Dla nas jednak owo czerwone, niezmierzone i rozpalone „nic” jest kwintesencją

Australii. Czymś, czego zawsze chcieliśmy doznać, odczuć na własnej skórze.

Pędzimy kilometrami po czerwonej drodze, wzbijając za sobą tumany kurzu. Nad nami wściekle błękitne niebo. Suche powietrze, potworny upał, w południe będzie ze czterdzieści stopni. Kolory są wręcz nienaturalnie intensywne. Takich kontrastów nie uzyska się przez najlepszy filtr polaryzacyjny. Rozgrzane powietrze tworzy drgające miraże, niekiedy przypominające dachy tajemniczego, odległego miasta. Innym razem mamy wrażenie, że przed nami na drodze nie wiadomo skąd pojawia się głęboka woda. Obraz jest tak realny, że prawie dajemy się oszukać.

Płasko po horyzont, z ziemi wyrastają tylko krzaki i kępy suchych chwastów. Z daleka wyglądają jak wysuszona złocista trawa, miękka i falująca, wręcz zapraszająca, żeby po niej stąpać

na bosaka. Gdy jednak podejdzie się bliżej, okazuje się, że to ostre i drapiące gałązki, mogące poważnie rozharatać nogę.

W ciągu dnia Pustynia Gibsona rozbrzmiewa niesamowitym dźwiękiem: tajemniczym, złowrogim świstem wiatru hulającego wśród wyschniętego buszu. Niekiedy wiatr ten tworzy nawet niewielkie, rude trąby powietrzne.

Na poboczu straszą porozbijane wraki samochodów, które przegrały z pustynią. Koszt transportu poważnie uszkodzonych aut do cywilizacji prawdopodobnie przekraczałby ich cenę, więc zostały porzucone. To daje do myślenia, zwłaszcza gdy tak jak my oszczędziło się na ubezpieczeniu. Mimo to mamy wrażenie, że w dzisiejszych czasach przeprawa przez australijski interior, którą wszyscy nam odradzali, nie jest aż tak potwornie ryzykownym przedsięwzięciem. Wystarczy sprawny pojazd i pewna doza cierpliwości. Przynajmniej raz dziennie mija nas jakiś samochód. W przypadku awarii zabrałby „rozbitków". Trzeba po prostu mieć ze sobą zapas wody; to powinno zapewnić przetrwanie i bezpieczny powrót do cywilizacji.

Gdy jednak myślimy o pionierach, którzy w dziewiętnastym wieku samotnie, tylko na jednym koniu czy wielbłądzie, zapuszczali się kilkaset kilometrów w głąb nieznanego australijskiego lądu, bez jakichkolwiek map czy informacji, ciarki chodzą po plecach. Większość z nich ginęła, ci zaś, którzy przetrwali, stali się legendą. Przy tych ludziach nasze współczesne podróżnicze wyczyny stają się wręcz dziecinną zabawą...

Pustynni mieszkańcy: wielbłąd, emu, dzikie konie

Na Pustyni Gibsona jest życie. Co pewien czas ucieka spod kół olbrzymi jaszczur. Wśród krzaków i traw pałętają się emu, dzikie konie i wielbłądy, przywiezione w dawnych czasach przez imigrantów. Trzeba uważać zwłaszcza na te ostatnie, bo lubią uciąć sobie drzemkę na środku drogi. Zderzenie z nimi to dosyć powszechna przygoda, która zwykle kończy podróż.

Dojeżdżamy do pierwszej pustynnej stacji benzynowej. Mały samotny domek na pustkowiu, ot i cała infrastruktura. Dodatkowego paliwa nie potrzebujemy, i całe szczęście, bo cena jest dwa razy wyższa niż normalnie. Dystrybutory okratowane i zamknięte na kłódkę. Poza tym zamiast benzyny bezołowiowej sprzedają tylko specjalny produkt o nazwie „paliwo opalowe". Dlaczego nie benzynę? Bo „paliwo opalowe" jest bezwonne. I co z tego? Ano to, że nie da się go wdychać. Ponoć wąchanie benzyny stanowiło ogromny problem wśród zamieszkujących busz

Aborygenów, więc rząd zakazał jej sprzedaży w środkowej Australii. Bywało też, że co sprytniejsi autochtoni stawali z samochodem na drodze i prosili o wsparcie, udając, że skończyło się im paliwo.

Skoro mowa o Aborygenach... Odbijamy nieco z trasy, żeby zobaczyć, jak naprawdę żyją rdzenni mieszkańcy Australii. Niedobrze się dzieje. Rozwalające się, brudne domy, bałagan, smród, niemoc. Trudno przychodzi uwierzyć, że to także część tej samej bogatej Australii, jaką widzieliśmy na wybrzeżu. Problem zamknięty w pustynnym getcie, w którym – jak głoszą kolorowe, błyszczące ulotki w centrach turystycznych – rdzenni mieszkańcy Australii kultywują swe prastare tradycje. Obowiązuje prohibicja, gdyż alkoholizm wraz z pojawieniem się białego człowieka stał się wśród Aborygenów poważnym problemem. W centrum wioski sklep, wszystko okratowane, zabezpieczone przed kradzieżą. Za ladą biały personel, pilnujący kasy i produktów. Aborygeni nie mają pieniędzy, robią zakupy za pomocą kart kredytowych, jakie dostają od rządu. Dlaczego wolą koncentrować się w pustynnym centrum lądu, skoro nad oceanem mogliby wieść dostatnie i spokojne życie? Otóż dawniej zamieszkiwali również zielone, urodzajne wybrzeże. Stopniowo jednak przybysze zaczęli wypierać rdzenną ludność coraz dalej w głąb kontynentu. W efekcie obecnie wiele osób żyje w fałszywym przeświadczeniu, że Aborygeni to ludzie z australijskiego interioru.

Aborygeni mają inną mentalność, inne (a raczej po prostu znikome) poczucie obowiązku i własności. Liczne organizacje próbują coś zmienić, stworzyć im przyzwoite warunki życia przy poszanowaniu odmienności kulturowej, ale na próżno. Większość

nie potrafi przystosować się do cywilizacji, zasymilować z przybyszami z Europy. Potworny kontrast widać gołym okiem i nic nie wskazuje na to, żeby w najbliższym czasie miało się coś zmienić. Tak, widzieliśmy prymitywną biedę w Afryce czy w Azji, więc wydawałoby się, że nie powinniśmy tak mocno przeżyć widoku tutejszych slumsów. Jednak w Australii, gdzie tuż za rogiem żyje jeden z najszczęśliwszych narodów na świecie, widok aborygeńskiego getta naprawdę szokuje.

Za nami długie kilometry. Do celu coraz bliżej. Outback jest piękny za dnia, lecz noc na pustyni to przeżycie nie do opisania. Spada temperatura, zapada nieskazitelna cisza, na niebie pojawiają się miliony gwiazd, Droga Mleczna i Obłoki Magellana tak wyraźne, jakby były nisko zawieszonymi chmurkami. Firmament dosłownie wali się nam na głowę, wystarczy wyciągnąć rękę, żeby chwycić gwiazdę. Ostrożnie rozpalamy miniaturowe ognisko. Od nawet małej iskry potrafią zająć się suche trawy i wywołać wielki pożar. Nadziewamy kiełbaski na patyki.

Wreszcie, po tysiącu stu kilometrach, zaczyna się asfalt! Przed nami z równiny wyrastają zapierające dech, ogromne, ogniste głazy – park narodowy Kata Tjuta. To jeden z piękniejszych obrazów Outbacku. Być może dlatego, że ujrzeliśmy je jako nagrodę i zwieńczenie pierwszej części przeprawy, skały Kata Tjuta zrobiły dużo większe wrażenie niż słynna Ayers Rock, którą zobaczyliśmy następnego dnia. Droga po prostu wjechała nagle między te olbrzymie, czerwone kamienie. Pierwszy etap za nami! Zatrzymujemy samochód.

– Myślisz, że przetrwało?

– No ba! – Bartek wydobywa z lodówki pieczołowicie przechowywaną butlę zimnego białego wina. Cały lód w plastikowych butelkach co prawda stopniał, ale wewnątrz ciągle jest zimno. Wyciągamy zakupione specjalnie na tę okazję plastikowe kieliszki. Świętujemy półmetek! Na noc rozbijamy samotny obóz w buszu, z widokiem na majestatyczne Kata Tjuta. Jutro wjedziemy w rejon otaczający najsłynniejsze miejsce Australii.

Ayers Rock (Uluru), święty kamień Aborygenów, wizytówka Australii. Otoczony legendami, tajemniczy, zagadkowy. Skały w ogóle są w kraju Ozzich wielką atrakcją: Ayers Rock, Kata Tjuta czy przypominające morską falę Wave Rock w południowo-zachodniej części kontynentu. Jest też wiele mniej znanych. Jadąc, co chwila trafialiśmy na drogowskaz do kolejnego miejscowego hitu:

Kata Tjuta

Christmas Rock, Kings Rock i tak w nieskończoność. Trudno się dziwić: jeśli na kilkusetkilometrowej równinie wypiętrzy się kawał skały, zawsze będzie urozmaiceniem i atrakcją. Takie kamienie pełniły jednak nie tylko ozdobną funkcję. Przede wszystkim pozwalały mieszkańcom gromadzić spływającą po nich cenną deszczówkę. Dlatego wokół nich koncentrowało się pustynne życie, oddawano im cześć. W niektórych kamieniach drążono niecki, dziury czy wręcz całe kanały, pozwalające magazynować wodę.

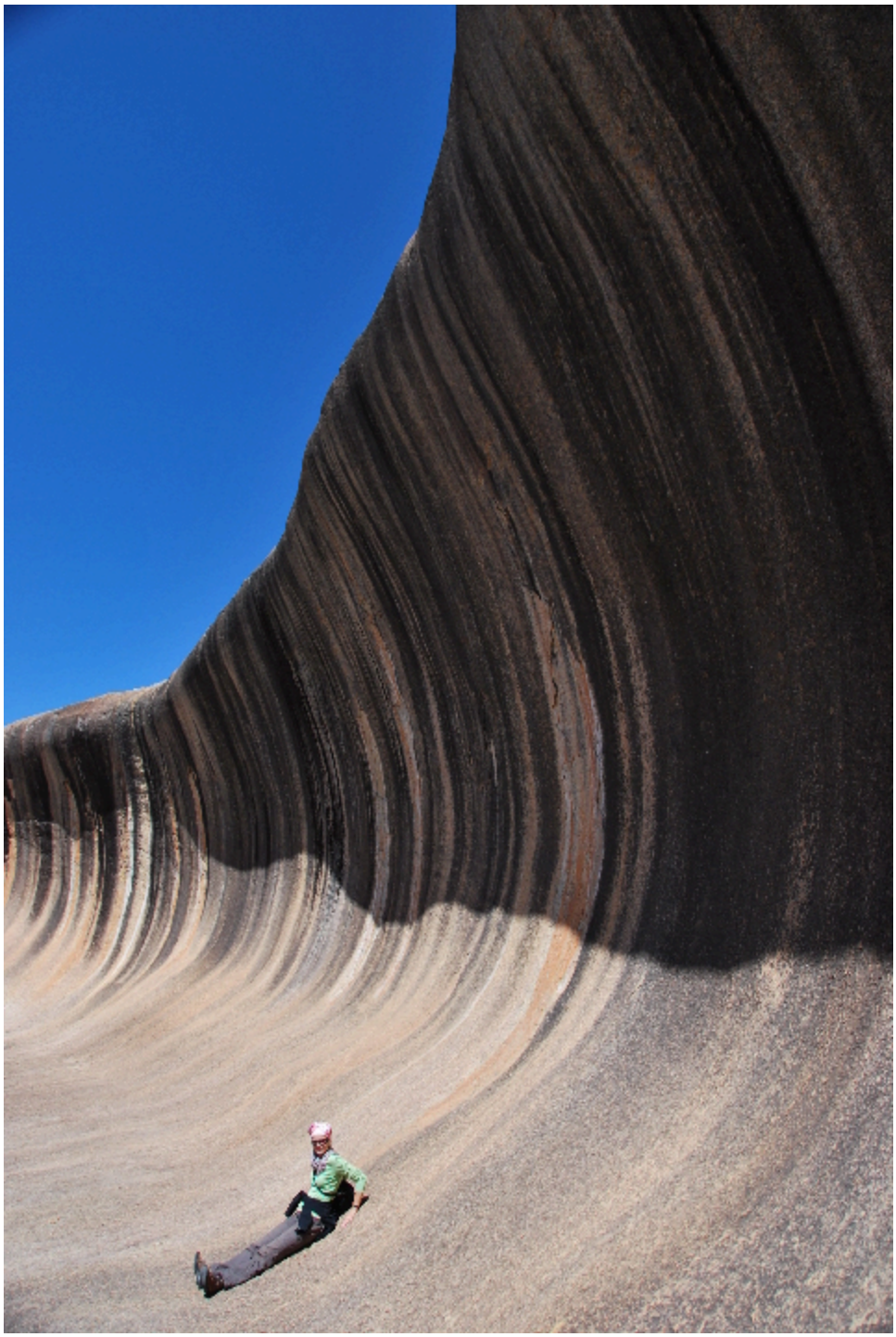

Wave Rock, Australia Zachodnia

Wkoło Ayers Rock krążą wycieczkowe autokary wypchane po brzegi turystami z całego świata, którzy przybyli tu tradycyjną

trasą, czyli od wschodu, bądź po prostu przylecieli samolotem. Wstęp do parku jest – jak na nasz budżet – bardzo kosztowny. Ale tu miła niespodzianka: dla tych, którzy przyjeżdżają „od tyłu", przez Pustynię Gibsona, nie ma bramki kontrolnej i opłat. Taki mały bonus za wytrwałość.

Uluru można obejść dookoła, zajrzeć w szczeliny z aborygeńskimi malowidłami. Wielu miejsc nie należy fotografować, bo są święte. Teoretycznie da się wejść na szczyt skały, ale przed szlakiem wisi ulotka, żeby lepiej sobie odpuścić, bo to profanacja aborygeńskiej świętości. Poza tym trasa i tak jest zwykle zamknięta pod rozmaitymi pretekstami – tym razem rzekomo z powodu silnego wiatru.

Oprócz podziwiania Ayers Rock obserwujemy, jak ludzie walczą z muchami. Tutejsze bzykacze są wyjątkowo wredne i irytujące. I pancerne. Walniesz takiego otwartą dłonią, a on, zamiast grzecznie zdechnąć, otrząsa się i znowu atakuje. Najprostsza metoda to opędzanie się rękami. Nieco bardziej zaawansowana – gałęzią. Repelenty w ogóle nie działają: prędzej chyba zatrują człowieka niż te małe potwory. Nawet nasz zwykle niezawodny preparat Mugga tym razem jest bezsilny. Są też rozwiązania bardziej wymyślne, jak czapeczki z moskitierą albo frędzlami przyczepionymi do ronda, które poruszają się przy każdym ruchu głowy, odstraszając w ten sposób natarczywe owady. Bartek opracował patent polegający na kręceniu dziesięć centymetrów od twarzy sznurkiem z kluczykami od samochodu.

Kings Canyon, środkowa Australia

Zmierzając wolno do Alice Springs, zaliczamy po drodze pozostałe outbackowe hity. Najpierw Mount Conner, wielką górę

o płaskim szczycie, często myloną z Uluru. Potem wspaniały Kings Canyon. Faktura jego pomarańczowych ścian przywodzi na myśl rzeźby w hinduskich świątyniach. Co kilkadziesiąt lat któraś ściana odpada, tworząc pionową, kilkusetmetrową przepaść.

Kolejny przystanek to Dolina Palm. W pustynnym wąwozie niespodziewanie wyrosły palmy, niespotykane nigdzie indziej w środkowej Australii. Najbliższe podobne można zobaczyć dopiero na wschodnim wybrzeżu. W wąwozie przez większą część roku utrzymują się oczka wodne, dzięki czemu drzewa mogą tu przetrwać. Podobno ich istnienie jest dowodem na to, że dawno temu w tej części kontynentu panował klimat tropikalny.

Ostatnie chwile przed wjazdem do Alice Springs spędzamy wśród skał MacDonnell Ranges. Na jednym ze spacerów spotykamy dzikie psy dingo. Po prostu kundel bury, nic więcej. Można jednak uznać za zaliczone: były kangury, kukabura, Ayers Rock, dingo... Ale nie możemy wyjechać z Australii, dopóki nie zobaczymy misia koala.

Po dwóch tygodniach obozowania w buszu Alice Springs wydaje się nam gigantyczną metropolią, choć w rzeczywistości to niewielkie, prowincjonalne miasteczko. Dziś jego główna *raison d'être* to turystyka, ponieważ jest bazą wypadową do obowiązkowych australijskich atrakcji. Zanim wybudowano linię kolejową, była to ważna oaza dla karawan wielbłądów podróżujących z północy na południe kraju. W centrum mnóstwo galerii sztuki sprzedających za słone pieniądze kropkowane malowidła rdzennych artystów, prymitywne rzeźby, tradycyjne instrumenty z długą tubą didgeridoo na czele. Fundujemy sobie

oficjalny kemping z przyjemnym basenem. Chwila z książką na leżaku, zanim rozpoczniemy drugi etap przeprawy, z Alice Springs na wschodnie wybrzeże.

Uzupełniamy zapasy wody i paliwa i ruszamy dalej. Trasa całkiem pusta. Przy drodze sterczą tylko gigantyczne czerwone termitiery, kilkakrotnie przewyższające nasz samochód.

Pod wieczór ni z tego, ni z owego niebo pochmurnieje i zaczyna przeraźliwie wiać. Podmuchy porywają w powietrze coraz to większe tumany czerwonego wirującego pyłu. Za oknem samochodu prawie nic nie widać. Próbujemy wyjść na chwilę, jednak od razu chowamy się z powrotem: na zewnątrz nie da się wytrzymać, bo w dwie sekundy piach dostaje się we wszystkie zakamarki ciała i ubrania, ledwo można oddychać.

Musimy zatrzymać się gdzieś na noc, bo w tej zawiei nie sposób dalej jechać. Udaje się nam znaleźć pagórek, który choć trochę osłoni nas od wichury. Rozkładamy legowisko w samochodzie, namiot raczej nie przetrwałby takiej pogody. Za oknem ryczy burza piaskowa. Mimo że jesteśmy częściowo osłonięci, uderzenie wiatru co chwila kołysze naszym pojazdem, jakby miało go przewrócić.

– Przeżyłeś kiedyś burzę piaskową?

– Nie.

– A jak nas zasypie?

– To się odkopiemy.

– A wiesz, ile takie coś może potrwać?

– Nie mam pojęcia.

Dopiero teraz uświadamiamy sobie, jak szybko i niespodziewanie może nastąpić katastrofa. Jadąc w ciągu dnia sprawnym samochodem, ma się wrażenie, że przejazd przez Outback to nic trudnego. Ale teraz nie wygląda to już tak banalnie. Jeśli burza potrwa dłużej, będziemy mieli poważny problem. W samochodzie zrobiła się sauna, pocimy się przeraźliwie i nie mamy czym oddychać. Mimo zamkniętych okien pył zaczyna jakimiś tajemniczymi otworami wdzierać się do wewnątrz. Wydaje się jednak, że wichura powoli ustaje. W końcu dajemy radę zasnąć.

Rano budzimy się jakby we mgle. Powietrze jest pełne wzburzonego pyłu, ale nie wieje i zawiesina powoli zaczyna opadać. Wygląda na to, że najgorsze mamy za sobą.

Znowu „robimy kilometry" po bezludnej czerwonej drodze, kierując się na wschód wzdłuż Zwrotnika Koziorożca. Dla rozrywki bawimy się w geocaching. Polega to na tym, że w różnych miejscach o określonych współrzędnych geograficznych ludzie chowają pudełka ze „skarbami": może to być breloczek z kangurem, naklejka z misiem koala i tym podobne. Jak znajdziesz takie pudełko, możesz na pamiątkę wyjąć z niego jeden „skarb" i włożyć na jego miejsce inny dla kolejnych poszukiwaczy. Biegamy z GPS-em po pustyni i poszukujemy. Pierwszy punkt był łatwy, skarb ukryto w oponie ustawionej przy rozwidleniu dróg. Z drugim poszło trudniej, trzeba było porządnie poszperać wśród głazów, zanim się udało.

155

286

Skrzynki pocztowe: keg, lodówka, mikrofalówka, radar ze statku

Wreszcie przekraczamy granicę Terytorium Północnego i wjeżdżamy do stanu Queensland. Jak nożem uciąć droga z szerokiej, piaszczystej niespodziewanie robi się trzy razy węższa. Głębokie koleiny, pełno dużych kamieni. Wzdłuż pobocza

ciągną się płoty tak zwanych *pastoral stations*, czyli gigantycznych gospodarstw położonych w interiorze, po których z rzadka wałęsają się krowy lub owce. Farmy są tak ogromne, że właściciele zazwyczaj doglądają swych stad przy użyciu prywatnych helikopterów.

Od pewnego czasu drogę urozmaica nam jeszcze jedno zajęcie. Kolekcjonujemy skrzynki pocztowe. Nie, nie wyrywamy ich z korzeniami sprzed bram, a jedynie fotografujemy co ciekawsze okazy. Skrzynkę najlepiej zrobić z czegoś, co służyło wcześniej zupełnie innym celom. Najpopularniejsze modele to blaszane bańki na mleko albo kegi po piwie, lodówki i mikrofale. Są też okazy bardziej wyszukane: radar ze statku albo piła mechaniczna. Wielokrotnie hamujemy z piskiem opon i cofamy się do posesji, gdzie mignęła nam jakaś wyrafinowana konstrukcja. Można się wkręcić.

W końcu docieramy do asfaltu. Pojawiają się zabudowania i ludzie. Na noc rozstawiamy namiot w miejscu o nazwie Middleton, składającym się tylko z jednego starego australijskiego baru i budki telefonicznej na baterie słoneczne. Zamawiamy zimne piwo, a właściciel gawędzi z nami i pokazuje sztuczki. Mówi takim slangiem, że rozumiemy jedynie ogólny sens tego, o czym opowiada. Mieszka tu wraz z synem, synową i wnuczką. Dziewczynka przez większość czasu wychowuje się bez kontaktu z innymi dziećmi. Takich zapomnianych miejsc jak Middleton było niegdyś w Outbacku bardzo wiele. To dla ich mieszkańców zorganizowano radiową szkołę i samolotowe pogotowie medyczne – Latających Doktorów, którzy małymi awionetkami docierali w największe odludzie.

Wprawdzie do wschodniego wybrzeża zostało jeszcze wiele kilometrów, ale pustynny przejazd można uznać za zwycięsko zakończony. Samochód spisał się na medal, tylko tapicerka zrobiła się miejscami czerwona od pyłu.

Pewnego razu w jednym z mijanych miasteczek oglądamy w sklepiku opale.

Skarb – znalezione przez nas opale

– Jeśli odbijecie sto dwadzieścia kilometrów w boczną, szutrową drogę, to dotrzecie do Opaltonu, gdzie kilkunastu fanatyków poszukuje opali. Jak chcecie, to też możecie pogrzebać w ziemi, a nuż coś znajdziecie – instruuje nas sprzedawca i rysuje mapę. – Znajdźcie Deryla. To równy chłop i pokaże wam, gdzie kopać.

Pustynna budka telefoniczna na baterie słoneczne w Middleton – pierwsza oznaka zbliżającej się cywilizacji

W realiach australijskich sto dwadzieścia kilometrów to żadna odległość, niewiele więcej niż wizyta u sąsiada. Wobec tego pożyczamy w sklepiku specjalny młotek do poszukiwania opali i ruszamy po skarb. Na miejscu jest kilka zagraconych gospodarstw, ale wkoło nie ma żywej duszy – pewnie wszyscy pojechali kopać. Widzimy, że gdzieniegdzie są rozbebeszone doły. Skoro nie ma Deryla, spróbujemy szczęścia na własną rękę. Przez godzinę tłuczemy na oślep różne kamienno-gliniane grudy, ale bez skutku. Chyba jednak przydałaby się pomoc profesjonalisty.

Podjeżdżamy jeszcze raz do największego osiedla. Ktoś w środku się rusza. Deryla nie ma, za to jest Chris.

– W czym wam pomóc? – pyta.

– Ano mamy młotek i chcemy kopać, ale nie wiemy, gdzie i czego szukać...

Chris uśmiecha się pobłażliwie, pokazuje nam różne kamienie, które po rozłupaniu błyszczą i – powiedzmy otwarcie – opalizują! Następnie przechodzimy instruktaż. Okazuje się, że nie należy walić młotkiem w dowolny kawałek skałki, ale tylko taki, który jest cięższy i ma charakterystyczne, nieregularne, bąbelkowate kształty.

– Skoro już wiecie, czego szukać, to teraz pokażę wam, gdzie.

Szperamy wśród kamieni. Chris z nami. Miał tylko pokazać miejsce, ale jak już zaczął łupać, wyraźnie się wczuł.

– Ech, bo wiecie, czasem jak człowiek zacznie, to dostaje gorączki... – tłumaczy się.

W pocie czoła walimy młotkiem w prawie czterdziestostopniowym skwarze, ale wreszcie coś mamy! No, może fortuny na tym nie zbijemy, ale to opale!!!

Czas spać. Chris radzi nam, żebyśmy rozstawili namiot nieopodal domku pewnego starszego dziwaka, który przyjeżdża tutaj obserwować ptaki.

– On twierdzi, że tu niby mieszka jakiś niezwykle rzadki gatunek, co to go widziało nie więcej niż dwieście osób. – Chris robi porozumiewawczą minę i puszcza oko, dając do zrozumienia, że czeka nas noc w oryginalnym towarzystwie.

Idziemy rozbić namiot. Miły, krzepki starszy pan zaprasza nas na herbatę i z lekkim szaleństwem w oczach opowiada o tym, jak co rano wstaje, żeby wypatrzyć niezwykłego ptaszka, który robi „kszsz” i którego poza nim widziało najwyżej dwieście osób.

– Ja jestem naukowcem, siedzę na tym pustkowiu ze względu na ptaki. Ale spotkaliście tych maniaków od opali? Ci dziwacy

siedzą w tej dziurze latami i bezsensownie rozbijają kamienie, szukając skarbu...

Dotarliśmy. Jesteśmy na wschodnim wybrzeżu, w parku narodowym Byfield. Przejazd na skróty przez Outback zakończony sukcesem. Pięknie tu i pusto. Długie, samotne plaże, strome klify, ogromne piaszczyste wydmy. Dojazd nad ocean nie jest łatwy, bo droga wiedzie właśnie przez owe wydmy. Kilka razy zakopujemy się na stromych podjazdach w głębokim, grząskim piachu, ale w końcu się udaje.

Mamy dylemat: jechać na słynną Wyspę Fraser, czyli – jak podają – największą na świecie piaszczystą wyspę (ponad sto kilometrów długości), po której ponoć da się przemieszczać tylko samochodem z napędem na cztery koła, czy nie jechać? Z jednej strony wszyscy zachwycają się, że to cudowne miejsce, z drugiej mamy obawy, że jeśli jeżdżą tam tłumy, to pewnie już dawno przestało być aż tak cudownie. Postanawiamy zaryzykować. Pakujemy się na prom i po krótkiej przeprawie wysiadamy na plaży.

Po wyspie najłatwiej i najszybciej jeździć podczas odpływu, po mokrym, twardym piasku wzdłuż wybrzeża (ograniczenie prędkości – osiemdziesiąt kilometrów na godzinę). W głębi lądu drogi są wyzwaniem dla kierowcy: wszędzie grząski piach i wyboje, taka podróż trwa bardzo długo. Na końcu szosy wiodącej na północny kraniec wyspy widzimy wbity znak: dalej droga nieprzejezdna. Tego rodzaju znaki zawsze prowokują i wywierają odwrotny skutek. Brniemy do przodu. Ścieżka coraz węższa, piach

coraz głębszy, ale udaje się sforsować pierwsze wydmy. Wreszcie zjeżdżamy po stromym zboczu na plażę. Tu niestety przykra niespodzianka: skały zawaliły się i odcięły dalszą drogę. Na plaży widzimy kilka innych samochodów, które tak jak my postanowiły spróbować szczęścia i teraz muszą zawrócić. Samochód przed nami rozpędza się, usiłuje wjechać po piachu na wydmę, rzęzi potwornie, ale tuż przed szczytem zakopuje się głęboko w piasku. Wszyscy pozostali wychodzą z aut, żeby pomagać, odkopywać, popychać, doradzać, kibicować. Pierwszy przejechał. Przy każdym następnym historia się powtarza. Wszyscy świetnie się bawią, niemal jak na jakichś zawodach. Przychodzi nasza kolej – gazu... już prawie jest na szczycie... silnik niestety gaśnie. Kopiemy. Druga próba... i... jest! Dostajemy brawa. „Rajdowcy" już są ze sobą mocno zbratani, robi się wesoła impreza. Tak się bawią Australijczycy!

Jezioro Boomanjin, Wyspa Fraser

Wyspa Fraser jest rzeczywiście rajska. Turystów sporo, ale tylko w kilku najbardziej popularnych punktach. Wystarczy odjechać kilometr dalej i wkoło cisza, spokój. Na pieszych szlakach (bo okazuje się, że jest ich pełno i są świetne) nie ma żywej duszy.

Wyspa zdecydowanie nie jest przereklamowana. Trudno uwierzyć, że na tak niewielkim obszarze zmieściło się tyle przeróżnych krajobrazów. Wkoło morze pełne ryb, które łowimy sobie na obiad. Wzdłuż plaży wielkie, piaszczyste wydmy lub skały, z których szczytu można czasem wypatrzyć w wodzie olbrzymie żółwie czy manty (naprawdę je widać!). Wystarczy odjechać kawałek w głąb lądu i pojawiają się tropikalne lasy. W zadziwiający sposób na piachu wyrosła prawdziwa puszcza z kilkudziesięciometrowymi drzewami. W pobliżu rzek puszcza przeobraża się w przepiękny las tropikalny z lianami i palmami.

Najbardziej niesamowitym widokiem na Wyspie Fraser są śliczne słodkowodne jeziora (w sumie jest ich ponad czterdzieści). Jedne trochę przypominają jeziora na Mazurach albo w Borach Tucholskich, zamieszkują je małe słodkowodne żółwie. Inne mają barwę brunatnoczerwoną, jakby rozlała się w nich krew. Są również i takie, które wyglądają jak zatoki na Wyspach Marshalla: turkusowa, krystaliczna woda otoczona wręcz nienaturalnie śnieżnobiałym piaskiem; najsławniejsze z nich jest jezioro McKenzie.

Złą sławą na wyspie cieszą się psy dingo, które na skutek regularnego dokarmiania przez turystów oduczyły się samodzielnie zdobywać pożywienie i stały się agresywne. Podobno w minionych latach kilkakrotnie zaatakowały ludzi. Po tych

wydarzeniach wszczęto histeryczną akcję zabijania zwierząt i poważnie zmniejszono ich populację. Potem wprowadzono szereg środków ostrożności: ogrodzono kempingi, zabezpieczono śmietniki tak, aby psy nie mogły ich otworzyć i nie przyzwyczajały się do łatwego łupu, a przede wszystkim zakazano dokarmiania. Od kilku lat nie było żadnego wypadku, ale paranoja trwa do dziś: co dwa kroki znaki przestrzegają przed samotnymi spacerami, a matkom każe się ani na sekundę nie spuszczać wzroku z dzieci. Pewnego poranka budzę się w namiocie, Bartek wstał wcześniej. Wychodzę na zewnątrz.

– Nie uwierzysz. Poszedłem na plażę, a tu nagle podbiega do mnie wyrośnięty szczeniak dingo. Przyskakuje, trudno wyczuć, czy chce się bawić, czy zaatakować. Na wszelki wypadek tupnąłem na niego: „Poszedł!" – opowiada Bartek. – Pies odskoczył i niepewnie mi się przygląda. Wtedy nagle zobaczyłem, że nadciągają jego kumple: wataha ośmiu młodych dingo. Poczułem się nieswojo. Zacząłem spokojnie wycofywać się w stronę namiotu. Te za mną. Wsiadłem do samochodu. Psy zaczęły buszować po naszym obozie: jeden wykopał sobie jaszczurkę i zaczął ją zjadać, inne obwąchiwały samochód, dwa zaciekawił namiot. Stanęły dwa metry przed nim, bojąc się podejść bliżej, i zaczęły z zainteresowaniem niuchać. I strach, i ciekawość. Cała sytuacja trwała z dziesięć minut, w końcu znudziły się i pobiegły dalej.

Droga do morza prowadzi przez wysokie wydmy

Na Wyspie Fraser spędzamy w rezultacie prawie tydzień, a nie trzy dni, jak planowaliśmy. Czas zleciał nie wiadomo kiedy na kąpielach, smażeniu na ognisku własnoręcznie złapanych ryb, buszowaniu wśród wydm i lasów. Spokojnie można by się tu zaszyć na dłużej.

Powoli, jadąc wzdłuż wschodniego wybrzeża, przemieszczamy się na południe w kierunku Sydney. Coraz więcej infrastruktury, coraz większe miasta, coraz bardziej europejsko. Na wybrzeżu można znaleźć piękne zakątki, lecz nie da się tego porównać z przeżyciami z Outbacku. Na chwilę odbijamy jeszcze raz na zachód, żeby odwiedzić starą znajomą Bartka – Amandę, która jako licealistka była w Polsce w ramach wymiany uczniów. Dziś mieszka w Parkes (dwieście kilometrów od Sydney, miasteczko

słynie z wielkiego radioteleskopu znanego z filmu *Świat na talerzu*). Ma już męża i trójkę fajnych dzieciaków. Zostajemy przyjęci po królewsku. Doładowujemy baterie. Po raz pierwszy od ponad dwóch miesięcy kładziemy się spać w łóżku, pod dachem! Jednak pierwszej nocy, zamiast zapaść w kamienny sen, nieprzyzwyczajeni do luksusów wiercimy się i wiercimy...

– Bartek, śpisz?

– Nie, nie mogę...

– Mnie też jakoś za miękko... jak tak dalej pójdzie, będziemy musieli się przenieść na karimaty...

Rodzice Amandy mają nieopodal wielką farmę. Nie jest to jednak zwykłe gospodarstwo, bo oprócz tradycyjnych owiec hodują strusie, emu, pawie, gadające papugi (jedna ma trzydzieści lat i ciągle mówi!) bawoły, lamy, wielbłądy, a co najważniejsze, kilkanaście miśków koala. Bierzemy je na ręce. Zwierzaki są słodkie i mięciutkie, aczkolwiek spojrzenie mają mętne i zapijaczone. Teraz możemy uznać, że naprawdę byliśmy w Australii.

Wkrótce musimy pożegnać się z Amandą, bo nasza australijska wiza powoli dobiega końca i czas pomyśleć o sprzedaży samochodu. Zanim jednak docieramy do Sydney, jeszcze na chwilę zatrzymujemy się w słynnych Górach Błękitnych. Ładnie tu, jednak nie są to góry w naszym rozumieniu, ale raczej wielkie kaniony o pionowych ścianach. Jak zwykle w najsławniejszym punkcie, czyli przy skale *Three Sisters*, zastajemy ludzkie mrowisko. Ale w innych miejscach można pójść na bardzo przyjemny trekking, wykąpać się w wodospadzie, po raz ostatni pomęczyć na wertepach nasz samochód...

Po wjeździe do Sydney zatrzymujemy się u kilku dealerów, żeby zorientować się, ile w najgorszym przypadku zaoferują nam za samochód, gdybyśmy nie dali rady sprzedać go sami. Nie jest najgorzej. Nawet w najczarniejszym wariancie i tak wyjdzie znacznie taniej, niż gdybyśmy przejechali Australię wypożyczonym samochodem. Jakby co, mamy wyjście awaryjne.

Opera w Sydney

Przystępujemy do kampanii reklamowej: przylepiamy informację o sprzedaży na szybach, w hostelach, ogłaszamy się w internecie. A tu cisza. Nikt nie dzwoni. Dni mijają, zwiedzamy Sydney, a widmo sprzedaży u dealera nas prześladuje. Wreszcie dzwoni jakiś człowiek.

– Czy za dwadzieścia minut mógłbym podjechać zobaczyć samochód?

W popłochu wracamy na kemping. Dwóch miłych Irlandczyków już czeka. Krótkie i owocne negocjacje, wypakowujemy bagaże, chłopaki odjeżdżają. Trwało to wszystko może z kwadrans...

Trochę żal, bo przyzwyczailiśmy się do naszej maszyny. Ale też po trzech miesiącach w aucie czas na jakąś zmianę. Nabraliśmy ochoty na coś mniej wygodnego niż samochód.

NOWA ZELANDIA: ROWERY NIE SĄ Z CUKRU

– Jeszcze kawałek, damy radę, za chwilę będzie z górki – Bartek, pedałując ile sił w nogach, przekrzykuje wiatr.

Rok 2010 zaczął się ciężko. Pierwszy stycznia powitał nas urywającym głowy lodowatym i przenikliwym wiatrem. Namiotu

o mały włos nie rozdarło na strzępy. Musieliśmy zdrowo się nagimnastykować, żeby nie odleciał podczas składania. Mimo wszystko wsiadamy na rowery. Spróbujemy jechać dalej. Od naszego obozu do celu, czyli podnóża Góry Cooka, zostało zaledwie piętnaście kilometrów.

Wiatr dmie prosto w twarz. Naciskamy ile sił na pedały, pot się z nas leje, sapiemy jak kowalskie miechy, a skutku żadnego. Niemal stoimy w miejscu! Po godzinie beznadziejnej walki przemieściliśmy się zaledwie o pięć kilometrów. Co pewien czas nagły podmuch strąca nas z siodełek – na zmianę lądujemy na ziemi.

Wreszcie udało się, jesteśmy na szczycie wzniesienia. Teraz chwila wytchnienia, bo z górki... Co jest?!

Nie wierzymy. Mimo solidnego spadku rower stoi w miejscu! Gdy przestajemy mocno pedałować, wiatr (który, jak się potem dowiedzieliśmy, osiągał tego dnia sto kilometrów na godzinę) niemal cofa nas pod górkę! Załamujemy się do reszty...

O drugiej w nocy lądujemy w Christchurch, w Nowej Zelandii, na Wyspie Południowej.

– Czy o tej porze jeździ jakiś autobus do miasta? – pytamy ziewającą panią w informacji.

– Nie, już dawno przestały kursować, następny dopiero o szóstej rano... Taksówki z lotniska są bardzo drogie, więc lepiej rozłóżcie sobie karimaty w tamtym kącie, zdrzemnijcie się, a rano pojedziecie autobusem...

Od razu zaczyna nam się podobać ten kraj. Rozkładamy maty i śpiwory obok grupki innych turystów, którzy podobnie jak my skorzystali z rady pani w informacji, i kulturalnie śpimy do rana, kiedy wygodny autobus zabiera nas na wyszukany wcześniej kemping.

Podczas długiej podróży trzeba oszczędnie gospodarować pieniędzmi. To zupełnie inny sposób planowania niż kilkutygodniowy urlop. Na krótkim wyjeździe, na który oszczędzało się i czekało cały rok, człowiek nie liczy się aż tak bardzo z wydatkami takimi jak choćby noclegi, bo wakacyjnych nocy będzie tylko kilkanaście. Nie po to się harowało, żeby na urlopie czegokolwiek sobie odmawiać. W naszej podróży wygląda to nieco inaczej: noclegi pochłaniają największą część budżetu i nie możemy pozwolić sobie na szaleństwa. W drogich krajach, takich jak Australia czy – choć w mniejszym stopniu – Nowa Zelandia, pozostaje przede wszystkim namiot. Wśród „długodystansowych" podróżników to zresztą częsty widok: ludzie niewyglądający na biednych, poubierani w markowe, choć zdarte i wypłowiałe trekkingowe ubrania, dobre oddychające kurtki i buty, nocują gdzie popadnie, jedzą na straganach, przemieszczają się najtańszymi środkami transportu. To nie sknerstwo, to po prostu inna filozofia podróżowania: lepiej zaoszczędzić na wygodnym łóżku, żeby potem zanurkować, polatać na paralotni, skoczyć na bungee czy ze spadochronem. Albo po prostu wędrować kilka miesięcy dłużej. Taki styl to zresztą nie tylko oszczędność. Pomaga zbliżyć się do miejscowych, sprzyja przygodzie, daje poczucie większej wolności, niezależności,

odrobiny wyzwania. To prawie jak narkotyk: często, nawet gdy nie musimy, utrudniamy sobie życie dla urozmaicenia włóczęgi.

Wracając do naszej wędrówki: zmiana kraju, zatem trzeba rozejrzeć się za nowym środkiem transportu. Po „samochodowej" Australii czas na zupełną odmianę. Tym razem nie będzie wygodnego wnętrza, dużego bagażnika, szczelnych szyb, a przede wszystkim... silnika. Mamy plan, żeby objechać Wyspę Południową na rowerach. Nie będzie łatwo, bo teren raczej pofałdowany i wyboisty, ale przynajmniej spróbujemy. Bartek ma pewne wątpliwości, lecz ja się uparłam.

Instalujemy się zatem na kempingu i rozpoczynamy badanie rynku rowerowego. Odwiedzamy sklepy. Ceny astronomiczne. Odpada. Zatem supermarket. Jeszcze w Australii przyglądaliśmy się wstępnie tanim rowerom w supermarkecie i wyglądało na to, że w razie czego coś uda się znaleźć. Tymczasem w Nowej Zelandii totalna porażka: mają tylko jeden rower, do tego dziecięcy.

Na domiar złego zaczyna padać deszcz. I to nie jest mżawka, tylko wielogodzinna ulewa. Zimno jak nie wiem co.

– Czy aby na pewno na rowerach? – z ironią dopytuje Bartek.

Ja jednak się zawzięłam. Wobec tego trzecia próba – portal www.trademe.co.nz, czyli nowozelandzkie Allegro. Sporo ofert całkiem dobrych używanych rowerów w przystępnych cenach, coś się wybierze. Trwają konsultacje ze specami z Polski, które okazy warto licytować. W końcu, siedząc na murku przed supermarketem, wygrywamy jedną aukcję. Rower dla Bartka załatwiony. Wieczorem, pokrzepiając się grzanym winem,

licytujemy drugi rower, z fantazją i rozmachem rosnącymi z każdym łykiem. Po zaciętej walce zdobywamy drugi pojazd.

Pierwszy górski odcinek za nami, półwysep Akaroa

Czekamy cali w nerwach na odbiór, żeby przekonać się, jak te nasze sprzęty faktycznie wyglądają. Wreszcie jest pierwszy! Rewelacyjny, prosty, trochę odrapany, ale solidny treck 7100 FX! Potem odbieramy drugi: produkt lokalny marki Avanti. Też fajny! Pełny sukces.

Można jechać. Zaopatrujemy się w książeczkę zatytułowaną *Peddalers Paradise* – to bardzo pomocna nowozelandzka biblia rowerowa, opisująca zwięźle i szczegółowo wszystkie ważniejsze trasy wraz z profilami przewyższeń. Odchudzamy bagaż i zostawiamy plecaki w recepcji kempingu (odbierzemy za miesiąc, dwa). Pakujemy sakwy, które dostaliśmy w ramach gwiazdkowego prezentu: namiot, maty, śpiwory, palnik i gaz, mały garnek i kubeczki, kilka ubrań i kosmetyków, zapasowe dętki,

łatki, pompkę, zapięcia do rowerów. Do tego parę pojemniczków na sól, cukier, oliwę, przyprawy i płyn do zmywania naczyń. Całkiem zgrabnie udało się wszystko upchnąć. Wkładamy obowiązkowe w Nowej Zelandii kaski nadające całemu przedsięwzięciu profesjonalny wygląd. Jesteśmy gotowi.

Na początek objedziemy pobliski Półwysep Banksa, wytworzony przez wybuch wulkanu, z wewnętrznym naturalnym portem Akaroa. Pierwszy odcinek płaski, słońce świeci, wszystko pięknie się układa, wszechświat współpracuje, żeby nas za szybko nie zniechęcić do rowerów. Do tego największe szczęście cyklisty: dostajemy mocny wiatr w plecy. Ledwo musimy dotykać pedałów, koła same się kręcą. Po cichu mamy nadzieję, że w drodze powrotnej wiatr czarodziejsko zmieni kierunek. Wiatr to w obecnej sytuacji zdecydowanie najważniejszy czynnik pogodowy. Gdy sprawdzamy prognozę na następne dni, obchodzi nas nie tyle temperatura i opady, ile właśnie kierunek i siła wiatru.

Po nocy spędzonej w namiocie rozbitym na miękkiej trawie na farmie miłej rodzinki czas zmierzyć się z pierwszą poważną górą. Ambitnie wybieramy piękną, ale dłuższą i bardziej wymagającą trasę. Oj, stromo... Najpierw pięćset metrów przewyższenia na krater, a potem jeszcze kilkadziesiąt kilometrów jego wyboistym brzegiem. Parę razy kapitulujemy i pchamy rowery. Za to ze szczytu taki widok, że wracają nam siły. Nowa Zelandia jak z pocztówki: zielone pagórki z pasącymi się owieczkami, a w dole turkusowa, otoczona stromymi klifami zatoka. Zawsze gdy się

człowiek namęczy, żeby osiągnąć szczyt, widok, jaki dostaje w nagrodę, wydaje się jeszcze piękniejszy.

Jesteśmy wreszcie w miasteczku Akaroa. Czeka nas misja. Przed wyjazdem z Polski co roku organizowaliśmy przedwigilijne spotkanie z przyjaciółmi. Tradycji musi stać się zadość i teraz. Na ścianie warszawskiego mieszkania wisi rzutnik i ekran, a my chcemy połączyć się przez Skype'a i przez chwilę uczestniczyć w imprezie. Tak było rok temu w Indiach, tak musi być i tym razem w Nowej Zelandii. Tu będzie łatwo – myślimy sobie – bo miejsce cywilizowane i turystyczne. Tymczasem ku naszej rozpaczy w mieście nie ma ani jednego publicznego komputera ze Skype'em! Chodzimy, szukamy – nici. Coś trzeba zrobić. Po tylu miesiącach w podróży przestaliśmy wstydzić się prosić obcych ludzi o najdziwniejszego rodzaju pomoc. W Polsce pewnie trudno byłoby nam się zdobyć na coś podobnego, teraz jednak plan działania staje się oczywisty. Pukamy do pierwszego prywatnego domu.

– Przepraszamy za kłopot, ale mamy taką nietypową prośbę. Podróżujemy od półtora roku, a dziś w naszym kraju jest spotkanie, w którym musimy uczestniczyć przez Skype'a. Czy mają może państwo internet i moglibyśmy z niego przez pół godziny skorzystać?

Mamy szczęście. Syn właścicielki mieszka w Anglii i regularnie używają tego komunikatora. Szybkie łącze, mikrofon, kamera – jest wszystko, czego nam trzeba. Drugie międzykontynentalne imprezowanie zakończone sukcesem!

Pogoda zdecydowanie lepsza niż na początku naszego pobytu, choć prawie codziennie pada przelotny deszcz. Po opuszczeniu półwyspu, kierując się na południe, wjeżdżamy na płaskie, rolnicze tereny. Jazda jest teraz łatwa, ale mniej ciekawa: wzdłuż drogi tylko pola i pastwiska. Na wschodnim wybrzeżu wyspy większość lasów wycięto pod uprawę. Sprowadzono zwierzęta hodowlane. Podobno wszystkie ssaki żyjące w Nowej Zelandii pochodzą spoza wyspy. Naszą ulubioną zabawą podczas długich, monotonnych godzin jazdy stało się gadanie z pasącymi się przy drodze stadami krów i owiec. Na Bartkowe „muuuuu" krasule zlatują się z całego pastwiska i truchtają wzdłuż płotu równolegle z rowerami, a potem, gdy odjeżdżamy, jeszcze długo wodzą za nim tęsknym wzrokiem. Lepiej nie wiedzieć, co im naopowiadał...

Na jednego mieszkańca Nowej Zelandii przypada kilkanaście owiec

Zaczynają się pagórki. Na razie niewinnie, wyższe pasma piętrzą się nieco bardziej na zachód, w centrum lądu. Nocujemy

w namiocie nad brzegami strumieni. Nasze łydki z dnia na dzień stają się większe i mocniej umięśnione. Schudliśmy, mimo że gotujemy gigantyczne porcje. Pewnego popołudnia udało nam się nawet nazbierać grzybów, wyglądających jak polskie maślaki. Ponieważ niektóre były robaczywe i objedzone przez ślimaki, uznaliśmy, że nie mogą być trujące. Faktycznie, trujące nie były, jednak niespecjalnie smaczne. Przyjemniej było je zbierać niż jeść.

W miejscowości Geraldine, w której notabene mieszka mężczyzna, który przez ostatnie dwadzieścia lat układał replikę średniowiecznej mozaiki z półtora miliona siedmiomilimetrowych stalowych opiłków z kół zębatych, odbijamy na zachód, w krainę jezior turkusowych i gór wysokich. W tym rejonie kręcono sporo scen z filmu *Władca Pierścieni*. W każdym centrum informacji turystycznej można kupić album w stylu „Śladami *Władcy Pierścieni*" opisujący kolejno miejsca, gdzie rozgrywały się poszczególne sceny: tu stał zamek Gandalfa, tutaj starły się wojska Saurona, a tam Frodo spotkał Golluma... Przemysł turystyczny eksploatuje film ile sił. Można wykupić konną przejażdżkę z „jeźdźcami Pierścienia" lub wyruszyć na trekking z hobbitami. Albo przynajmniej kupić na pamiątkę jakiś gadżet, choćby inkrustowaną obrączkę.

Teren robi się coraz bardziej górzysty. Strome podjazdy wyciskają z nas ostatnie poty, sakwy ciążą niemiłosiernie. Uczymy się zachować odpowiedni rytm, we właściwym momencie redukować przerzutki, tak aby jak najmniej się zmęczyć i nie nadwerężyć kolan. Opracowujemy też system odpoczynków: co godzina piętnaście minut plus jeden dłuższy w środku dnia na obiad. Zbyt długa przerwa rozleniwia, stygną rozgrzane mięśnie

i później trudno powrócić do wcześniejszego rytmu. Co jakieś cztery dni dobrze jest też zrobić dzień absolutnego odpoczynku od jazdy na rowerze. Z tym jednak różnie bywa: w rezultacie nasze przerwy wyznacza przede wszystkim prognoza pogody, a nie rozsądek. Nawet gdy akurat czas na odpoczynek, ale zapowiada się słoneczny dzień z pomyślnym wiatrem, i tak decydujemy się na dalszą jazdę. Mimo wszystko jesteśmy coraz bardziej wprawieni i przy korzystnej pogodzie potrafimy przejechać dziennie nawet sto kilometrów.

Przed nami słynne turkusowe jezioro Tekapo. Decydujemy się popedałować jeszcze kawałek dalej i rozbić się nad sąsiednim małym, spokojnym i uroczym jeziorem Alexandrina. Tu zrobimy jeden dzień przerwy od jeżdżenia. Obejrzymy okoliczne atrakcje, polenimy się nad wodą.

Jak słyszeliśmy, to najlepsze na całej południowej półkuli miejsce do oglądania nieba. Dlatego na pobliskiej Mount John zbudowano obserwatorium astronomiczne. Mieliśmy zamiar w ramach odmiany wejść tam spacerem, ale tak się rozpędziliśmy, że wjechaliśmy na rowerach. Na górze wiatr głowy urywa. Podobno zarejestrowano tu wiatr o prędkości ponad dwustu kilometrów na godzinę! Dziś też dmie niemiłosiernie. Stajemy na skałce, pochylamy się coraz mocniej do przodu, w pozycji „na Małysza", której w normalnych warunkach nie dałoby się utrzymać. Unosząc się na powietrznej poduszce, niemal uczymy się latać. Ze szczytu roztacza się bajeczny widok na błękitne

jeziora, na horyzoncie bielą się szczyty najwyższych pasm górskich.

Jezioro Tekapo, widok z Mount John

Im dalej na zachód, tym piękniej. Jedynie mijanki z samochodami nie należą do przyjemności. Pojazdy są dosyć duże, a większość ciągnie za sobą przyczepę z motorówką, kajakami albo skuterami wodnymi. Trwają tutejsze wakacje, więc kto żyw wyruszył na urlop. Uderzenie powietrza powodowane przez taki pojazd potrafi niebezpiecznie nami zachwiać, niekiedy wręcz trudno utrzymać równowagę. Ale trzeba przyznać, że kierowcy traktują rowerzystów bardzo kulturalnie: zwalniają i omijają wielkim łukiem. Zwykle też pozdrawiają, przy czym zauważyliśmy pewną zależność: im bardziej stromy podjazd, silniejszy wiatr i mocniejszy deszcz, tym większe serdeczności.

Zamknięty kawałek drogi wzdłuż kanału

Niestety pogoda psuje się definitywnie. Mżawka przechodzi w silny deszcz. Jesteśmy przemoczeni do suchej nitki, w butach chlupocze, a temperatura spadła poniżej dziesięciu stopni. Do tej pory nawet w deszczu i chłodzie zawsze byliśmy tak rozgrzani pedałowaniem, że nie marzliśmy zbyt mocno. Teraz kapitulujemy. Trzęsiemy się jak galareta, bo przez ostatnie piętnaście kilometrów nie było nawet daszka, pod którym moglibyśmy się schować i przeczekać. W końcu jest jakiś budynek: farma łososi, jak się okazuje. Zmieniamy ubrania, pracownicy częstują nas ciepłą herbatą. I oczywiście przy okazji kupujemy za symboliczną cenę kawał wspaniałej, świeżej ryby. Nie ma tego złego...

Zbliżamy się do Góry Cooka, najwyższej w Nowej Zelandii. Wyjątkowo piękna trasa wiedzie brzegiem jezior i potoków. Dziś sylwester. Do celu mamy już tylko piętnaście kilometrów, gdy widzimy idealne miejsce na kemping: miękka, zapraszająca

zielona łąka nad brzegiem strumienia, obok bije źródło, wprost idealne, żeby schłodzić szampana. Jak na dłoni widać całą panoramę Alp Południowych. Na dziś kończymy jazdę. Przy ognisku, zajadając się pieczonym w folii łososiem, oświetleni blaskiem księżyca w pełni, w niemal kiczowatej scenerii witamy 2010 rok. Półtora roku w podróży minęło nie wiadomo kiedy. I ani nam w głowie wracać...

Po tak sielankowym wieczorze i nocy nie byliśmy przygotowani na to, co zgotował nam pierwszy dzień nowego roku. Takiej wichury jeszcze nie było. Pałąki od namiotu pokrzywione, męczymy się przy pakowaniu, bo gdy tylko coś wypadnie nam z rąk, natychmiast odfruwa w siną dal.

To najdłuższe piętnaście kilometrów w naszym życiu. Pedałujemy ile sił, a rowery niemal stoją w miejscu. Z przeciwka mija nas inny rowerzysta wracający z Góry Cooka. Ten ma farta! Wiatr w plecy, prawie nie naciskając na pedały, frunie jak strzała pod górkę jakieś trzydzieści kilometrów na godzinę. Pozdrawia nas, uśmiechnięty od ucha do ucha, my zaś mamy ochotę rozszarpać go z zazdrości. U kresu sił, zasapani dojeżdżamy w końcu do podnóża Góry Cooka.

Szukając na kempingu miejsca na rozbicie namiotu, marzymy tylko o jednym: żeby osłonić się od wiatru. Znajdujemy płaski kawałek ziemi tuż pod lasem, za pagórkiem... Każdy harcerz wie, że w dołku nie należy się rozbijać, ale jak człowieka przewieje, to mu się zmieniają priorytety. Kładziemy się spać dumni z naszej zacisznej miejscówki. Tymczasem w nocy zaczyna padać. O trzeciej nad ranem budzę się, czując w śpiworze coś wilgotnego... Mata faluje jak łóżko wodne.

– BARTEEEK!!! WSTAWAJ!!! ZALEWA NAS!!!

Nasza jednostka nabiera coraz więcej wody. Maty i sakwy pływają w płytkim bajorku, śpiwory można wyżymać. Wyskakujemy z namiotu. Aha. Wszystko jasne. Po silnym deszczu pod naszym namiotem zaczął płynąć strumyk...

Łapiemy co popadnie pod pachy i po ciemku biegniemy w stronę świetlicy kempingowej, przeprawiając się po drodze przez sięgający kolan rwący potok, który przez noc zalał mostek. Zimno jak nie wiem co. Rozwieszamy mokre rzeczy, łykamy po polopirynie i kładziemy się spać na stole, otuleni w Bartkowy śpiwór, który najmniej przemókł.

Rano się przejaśnia. Z minuty na minutę coraz ładniej. Między szczytami rozciąga się wspaniała tęcza. Do kuchni wchodzi jakaś dziewczyna i mówi, że właśnie widziała namiot, który wygląda tak, jakby jakiś frajer rozbił go na środku jeziora, ha, ha. Bardzo śmieszne.

Na szczęście słońce zaczyna świecić tak mocno, że wszystko schnie w godzinę. Zjadamy śniadanie, przestawiamy namiot w bezpieczniejsze miejsce i idziemy w góry, do Muller Hat, podziwiać najwyższy szczyt Nowej Zelandii – Górę Cooka, na której Hillary trenował przed zdobyciem Everestu. Od dawna marzyły nam się prawdziwe, wysokie góry. Stęskniliśmy się za śniegiem, widokiem lodowca.

Wieczorem, gdy po całym dniu wędrówki po górach zmęczeni i szczęśliwi schodzimy na nasz kemping, szybko zapadamy w głęboki sen. W nocy znowu zaczyna padać, ale tym razem powódź nas nie dosięga. Deszcz jednak wzmaga się z każdą godziną, leje jak z cebra. Na samą myśl o pedałowaniu cały dzień

w takich warunkach ciarki chodzą nam po plecach. Nie wygląda na to, żeby miało się przejaśnić. Podobno w okolicy Góry Cooka tak właśnie jest: jeśli zacznie padać, niebo zaciąga się na wiele dni. Czekamy, aż ulewa nieco ustanie, żeby wydostać się z doliny. Tymczasem autokar przywozi japońską wycieczkę. Osłupiali obserwujemy, jak Japończycy grzecznie wkładają gumowe teletubisiowe kombinezony, zabierają aparaty, uśmiechnięci mówią *sayonara* i mimo że widoczność jest na metr, ruszają na zaplanowany spacer.

Nagle w kuchni, w której zakotwiczyliśmy w oczekiwaniu, aż przestanie lać, słyszymy polską mowę. Poznajemy Tomka, który przyjechał tu na wspinaczkę, lecz przez załamanie pogody musiał ją przerwać. Pakuje nasze rowery do swojego wypożyczonego samochodu i wywozi nas z krainy deszczu. Dwadzieścia kilometrów od Góry Cooka jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zaczyna świecić słońce. Z ulgą zostawiamy za sobą zimną, mokrą, wypełnioną ciemnymi chmurami dolinę.

Leniwie wracamy z Góry Cooka na wschodnie wybrzeże, by dalej okrążać wyspę. Zatrzymujemy się to tu, to tam: wśród dziwacznych glinianych formacji, a to w jaskini z maoryskimi malowidłami.

W maleńkim miasteczku o nazwie Duntroon pokazują nam grzechoczące kamienie. Jak to możliwe, że kamień wydaje dźwięk? Otóż dzieje się tak dlatego, że wiele lat temu stygnąca wulkaniczna magma uwięziła w swym wnętrzu inne kamyki. Stąd ów tajemniczy odgłos. W miasteczku rysują nam na kartce

miejsce, gdzie należy się udać. Najlepiej szukać przy rzeczce, tylko koniecznie suchych, bo jeżeli zamokły, trzeba by je suszyć przynajmniej dwa lata, żeby znowu zaczęły grzechotać. Pedałujemy i pedałujemy po szutrowej drodze, ale mapa okazuje się niezbyt dokładna. Podjeżdżamy do domku farmera i pytamy, czy może przypadkiem wie coś o kamieniach.

– Tak, możecie spróbować przy tamtym strumyku, ja kiedyś znalazłem tam taki kamień, ale macie raczej małe szanse... Niewiele ich już zostało.

Zostawiamy rowery i do dzieła. Udało się z opalami w Australii, uda się i teraz. Przerzucamy dziesiątki kamieni, aż mięśnie rąk bolą od tego potrząsania.

Po dwóch godzinach, prawie równocześnie...

– Bartek, Bartek, Bartek, maaaaam, maaaam, grzechocze, słyszysz?! No powiedz, że grzechocze!

Niewielki brunatny kamień o średnicy czterech centymetrów ewidentnie ma coś w środku.

– A ja też właśnie przed sekundą znalazłem dwa, o tu, posłuchaj – Bartek potrząsa ręką. Faktycznie dzwoni.

Wychodzimy ze skarbami na drogę. Zatrzymuje się przy nas samochód sąsiada. Mężczyzna pyta, czy coś znaleźliśmy. Prezentujemy nasze okazy. Farmer jest zdumiony:

– Macie szczęście, ludzie czasem szukają cały dzień i odjeżdżają z pustymi rękami...

Pedałowanie idzie nam coraz lepiej. Pada nowy rekord: sto dziesięć kilometrów jednego dnia. Dojeżdżamy do nadmorskiego miasteczka Oamaru. Trochę jednak przesadziliśmy. Bolą nogi, i zresztą nie tylko nogi...

Oamaru reklamuje się jako miasteczko ogarnięte pingwinomanią: na tutejszym wybrzeżu żyje kolonia małych i wesołych pingwinów niebieskookich. Niestety pingwiny są strasznie sprytne, liczą sobie słoną kasę za podglądanie i nie pozwalają się fotografować. Miasteczko ładne, klimatyczne, sporo budynków z XIX wieku, stara ciuchcia.

Bliskie spotkanie z pingwinami udaje się dopiero w Moeraki. Tutejsze pingwiny żółtookie nie są tak pazerne jak ich błękitnoocy kumple z Oamaru. Spacerujemy cichutko wśród nadbrzeżnych pagórków, tuż obok nas człapią urocze nieloty. Jest nawet jedna rodzinka z dwoma małymi. Pisklaki otulone grubym, szarym puchem wydają się większe od rodziców. Z pingwina najfajniejszy jest jego skok: staje na skale, czai się, czai, buja, wreszcie wychyla się do przodu i... bęc, ląduje dziesięć centymetrów dalej na sąsiednim kamyku. Po takim wysiłku dochodzi do siebie, co zajmuje trochę czasu, a potem operacja się powtarza – i w ten sposób po godzinie od wyjścia z wody jest już w gnieździe.

Wracając plażą ze spaceru do lokalnej atrakcji – dziwnych, okrągłych kamieni zwanych Moeraki Boulders – myślimy, co by tu zjeść na obiad, gdy nagle przed nami wyrastają skałki całe obrośnięte małżami.

– Myślisz, że to jadalne?

– A dlaczego nie? – Bartek już jest po kolana w wodzie i zaczyna odrywać co ładniejsze okazy. Zebraliśmy całkiem

pokaźną reklamówkę. Najpierw musimy żmudnie oczyścić je z wodorostów, ale potem idzie już szybko. Trochę białego wytrawnego wina, czosnku, cebuli, natki pietruszki, wszystko do przykrytego garnka na pięć, dziesięć minut, parę razy potrząsnąć, dodać śmietany i gotowe. Wyszły wyśmienicie i smakowały fenomenalnie, jak zresztą prawie wszystko, co się samemu znajdzie lub upoluje. Od tego czasu zawsze, gdy obozujemy nad morzem, biegniemy sprawdzić, czy przypadkiem nie znajdziemy na kolację małży – często się udaje. Nowozelandzkie przepisy pozwalają zebrać po trzydzieści sztuk na osobę dziennie. Najszlachetniejsze są te z charakterystyczną zieloną obwódką. Są wielkie, długości dłoni, trzy-, czterokrotnie dłuższe od tych znanych nam w Europie.

Szczęście na dobre nas opuściło. Codziennie leje i w gębę wieje. Od dłuższego czasu słoneczne chwile można policzyć na palcach jednej ręki. Jak nie ulewa, to pod wiatr, a zwykle jedno i drugie. Przestaje nam się to podobać. Problemem przy podróżowaniu na rowerze nie są – jak się najbardziej obawialiśmy – wysokie przewyższenia, ale wredna i złośliwa pogoda. Do diabła z takim latem. Na domiar złego wysłużony namiot, który przejechał Azję i wyspy Pacyfiku, a przez ostatnie cztery miesiące w Australii i Nowej Zelandii był praktycznie naszym domem, zaczął się w końcu sypać. Przetrwał mongolskie burze, nepalskie przymrozki, australijskie pustynie, pacyficzne wilgotne upały, ale tutejsze wichury i ulewy w końcu go zmogły. Najpierw trzasnęły

pałąki i szpilki. Potem rozszedł się suwak, przetarł się wodoodporny laminat na podłodze, a tropik zaczął się rozklejać.

Desperacko sprawdzamy prognozę pogody, próbując wcelować w lepszy moment, żeby ruszyć dalej. Podobno w tym roku trafiło się wyjątkowo kiepskie lato, chociaż nam się wydaje, że mieszkańcy pewnie co roku tak narzekają i że taki już po prostu urok Nowej Zelandii. Głupio się przyznać, ale powoli odechciewa się nam rowerów.

– To miała być przyjemność, a nie zapieprz w deszczu dzień w dzień! Dość tego, jutro sprzedajemy w cholerę te rowery! Nawet jak będzie świeciło słońce! – Gdy po raz kolejny przemoczyło nas do suchej nitki, nerwy mi całkiem puszczają.

– Chciałaś – masz. To był twój pomysł – cedzi Bartek. I tak sobie sympatycznie gawędząc, po pięćdziesięciu kilometrach męczarni dojeżdżamy do jakiejś miejscowości. Musimy przyznać, nadszedł kryzys. Dziś, pierwszy raz w Nowej Zelandii, a czwarty od czterech miesięcy, czyli od przyjazdu do Australii, fundujemy sobie dach nad głową. Sytuacja wymaga łóżka i pościeli.
O namiocie tej nocy nie ma mowy.

Jest sucho, jest ciepło, jest lepiej...

Po dwóch dniach przestaje wreszcie padać i ogólnie ma iść ku lepszemu. Dojeżdżamy do półwyspu Otago. Kryzys jakby zażegnany. Damy rowerom jeszcze jedną szansę. Miejsce sielskie. Tutejsza chluba to albatrosy królewskie, jedne z największych ptaków na świecie. Ptaszyska są naprawdę wielkie: rozpiętość

skrzydeł sięga aż trzech metrów. Nawet nie muszą nimi machać: po prostu szybują nad naszymi głowami.

W sklepie ze sprzętem turystycznym udaje nam się nawet w ramach gwarancji wymienić namiot. Najwyraźniej firma nie przypuszczała, że ktoś będzie używał go nieco częściej niż dwa razy w roku w wakacje, i dlatego dała kilkuletnią gwarancję.

Przed nami na plaży leży nieruchome cielsko

Przesuwamy się wzdłuż wybrzeża Catlins, na południowo-wschodnim krańcu Nowej Zelandii. Odludne, zimne, skaliste, wietrzne, przepiękne. Pewnego dnia spacerujemy plażą, gdy nagle przy wydmie widzimy dziwną kłodę. Podchodzimy bliżej...

– Słuchaj, to nie kłoda, to zdechła foka!

Rzeczywiście, przed nami leży nieruchome, szare cielsko foki. Po głowie łażą jej muchy. Stoimy i się gapimy, aż tu znienacka zwierzę ziewa szeroko. Niemal podskakujemy. Ku naszemu zdumieniu zdechła foka okazuje się całkiem żywym lwem

morskim. Po chwili napotykamy ich coraz więcej. Okupują kilka kilometrów plaży. Śpią, tarzają się w piachu, czasem zaryczą. A przede wszystkim ohydnie śmierdzą.

Pewnie trudno byłoby nam żyć tak długo z dala od Polski, gdyby nie odwiedziny rodziny i przyjaciół. Tym razem wpada z wizytą Pingwin, który już wcześniej odprowadzał nas zresztą do Mongolii. Przy użyciu sporej dozy perswazji i wina udaje nam się go przekonać, że wakacje na rowerze to mimo wszystko dobry pomysł. Organizujemy szybko trzeci bicykl i toczymy się razem dalej na sześciu kółkach.

W Nowej Zelandii po prostu nie wypada nie pójść na przynajmniej jeden kilkudniowy trekking. Wędrówka z plecakiem to obowiązkowy punkt wizyty na Wyspie Południowej. W każdym parku narodowym są świetnie przygotowane i oznakowane trasy i schroniska. W sezonie wakacyjnym amatorów trekkingu jest wielu. Na najpopularniejsze szlaki trzeba się zapisywać z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem. Żeby uniknąć tłoku, wybieramy położoną na południowym krańcu wyspy nieco mniej uczęszczaną trasę. Pierwszy dzień to marsz po plaży, potem wspinaczka w gęstym lesie. Las fantastyczny, gałęziasty, korzeniasty, tajemniczy, mglisto-wilgotny. Wcale by nas nie zdziwiło, gdyby nagle zza zwalonego pnia wyszedł gnom czy inny krasnal. Kolejny dzień miał przynieść najpiękniejsze widoki, bo szlak prowadzi granią. Niestety chmury szczelnie zasłoniły panoramę. Ostatni odcinek wiedzie wzdłuż torów starej linii kolejowej z początku dwudziestego wieku. Kilka razy pokonujemy

piękne, zabytkowe wiadukty. Gdy już prawie jesteśmy na miejscu, chmury, drwiąc z nas perfidnie, rozstępują się i ukazują wysoką grań, po której poprzedniego dnia wspinaliśmy się we mgle... Nogi jeszcze nie przestały nas boleć po zejściu z gór, ale wiatr wyjątkowo wieje w tę stronę, w którą powinien, i nawet świeci słońce, więc mimo że chętnie by się poleniuchowało, wsiadamy na rowery i zaczynamy wspinaczkę na północ, wzdłuż zachodniego wybrzeża. Pedałujemy nad jezioro Manapouri. Ta zależność od pogody wydaje nam się chwilami niemal zamachem na naszą podróżniczą wolność. Po dotarciu nad jezioro szybko jednak o wszystkim zapominamy. Widoki zwalają z nóg... to znaczy z kół. Przed nami rozpościera się zachodnia kraina fiordów. Lśniąca, błękitna tafla otoczona skalistymi wzgórzami. Surowe, zimne piękno.

Wybrzeże Catlins, surowe, zimne i piękne

Po ostatnim trekkingu mamy jednak niedosyt chodzenia. Przed nami druga co do wysokości góra Nowej Zelandii, czyli Mount

Aspiring. Pakujemy lekkie plecaki i w drogę. Od dłuższego czasu mamy ochotę na świeżą rybę. Nowozelandzkie strumienie i jeziora miały obfitować w pstrągi, łososie i inne pyszności, tymczasem podjęliśmy już tyle prób wędkarskich, a tu nic. Po raz kolejny pytamy w informacji turystycznej, czy są w okolicy ryby i gdzie można łowić. Pan wyjaśnia, że mają tu sporo pstrągów, i obszernie instruuje, na których odcinkach rzeki jakiej techniki warto użyć: tu łapie się na spinning, tam tylko na muchę.

Ruszamy wzdłuż strumienia. Wędek ostatecznie nie zabraliśmy, żeby zredukować bagaż. Bartek idzie pierwszy. Nagle odwraca się, daje znaki, żebyśmy podeszli po cichutku. Bezgłośnie, teatralnie mówi: „RYBA" i wskazuje palcem zakole rzeki w dole skarpy. Patrzymy: faktycznie, przy powierzchni zastygł wielki pstrąg. Biorę aparat, żeby go sfotografować.

Trafiony zatopiony!

– A może by go jakoś sposobem... dawajcie szybko kamula!

Bartek łapie kawałek głazu i rzuca w rybę. Osłupiali gapimy się z niedowierzaniem w wodę. Spoglądamy w miejsce, gdzie upadł kamień.

– Dostała! Dostała! Idę po nią! – wydziera się Bartek. Rzeczywiście, pstrąg dryfuje przy powierzchni do góry brzuchem. Bartek z neandertalskim, dzikim błyskiem w oczach rzuca się w dół ze stromej, parometrowej skarpy.

– Bartek, wyluzuj, on już nie żyje, idź naokoło... – łapiemy go w ostatniej chwili.

W tej części rzeki nie łowi się na spinning ani na muchę. Tu praktykuje się *stonefishing*...

Z brzuchem pełnym smakowitej ryby przystępujemy do ataku na Cascade Saddle, szlak wiodący u stóp Mount Aspiring. Tym razem mamy szczęście. Jest słonecznie i ciepło. Najpierw ostro w górę na wysokość tysiąca ośmiuset metrów. Do tego kilka przepraw przez wodospady i strumienie. Potem już tylko skały, lodowce, stada górskich papug kea... Naszym zdaniem to jeden z piękniejszych zakątków Nowej Zelandii.

Wiele osób twierdzi, że zachodnie wybrzeże Wyspy Południowej jest najpiękniejszą częścią Nowej Zelandii. Odwiedzamy wszystkie słynne punkty: lodowce Fox i Joseph, potem Pancake Rocks, czyli skały, z których wiatr, deszcz i morze zrobiły formacje przypominające położone jeden na drugim naleśniki. Trzeba przyznać, że na zachodzie dużo lepiej zachowały się lasy, a krajobraz nie został tak zniszczony przez rolnictwo jak na wschodzie. Choć mieszka tu mniej ludzi, wcale nie mamy

wrażenia, że jest bardziej ustronnie niż na wschodnim wybrzeżu. Wręcz przeciwnie: renoma zachodniego wybrzeża przyciąga coraz większą rzeszę turystów, teraz zaś, w sezonie wakacyjnym, jest to szczególnie widoczne. Rejon ten ma jeszcze jeden mankament: koszmarne, boleśnie gryzące muchy. Takie nasze muszki-meszki, są ich miliardy i włażą wszędzie. Próbujemy rozmaitych metod walki, łącznie z olejkiem cytrynowym rozcieńczonym oliwką, miksturą według przepisu pani z wioskowego sklepiku. Ale nawet ta lokalna receptura działa zaledwie przez kwadrans. Owady atakują zwłaszcza pod wieczór. Jest ich więcej niż stonki na polskich polach w stanie wojennym.

Docieramy na północ wyspy. Jedziemy piękną drogą przez Marlborough Sounds, czyli fiordy, wzdłuż stromych, porośniętych lasem brzegów. W dole niezliczone morskie zatoki o najprzeróżniejszych kształtach. Przepływające po niebie chmury raz po raz to odsłaniają, to zasłaniają słońce, przez co krajobraz i jego kolory zmieniają się jak w kalejdoskopie.

Marlborough słynie nie tylko z fiordów i zielonych małży, ale przede wszystkim jest chlubą nowozelandzkiego winiarstwa. Pyszne pinot gris, sauvignon blanc, chardonnay. Zdecydowanie królują wina białe. Reklamy zachęcają do objazdu winnic na rowerze, więc jeździmy leniwie od winnicy do winnicy i próbujemy. Tu nikogo nie spisują za jazdę po kielichu. Wręcz przeciwnie, kierowców samochodów ostrzega się, żeby zachowali szczególną czujność i uważali na rowerzystów.

To ostatnie chwile spędzone z Pingwinem, więc chcemy efektownie zakończyć nasze spotkanie. Postanawiamy zrobić wypad na ryby w Marlborough Sounds. Mimo że *stonefishing* to

metoda równie skuteczna jak spektakularna, postanawiamy tym razem wybrać się na połów klasyczny. Wypływamy łódką na środek fiordów, zakładamy kalmara na haczyki, spuszczamy przynętę na samo dno i czekamy. Nic. Zmieniamy miejsce.
I wtedy się zaczyna. Wyciągamy jednego czerwonego morskiego okonia za drugim. W pewnym momencie Pingwin zaczyna walczyć z wędką. Ciągnie, kręci kołowrotkiem, wreszcie wydobywa wielgachnego potwora.

– Barakuda – ocenia właściciel łódki, a następnie ku naszej rozpaczy zdejmuje rybę z haka i wrzuca z powrotem do wody. Barakudę za burtę, zwariował? – Niedobra, pełna ości i pasożytów – wyjaśnia.

Szkoda. Potem wyciągamy jeszcze kilka rekinów, jednak też je uwalniamy. Cóż, barakudę i rekiny można przeboleć, ale gdy musimy wypuścić do wody przepysznego niebieskiego dorsza, aż chce nam się płakać.

– A z dorszem co jest nie tak?

Okazuje się, że w tym roku w Marlborough Sounds wprowadzono zakaz połowu dorszy. Za jego złamanie grozi konfiskata łodzi i dotkliwe kary.

Po całym dniu wysiadamy na brzeg z pełną torbą filetów. Wieczorem robimy pożegnalną ucztę na cześć Pingwina, który jutro musi wracać do Polski. Najpierw sushi. Potem ryba smażona w mące. I ryba *sauté*. I ryba zapiekana z mlekiem i tartą bułką. Potem już tylko zupa rybna i ryba z grilla w dwóch smakach: czosnek plus cytryna i ser pleśniowy plus awokado. Ostatniej wariacji nie daliśmy już rady pochłonąć, dokończyliśmy na

śniadanie. Zrobiliśmy jeszcze kanapki na drogę. Na jakiś czas mamy dosyć ryb.

Wyciągamy jednego czerwonego okonia za drugim, Marlborough Sounds

Pingwin odjeżdża. Nasza nowozelandzka trasa też powoli dobiega końca. Droga do Christchurch prowadzi przy samym morzu. Z lewej strony woda, a tuż obok po prawej wysokie góry. Piękna pogoda, niezły wiatr. Tak jak na początku, gdy dwa miesiące temu zaczynaliśmy podróż na rowerach. Tym razem znowu natura robi wszystko, żebyśmy dobrze zapamiętali czas spędzony w Nowej Zelandii. Około pięćdziesięciu kilometrów przed miejscowością Kaikoura na plaży zaczynają pojawiać się foki. Najpierw pojedyncze, ale z każdym kilometrem ich przybywa. Na skałach wylegują się całe stada. Nie boją się, są przyzwyczajone do ludzi. Mordy mają poczciwe, wręcz psie.

Niesamowite, jak po zanurzeniu się w wodzie niezdarne, workowate cielsko błyskawicznie przeobraża się w zwinnego, ruchliwego stwora.

W końcu dojeżdżamy do mety! Jesteśmy dokładnie w miejscu, w którym dwa miesiące temu zaczęliśmy pętlę dookoła Wyspy Południowej, czyli na kempingu w Christchurch. Za nami przeszło dwa tysiące kilometrów pedałowania. Na łydkach wyrosły nam mięśnie, których istnienia nawet nie podejrzewaliśmy. Mimo pochłaniania przerażających porcji jedzenia schudliśmy. To były trudne tygodnie. Dotychczas wyjeżdżaliśmy na rowery najwyżej na tydzień, maksymalnie dziesięć dni. Dwa miesiące na siodełku to jednak zupełnie inna historia. Dla nas stanowiły swoisty rekord i wyzwanie dla kondycji. Zła pogoda dała nam się we znaki. Czasem wydawało nam się, że któregoś dnia deszcz rozpuści i nas, i rowery jak wielkanocne cukrowe baranki. Zrealizowaliśmy plan, ale zgodnie przyznajemy, że to wystarczy. Chwilami mieliśmy bowiem poczucie, że to już nie podróżowanie, ale test wytrzymałościowy.

Nowa Zelandia, a w zasadzie Wyspa Południowa, bo tylko o niej możemy mówić, jest niewątpliwie szczególnym miejscem. Do pewnego stopnia przypomina Europę i czasem zaczynaliśmy już tęsknić za nieco większą egzotyką. Za to rzadko się zdarza, żeby tak niewielki obszar skupiał wszystkie krajobrazy świata: złociste plaże, wietrzne fiordy, tajemnicze lasy, turkusowe jeziora, białe lodowce. Co pięćdziesiąt kilometrów inna sceneria. Po raz pierwszy w życiu widzieliśmy w naturze lwy morskie, pingwiny i albatrosy, zajadaliśmy samodzielnie nazbierane małże i ostrygi.

Zatem czas pozbyć się rowerów. Umieszczamy ogłoszenie na TradeMe. Rowery nie tylko znajdują nabywców, ale nawet zarabiamy na tym kilka dolarów.

Przed Kaikourą zaczynają pojawiać się foki

Do wylotu z Nowej Zelandii zostało jeszcze parę dni. A Nowa Zelandia to mekka wielbicieli sportów ekstremalnych. Po półtorarocznej przerwie przyszedł czas się przewietrzyć, jedziemy zatem na lotnisko aeroklubowe. Papierologia zabiera nam pół pięknego słonecznego dnia, ale wreszcie pozwalają nam lecieć. *Ready... set... go!* Wypadamy z samolotu na wysokości czterech tysięcy metrów. Z góry widok cudowny: ośnieżone szczyty, turkusowe rzeki i jeziora, w oddali brzeg morza...

Po minucie swobodnego spadania z prędkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę otwieramy spadochrony. Kolejne minuty szybujemy na otwartych czaszach. Drzewa robią się coraz większe i wyraźniejsze... trzysta metrów, podejście do lądowania... znowu na ziemi. Wykonujemy łącznie po cztery samodzielne skoki. Potem pogoda się psuje. Pozostaje niedosyt, ale dobre i to. Nową Zelandię pożegnaliśmy jak należy.

ARGENTYNA: NADCIĄGA TORNADO

Zostaliśmy właścicielami dwóch motocykli. Honda XL 200 gotowa do odbioru. Niestety pojazd marki XR 250 Tornado dla Bartka jeszcze nie dotarł do sklepu, są jakieś opóźnienia na cle i musimy czekać.

Żeby nie tracić czasu, jedziemy ubezpieczyć mój pojazd. Dwutygodniową hiszpańszczyzną tłumaczę, że dziś ubezpieczam tylko jeden motocykl, ale w piątek ma przyjść tornado i wrócimy do biura wykupić drugie ubezpieczenie.

– Tornado przyjdzie w piątek? Gdzie? – Pan z ubezpieczalni robi wielkie oczy.

– A tu, do Buenos – wyjaśniam spokojnie.

– Ale skąd tornado? – zdumiony mężczyzna nie dowierza.

– Chyba z Brazylii, jest już podobno na granicy...

– I ma być deszcz, i wiatr, i w ogóle? – pokazuje gestami zawieruchę.

No to sobie pogadaliśmy...

Zmieniamy kontynent. Mieliśmy tu dotrzeć już wiele miesięcy temu, ale zasiedzieliśmy się w Azji, Australii i Nowej Zelandii. W końcu jednak lądujemy w Buenos Aires. Przed nami Ameryka Południowa. Podróż autem przez Australię była wspaniała, lecz mieliśmy poczucie, że odrobinę zbyt wygodna. Oglądanie świata przez okno niezupełnie nam odpowiada. Wiele wówczas umyka, nie dociera do człowieka. Samochód tworzy dystans z otoczeniem.

Rowery tych wad nie mają i początkowo w Nowej Zelandii zachłysnęliśmy się nimi, ale to też nie był ideał. Krótko mówiąc, zmęczyliśmy się nieustannym pedałowaniem. Kilkakrotnie rezygnowaliśmy z zobaczenia czegoś, bo nie chciało nam się już więcej męczyć pod górkę. Gdyby taki rower jechał sam, bez pedałowania, to co innego...

Po półtora roku eksperymentów znajdujemy wreszcie pojazd idealny. Chodziło nam to po głowie już od dawna, odkąd spróbowaliśmy jazdy na małych wietnamskich hondach.

Motocykle... Tym razem zasadzimy się jednak na coś większego niż sto centymetrów. Przed nami Andy, a na wysokości czterech tysięcy metrów „setki" mogłyby nie podołać. Powinny to być maszyny nadające się nie tylko na asfalt, ale przede wszystkim na drogi gruntowe, więc będziemy szukać czegoś w klasie enduro, on/off, dual sport czy jak kto woli. Najlepiej się zorientować, czym jeżdżą miejscowi. Takie motocykle powinny być tańsze i łatwiejsze do naprawy, bo w przypadku awarii nie trzeba będzie czekać tygodniami na części. Poza tym człowiek wygląda jak jeden z tubylców i nie zwraca na siebie uwagi. Policja nie zatrzymuje cię na każdym skrzyżowaniu, lokalne cwaniaki nie widzą z daleka, że nadjeżdża białas. Jednym słowem, łatwiej wtopić się w krajobraz. No i ze sprzedażą nie powinno być kłopotu.

Z Bartkiem sprawa jest prosta: po krótkim rekonesansie zapałał miłością do hondy XR 250 Tornado. Nawet policja na takich jeździ! Ze mną jest trudniej. Gdy siadam na większych motocyklach, jestem przerażona. W porównaniu z azjatyckimi „setkami" to jakbym przesiadła się z konia na słonia. Wielkie, ciężkie, a co więcej, ledwo sięgam nogami ziemi! Jako tako pasuje mi honda Bross, z silnikiem pojemności stu dwudziestu pięciu centymetrów, ale Bartek się upiera, że to za słaba maszyna na przejazd przez góry.

Po półtora roku eksperymentów znajdujemy wreszcie pojazdy idealne

– Bartek, a ten? – siadam na takim czerwonym. Nazywa się honda XL 200. Dużo niższa niż Tornado.

– Niegłupie, dwusetka już by mogła być...

Sprawdzamy w internecie, co to za maszyna. Okazuje się, że zebrała najlepsze oceny wśród... australijskich i afrykańskich farmerów. Wprost doskonała do zaganiania krów i owiec.

Ed, przemiły i niezwykle pomocny amerykański motocyklista, który od lat mieszka w Buenos, rekomenduje nam sprawdzonego dealera Hondy. Zamawiamy u niego maszyny. Nie jest łatwo, bo nie znamy ani słowa po hiszpańsku, a właściciel salonu nie mówi w żadnym innym języku. Całe negocjacje odbywają się na migi. Trochę wspomagamy się automatycznym tłumaczem Google.
W każdym razie dowiadujemy się, że aby cudzoziemiec mógł zarejestrować na siebie motocykl, musi posiadać argentyński NIP, a żeby uzyskać argentyński NIP, trzeba postarać się

o argentyński meldunek... Brzmi to strasznie. Na ratunek przychodzi nam wspaniała pani Krystyna z polskiej ambasady, która nie dosyć, że wraz z mężem gości nas u siebie, to jeszcze biega z nami po różnych urzędach i pomaga wszystko zorganizować. Dzięki jej pomocy w jeden dzień dostajemy z policji kwitek z meldunkiem i nadają nam NIP w urzędzie skarbowym! Resztę papierów rejestracyjnych załatwiają już ludzie z salonu.

Pojawia się jednak kolejny problem. Argentyna to nie Indochiny, gdzie małym motocyklem można jeździć bez papierów. Tu nawet na sto centymetrów sześciennych trzeba mieć prawo jazdy. Bartek zrobił prawo jazdy na motocykl jeszcze w Polsce, ja niestety nie. Mam tylko międzynarodowe prawo jazdy kategorii B, bo w życiu nie przypuszczałam, że spodoba mi się jazda na dwóch kółkach. A może się nie dopatrzą? Hm, stoi w nim jak wół we wszystkich językach świata, w tym po hiszpańsku, że to tylko na samochody. Straszą poważnymi konsekwencjami w razie kontroli drogowej. Wielu obcokrajowców radzi sobie z tym problemem, używając programu Photoshop, ale ja jestem tchórz. Sytuacja staje się krytyczna. Skąd mam teraz wytrzasnąć prawo jazdy? Wypytujemy w rozmaitych urzędach, czy dałoby się jakoś rozszerzyć samochodowe, ale nie ma mowy.

Po kilku dniach poszukiwań dopada nas zwątpienie. Cały plan szlag trafi. Może kupić tylko jeden motocykl?

Podejmujemy ostatnią próbę. Jedziemy na kraniec miasta do urzędu komunikacji o wdzięcznej nazwie Autodromo. Przed budynkiem kłębi się tłum, chaos, nerwowa bieganina. Zrezygnowani tłumaczymy dziewczynie w recepcji, w czym rzecz, a ta ku naszemu bezgranicznemu zdumieniu, zamiast nas

spławić, każe chwilę poczekać. Po kilku minutach wraca z kolegą, który podobno trochę mówi po angielsku. Wyjaśniamy mu, o co chodzi. Ten idzie do jakiegoś szefa, a potem zabiera mnie do pokoju, w którym badają mi wzrok, pobierają odcisk palca, robią zdjęcie, zadają jakieś pytania po hiszpańsku, na co ja, niemądrze się uśmiechając, odpowiadam na wszelki wypadek *sí, sí*...

– Co to była za rozmowa? – pytam potem naszego opiekuna.

– E, nie przejmuj się, to tylko test psychologiczny...

Po tej zabawie, która trwała może z godzinę, podbijają mi kwitek, każą wpłacić w okienku trzydzieści pesos i przyjść następnego dnia na egzamin. I wbrew opiniom o południowoamerykańskim łapówkarstwie to były jedyne pieniądze, jakie musieliśmy zapłacić za całą operację. Mam sobie ściągnąć ze strony internetowej zestaw dwustu łatwiutkich pytań, z których będzie składał się trzydziestopunktowy test komputerowy.

– Po angielsku? – upewniam się.

– *No, solo español*...

Gdy zdam egzamin teoretyczny w języku, którego nie znam, zostanie mi już tylko banalny egzamin praktyczny. Pestka.

– A na jakim motocyklu? – pytam z ciekawości, bo przecież i tak nie przejdę teorii.

– No jak to na jakim, na swoim – patrzą na mnie zaskoczeni.

– Ale ja przecież nie mam jeszcze motocykla!

Okazuje się, że tu należy przyjechać na egzamin z własnym pojazdem. Jak oblejesz, wracasz nim do domu. To ja może zrezygnuję z wyrabiania prawa jazdy, a jak mnie zatrzyma

policja, będę za każdym razem uparcie twierdzić, że właśnie jadę na egzamin?

– Wiesz co, to ja ci pożyczę swój motocykl. – proponuje nasz opiekun.

– Wspaniale! A dużą ma pan tę maszynę?

– Nie, mała, tylko trzysta pięćdziesiąt centymetrów.

Aha. Co to dla mnie. Najpierw roztrzaskam test po hiszpańsku, a potem zdam praktyczny na motocyklu ze sprzęgłem, na jakim jeszcze w życiu nie siedziałam. Na widok mojej przerażonej miny pan próbuje uspokajać:

– To nic trudnego, poćwiczysz sobie na nim jutro przed egzaminem...

A, to co innego. Odetchnęłam. Od razu mi lepiej.

Wielkich nadziei na zdobycie prawa jazdy tą drogą nie ma, ale co szkodzi spróbować. Ściągam z internetu pytania i biorę się do wkuwania. Nie takie rzeczy musiał człowiek wryć na pamięć. Niektórych pytań, zwłaszcza ze znajomości znaków drogowych, daje się szybko nauczyć: kiedy na przykład pojawia się pytanie ze znakiem skrętu w lewo, trzeba zaznaczyć tę odpowiedź, w której występuje słowo *izquierda*, jak w prawo, to *derecha* i tym podobne. Nie zawsze jest jednak tak łatwo. Trochę wspomagam się tłumaczem Google. Metodą zapamiętywania słowa klucza z pytania i odpowiadającego mu charakterystycznego słowa z prawidłowej odpowiedzi jakoś udaje mi się po omacku w miarę nauczyć do testu.

Następnego dnia wcześnie rano wracamy do Autodromu. Najpierw zaganiają wszystkich na obowiązkowy dwugodzinny wykład o ruchu drogowym, oczywiście po hiszpańsku. Niezwykle

to pomocne. Muszę jednak wziąć w nim udział i dostać zaliczeniowy stempel.

– *Señorita Ow...csrz...aszrk*? – męczy się wykładowca i gada do mnie nie wiem o czym. Udaję, że rozumiem, w końcu wykładowca podpisuje papier.

Potem szybko na test komputerowy. Jako że nie czytam całych pytań i odpowiedzi, a jedynie muszę wyłapać pary kluczowych słówek, test kończę po piętnastu minutach. Zaliczone. Pilnujący głowi się, w jaki sposób ściągałam, skoro nie rozumiem ani słowa, a test rozwiązałam tak szybko. Kolejny stempel przybity. Teraz na spotkanie z motocyklem. Idziemy na plac, a tam stoi przygotowana dla mnie malutka setka!!! Musiałam mieć wczoraj naprawdę przerażoną minę, skoro nasz opiekun zorganizował najmniejszy możliwy sprzęt. Tak czy siak, kamień spada mi z serca. Slalom przejeżdżam bez problemu. Jeszcze tylko pętla naokoło Autodromu i... oj, cholera, wjechałam pod prąd. Coś mi się pokręciło po Australii i Nowej Zelandii, gdzie obowiązuje ruch lewostronny. Szybka korekta, nie zauważyli. Idziemy do okienka, gdzie po krótkim oczekiwaniu otrzymuję... nie wierzę, że to się dzieje naprawdę... argentyńskie prawo jazdy! Jest terminowe, na trzy miesiące, tak jak wiza, ale mogę potem podobno łatwo je przedłużyć. I uprawnia mnie do jazdy na motocyklach o nieograniczonej pojemności. O jakimkolwiek podziękowaniu nasz opiekun absolutnie nie chce słyszeć, cieszy się z nami, jakby to on zdał ten egzamin.

Na odbiór motocykli musimy zaczekać jeszcze kilka dni. Doskonale się składa, bo do Argentyny przyjechali brat Bartka Jacek z Ulą i sześciomiesięczną Matyldą w brzuchu Uli. Razem jedziemy na północ Argentyny zobaczyć słynne wodospady Iguazu. Dopiero tu można zrozumieć znaczenie i moc słowa „wodospad". Takiej ilości wody, takiego żywiołu nigdy dotąd nie oglądaliśmy. Jakby ktoś przepiłował kontynent.

Dostajemy wiadomość, że przyszły motocykle. Wracamy zatem do Buenos. Odbieramy pierwszy, czerwoną hondę XL, na Bartkowe tornado musimy niestety czekać. Jednym motocyklem jedziemy na kilkudniową wycieczkę w okolice Buenos. Uczę się używać mojej nowej maszyny. Duża jest. I ciężka. I ma sprzęgło. Ale po kilku próbach zaczynam łapać, o co w tym chodzi. Wygodniej niż na tych wietnamskich! I po wertepach jak sunie! Nagle wpadam w dołek, przednie koło z niego wyjeżdża, tylne zostaje na zjeździe, motor gaśnie, a ja wiszę pośrodku z nogami

w powietrzu. Nie mam się o co podeprzeć... leżę. Lusterko stłuczone, ale poza tym bez strat osobowo-sprzętowych.

Wreszcie dzwonią ze sklepu, że tornado jest gotowe do odbioru. Spotykamy się jeszcze z Edem, dostajemy od niego zestaw niepotrzebnych mu ubrań motocyklowych i przeciwdeszczowych. Co prawda są o wiele za duże, ale darowanemu koniowi... Odwiedzamy poleconego przez niego spawacza, gdzie wykonują nam rewelacyjne bagażniki, na których będziemy mocować plecaki, dodatkowo opakowane w nieprzemakalne plastikowe worki. Dokupujemy chińskie kaski i podstawowe części zapasowe. Delikatnie mówiąc, nie wyglądamy jak profesjonalni motocykliści, ale to, co mamy, zdecydowanie wystarczy, żeby sobie poradzić.

Jesteśmy gotowi. Startujemy!

Zmierzamy na zachód, w stronę Chile. Wymyśliliśmy, żeby z Buenos Aires dojechać do chilijskiego Puerto Montt, tam złapać prom i przez fiordy spłynąć na samo południe do Puerto Natales. Potem moglibyśmy wracać na północ wzdłuż granicy chilijsko-argentyńskiej, przez Patagonię. Musimy się spieszyć, bo to już kwiecień, więc na południu wkrótce przyjdzie zima.

Przeprawiamy się w poprzek Argentyny przez pustą, płaską, rolniczą prowincję Pampa. Co mniej więcej sto kilometrów małe, senne, lecz urokliwe kolonialne miasteczka. Czasem przemknie rozklekotany, stary citroen czy ford. Niekiedy natykamy się na słynnych, odzianych w poncha argentyńskich *gauchos* (tutejsza odmiana kowboja), dumnie paradujących na swoich wspaniałych wierzchowcach. Gdy nas widzą, uchylają szarmancko kapelusza, na znak solidarności tych, co jadą wierzchem.

Po drodze testujemy argentyńską kuchnię, szybko jednak przerzucamy się na samodzielne gotowanie. Tutejsze godziny posiłków zupełnie nie zgadzają się z naszym rytmem. Argentyńczycy jedzą śniadanie, wczesny lunch i bardzo późną kolację. Gdy robimy się głodni, w okolicach czwartej, piątej po południu, wszystko jest zamknięte.

Serwowane dania też nie należą do naszych ulubionych. Jak na kulturę macho przystało, Argentyńczycy jedzą mięso, mięso i jeszcze raz mięso. Gdy u rzeźnika zamówisz wołowinę na obiad dla trzech osób, dostaniesz trzy kilo. Jeśli nie jedzą akurat mięsa, gotują kluski albo pizzę. Pizza ma smak specyficzny i przypuszczalnie Włoch padłby na zawał, gdyby się dowiedział, co tu się wyprawia z jego narodową potrawą. Nam jednak najbardziej przeszkadza zbyt mała ilość warzyw.

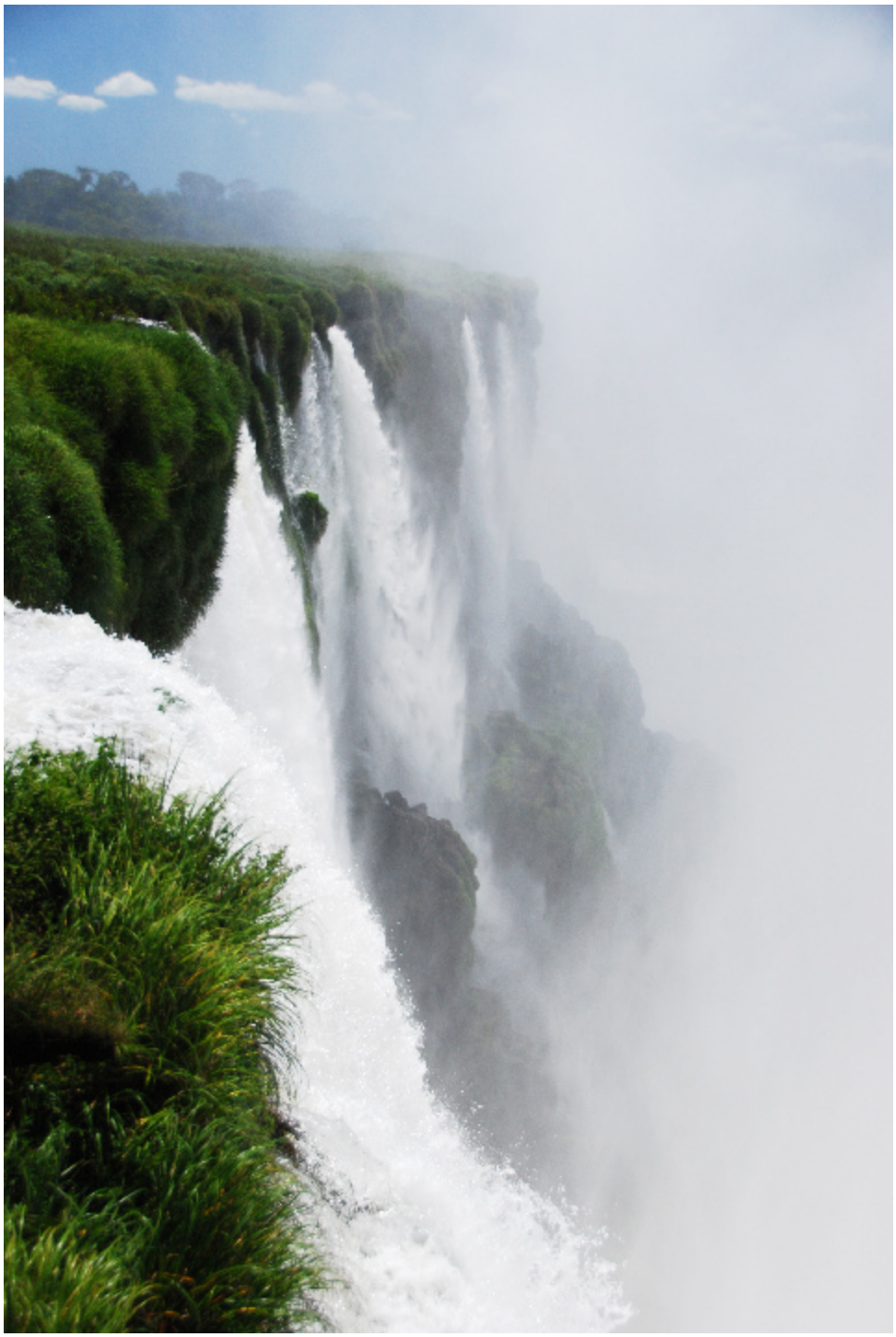

Wodospady Iguazú, jakby ktoś przepiłował kontynent

Gdzie nie spojrzysz, wszyscy piją *yerba mate*. Niemal każdy nosi przy sobie dzbanuszek (*guampa*) z metalową rurką

zakończoną sitkiem (*bombilla*), przez którą pije się napar, oraz termos z gorącą wodą. Na placach, w parkach, na ławeczkach siedzą ludzie w każdym wieku, często parami, i sączą *mate*. Jest to bardziej zjawisko socjologiczne niż kulinarne. Romantyczne i malownicze. Nawet jeśli nie jest się fanem smaku *mate*, trudno się oprzeć jej urokowi.

W sumie jednak spodziewaliśmy się po Argentynie, pierwszym kraju Ameryki Południowej, jaki odwiedzamy, czegoś innego, bardziej odmiennego od naszej kultury. Tymczasem wpływy hiszpańskie są tu tak silne, że często mamy wrażenie, jakbyśmy przenieśli się na południe Europy. Rdzenni mieszkańcy tych ziem prawie przestali być widoczni. Kontrasty społeczne są znaczne, zwłaszcza w dużych miastach, takich jak Buenos, gdzie niedaleko luksusowych apartamentów rozciągają się po horyzont slumsy, ale w sumie na co dzień widać dostatek i zadowolenie. Jest wiele miejsc, które z powodzeniem mogłyby znajdować się gdzieś nad Morzem Śródziemnym.

Początki na motocyklach nie są łatwe. Bartkowi idzie świetnie, za to ja kilka razy ląduję na ziemi. Zawsze przy hamowaniu albo ruszaniu, na małej prędkości. Nic groźnego, ale lusterka wystają poza kierownicę i tłuką się w drobny mak przy każdej wywrotce.

– Dziewczyno, ja się stresuję, gdy ty tak ciągle się wywracasz! W końcu sobie coś zrobisz! O, znowu lusterko poszło... Liczysz je? Które to już?

Kolejnego dnia w drodze coś źle obliczyliśmy. Powinno przecież starczyć benzyny jeszcze na jakieś pięćdziesiąt kilometrów. Hm,

dziwne... Tak czy inaczej, czerwony XL, który ma mniejszy bak niż tornado, zakaszlał i stanął.

Do najbliższej stacji zostało dwadzieścia kilometrów. U Bartka jest jeszcze trochę paliwa, więc spróbujemy się nim podzielić i dojechać. Bartek odkręca nakrętkę od swojego filtru, żeby spuścić do butelki trochę benzyny dla mnie. Na nakrętce zebrało się kilka cennych dodatkowych kropli.

– Masz to i wlej do swojego baku.

Biorę nakrętkę, otwieram bak i wle... brzdęk. Oj, niedobrze... Bartek zaniepokojony metalicznym dźwiękiem przestaje spuszczać benzynę i patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Nie mów mi, że to zrobiłaś!

– No, jak by ci to powiedzieć...

– Powiedz, że nie zrobiłaś tego, co myślę! Nie wierzę!

Śmiać się czy płakać? Sami nie wiemy. Trochę mi głupio. Faktem jest, że Bartkowa nakrętka najspokojniej w świecie leży sobie na dnie mojego baku. Bez niej Bartek nie da rady jechać. Zdejmujemy bagaż, stawiamy motocykl do góry nogami, potrząsamy nim i próbujemy wydostać nakrętkę, ale bak ma taki kształt, że nie można jej dosięgnąć. W tym całym zamieszaniu niechcący potrącamy nogą niezakręconą plastikową butelkę, do której spuściliśmy resztkę paliwa z motocykla Bartka... Nieszczęścia, jak wiadomo, chodzą parami.

Bartek zły, mamrocze pod nosem coś o babie i motorze. Trzeba by zdemontować bak, ale nie mamy odpowiednich narzędzi, i doświadczenie w dłubaniu w motocyklu jeszcze za małe... Żeby się zrehabilitować, łapię stopa i jadę z kanistrem na stację po benzynę.

Okej, mamy już benzynę, ale co teraz? Zastanawiamy się, czy lepiej holować tornado Bartka, czy raczej na jednym motocyklu poszukać po warsztatach nowej nakrętki. W końcu zostaję z tornado i bagażami, a Bartek rusza na xl-u na poszukiwania. Po dwóch godzinach wraca. Nakrętki nigdzie nie znalazł, ale chłopaki z warsztatu dali mu kanister z rurką, który ma zainstalować przed sobą na siedzeniu, żeby zastępował bak, koniec rurki podłączyć do gaźnika i z taką konstrukcją między nogami dojechać do większego miasta, gdzie wydobędą nakrętkę.

Wygląda to absurdalnie, ale zdaje egzamin. Dojeżdżamy do warsztatu.

– To teraz pochwal się panom, co zrobiłaś... – wyżywa się na mnie Bartek. Ze wstydu mam ochotę zapaść się pod ziemię. Mechanicy pokładają się ze śmiechu, ale demontują bak i wyjmują zgubę. Następnego dnia możemy jechać dalej.

Pogoda z dnia na dzień coraz gorsza. Jesień daje o sobie znać. Ulewy złośliwie łapią nas zawsze tam, gdzie nie mamy się gdzie schować. Wkładamy sztormiaki i brniemy do przodu. Widoczność makabryczna. Wodoodporne ubrania sprawdzają się, ale buty mamy kompletnie przemoczone. Zaczynamy dygotać. Przy najbliższej okazji powiększymy nasz ekwipunek o kalosze. Najgorsze są mijanki z tirami. Jakby ktoś z całej siły chlusnął na nas z boku dziesięcioma wiadrami wody. Przez kilka sekund człowiek ma wrażenie, że przykrywa go morska fala, i tylko modli się, żeby z przeciwka nic nie jechało. Kiedy wreszcie przestaje lać, zrywa się wiatr. W drodze z Neuquén do San Junín de los Andes

wygwizdało nas za wszystkie czasy. Wiatr dmie prosto w twarz, motocykl zaczyna tańczyć już przy sześćdziesięciu kilometrach na godzinę. Przy mijankach z autokarem lub ciężarówką zawirowania powietrza rzucają na bok tak mocno, że musimy silnie kontrować kierownicą i przechylać maszyny, żeby nie spaść na pobocze. Do tego dochodzi duże zużycie paliwa. Zbyt duże... Po ostatniej przygodzie zawsze pilnujemy, żeby mieć odpowiedni zapas benzyny, ale nie zdawaliśmy sobie sprawy, że trzeba brać aż taką poprawkę na wiatr! Ostatnie dwa kilometry do stacji pokonujemy metodą wietnamską: jadę tuż obok Bartka, który jedną nogę trzyma opartą o mój podnóżek i dodając lekko gazu w swoim tornado, pcha w ten sposób xl-a... Zmarzliśmy okrutnie. Ręce zesztywniałe, ogrzewamy je o silnik. Bartkowi przewiało kolana. Wobec tego dokupujemy kolejny profesjonalny element motocyklowego ekwipunku, czyli siatkarskie nakolanniki. Dobra rzecz, bo w razie wywrotki ochroni kości.

Początkowo stresują nas psy, które na mniejszych drogach wyskakują z obejść i rzucają się na motocykl. Sprawiają wrażenie, jakby chciały złapać człowieka za kostkę, ale zazwyczaj wścieka je po prostu kręcące się koło. Wystarczy się zatrzymać, a ujadające psisko zaczyna merdać ogonem. Można też zwierza zignorować i jechać spokojnie dalej. Najważniejsze, żeby nie spanikować i mimo pokusy nie robić uników, bo wówczas najłatwiej stracić równowagę.

Chcemy przekroczyć granicę z Chile w rejonie de Los Lagos. Miejsce przepiękne, jeden z najładniejszych zakątków Argentyny.

Na horyzoncie białe szczyty wulkanów, wkoło krystaliczne górskie jeziora, lasy, gorące źródła. Na szutrowych drogach nasze maszyny nareszcie czują, że żyją! Na takiej nawierzchni radzą sobie doskonale. Dopiero teraz widzimy prawdziwą różnicę między nimi a wietnamskimi „setkami". Jedyny problem to temperatura. W dzień jeszcze ujdzie, ale nocą spada poniżej zera. Miejsc na kemping mnóstwo, jedno piękniejsze od drugiego, lecz niestety obozowanie nie jest tak przyjemne, jakbyśmy sobie życzyli. Do tego dochodzi wilgoć, która zamienia puchowe śpiwory w cieniutkie kołderki.

Niedaleko granicy z Chile, w tle wulkan Lanín

Ktoś wspominał nam jeszcze w Buenos, że obcokrajowców nie chcą wypuszczać na motocyklach zarejestrowanych w Argentynie. Ale gdy udało nam się je kupić, a mnie zdać egzamin na prawo jazdy, byliśmy w takiej euforii, że zupełnie to zignorowaliśmy. Że niby my nie przejedziemy? Teraz, im bliżej do Chile,

przypominamy sobie tamte ostrzeżenia i przygotowujemy się psychicznie do przeprawy. W razie czego mamy przecież argentyński meldunek i prawo jazdy, powinno wystarczyć, żeby potraktowali nas jak swoich obywateli.

Przejście maleńkie, niedaleko San Junín de los Andes. Prowadzi do niego szutrowa droga. Niewielka budka, w niej dwóch młodych chłopaków, i to by było na tyle. Wiemy, że dwa tygodnie wcześniej przejechał tędy pewien Nowozelandczyk, z którym wymieniamy e-maile. Wszystko wygląda pięknie. Stemplują nam paszporty i wypisują papiery na motocykle. Moje gotowe. Jeszcze tylko dla Bartka. I wtedy przychodzi starszy oficer.

– Skąd jesteście? Nie macie argentyńskiego paszportu? A to nie możecie przejechać.

Dzwoni do sztabu po radę. Pod nami uginają się nogi. Wraca: nie ma zgody, nie przepuszczą nas. Pokazujemy, że przecież mamy wszystkie kwity na motocykle, meldunek w Buenos, argentyński NIP, a nawet prawo jazdy! Nie, musi być paszport albo stała rezydencja. Długo nalegamy, jednak żadne prośby ani namowy nie skutkują. A byliśmy tak blisko!

Nie martwimy się jednak tak bardzo, bo pięćdziesiąt kilometrów dalej, u stóp pięknego, ośnieżonego wulkanu Lanín, jest inne przejście. Jedziemy tam, ale sytuacja się powtarza. Celnik jest nieubłagany.

Do trzech razy sztuka. Zasuwamy kolejne dwieście kilometrów do następnego przejścia. Dojeżdżamy wieczorem, tuż przed jego zamknięciem. Za biurkiem młody ważniak. Zdaje się, świeżo po szkoleniach, bo bez telefonowania do szefa wie, że nie możemy

przejechać. Wyjmuje kartkę, rysuje na niej Argentynę i dydaktycznie klaruje, że jak cudzoziemiec przyjedzie do Argentyny (w tym momencie rysuje ludzika gdzieś na Atlantyku i strzałeczkę od niego do Buenos), to może sobie kupić motocykl i jeździć nim po Argentynie (i tu pan mądraliński smaruje z dziesięć okręgów wewnątrz Argentyny, o proszę, tak w kółko może sobie ten cudzoziemiec jeździć), ale nie może na nim wyjechać za granicę (na kartce pojawia się strzałka z Argentyny na zewnątrz, którą w kulminacyjnym momencie mądraliński zamaszyście i sumiennie przekreśla na znak zakazu). Jaśniej się nie dało.

Lecz my się nie poddajemy.

– A czy na naszym motocyklu mógłby – tak teoretycznie – wyjechać argentyński *amigo*?

– No... eee... w sumie taaak... jakby miał od was upoważnienie...

– Niech pan chwilę zaczeka!

Szybciutko robimy w tył zwrot do miasteczka, żeby zorganizować argentyńskiego *amigo*, który przejedzie na naszych motocyklach przez granicę, a potem spokojnie sobie wróci. Pod sklepem zagadujemy młodego chłopaka na starym motocyklu i wyjaśniamy, o co chodzi. Zapalił się, chce pomóc.

– Jedziemy! Nie ma sprawy!

Po dwudziestu minutach wracamy na cło z nowym przyjacielem. Tego się mądraliński nie spodziewał. No i zaczyna straszyć naszego *amigo*, jakie może mieć potem problemy, jeśli nigdy nie wrócimy do Argentyny. Straszy na tyle skutecznie, że *amigo* w końcu się wycofuje. Spędzamy noc w namiocie niedaleko granicy. To co, może spróbujemy jeszcze raz podjechać na

posterunek graniczny? Mądrala pewnie dziś ma wolne, może z kimś innym się uda... Niestety. Za biurkiem znowu ten sam człowiek. Wymyślamy na poczekaniu jakąś mało wiarygodną historyjkę usprawiedliwiającą nasz powrót, ale mądraliński chyba się połapał, o co tak naprawdę nam chodzi, bo czerwony i wściekły zaczyna się wydzierać:

Zbocze wulkanu Batea Mahuida, nieoficjalnie jedną nogą w Chile

– THESE MOTORBIKES WILL NOT CROSS THE BORDER!!! ADIOS! GOODBYE!

Sześćdziesiąt kilometrów na północ jest jeszcze jedno nieduże przejście. Szutrowa droga, góry, powinno być bardzo ładnie, więc tak czy siak, możemy się tam przejechać. To już czwarta próba. Niestety tu też porażka. W paszportach zrobił nam się straszny bałagan, bo za każdym razem najpierw żandarmeria, która nie ma nic do motocykli, wbija nam pieczątkę na dowód opuszczenia

Argentyny, a potem celnik nas cofa, wobec czego żandarmeria musi pieczątkę anulować.

Zaczynamy zastanawiać się nad zmianą planów. Straciliśmy dużo czasu i nie zdążymy do Puerto Montt na prom, musimy odwołać rezerwację. Na południu zima tuż-tuż, więc sami nie wiemy, czy w ogóle jest sens się tam pchać. Z drugiej strony tak się nam marzyły fiordy i Patagonia... To jednak najmniejszy problem. Pytanie, czy w ogóle kiedykolwiek wyjedziemy z Argentyny? To wielki kraj, w którym jest co robić, ale perspektywa sprzedaży hond i organizowania czegoś nowego za granicą średnio nam się uśmiecha. Decydujemy się jechać na południe przez Patagonię, tak daleko, jak damy radę, słynną szutrową Rutą 40. Jeśli na południu przepuszczą nas za którymś razem przez granicę, najwyżej wrócimy promem. Jeśli zrobi się tak zimno, że przestanie nam to sprawiać przyjemność, zawrócimy.

Droga jest przepiękna. Z każdym kilometrem coraz więcej jesiennych, czerwonych drzew porastających złote pustkowie. W dolinach mienią się błękitne lub turkusowe jeziora. Coraz mniej miejscowości. Nie ma tu specjalnie czego zwiedzać, ale sama jazda na motocyklach po zagubionych, zakurzonych ścieżkach, gotowanie przy ognisku – to lepsze niż wszystkie „tadżmahale" razem wzięte...

Ponieważ Ruta 40 wiedzie niedaleko granicy, próbujemy już niemal rutynowo – piąte przejście. Znowu porażka. Właściwie przestaliśmy się przejmować, to teraz stały element jazdy, jak postój na nocleg czy obiad.

Któregoś dnia Bartek wypatrzył na mapie jeszcze jedno przejście, to byłoby już szóste. Naprawdę mikroskopijne, zupełnie nieznane, prowadzi do niego tylko droga dla samochodów z napędem na cztery koła. Zapowiada się ciekawy przejazd.

Za nami długi dzień jazdy, zbliża się wieczór, a do granicy jeszcze kilka kilometrów. Dziś nie ma sensu próbować przejechać do Chile. Podobno koło granicy ma być jakiś stary kemping, więc tam spędzimy noc. Już zmierzch, powinniśmy rozbić namiot tu, gdzie jesteśmy, rozpalić ognisko, a potem wtulić się w śpiwór, ale zrobiło się nieprzyjemnie zimno, my zaś bez sensu wmówiliśmy sobie, że na tym kempingu będzie domek, w którym pozwolą nam przenocować, więc uparcie przemy dalej. W pewnym momencie droga wjeżdża do szerokiej rzeki. Prawie po ciemku przeprawiamy się na drugą stronę, rzeka nie jest tak głęboka, jak myśleliśmy. Niestety po drugiej stronie jest tylko gorzej. Wszędzie podmokły grunt, nawet nie ma gdzie rozstawić namiotu. Nasza ścieżka ginie w wielkich kałużach. Bartek jedzie pierwszy, widzę, jak zanurkował niemal po pas... Wydech motocykla pod wodą... To koniec... Tornado jakimś cudem nie gaśnie, solidna maszyna. Ja jednak odmawiam pokonania tej przeszkody na xl-u. Bartek wraca po mój motocykl, a ja człapię obok po pas w wodzie. Jesteśmy cali przemoczeni, mokre są wszystkie ciepłe rzeczy, jakie mamy. Wreszcie dostrzegamy budynek. To jednak nie kemping, to już budka straży granicznej. Żadnego kempingu tu nie ma. Chłopaki wskazują nam kawałek suchej łąki, na której możemy rozbić namiot. Dygoczemy z zimna. Temperatura spada do zera, mokre ubrania zaczynają zamarzać, a że bagaż zmoczył się w rzece, nie mamy nawet się w co przebrać. Wskakujemy do

śpiworów, ale ciężko nam się rozgrzać. Z zimna nie możemy spać, co chwila się budzimy. Nad ranem ostatecznie otwieramy oczy i niecierpliwie czekamy na wschód słońca. Gramolimy się z namiotu, na zewnątrz wszędzie szron: na trawie, motocyklach, namiocie, naszych butach i ubraniach...

Ruta 40. Do Patagonii przyszła jesień

W rekordowym tempie zwijamy obóz i meldujemy się do odprawy. Nie ma komputerów, prąd z generatora. Miły chłopak starannie wpisuje do brulionu nasze nazwiska i numery motocykli, wbija do paszportów kartoflaną pieczątkę i nieśmiało pyta, czy moglibyśmy przy okazji podrzucić dokumenty strażnikom chilijskim, bo do ich posterunku jest stąd jeszcze ze trzydzieści kilometrów bardzo kiepską drogą. Nie ma sprawy. Wyjaśnia, że nie musi nam wystawiać papierów na motocykle, bo taki wymóg dotyczy tylko pojazdów, a przecież motocykl to nie pojazd. No proszę.

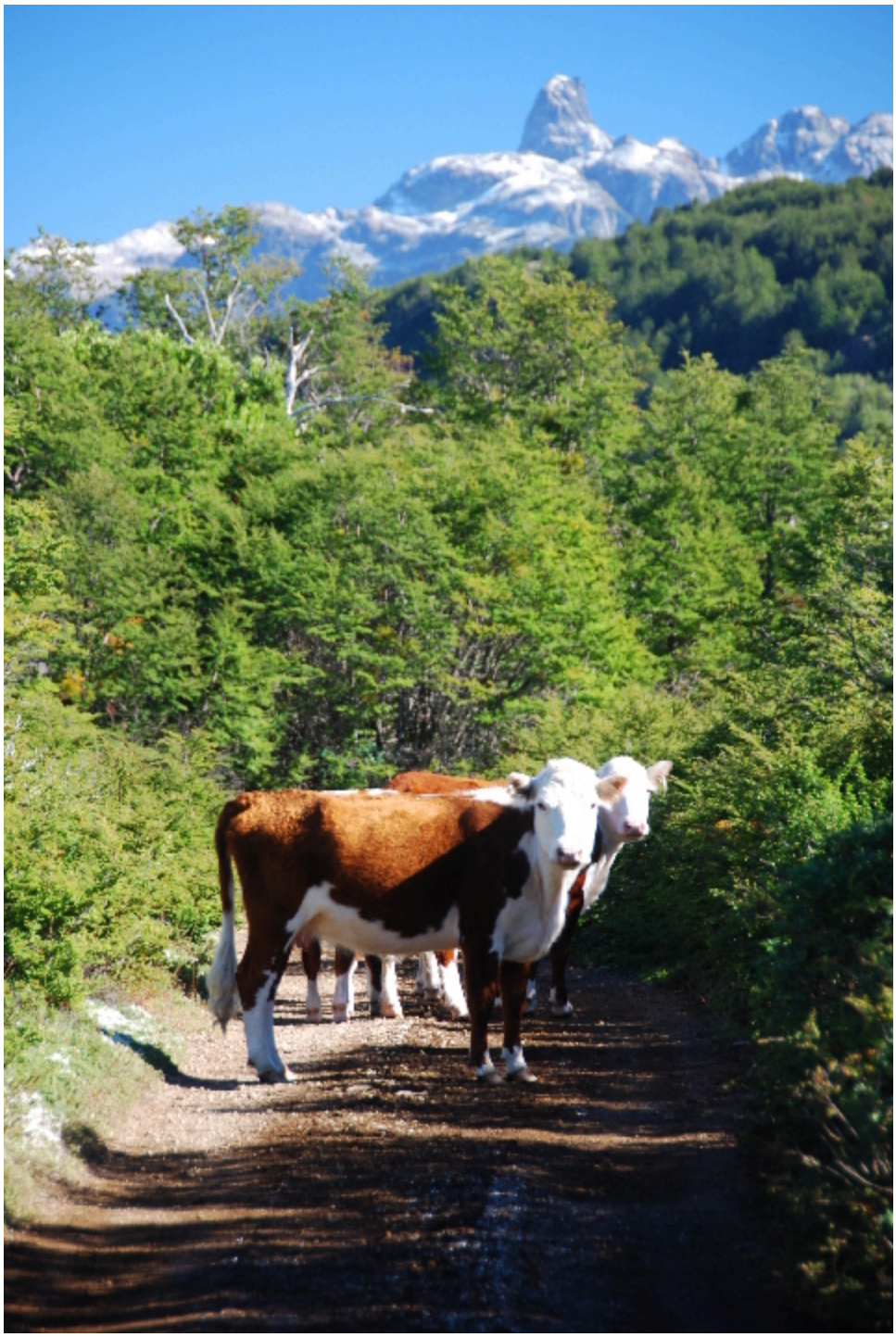

Droga na granicę

I tak w roli posłańców, po przekroczeniu jeszcze kilku rzek, bajor i wylądowaniu z motocyklem i bagażem w błocie, docieramy

do drewnianej bramki dzielącej Argentynę i Chile, którą musimy sobie sami otworzyć.

U Chilijczyków siedzimy jak na szpilkach, usiłujemy zachowywać się swobodnie, ale w środku aż się gotujemy. Tak blisko celu jeszcze nie byliśmy. Urzędnik chilijski jest miły, ale wyjątkowo pedantyczny. Kaligrafuje kwitki... oj... pomyłka... wyrzuca kartkę do kosza i gryzmoli od nowa. Drażni się z nami czy co? Człowieku, szybciej!!! Otwiera szufladę, wyciąga z niej *temporary import permit*, dokument, o którym śnimy po nocach od pewnego czasu, i wypisuje go na nasze motory. Dziękuję, witamy w Chile. Tłumiąc wyrywające się nam z gardeł zwycięskie wycie, z kamiennymi minami żegnamy się z panem, wsiadamy na motocykle, szybko, szybko, żeby się nie rozmyślili... Odpalamy silniki...

– Stójcie! – Celnik wyskakuje zza drzwi. Bledniemy. NIEEE!!!

– Przepraszam, zapomniałem, jeszcze tu się musicie podpisać...

Mamy ochotę drania zabić. Żeby tak człowieka stresować! Podpisujemy i uciekamy, aż się za nami kurzy. Dopiero po dwudziestu kilometrach uznajemy, że czas się na chwilę zatrzymać, podsuszyć, zjeść, poświętować... Teraz cała Ameryka stoi przed nami otworem!

CHILE: *TERREMOTO*

– Wstawaj, trzęsienie ziemi! Wychodzimy na zewnątrz! – wrzeszczy Bartek. Słyszeliśmy, że podczas wstrząsów należy czym prędzej ewakuować się na ulicę.

Jest siódma rano. Budzę się w jednej sekundzie. Faktycznie, łóżko faluje, dzwonią szafki.

– Gdzie moje spodnie? Cholera, przecież tak nie wybiegnę! – Bartek nerwowo przerzuca rozrzucone bagaże.

Zanim jednak spodnie się znalazły, trzęsienie ziemi się skończyło. Miało siłę prawie pięciu stopni. To jeden z licznych wstrząsów wtórnych po wielkim trzęsieniu ziemi z 27 lutego 2010 roku.

Dla nas to było mocne przeżycie, ale dla mieszkańców Santa Cruz – nic niezwykłego.

– Takich małych wstrząsów wtórnych jest tyle, że już nie zwracamy na nie uwagi... – opowiadają, gdy pytamy ich później o dzisiejszy poranek.

Po przekroczeniu granicy jedziemy kilkadziesiąt kilometrów zadbaną szutrową drogą – miła to odmiana po ostatnich argentyńskich niespodziankach – zanim docieramy do pierwszej chilijskiej miejscowości La Junta. Nie zastanawiamy się, co robić dalej. Na razie świętujemy sukces i suszymy przemoczone bagaże.

Gdy jednak mija pierwsza euforia, trzeba zastanowić się nad strategią na nadchodzące tygodnie.

Chcieliśmy zobaczyć położony na samym południu słynny Park Narodowy Torres del Paine, ale lądem można tam dojechać tylko od strony argentyńskiej, co dla nas z oczywistych przyczyn odpada. Carretera Austral, szutrowa droga ukończona w 1996 roku, jedyna droga wiodąca przez południowe Chile, niestety

urywa się w małej miejscowości Villa O'Higgins, 700 kilometrów na północ od parku.

Do Torres del Paine można też dotrzeć promem z chilijskiego Puerto Montt, położonego kilkaset kilometrów na północ od La Junty. Dyskutujemy nad tym długo, aż wreszcie podejmujemy decyzję: jedziemy do Puerto Montt, przechowamy w mieście motocykle, a sami spłyniemy promem na południe do Torres del Paine.

Zatem w drogę, najpierw Carretera Austral na północ. Trasa wiedzie wśród lodowców, wulkanów i jezior. Pusta i piękna, tyle że strasznie zimno. I tak mamy szczęście, bo trafiliśmy na słoneczną pogodę, co w tym rejonie jest rzadkością. Mimo to wkładamy na siebie wszystkie ciepłe ubrania, ba: nawet te przeciwdeszczowe, żeby lepiej ochronić się od wiatru, ale to nie pomaga, po stu kilometrach szczękamy zębami. Na motocykl zrobiło się zdecydowanie za późno. To tak, jakby w Polsce wybrać się na przejażdżkę w listopadzie...

Piękno chilijskiego krajobrazu jest złowrogie i groźne. To kraj systematycznie doświadczany przez naturę. Wybuchy wulkanów, trzęsienia ziemi i powodzie są tutaj chlebem powszednim. Pierwszy raz przekonujemy się o tym na własne oczy w miasteczku El Chaitén.

Przed wjazdem do miasta nagle pojawia się mgła. Nie wiadomo skąd, bo dzień był przecież bezchmurny. Wkoło robi się szaro, w powietrzu fruwa duszący w gardle pył. Co to jest? Podjeżdżamy do centrum. Przed nami roztacza się przerażający obraz klęski żywiołowej...

Ten niewielki port położony na północnym krańcu Carretera Austral był niegdyś kolorowym nadmorskim kurortem, pełnym knajpek i hoteli. Do czasu. W maju 2008 roku wznoszące się nad miastem zielone, niepozorne wzgórze niespodziewanie wybuchło. Rzeka popiołu zakryła ulice, place zabaw, domy, kościoły. Wszystko pogrążyło się w kilkumetrowej warstwie szarego pyłu. Większość mieszkańców udało się ewakuować. Teraz część z nich powróciła do El Chaitén i próbują mozolnie odkopać miasto. Syzyfowa to jednak praca, bo podmuch wiatru co chwila rozwiewa na wszystkie strony dopiero co zamiecione hałdy popiołu. Stąd właśnie „mgła", która przynajmniej raz dziennie spowija całe miasteczko. Wszędzie sterczą zawalone budynki, inne wciąż po same okna i dachy przykrywa miałki pył.

Przyszłość miasta nie jest jasna. Mieszkańcy chcą je odbudować, lecz rząd się temu sprzeciwia, skłania się raczej ku przesiedleniu ludzi w inne miejsce. Ci, którzy zdecydowali się powrócić, zrobili to na własną rękę. Próbują odbudować miasto sami, bez pomocy z zewnątrz.

Wulkan wciąż jest aktywny, kolejna erupcja to podobno kwestia czasu.

W Puerto Montt idziemy do biura promu Navimag. Nasłuchaliśmy się wiele o tym rejsie, o trudnych warunkach panujących na pokładzie, barwnych tłumach miejscowych, dla których to podstawowe połączenie z dalekim południem kraju, o bajecznych widokach fiordów, zatok i lodowców. Lokujemy motocykle w garażu jednego z hosteli, a sami wsiadamy na prom.

Miało być ciężko i egzotycznie, tymczasem rzeczywistość okazała się bardzo cywilizowana. Zamiast tubylców spotykamy głównie pozasezonowe niedobitki, turystów takich jak my. Trzy dni byczymy się na pokładzie. Pogoda tym razem jednak nam nie sprzyja, codziennie chmury i deszcz. Dopiero ostatniego dnia odsłaniają się fiordy w pełnej krasie. Strome nadbrzeżne góry stopniowo wynurzają się z mgły. Prom sunie po roziskrzonej słońcem tafli wody, lawirując wśród załomów i zatoczek. Przed dziobem bawią się foki i delfiny. Zawsze chcieliśmy zobaczyć ten zakątek świata. Obiecujemy sobie, że kiedyś, pewnego dnia, wrócimy tu jeszcze, jachtem.

Wszystko pogrążone w kilkumetrowej warstwie wulkanicznego pyłu, El Chaitén

Gdzieś tam, na dalekim południu, uświadomiliśmy sobie pewną dziwną rzecz.

Zauważyliśmy, że od dawna przestaliśmy tęsknić. Nie chodzi tu o rodzinę i przyjaciół, bo tych zawsze bardzo nam brakuje, ale

przestaliśmy nostalgicznie wspominać Polskę, rozmawiać o dawnym, „normalnym” życiu. Wcześniej w różnych momentach przychodziło nam do głowy: a może już wystarczy? Ile jeszcze będziemy wędrować? Tak się jednak zawsze składało, że każde z nas przeżywało te chwile kiedy indziej, nasze nastroje nigdy się nie zgrały. Inaczej pewnie dawno skończylibyśmy tę podróż.

Park Narodowy Torres del Paine

Od jakiegoś czasu tego rodzaju myśli prawie zniknęły. Przekroczyliśmy pewną barierę. Stan „bycia w drodze” przestał oznaczać wakacje, przygodę, przerwę w życiorysie. Stał się chlebem powszednim, oczywistością, czymś naturalnym. Dawniej, jeszcze przed wyjazdem, zastanawialiśmy się, jak to będzie: codziennie w innym łóżku, codziennie inni ludzie, inne ulice, domy... Czy damy radę tak długo funkcjonować bez własnego kąta, punktu odniesienia? Otóż tak. Niepostrzeżenie w naszych głowach zaszła zmiana. Poprzednie życie stało się tak odległe

i abstrakcyjne jak jeszcze nigdy dotąd. Dziś powrót do Polski postrzegamy jako coś tak nierealnego i tajemniczego jak kiedyś tę podróż.

Wreszcie jesteśmy w Torres del Paine. Zamierzamy „zrobić W", czyli przejść klasyczną trasą układającą się w taki właśnie kształt. Trzeba jasno powiedzieć, że to nie żaden górski wyczyn, ale przyjemny, nietrudny trekking dla dużych i małych. Latem ściągają tu tłumy, ale teraz, jesienią, jest pusto.

Doliny i niższe części gór pokrywa czerwonozłoty dywan jesiennych drzew, a wyżej piętrzą się szare, złowrogie formacje skalne. Jesień, jeśli tylko trafi się na dobrą pogodę, a my tym razem mamy szczęście, to chyba najciekawszy okres do wędrówek po niskich partiach gór. Eksplozja kolorów, niesamowita gra światła, pusto na szlakach...

Ostatniego dnia, gdy kończymy „W", do Patagonii znienacka przychodzi zima. W powietrzu wirują płatki śniegu, które szybko pokrywają ziemię białym całunem. Patrzymy na siebie, myśląc o tym samym: całe szczęście, że motocykle zostały na północy...

Torres del Paine zdobyte, w zasadzie możemy wracać po nasze pojazdy. Ale niedaleko, w Argentynie, po drugiej stronie granicy, kuszą najsłynniejsze patagońskie dziwy przyrody.

– No to co, wracamy na chwilę do Argentyny?

– A jak wpisali w system, że wyjechaliśmy na motocyklach, i zaczną robić problemy?

– Eee, nic się nie stanie.

– To jedziemy?

– Jedziemy.

Poszło bez żadnych trudności. Bułka z masłem.

Naszym celem jest teraz lodowiec Perito Moreno. Bilet autobusowy niewspółmiernie drogi w stosunku do odległości i standardowych argentyńskich cen transportu. Spróbujemy złapać stopa. Zamachaliśmy. Zatrzymuje się uroczy francuski glacjolog, jadący właśnie zabrać zdjęcia z kamery poklatkowej rejestrującej przemieszczanie się lodowca. Jako jego „asystenci", wsłuchani w lodowe historie, podjeżdżamy pod sam taras widokowy.

W drodze myślimy sobie – pewnie lodowiec jak lodowiec, a popularność zyskał dlatego, że łatwo dostępny... Na pewno przereklamowany. Wysiadamy... i aż nas zatyka.

Są lodowce i jest Perito Moreno.

Przed nami znienacka wyrasta szeroki na cztery kilometry i wysoki na sześćdziesiąt metrów, wchodzący do turkusowego jeziora biały lodowy jęzor. Płynący po jeziorze statek wycieczkowy zabierający stu pasażerów wygląda przy nim jak maleńki punkcik. Lodowiec przez cały czas postępuje – dziennie przesuwa się dwa metry do przodu! Gdy środkowa część wydłużającego się jęzora dotrze do końca jeziora i dotknie skalistego brzegu, powstają dwa jeziora oddzielone lodowcem. Poziom wody w jednym z nich podnosi się wówczas nawet o siedemnaście metrów. Najpierw woda drąży pod lodem wielki tunel między jeziorami. Po pewnym czasie tunel nie wytrzymuje jej naporu i zawala się, wśród huku i rozbryzgów.

Tym razem jeziora były jeszcze połączone. Z tarasów wybudowanych naprzeciwko czoła lodowca obserwujemy, jak bloki lodowe wielkości kilkupiętrowych budynków odrywają się i z hukiem wpadają do jeziora. Mimo przenikliwego zimna przez

wiele godzin nie możemy oderwać oczu od Perito Moreno. Dla tego widoku warto było przejechać pół kontynentu. To jedno z nielicznych sławnych miejsc, które pozostają nieziemsko piękne, mimo usilnych starań człowieka, żeby je okiełznać i przemienić w plastikową turystyczną maszynkę do zarabiania pieniędzy. Aż dwa z nich widzieliśmy właśnie w Argentynie. Oprócz Perito Moreno takie wrażenie wywarły na nas również wodospady Iguazu. Nawet metalowe barierki i kiczowate restauracje nie są w stanie zepsuć wrażenia.

Lodowiec Perito Moreno

Coraz mocniej tęsknimy za hondami. Odwiedzamy ostatni punkt w Patagonii, który tak bardzo chcieliśmy zobaczyć, czyli Park Narodowy Los Glaciares z legendarnym, niedostępnym, żądnym ludzkich ofiar szczytem Fitz Roy. Zima coraz mocniej daje o sobie znać. Do jeziora, znad którego rozpościera się widok na słynną górę, docieramy po kostki w śniegu.

Myślami jesteśmy już jednak w Puerto Montt...

W Puerto Montt też już niestety jakby zimniej... Mży, wieje, temperatura nie przekracza dziesięciu stopni. Mimo to cieszymy się, że znów wsiadamy na motocykle. Rozpoczynamy pogoń za latem, które czeka na nas daleko, na północy.

Wskakujemy na Panamericanę i przez kilka dni nadrabiamy kilometry. Monotonna to droga. Zdecydowanie nie należymy do „asfaltowych" motocyklistów, więc pędzenie po autostradzie nie sprawia nam przyjemności. Wygodnie, i owszem, ale potwornie nudno. Próbujemy urozmaicić sobie trasę słuchaniem muzyki, lecz niestety mimo kasku świst powietrza wszystko zagłusza. Co godzina robimy przerwy, żeby się ogrzać. Na każdej stacji benzynowej wlewamy w siebie po dwa kubki gorącej herbaty, rozcieramy skostniałe ręce i stopy i ruszamy dalej.

Wreszcie jest! Może to jeszcze nie lato, ale robi się znacznie cieplej. Każdego dnia zdejmujemy kolejną warstwę ubrań. Jeszcze jakieś pięćset kilometrów na północ i powinno być całkiem przyzwoicie.

Legendarny szczyt Fitz Roy

Zaledwie dwa miesiące temu, 27 lutego 2010 roku, tę część Chile nawiedziło trzęsienie ziemi, *terremoto* o sile 8,8 w skali Richtera. Epicentrum znajdowało się w mieście Concepción, lecz wstrząsy były odczuwalne wiele kilometrów dalej. Pierwsze ślady kataklizmu dostrzegamy na autostradzie. W wielu miejscach popękany asfalt, pozawalane kładki dla pieszych, miejscami zapadnięte części jezdni.

Dojeżdżamy w końcu do Concepción, miasta położonego najbliżej epicentrum. Sytuacja wygląda znacznie lepiej, niż pokazano to w mediach. Zawalił się wprawdzie wielki most, ale większość domów przetrwała. Ucierpiały tylko niektóre, najbiedniejsze budynki z gliny i cegieł. Nowoczesne konstrukcje oraz drewniane domy stoją nadal. Nie wiemy, jak wyglądają w środku, ale z zewnątrz ich fasady trzymają się nieźle.

Oczywiście nasze spostrzeżenia są powierzchowne, jednak mamy nieodparte wrażenie, że telewizja dla efektu mocno przesadziła.

W drodze do Santiago de Chile zatrzymujemy się w Santa Cruz, w dolinie Colchagua, skąd pochodzą najlepsze chilijskie wina. Dolina słynie ze szczepu Carmenere. Czego się nie robi, żeby wino było jeszcze doskonalsze! Pierwsza winiarnia szczyci się tym, że winogrona ręcznie odrywa się z kiści. Nie żadne maszyny, tylko szybkie kobiece dłonie oddzielają owoce. W innej winiarni beczki wina ułożono rzędami w półokrągłej sali przypominającej kaplicę w taki sposób, że wyglądają jak widownia w amfiteatrze. Tu sobie leżakuje przy dźwiękach klasztornej muzyki. Wchodzimy do kolejnej i pytamy, czy można spróbować i ewentualnie kupić.

– Hm – zadumał się właściciel. – Właściwie nie prowadzimy degustacji i sprzedajemy tylko hurtowo... ale wejdźcie, zapraszam.

Oprowadza nas po halach produkcyjnych. Dopiero w środku można się przekonać, jakie szkody spowodowało lutowe trzęsienie ziemi. Poprzewracane zbiorniki, wszędzie coś naprawiają. Ogromne straty, zwłaszcza że trzęsienie zdarzyło się tuż po zbiorach.

– To teraz powiedzcie mi, czy karton z sześcioma butelkami wejdzie wam na motocykl? – pyta na zakończenie właściciel.

W ten sposób kończymy objazd winiarni, wioząc na bagażniku ciężki, płynny prezent najwyższej jakości.

W Santiago de Chile goszczą nas Dorota i Paweł, których poznaliśmy przez naszych polskich znajomych Joasię i Piotra. Dobrze jest pogadać po swojemu, pośmiać się po polsku...
W stolicy Chile tematem numer jeden jest oczywiście trzęsienie ziemi. Wtórne wstrząsy o sile czterech, pięciu stopni wciąż

powtarzają się prawie codziennie. Słuchamy opowieści, od których włosy stają dęba, o ewakuacji w środku nocy (zaczęło trząść o wpół do czwartej nad ranem), przerażeniu, walących się na głowę ścianach. Od razu poszły w górę ceny niskich budynków. Nikt nie chce mieszkać w wieżowcach. Podobno nawet dziś, gdy wtórne wstrząsy są już ledwo wyczuwalne, w wysoko położonych mieszkaniach meble jeżdżą po podłodze.

– A dziś czuliście? Znowu się zatrzęsło, prawie cztery stopnie. Ale to nic, wtedy to dopiero było...

Sejsmolodzy prognozują, że w niedługim czasie podobny kataklizm zdarzy się na północy kraju. Na szczęście „niedługo" może w tym przypadku znaczyć nawet dwadzieścia lat.

Zachciało nam się spędzić trochę czasu nad morzem, poobżerać rybami, polenić się na plaży.

Po opuszczeniu Santiago najpierw zatrzymujemy się w Valparaiso. Ponoć ulubione miejsce chilijskiej bohemy. W środku miasta wznoszą się czterdzieści dwa wzgórza, na których przysiadły barwne domki, ozdobione fantastycznymi graffiti. Jest tak stromo, że trudno tu jeździć motocyklem. Wiele uliczek składa się po prostu z samych schodów. Wizytówką miasta są urocze, zabytkowe windy, które do dziś wwożą leniwych mieszkańców do wyżej położonych dzielnic.

Nie tego jednak szukamy. Chcemy znaleźć jakiś cichy, kameralny zakątek. Malutka wioska rybacka Horcon to dokładnie to, o co nam chodziło. Kilka wąskich uliczek, skromnych domków, stragan z rybami i warzywami, parę barów.

Tuż przed zachodem na plaży pojawia się jeździec na koniu. Najpierw jeden, potem dołączają dwaj kolejni. Podchodzą do rybaków. Ci zaprzęgają konie do drewnianych łodzi i na sygnał zwierzęta wciągają je do wody. Jedną po drugiej, jest ich może ze dwadzieścia. Rybacy odpływają na wieczorny połów. Po trzech godzinach, wśród ciemności, wracają. Podpływają do plaży. Znowu zaprzęgają konie, teraz odbywa się wyciąganie łodzi. Na brzeg schodzą się miejscowi, żeby kupić świeże ryby. Wesołe towarzystwo, w tym paru podstarzałych hipisów, którzy dawno temu przyjechali tu w pogoni za seksem, narkotykami i rock and rollem i zapomnieli wrócić do domu.

Valparaiso, miasteczko na pięćdziesięciu wzgórzach

Horcon to idealne miejsce, żeby spróbować nadmorskich smakołyków. Nasze wcześniejsze doświadczenia każą nam jednak mieć się na baczności. Kuchnia chilijska, z którą dotychczas mieliśmy do czynienia, była raczej nieciekawa. Króluje fast food.

Wszyscy pożerają gigantyczne hot dogi i hamburgery w ilościach przemysłowych. Potrawy smakują im dopiero wtedy, gdy wyleją na nie wiadro majonezu. My najczęściej – jeśli nie gotujemy sami – zamawiamy *almuerzo*, albo, jak je często nazywają, *menu*, czyli po naszemu zestaw obiadowy. Jest to zupa z drugim daniem w polskim stylu: kawałek mięsa, ziemniaki lub ryż plus sałatka. Za to mają tu cudowne awokado, które pochłaniamy co rano na śniadanie. Dojrzałe, ogromne, aromatyczne, a do tego niemal tańsze od ziemniaków. Można też trafić na fantastyczne oliwki.

Przyszła zatem kolej na owoce morza. Przebojem Horconu są *machas a la parmesana*, czyli cienkie małże zapieczone z masłem i serem. Wspaniałe, a do tego podane bez majonezu! Nie mamy nic przeciwko majonezowi, ale to miła odmiana. Kupujemy też na straganie kilka morskich stworów o nazwie *locos*, co się tłumaczy „wariaci", coś na kształt wielkiego małża.

– Jak je przygotować? – pytamy kobietę ze straganu.

– Krótko gotować w wodzie, a potem podać z majonezem.

No tak. Że też się nie domyśliliśmy. Wracamy i zaczynamy przyrządzać sobie kolację.

– O, lokoski robicie, mniam – zerka nam przez ramię gospodarz domku, w którym zatrzymaliśmy się na noc. – A majonez macie?

Wbrew regułom ostentacyjnie przyrządzamy lekką salsę z obranych i drobno posiekanych pomidorów, cebuli, czosnku, cytryny i kolendry. Danie jest wyśmienite, trochę przypomina w smaku delikatny pieczony schab.

Nareszcie zrobiło się ciepło. Koniec maratonu na północ, można spokojnie poeksplorować boczne drogi. Znajdujemy się w okolicy doliny Elqui. Wkoło pustynne, gołe i suche góry, a w dole życiodajna, otoczona zielenią i winnicami rzeka. Region słynie z produkcji najpopularniejszego chilijskiego zajzajeru o nazwie *pisco*, czyli po prostu bimbru z wytłoków winogron. *Pisco* można pić czyste (jak ktoś musi) albo z sokiem cytrynowym, jako drink *pisco sour*. Ten ostatni jest nawet smaczny.

Cały dzień jedziemy pięknymi szutrowymi serpentynami, wkoło niesamowite widoki, strome zbocza. Bartek pierwszy, rozkręca się na dobre, bierze zakręty z coraz większą prędkością. Zostaję nieco w tyle. Po kolejnym zakręcie widzę na skraju drogi, nad samą przepaścią przewrócony motocykl. Bartka nie ma...

Zamarłam. Spadł w przepaść – to pierwsza myśl, jaka mi przemknęła. W panice zaczęłam ostro hamować, poślizgnęłam się na kamieniach i wylądowałam na ziemi obok tornada. Wtedy dopiero dostrzegłam po przeciwnej stronie drogi przykucniętego, trzymającego się za głowę Bartka. Trudno opisać stan, w jakim się człowiek w takiej sytuacji znajduje. Łzy zaczęły same lecieć mi z oczu, miałam ochotę jednocześnie go uściskać i zamordować. Przez najdłuższe w życiu sekundy byłam przekonana, że już po nim.

– Żyjesz???!!!

– Uderzyłem mocno o ziemię, ale już jest lepiej... – Bartek patrzy na mnie błędnym wzrokiem, lecz chyba faktycznie nic złego się nie stało. – Jechałem szybko, na pierwszym zakręcie ledwo się wyrobiłem. To było ostrzeżenie, ale znowu zacząłem dodawać gazu. Potem następny ostry zakręt, musiałem się ratować, ostro

hamując. Koło wpadło w poślizg, motocyklem „zamerdało” w lewo, w prawo, w lewo, aż wywinąłem fikołka i spadłem na łeb. Odruchowo uciekłem z drogi, żeby nie najechało na mnie nic zza zakrętu...

Zdejmujemy kask, głowa na szczęście cała. Bartek jest mocno poturbowany, boimy się, czy nie poszło żebro. Idziemy postawić przewrócone motocykle. Tornado trochę ucierpiało. Kierownica przekrzywiona i ciężko nim manewrować, ale jakoś daje się prowadzić.

Powoli dojeżdżamy do najbliższego miasteczka. Bartek przez kilka dni ma silne bóle pleców, ja też oberwałam w nogę. Poruszamy się, kuśtykając i stękając, jak para staruszków.

Miejscowy „złota rączka” kilkoma solidnymi kopniakami naprawia kierownicę. Po dwóch dniach postoju jesteśmy gotowi do dalszej jazdy.

Nasz cel to park Pan de Azucar, czyli ponad czterysta kilometrów gorącej, górzystej i wiecznie słonecznej pustyni schodzącej do morza. Wymarzone miejsce dla zmarzniętej, stęsknionej za latem duszy. Wokoło pusto. Sezon się skończył. Na plażowym kempingu jesteśmy sami. Tylko co tu robią te chmury?

– Myśli pan, że będzie dziś padało? – zagaduję strażnika kempingu. Patrzy na mnie, jakbym spytała go, czy spodziewa się tu dziś lądowania UFO, śmieje się i przecząco kręci głową.

– Dziewczyno, ostatni raz widzieliśmy tu deszcz dwadzieścia lat temu!

Niemożliwe, a jednak. W nocy zaczyna padać. Rano wstajemy i oceniamy straty. Trochę nas podmyło, ale w środku namiotu sucho, ogólnie nie jest źle. Siąpi. Nagle podjeżdżają do nas spanikowani kempingowi.

– Przetrwaliście noc? Potrzebujecie pomocy? Lepiej zwińcie ten namiot i przenieście się do naszego domku!

Robią taką aferę o kilka kropelek deszczu, jakby za chwilę miał co najmniej nastąpić kataklizm.

Trzeba jednak przyznać, że mamy wyczucie czasu. Żeby w ucieczce przed zimą trafić na pustynię akurat w momencie, gdy spada na niej pierwszy deszcz od dziesięcioleci...

Droga zniszczona przez błotną lawinę, Pan de Azucar

Na szczęście po południu chmury znikają i niebo wraca do normy. Darmozjady czekające na kawałek ryby, Pan de Azucar Za to krajobraz zmienił się całkowicie. Powstały wodospady i potoki. Drogi zniszczone, znaki drogowe do połowy zakryte błotem, ledwo udało nam się wjechać motocyklami na punkt widokowy. Wśród kaktusów plączą się małe, nieco ogłupiałe po ulewie pustynne liski. Ten deszcz miejscowi będą wspominać przez kolejne dwadzieścia lat...

Czas opuścić Pan de Azucar i ruszać dalej na północ. Tyle że podobno droga na północ po ulewie przestała istnieć. Postanawiamy przetestować siebie i hondy. Przez pierwsze kilometry przedzieramy się przez koszmarne, śliskie błoto. Tu naprawdę przeszedł kataklizm. Droga faktycznie została zmyta. Ale im wyżej w góry, tym sytuacja lepsza. W końcu wjeżdżamy na

asfaltową Panamericanę, za plecami zostawiając niedawno postawiony znak „Zakaz wjazdu – droga zamknięta”.

Długo na autostradzie nie wytrzymujemy. Jest spory ruch, głównie wielkie kopalniane ciężarówki. Postanawiamy odbić w pierwszą spokojniejszą drogę i do następnego dużego miasta, Antofagasty, przejechać trasą nad samym morzem. Nagle jednak wyrastają przed nami karabinierzy. Każą zawrócić, bo i ta nadmorska szosa została zniszczona podczas ostatnich ulew.

– Ale my baaardzo prosimy, nasze motory dadzą sobie radę...

Dzwonią do centrali. Jest zgoda. Możemy spróbować się przebić.

Rzeczywiście tu popadało. Błotne lawiny, które spłynęły z gór, zakryły spore fragmenty drogi. Ale motocykle radzą sobie bez problemu, to i tak dużo lepsze warunki niż przy wyjeździe z Pan de Azucar. Co chwila mijamy ciężarówki naprawiające nawierzchnię. Nagle kierowca jednej z nich macha na jadącego przodem Bartka, żeby się zatrzymał. Bartek hamuje, staje, ale ja tego nie zauważam i na dużej prędkości, pewnie około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, wjeżdżam prosto w niego.

Huk, oboje wylatujemy w powietrze. W oczach stają nam gwiazdy, jesteśmy kompletnie zdezorientowani.

– Nic ci nie jest? – słyszę głos Bartka. Leżę na ziemi. Powoli siadam i sprawdzam, czy wszystkie części ciała są na swoim miejscu. Boli, ale wszystko równomiernie, nie ma jednego konkretnego uszkodzenia. Trochę rozkrwawione usta, na szczęście zęby w komplecie. Będą sińce, ale kości chyba całe. Z nami wszystko w porządku. Sprawdzamy, co z motocyklami. Tornado wyszło z kraksy bez szwanku. Uderzyłam centralnie w bagażnik, który ochronił motocykl Bartka. Za to czerwony xl... szkoda gadać.

Przednie koło wygięte w chiński paragraf, lepiej nie wiedzieć, co jeszcze szlag trafił... Ładujemy mój motocykl na ciężarówkę i wracamy do najbliższej mieściny Taltal. Z minuty na minutę zaczynam odczuwać coraz większy ból. Przy wysiadaniu z ciężarówki ledwo jestem w stanie ustać na nogach. Wylatując z siodełka, uderzyłam w bak tak mocno, że aż się wgiął, i trochę zaczynam się obawiać o stan swojej miednicy... Miejmy nadzieję, że to tylko potłuczenia.

W Taltalu motocykla naprawić się nie da. Nie ma tu ani porządnego warsztatu, ani części. Musimy przetransportować xl-

a do większego miasta, czyli Antofagasty, trzysta kilometrów na północ.

Oczywiście nie mamy AC, a taki transport jest bardzo drogi. Z Taltalu wyjeżdża na północ sporo ciężarówek i pikapów, może się z kimś dogadamy. Chodzimy, pytamy, ale bez skutku. Ktoś nam radzi, żebyśmy poszli do lokalnego radia, jeśli jakiś kierowca będzie akurat słuchał, pewnie nam pomoże. Idziemy do budynku radia, nie zaszkodzi spróbować. Mała kanciapa, stara aparatura, za biurkiem miła pani. Opowiadamy, w czym problem. Pani się angażuje. Zanim zdążyliśmy się połapać, o co chodzi, lądujemy w maleńkim studiu razem z redaktorem... Cisza! Wchodzimy na antenę! Redaktor czyta wiadomości i co pewien czas pyta, czy ktoś nie jedzie do Antofagasty i nie mógłby nam pomóc. A potem, ku naszemu przerażeniu, podtyka nam znienacka mikrofon pod nos, zupełnie nie przejmując się tym, że nasz hiszpański dopiero raczkuje. Musimy coś wydukać w chilijski eter... Oj nie! O mój Boże!!!

– *Buenas tardes, necesitamos ayuda...*

Nikt co prawda nie zadzwonił z pomocą, ale cośmy się ubawili, to nasze. Pierwsze w życiu radiowe wystąpienie, i to od razu w Chile! Następnego dnia od rana szukamy dalej. Wreszcie trafiamy do firmy Triovia naprawiającej drogi. Szef rzuca wszystko i zaczyna sprawdzać, kto najszybciej mógłby nas zabrać. Niestety, dziś już wszystkie ciężarówki są w trasie, ale jutro rano jedzie do Antofagasty jeszcze jeden samochód.

– Przywieźcie motocykle, spróbujemy je zapakować.

Wracamy z maszynami. Akurat zjechali się robotnicy, którzy pracowali w terenie przez cały dzień, a że jutro święto,

zorganizowali w firmie *asado* (tak w Ameryce Południowej, a zwłaszcza w mięsożernej Argentynie, nazywają grilla). Chłopaki pomagają zamontować hondy na pikapie. Potem zostajemy nakarmieni jak się patrzy. Bartek w ramach podziękowania za pomoc przynosi piwo, czym zdecydowanie zyskuje sobie uznanie załogi. I tak za jeden uśmiech i kratę browaru dojeżdżamy następnego dnia do oddalonej o trzysta kilometrów Antofagasty.

Teraz już tylko trzeba – bagatela – naprawić motocykl. Trwa to ponad tydzień. Konieczne było naprostowanie amortyzatora, wymiana całego przedniego koła. Po hospitalizacji xl działa idealnie.

Nasze obrażenia też wyleczone. Dostaliśmy po kieszeni, ale możemy jechać dalej... zachowując bezpieczną odległość za poprzedzającym pojazdem.

Nareszcie jesteśmy na miejscu. Od dawna chcieliśmy się tu znaleźć. Solna pustynia Atakama, niedaleko granicy z Argentyną i Boliwią. Definitywnie żegnamy Panamericanę i asfaltowe drogi. Przed nami wiele kilometrów po nieznanych bezdrożach. W takich warunkach i my, i nasze motocykle czujemy się najlepiej.

Baki zatankowane po brzegi, do tego po cztery litry benzyny w kanistrach i jeszcze na wszelki wypadek po dwa w plastikowych butelkach – tak, żeby móc jeździć, gdzie nas tylko fantazja poniesie, zgubić się na kilka dni wśród soli, piasku, gór i jezior. Niestety nie nacieszyliśmy się latem zbyt długo. Musimy wdrapać się dosyć wysoko, a to oznacza niskie temperatury. Do

naszego ekwipunku dokupujemy ciepłą kołdrę i tak uzbrojeni ruszamy zmierzyć się z pustynną amplitudą.

Za dnia słońce praży i jest gorąco. Po południu wjeżdżamy na *salar*, czyli wielką, otoczoną górami równinę, na której rozsiane są kopalnie soli. Po obu stronach drogi zaczynają pojawiać się zwariowane solne wzory. Zwykle mają barwę brunatną, a nie białą, jak sobie wcześniej wyobrażaliśmy. Mijamy sporo kopalnianych ciężarówek, lecz na szczęście stopniowo ruch zamiera.

Rozglądamy się za miejscem na nocleg. Widać jakieś kaniony. Tam czegoś poszukamy. Zjeżdżamy z drogi, kilometr tańczymy na piasku i zaschniętej glinie, aż wreszcie dojeżdżamy do końca kanionu. Idealne miejsce na kemping, będziemy osłonięci od wiatru, poza zasięgiem ludzkiego wzroku. Po zachodzie słońca temperatura natychmiast zaczyna spadać. Znamy to z Mongolii i przygotowujemy się przed nocą jak na wojnę.

Śpimy jednak mocno do samego rana. Śpiwory i kołdra grzeją wzorowo. Sprawdzamy termometr: nad ranem było minus dwa. To jeszcze nic, przecież wjechaliśmy dopiero na dwa i pół tysiąca metrów, a planujemy znacznie wyżej.

Na pustyni Atakama jest kilka oaz. Nagle wśród piasku wybija podziemna rzeka. Płynie przez parę kilometrów, po czym zanika. Ale to wystarczy, żeby na pustkowiu wyrosły trawy, drzewa, osiedlili się ludzie. Dla nas to wymarzone obozowiska. Wspinamy się na cztery tysiące trzysta metrów n.p.m., nad piękne jeziorka Miscanti i Meñikes. Tornado ma problem z taką wysokością, trzeba będzie wymienić dyszę w gaźniku. Tu przenocujemy. Oprócz nas jest jeszcze para Szwajcarów, podróżująca po świecie

land cruiserem Troopie. Wieczór spędzamy razem w ciepłym domku na kółkach. W końcu jednak trzeba przenieść się do namiotu. Piekielnie zimno, a nad ranem będzie o wiele gorzej. Wkładamy wszystkie ciepłe ciuchy, zapinamy śpiwory, na to kołdra. Lecz nic nie ogrzewa tak mocno jak drugi człowiek. Nasze śpiwory można ze sobą spiąć i jest to doskonałe rozwiązanie dla podróżujących par, bo temperatura w środku automatycznie podnosi się o kilka stopni. Choć jest nam ciepło, nie możemy zasnąć. Marnie się czujemy z powodu wysokości. Dokucza ból głowy, Bartkowi jest niedobrze. Powinniśmy dużo pić, a tu niestety woda w butelce zamarzła. Rano namiot sztywny od mrozu, ba, nawet kołdra na zewnątrz zlodowaciała. Szron na siodełkach motocykli. Było minus dwanaście... Na szczęście szybko zaczyna grzać słońce. Przez tych kilka dni zupełnie nie odczuliśmy, że Atakama to jedna z największych atrakcji turystycznych Chile. A tu przecież z San Pedro de Atacama ciągną sznury jeepów i busów, wiozące dziesiątki turystów. Ponieważ jednak wjechaliśmy tam kopalnianą drogą, od tyłu, nikogo dotąd nie spotkaliśmy. Ale im bliżej San Pedro, tym większy ruch na pustyni.

Startujące flamingi, pustynia Atakama

Po południu docieramy do słonej laguny Chaxa, gdzie żyją flamingi. Ładnie, i owszem. Przed zachodem słońca jeden za drugim zaczynają podjeżdżać autokary, samochody. Na jednego flaminga przypada ze dwudziestu ludzi. Rozbijamy namiot nieopodal laguny. Postanawiamy pójść „na flamingi" jeszcze raz o świcie, na spokojnie. O siódmej wschodzi słońce. Jesteśmy zmarznięci i zaspani, ale za to zupełnie sami. Plus stada ptaków. Niektóre jeszcze śpią na jednej nodze z głową wtuloną w skrzydła, inne zaczęły już śniadanie: człapią bez końca z dziobami zanurzonymi w słonej wodzie.

Musimy w końcu zatankować i kupić jedzenie. Zatrzymujemy się na chwilę w San Pedro de Atacama. Miasteczko przywodzi na myśl Thamel w Katmandu, Khao San Road w Bangkoku czy Vang Vieng w Laosie: gdzie nie spojrzeć, hostele, knajpy serwujące europejskie dania, kafejki internetowe i oczywiście agencje

turystyczne. Tego rodzaju miejsca nazywa się w Ameryce Południowej „gringolandia”. Może za kilka dni nabierzemy ochoty, żeby odpocząć w cywilizacji, ale jeszcze nie teraz. Uciekamy, aż się za nami kurzy. Wyposażeni w nowe zapasy planujemy rundę na północ od San Pedro.

Docieramy do sławnej atrakcji okolicy, gejzerów El Tatio. Po doświadczeniach z flamingami byliśmy przygotowani na tłumy, a tu dokoła nie ma żywej duszy. Przestały im działać te gejzery czy co? Może to nie sezon?

– Sezon, sezon, tylko ludzie pojawiają się tu o szóstej, siódmej rano, kiedy gejzery wyglądają najbardziej spektakularnie. Oglądają i po godzinie odjeżdżają do San Pedro – tłumaczy strażniczka.

Strażnicy goszczą nas, przygotowują miejsca do spania w „ambulatorium”. Coś jest w naszych motocyklach, że na ich widok miejscowi stają się zawsze życzliwsi, bardziej otwarci i pomocni.

Całe popołudnie łazimy wśród gejzerów. Może o tej porze dnia słupy wody są mniejsze, za to w pełnym słońcu widać fantastyczne barwy. Spływająca woda tworzy niesamowite, bulgoczące wzory. Co pewien czas z wyrastających z ziemi stożków wytryskuje fontanna wrzątku. Nad ziemią unosi się para. Czy to jeszcze nasza planeta?

Na koniec idziemy się wykąpać w ciepłym basenie. Kontrolne zanurzenie ręki – temperatura idealna – tu będzie dobrze. Hyc do wody.

Woda na powierzchni faktycznie gorąca, ale już kilka centymetrów głębiej prawie zimna. Tylko gdzieniegdzie na chwilę

z dna wybija mały gejzer, przed którym trzeba uciekać w popłochu, bo parzy w tyłek. Po paru minutach heroicznych prób zmieszania gorącej wody z podwodnego gejzeru i chłodnej z basenu dajemy sobie spokój.

– Miła kąpiel? – pyta nas przed wyjazdem z gejzerów pilnująca ich stara Indianka.

– Szczerze mówiąc, taka sobie, za zimna woda...

– Jeżeli chcecie mieć naprawdę ciepłą wodę, to jak pojedziecie dalej tą małą ścieżką, znajdziecie gorący strumień. Kąpiel będzie cudowna, zobaczycie. Stamtąd możecie spróbować pojechać na skróty do wsi Toconce. Droga kiepska, ale motorami powinniście dać radę – i rysuje nam trasę, której nie ma na żadnej mapie i którą długo będziemy wspominać.

Ze skał wybija potok gorącej wody. Temperatura powietrza poniżej zera

Do źródeł trafiamy bez problemu. Nikogo w zasięgu kilkudziesięciu kilometrów. Ze skał wybija potok gorącej wody,

miesza się z chłodniejszym strumieniem i wreszcie osiąga idealną, wymarzoną temperaturę. Aż się nie chce wychodzić.

Jesteśmy rozleniwieni po kąpieli, a przed nami jeszcze sporo kilometrów. Dopiero po wielu godzinach zmęczeni dotarliśmy wreszcie wieczorem do Toconce. Droga była piękna, wiodła wśród kanionów i stromych urwisk, ale piach, kamienie i liczne, częściowo pozamarzane strumienie dały nam solidnie w kość.

Atakamę można uznać za zdobytą, lecz była to dopiero wprawka. Wracamy do San Pedro. Wieczorem w Valle de la Luna, w zachodzącym słońcu żegnamy butlą zachomikowanego carmenera ten piękny kraj...

Jutro ruszymy do Boliwii. Przed nami jeden z trudniejszych, długo wyczekiwanych fragmentów motocyklowej przeprawy: płaskowyż Altiplano i Salar de Uyuni.

BOLIWIA: MARSJAŃSKIE BEZDROŻA ANDÓW

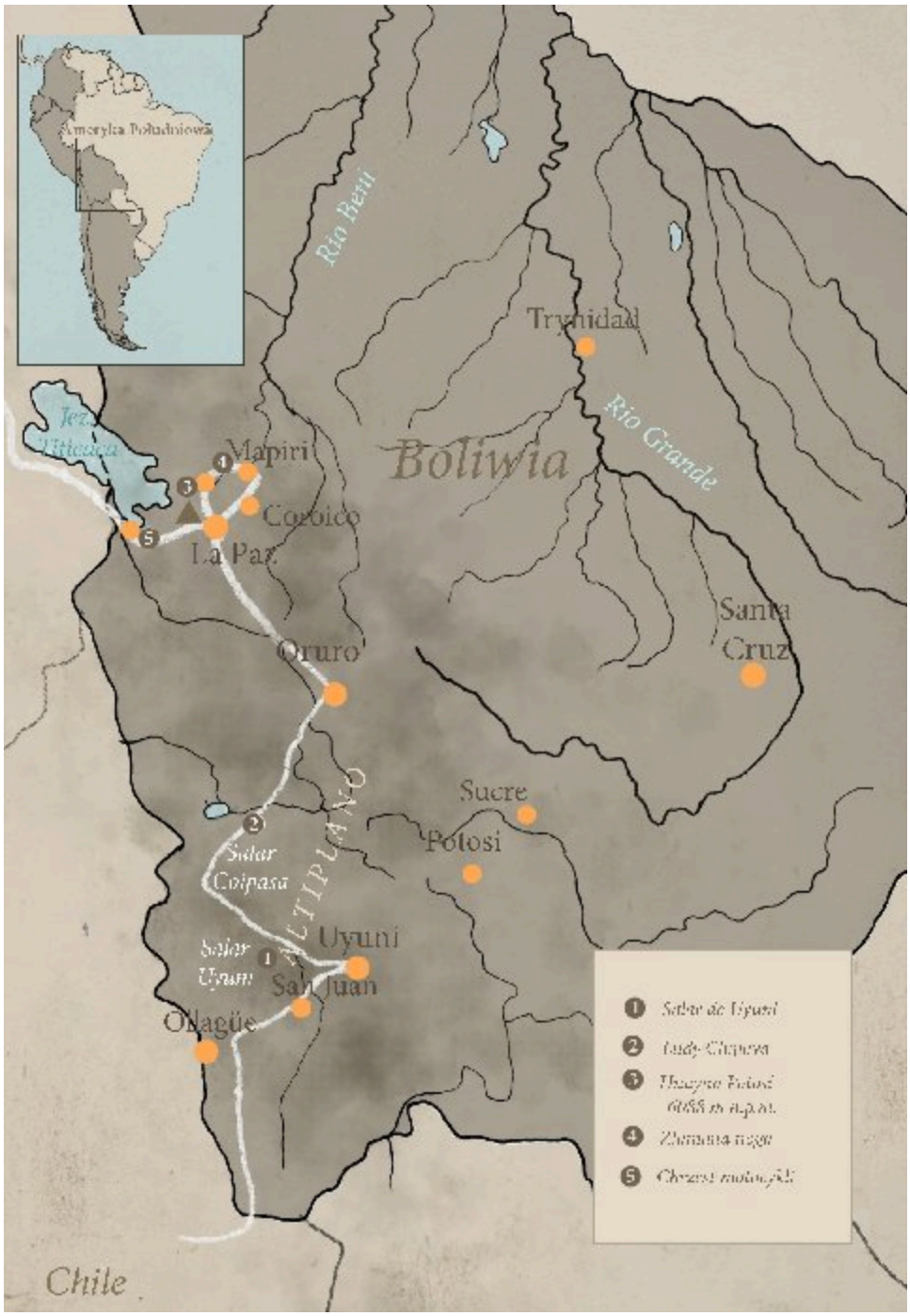

– Bo my, jak dużo zjemy, to potem żujemy kokę... – mówi nasza gospodyni po smacznej, obfitej kolacji. Wielka torba liści ląduje na stole. Widzimy je po raz pierwszy i przyglądamy im się ciekawie. – Ta koka to inne liście niż te, które służą do wyrobu kokainy. Te

liście są dobre. Na trawienie, na chorobę wysokościową, na zęby – tłumaczy kobieta.

Bierzemy do ust kilka liści i zaczynamy żuć. W smaku nieszczególne, efektu też na razie nie czujemy.

– A jak twoja kontuzja, Marta? – pyta nagle siedząca w kącie babcia. Widziała, że kuleję, gdyż dzień wcześniej wywróciłam się na motocyklu i nadwerężyłam kolano. – Najlepiej pożuj liście, wypluj i połóż je na noc na kolanie, ból do rana przejdzie. Aha, i jeszcze posyp je cukrem...

Boliwia od pierwszego dnia podbiła nasze serca. Bardzo nie lubimy pytania: „A jaki kraj podobał się wam najbardziej?", lecz zawsze, kiedy nerwowo szukamy na nie odpowiedzi, nasze myśli wędrują ku temu niedużemu państwu, najuboższemu w Ameryce Południowej. Może to marsjańskie piękno Altiplano, może roześmiane cholity w melonikach i falbaniastych spódnicach, może wspaniałe chwile spędzone z polskimi przyjaciółmi w barwnym, zwariowanym La Paz, a może lodowy szczyt Huayna Potosí... Boliwia nas zauroczyła, mimo że właśnie tam przeżyliśmy również jedne z najtrudniejszych momentów podróży.

Z San Pedro de Atacama wyruszamy we troje. Willy'ego poznaliśmy na skwerku, gdy siedział zakurzony i zmarnowany obok swojej yamahy 650. Tego dnia zgubił portfel. Willy podróżuje od dwóch lat. O, ma nawet mapę Boliwii, którą od tygodni bezskutecznie usiłujemy kupić. Siedzimy, gadamy, czas płynie. Zdecydowanie nadajemy na tych samych falach. Choć wszyscy wkoło podśmiewają się z niemieckich turystów, tak się składa, że

kolejny raz świetnie się dogadujemy z sąsiadami zza zachodniej granicy. Ale w jednej sprawie zdecydowanie się różnimy: Willy nie lubi psów. Bo szczekają i chcą łapać za łydki, gdy się jedzie na motocyklu.

– I co z tego? Taka już ich psia natura. Wystarczy się zatrzymać i przestaną jazgotać – polemizujemy.

Nagle słyszymy jakiś szelest. W czasie naszej rozmowy pewien czarny kundel podkradł się podstępnie do ławki, ściągnął sobie mapę Willy'ego i zaczął ją rozkosznie pożerać. Efekt: dwie wielkie dziury zamiast La Paz i Santa Cruz. Willy patrzy na nas znacząco...

Zamierzamy przejechać przez boliwijski płaskowyż z San Pedro de Atacama do Uyuni. Altiplano to księżycowa kraina solnisk, położona na wysokości przekraczającej miejscami pięć tysięcy metrów n.p.m., otoczona ośnieżonymi szczytami wulkanów, ozdobiona wielobarwnymi lagunami, w których mieszkają flamingi. Przez osiemset kilometrów nie ma asfaltu, wiosek, stacji benzynowych, tylko pustkowie, mróz i dzikie wikunie. Nasłuchaliśmy się wielu historii o przeprawach przez te niegościnne tereny, przeróżnych kłopotach i tragediach. Im straszniejsze opowieści, tym bardziej nas kusi, żeby zobaczyć na własne oczy, jak tam jest faktycznie.

Odprawę chilijską trzeba przejść w San Pedro, czterdzieści kilometrów przed granicą. Znowu poszło gładko, ale po argentyńskich bojach nabawiliśmy się urazu i zawsze gdy podchodzimy do okienka celników, skacze nam ciśnienie. Potem wspinamy się na granicę. Droga asfaltowa, wygodna, chociaż motocykle trochę „kaszlą" z powodu wysokości. Mój dzielny mały

xl 200 z wysokością radzi sobie lepiej niż Bartkowe tornado i yamaha Willy'ego. Kończy się asfalt. Dojeżdżamy do małego, samotnego, prymitywnego domku – to posterunek boliwijskiej straży granicznej. Stempel, otwarta bramka, jesteśmy w Boliwii!

Stempel, otwarta bramka, jesteśmy w Boliwii!

Z każdym kilometrem piękniej, ale i droga coraz trudniejsza. Wyboje i piach. Koła zakopują się i ślizgają w głębokim, sypkim żwirze. Najgorsza jest tak zwana tarka, czyli koleiny wytworzone przez przejeżdżające tą trasą samochody terenowe. Podskakujemy na nich tak, że mózg niemal odkleja się od czaszki. Na skutek wstrząsów z bagażu wypadają i giną bezpowrotnie dwa litry zapasowego paliwa i pęka butla z wodą. Najskuteczniejsza metoda walki z tarką to rozpędzić motocykl do prędkości co najmniej sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Dla chłopaków to nic trudnego, ja jednak mam problemy z utrzymaniem równowagi na piachu i boję się jechać tak szybko. Faktycznie, wtedy mniej

się podskakuje, ale wystarczy jeden niewłaściwy ruch kierownicą, chwila wahania i upadek murowany. Nie chcę jednak wypaść na ostatnią lebiegę i słuchać złośliwości o tym, że babie to lepiej kupić wałek do ciasta, a nie motocykl, więc zagryzam zęby i dodaję gazu. Opór przed szybszą jazdą po wertepach to rzeczywiście głównie kwestia psychiki. Po kilku kilometrach oswajam się z prędkością, a pokonywanie wymagającej drogi daje mi coraz większą radość i satysfakcję.

Tak dojeżdżamy do Laguna Verde, turkusowego jeziora otoczonego rudawymi szczytami. Przy brzegu pasą się wikunie. Jest zimno, nie więcej niż kilka stopni. Powietrze rześkie i suche. Błękit nieba tak ostry, że można się nim golić. Powietrze przejrzyste, doskonała widoczność. Parkujemy motocykle na szczycie wzniesienia i oczarowani wpatrujemy się w nieziemskie piękno Altiplano.

Posterunek boliwijskich celników, *aduana*, oddalony jest od granicy o jakieś sześćdziesiąt kilometrów. Musimy tam zdobyć formularze tymczasowego importu motocykli. Do dziś nie mamy pojęcia, dlaczego wybudowali tę strażnicę tak daleko, na wysokości pięciu tysięcy trzydziestu metrów n.p.m. To chyba najwyżej położona *aduana* na świecie. Ciężko się nam oddycha i trochę kręci się w głowie, bo bardzo szybko wjechaliśmy na wysokość pięciu tysięcy metrów i nie jesteśmy jeszcze przyzwyczajeni do tak rozrzedzonego powietrza.

Gejzery Sol de Manana

Po dopełnieniu formalności odbijamy do gejzerów, na które dostaliśmy namiar od pewnego brazylijskiego motocyklisty,

któremu zresztą zawdzięczamy nie tylko wskazówki, jak przejechać Altiplano, ale i inną cenną informację. O tym jednak później. Na razie parkujemy przy gejzerach. Znad jam unosi się biała para. W kolorowych dołach bulgoczą fantastyczne błotniste bąble. Chodzimy wśród oparów i podziwiamy... Nagle rozlega się dziwny warkot. To gejzer? Ależ nie, to samochód terenowy. I jeszcze jeden. I jeszcze. I jeszcze... W pięć minut przy naszych „dziewiczych" gejzerach zaroiło się od turystów. Altiplano przemierzają bowiem codziennie transporty ze zorganizowanymi wycieczkami z Uyuni. To im zawdzięczamy tarkę na drodze. Słyszeliśmy, że możemy je spotkać, ale nie spodziewaliśmy się takiego nagłego najazdu.

Uciekamy z gejzerów. Jesteśmy zmęczeni, ja najbardziej ze wszystkich. Wieczorem, już po zachodzie słońca, dojeżdżamy do kolejnego jeziora – Laguna Colorada. Swą nazwę zawdzięcza wyjątkowej, czerwonej barwie, którą nadaje jej tutejsza odmiana alg. Mieliśmy rozstawić namioty, ale przy jeziorze stoją gliniane baraki dla turystów. Widać Altiplano nie jest aż tak odludne, jak opowiadano. Właściciele żądają po trzy dolary za łóżko. Zaszalejemy, niech tam, zwłaszcza że temperatura spadła już poniżej zera, choć to dopiero ósma.

Następnego dnia kupujemy od właściciela baraków dodatkowe paliwo. Mężczyzna tłumaczy się, że tu, na pustkowiu, musi za nie żądać wysokiej ceny. Dla zasady marudzimy, że za drogo, ale cieszymy się w duchu, gdyż to i tak zaledwie połowa ceny chilijskiej.

Bezdroża boliwijskiego Altiplano

Myśleliśmy, że najtrudniejszy odcinek mamy za sobą, ale droga robi się coraz gorsza. W końcu znika zupełnie. Każdy jedzie tam, gdzie mu się podoba, byle mniej więcej trzymać się kierunku. Przypomina nam się podróż przez Mongolię. Walczymy z piachem i koleinami, ciągle na granicy wywrotki. Otaczające piękno rekompensuje jednak wszystkie trudy. Przed oczami przewijają się krajobrazy, które na zawsze pozostaną w naszych głowach. Tak dojeżdżamy do centralnego, słynnego punktu Altiplano – Árbol de Piedra, czyli żółtej skały podobnej do drzewa. Nam niejasno przywodzi ona na myśl pomnik Chopina w Łazienkach... Rozkładamy się pod nią na ziemi, zajadamy kanapki. Podjeżdża samochód wycieczkowy. To naprawdę fajne uczucie, gdy pasażerowie patrzą na motocykle z mieszaniną podziwu i zazdrości, a lokalny kierowca i przewodnik rozmawia z nami jak równy z równym o trasie i stanie drogi. Po chwili zagania grupę,

która ledwo zdążyła się nacieszyć postojem, z powrotem do samochodu, żeby czym prędzej pomknąć do następnego punktu wycieczki. My natomiast leżymy na piasku, leniwie wpatrując się w oddalający się pojazd. Nikt i nic nas nie pogania. Rozprostowujemy nogi, wiaterek przyjemnie wieje, kończymy popas. Ruszymy dalej wtedy, kiedy będziemy chcieli, i rozbijemy obóz w miejscu, które się nam spodoba. W takich chwilach jeszcze mocniej odczuwamy wolność i niezależność, jaką dają nasze maszyny.

Pędząc na przełaj, w pewnym momencie tracę czujność i motocykl wpada w poślizg. Koła wjeżdżają w koleinę po prawej stronie, cudem wydobywam z niej xl-a. Przerzuciło mnie na lewo, więc wpadłam w następną koleinę. Tylne koło wyjechało do przodu i wylądowałam na ziemi. Pierwszy odruch, wyćwiczony na licznych wcześniejszych wywrotkach – przekręcić kluczyki i wyłączyć silnik, potem zakręcić zawór, żeby nie wyleciało paliwo z baku. Ze mną w zasadzie wszystko w porządku, trochę tylko boli noga, która przy lądowaniu dziwnie się wygięła. Wieczorem znajdujemy urocze jezioro z pozostałościami jakichś pasterskich zabudowań na brzegu. Jest gdzie się schować od wiatru, są krzaki na ognisko, o które na Altiplano wcale nie jest łatwo. Rozbijamy namioty i pichcimy kolację. Temperatura spada w zawrotnym tempie, przysuwamy się coraz bliżej ognia. Drugi dzień przeprawy za nami. Niestety kolano boli coraz bardziej.

Noc była mimo wszystko w miarę ciepła jak na tę wysokość, tylko minus siedem stopni, ale bezsenna z powodu kolana. Spuchło jak balon i kiepsko się zgina. Co jednak robić, jesteśmy w środku drogi, spróbujemy jakoś jechać dalej. Niestety bardzo

wolno, bo na każdym wyboju czuję, jakby wbijali mi w nogę gwoździe. Mówimy Willy'emu, żeby jechał swoim tempem, i ustalamy, że spotkamy się po południu w oddalonej o osiemdziesiąt kilometrów wsi San Juan.

Po południu dojeżdżamy na miejsce. To jedyna większa osada na drodze z San Pedro do Uyuni. Przez ostatnie kilometry na szczęście suniemy po gładkim jak stół Salar de Chiguana, po którym jedzie się jak po asfalcie, bez bolesnych podskoków. San Juan to zapomniana przez świat wioska. Wzdłuż głównej ulicy ciągną się ubogie gliniane domki, a środkiem przechadzają się lamy. Nam jednak po kilku dniach spędzonych na pustyni San Juan wydaje się niemal metropolią. Jest nawet kilka skromnych sklepików, w których możemy uzupełnić zapasy żywności. Pytamy o Willy'ego, ale mówią nam, że był tu już o pierwszej, zjadł i pojechał dalej. Dopiero kilka dni później dowiedzieliśmy się, że zostaliśmy wprowadzeni w błąd, bo Willy rozbił namiot w opuszczonych zabudowaniach na skraju wsi i czekał na nas. Niepotrzebnie uwierzyliśmy napotkanemu mężczyźnie i nawet nie rozejrzeliśmy się tego dnia po okolicy.

Szukamy miejsca do spania, chcemy dać kolanu jeden dzień odpoczynku. Znajdujemy hostel zbudowany z solnych bloków. Podłoga, stoły i krzesła też są z soli, do tego tradycyjne wykończenia z drewna kaktusa. Aż boimy się zapytać o cenę, takie cuda muszą kosztować fortunę. Jednak z ciekawości pytamy.

– Ile?

– Dwadzieścia pięć bolivianów od osoby.

Czyli po dwanaście polskich złotych. Zostajemy.

Rano bez bagaży objeżdżamy okolicę. Tuż za wsią mieści się nekropolia sprzed kilkuset lat. Spośród niewielkich skałek łypią na nas zmumifikowane szczątki dostojników i kapłanów. Widok dosyć drastyczny. Ciała doskonale się zachowały, gdyż suchy klimat Altiplano sprzyja mumifikacji. To właśnie z tych obszarów pochodzą najstarsze mumie świata.

Salar de Uyuni, definicja bezkresnej wolności

San Juan to wioska maleńka i prymitywna, ale przyzwyczajona do turystów, którzy zatrzymują się tu na noc na szlaku trzydniowej ekspedycji po Altiplano. W popularnych miejscach tubylcy często są niemili, próbują oszukiwać, traktują każdego *gringo* jak chodzący bankomat. Tak też odebraliśmy w pierwszej chwili mieszkańców San Juan. Jednak wystarczyło pobyć tu dzień dłużej, żeby ludzie zaczęli odnosić się do nas przyjacielsko: uśmiechać się, pozdrawiać i zagadywać.

Pytamy szefową naszego solnego hostelu, czy możemy skorzystać z jej kuchni. Nie jest przyzwyczajona do takich pytań, bo podróżni zawsze mają własnych kucharzy i kuchnie polowe, ale się zgadza. Gotujemy zatem wodę na makaron.

– A wiecie co, to może ja dorzucę swoje kluski i ugotujemy razem?

– Nie ma sprawy, to my dołożymy dla was jeszcze jedną paczkę makaronu.

– To macie tu jeszcze trochę mięsa do sosu.

Wśród ogólnej wesołości powstaje polsko-boliwijska potrawa z chilijskim makaronem w roli głównej: dla nas, gospodyni, jej dzieciaków i babki. Wyszło całkiem smacznie.

Po kolacji kobiety częstują nas koką. Tu po raz pierwszy próbujemy żuć kontrowersyjne liście.

Koka to w Boliwii drażliwy temat. Uprawiano ją tu od bardzo dawna, wierzono w leczniczą moc liści. Potem jednak przyszła era kokainy.

– Koka to dar Boga, a kokaina to dar diabła – powtarzają nasi gospodarze. Z tym że diabeł kusi wielkimi pieniędzmi i trudno mu się oprzeć.

Wywodzący się z ludu, wielbiony przez ubogich mieszkańców obecny prezydent Boliwii Evo Morales wbrew naciskom Amerykanów zalegalizował produkcję koki jako tradycyjnego elementu boliwijskiej kultury i tradycji. Trudno się dziwić, szef państwa bowiem sam dawniej był jednym z jej producentów i walczył z systemem o utrzymanie plantacji. Polityka Moralesa zachęciła wielu kolumbijskich i peruwiańskich „biznesmenów” do przeniesienia tu swoich interesów. Oficjalnie jednak wszyscy

utrzymują, że tutejsi rolnicy uprawiają kokę na własny użytek. A że naród boliwijski w życiu nie byłby w stanie skonsumować takiej ilości koki, jaką się tu corocznie zbiera? Cóż, na to pytanie nikt nie potrafił nam odpowiedzieć.

Następnego ranka, po dwóch dniach spędzonych z boliwijską rodziną, serdecznie się żegnamy. Kolano ma się dużo lepiej, mimo że zrezygnowałam z „zielonej kuracji". Czas ruszyć ku najbardziej niezwykłemu zjawisku Altiplano – największemu na świecie solnisku, pozostałości po wyschniętym prehistorycznym jeziorze Ballivián. Tutaj nazywają je Salar de Uyuni. Solnisko przypomina wielkie, zamarznięte, pokryte warstwą śniegu jezioro, na którym ktoś wymalował miliardy wielokątów, tworzących jakby gigantyczny, bezkresny, biały plaster miodu. Tyle że to nie śnieg i lód, ale najprawdziwsza w świecie sól. Sprawdziliśmy, żeby nie było. Słone jak diabli. W pierwszej chwili jedziemy niepewnie, bo nie wiemy, jak działa taka nawierzchnia. W głowie odruchowo zapala się czerwone światło: uważaj, białe, gładkie, będzie ślisko... Ale motocykle trzymają się jak na najlepszej autostradzie. Na takich podłożach bije się przecież rekordy prędkości.

Szalejemy po solnisku przez dobre kilka godzin, aż do ostatnich kropli paliwa. Wpadamy w jakąś euforię. Ta przestrzeń i nieokiełznana biel hipnotyzuje, przyciąga. Pędzimy na azymut, na przełaj, zakosami. Chwilami wydaje się, jakby na horyzoncie sól roztopiła się i pokryła wodą, w której przeglądają się jak w lustrze otaczające góry. To jednak tylko niesamowite miraże. O tej porze roku solnisko jest suche. Woda, którą widzimy, to tylko

złudzenie. W innym okresie, od stycznia do marca, solniska faktycznie są zalane. Wówczas w nieruchomej tafli odbija się niebo, a człowiek traci wręcz orientację, gdzie góra, a gdzie dół...

Wieczorem musimy niestety dojechać do miasta Uyuni, bo kończy się nam paliwo. Odbieramy też maila od Willy'ego i dowiadujemy się, że czekał na nas cały dzień w San Juan. Ponieważ jednak zepsuł mu się motocykl, musiał ruszyć dalej po części.

W Uyuni wbrew planom zabawiliśmy trzy dni, bo Bartka złożyło przeziębienie. Kładę go do łóżka. Wysoka gorączka. Polopiryna, herbata z cytryną. Po trzech dniach zażądał piwa. Zdrowy, znaczy się. Możemy jechać dalej.

Wracamy na Salar de Uyuni, nie możemy nacieszyć się białą przestrzenią. Ze słonej powierzchni co pewien czas wyrastają pagórkowate wyspy porośnięte wielkimi kaktusami. Robimy rajd od wyspy do wyspy. Na najsłynniejszej Isla de Pescadores mrowie ludzi, jest nawet sklepik i knajpa. Tu zatrzymują się wszystkie wycieczki, mimo że wkoło jest znacznie więcej równie ładnych, a często nawet piękniejszych wysp. Odjeżdżamy dwadzieścia kilometrów i rozbijamy się na noc na „plaży" samotnej wysepki.

Ze słonej powierzchni wyrastają wyspy porośnięte kaktusami, Salar de Uyuni

Solnisko za dnia jest niesamowite, ale spektakl, który rozegrał się o zachodzie, odebrał nam głos. Niebo płonie wszystkimi odcieniami różu i oranżu, które odbijają się w białej tafli soli. Wkoło nieskazitelna, doskonała, dzwoniąca w uszach cisza. Na horyzoncie szczyty wulkanów. Z każdą minutą kolory zmieniają się, mieszają, aż wreszcie krajobraz rozmywa się w nadchodzącym mroku.

Kierujemy się w stronę La Paz. Po opuszczeniu Salar de Uyuni przedostajemy się na kolejny, mniejszy Salar de Coipasa. I znów pochłania nas słona biel. Naszym celem są tym razem małe wioski zamieszkane przez władający własnym językiem lud Chipaya, żyjący na jego obrzeżach. Nie jest łatwo tam trafić, kilka razy wybieramy niewłaściwe ścieżki i musimy zawracać. Do tego dochodzi przeprawa przez głęboką rzekę.

Tradycyjne domki ludów Chipaya na obrzeżach Salaru de Coipasa

Jesteśmy zmęczeni, parę razy kłócimy się po drodze na śmierć i życie. W trudnych warunkach wystarczy czasem jedno niewłaściwe słowo albo nie taki ton głosu (niektórzy zupełnie nie wiedzą, o co chodzi z tym tonem...), aby rozpętało się małe, prywatne piekło. Na szczęście nasze awantury są ostatnio jak tropikalne burze – intensywne, ale krótkotrwałe. Jak się człowiek powydziera, to od razu mu lepiej.

Koniec końców trafiamy wreszcie do Chipai. Tutejsi ludzie rzeczywiście usiłują zachować prastare zwyczaje. Kobiety mają swój tradycyjny strój, przypominający brązową opończę z trójkątnym kapturem rodem z *Historii żółtej ciżemki*. Włosy splatają w sześćdziesiąt afrykańskich warkoczyków, które następnie wiążą w dwa duże warkocze. Niestety już wiedzą, że na turystach można zarobić. Na każdym kroku próbują uszczknąć

parę groszy. Zdjęcie – proszę bardzo, ale najpierw zapłać. Nie chcemy w tym uczestniczyć i idziemy na spacer poza Chipayę.

Pytanie o drogę na lokalnej stacji benzynowej

Sama wioska nie jest tak ciekawa jak jej okolice. Na polach rozsypane są maleńkie, okrągłe domki wykonane z prostokątnych, wycinanych prosto z gruntu kawałków gliny. Zaczepia nas pastuszek obracający w dłoniach wrzeciono z wełną z lamy. Wypytuje o Polskę, co tam się uprawia i hoduje, opowiada o Boliwii. Pokazuje swoje gospodarstwo składające się z trzech glinianych domków: w jednym mieści się sypialnia, w drugim kuchnia, w trzecim „salon". Do tego malutki chlewik dla dwóch prosiaków, bo prosiak – inaczej niż lamy – nie wytrzymałby zimnej nocy bez schronienia. Gawędząc, zastanawiamy się, kiedy nasz nowy przyjaciel zażąda pieniędzy. Ale nie. To tylko nasza paranoja. Mężczyzna po prostu był nami zaciekawiony tak samo jak my nim i chciał sobie urozmaicić popołudnie.

Dosyć tych bezdroży. Czas jechać do La Paz. Za miejscowością Huachacalla z ulgą, ale też z pewnym żalem, wjeżdżamy na pierwszy od tysiąca kilometrów asfalt.

Pewnego dnia znajomi napisali, że jak zawitamy do La Paz, mamy koniecznie skontaktować się z Szymonem, który tak jak my podróżował dookoła świata, aż postanowił zamieszkać w Boliwii.

Innym razem, gdy szukaliśmy na forum motocyklowym informacji o drogach prowadzących przez Altiplano, pewien Brazylijczyk (ten sam, który nakierował nas na gejzery) zapytał, czy znamy Izę i Kamila, którzy też jadą przez świat na motocyklach. Nie znaliśmy, ale postanowiliśmy szybko naprawić ten błąd i wysłaliśmy zaczepnego e-maila. Od słowa do słowa umówiliśmy się w La Paz.

Odnajdujemy hostel, w którym czekają na nas Iza i Kamil.

– Nareszcie jesteście! A to jest Gaba, Dominika i Kuba – przedstawia Iza. Okazało się, że w La Paz zakotwiczyła jeszcze trójka innych długodystansowych polskich podróżników, którzy od wielu miesięcy eksplorują Amerykę Południową.

Wieczorem wszyscy razem idziemy na imprezę do Szymona, samozwańczego ambasadora Polski w Boliwii. Swe dyplomatyczne obowiązki wypełnia wzorowo. Wpada jeszcze Karol. Kolejnego wieczoru pojawia się Ola. Później dołączają na chwilę Agnesz i Michał, kolejna para okrążająca świat, a także Podgór, w drodze powrotnej z zaćmienia Słońca na Wyspie Wielkanocnej. Krok po kroku powstaje polska kolonia w środku Boliwii. Wszyscy to wyjątkowe, silne osobowości, od wielu

miesięcy poza krajem, stęsknieni za polskością, za rozmową, której nie trzeba zaczynać od wyjaśniania, że jesteśmy *not from Holland, but from Poland*. Gadamy codziennie bez końca i do późna na tematy bardzo ważne i zupełnie nieważne, wzmacniając się grzańcem z goździkami i cynamonem, rumem El Cortéz, młodą gotowaną kapustą i schabowym. Brakowało nam tego, sami nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak bardzo. Nie możemy się rozstać, codziennie wymyślamy nowy powód, żeby zostać w La Paz jeszcze dzień dłużej.

Festiwal Entrada Folklorica de Universitaria, La Paz

Jest coś takiego jak wakacje od wakacji. Brzmi kuriozalnie, ale jeśli spytać o to zjawisko kogoś, kto spędził w podróży parę miesięcy, będzie dokładnie wiedział, w czym rzecz. Czasem po prostu trzeba się zatrzymać. Pobyć w jednym miejscu, przez kilka

dni nie zwiedzać. Jednym słowem, przestać robić to, co się robiło codziennie przez tak długi czas: nie pakować plecaka, nie wertować mapy, nie organizować noclegu, nie planować, co tym razem warto zobaczyć. Niektórzy spędzają ten czas nad książką, inni w internecie, jeszcze inni zapisują się na kurs językowy albo, jak ktoś woli, gotowania lub szydełkowania. Kwestia gustu i okoliczności. Ważne, żeby być w jednym miejscu, bez podświadomej presji, że skoro jest się w podróży, należy poznawać kolejne zakątki świata. Dla nas takim właśnie przystankiem okazało się La Paz.

To miasto naprawdę nas zauroczyło. Od pierwszej chwili, gdy po kilku godzinach dość monotonnej jazdy z Oruro znienacka, zupełnie niezapowiedzianie otworzył się pod nami głęboki, obudowany domami kanion, ozdobiony białym szczytem wulkanu Illimani, gdy w poszukiwaniu noclegu zjeżdżaliśmy stromymi, wąskimi, zatłoczonymi uliczkami, lawirując pomiędzy tysiącami straganów, poczuliśmy się we właściwym miejscu. Z reguły nie jesteśmy fanami wielkich metropolii i wolimy bezdroża, ale są miasta takie jak Kalkuta czy Hanoi, gdzie czas się zatrzymał, gdzie człowiek chce się zagubić w kolorowym tłumie i chłonąć bez końca obrazy, zapachy, dźwięki...

Zakupy na targu w La Paz

Błądzimy po kolorowych targach, na których sprzedają warzywa, owoce, ubrania, narzędzia, zioła leczące różne dolegliwości czy przynoszące szczęście zasuszone płody lam. Tuż przy naszym hotelu przycupnął Bazar Czarownic, gdzie za niedużą cenę można nabyć magiczne amulety czy narkotyczne kaktusy San Pedro. Za rogiem pewien pan codziennie wróży z liści koki, a na brak klientów nie może narzekać.

Na śniadanie kawa, chrupiąca bułka z białym górskim serem i wspaniałym awokado za trzy boliviany (złoty pięćdziesiąt), potem szklanka soku ze świeżych pomarańczy po złoty dwadzieścia pięć za kubek z dolewką. Na obiad – jeśli nie pichcimy sami – zestaw firmowy za siedem, dziesięć bolivianów (około czterech, pięciu złotych). Takie przyjazne ceny to miła odmiana po drogich Argentynie i Chile.

Handlujące na ulicy cholity, La Paz

To miasto ma charakter, charyzmę, klimat... Nareszcie odnajdujemy coś, za czym od dawna tęskniliśmy i co stanowi dla nas nieodłączną część podróży. Zeuropeizowane Argentyna i Chile były przepiękne, a krajobrazy, jakie tam zobaczyliśmy, zapierały dech, jednak czegoś nam brakowało. Tym czymś była egzotyka, rdzenni mieszkańcy, inna kultura. Tu, w Boliwii, a w La Paz ze zdwojoną intensywnością, trafiamy na od dawna poszukiwany element południowoamerykańskiej układanki. Rozwrzeszczane bazary, Indianie Aymara, wielobarwne stroje, rozklekotane autobusy, gwar, zamęt, zgiełk... W cieplejszej, niżej położonej, eleganckiej części miasta można także poczuć się jak w Europie. Tam jednak rzadko zaglądamy.

W La Paz niezaprzeczalnie i niepodzielnie królują tradycyjnie ubrane cholity. Na czubku głowy filuterny melonik, włosy splecione w dwa czarne, złączone ze sobą na końcach warkocze,

falbaniasta pstrokata spódnica, chusta z frędzlami. Uśmiech roziskrzony złotą koronką w kształcie serduszka na zębach. Zamiast torebki przewiązany na plecach kawałek wzorzystego materiału, do którego można zapakować wszystko: zarówno kartofle i pomidory, jak i dzieciaka. Paradoksalnie strój ten wprowadzili w XVIII wieku Hiszpanie, ale tak mocno zakorzenił się wśród miejscowej ludności, że stał się wizytówką kobiet z Altiplano.

Tu nikt nie zwróci się do ciebie *señorita* ani *señor*. Tutaj każda kobieta to *mamita* (mamuśka), a mężczyzna – *papa* lub *papito* (tatusiek). Boliwijczycy, a jak się potem przekonaliśmy, także Peruwiańczycy i Ekwadorczycy, kochają zdrobnienia. Dom to nie *casa*, lecz *casita*. Poczekaj nie *momento*, ale *momentito*, zaraz przyniosę ci piwko – nie cervesę, tylko cervesitę. I tak ze wszystkim. Strasznie nam się to podoba.

Na wysokości prawie czterech tysięcy metrów, w najwyżej położonej – konkurującej jedynie z tybetańską Lhasą – stolicy świata (bo mimo że oficjalnie stolicą Boliwii pozostaje Sucre, jednak bez wątpienia serce tego kraju bije w La Paz), jeden za drugim, nie wiemy sami kiedy, przepływają nam między palcami słoneczne, choć chłodne dni.

Od miesiąca odgrażamy się, że dosyć już tej zimy, że trzeba zjechać niżej, do dżungli, rozwiesić hamak, wygrzać się porządnie... Tymczasem Iza, Kamil i Kuba szykują się do ataku na Huayna Potosí (sześć tysięcy osiemdziesiąt osiem metrów n.p.m.). Co pewien czas namawiają, żebyśmy poszli z nimi, ale

twardo odmawiamy: bo to i śnieg, i lód, i mróz, i zmęczy się człowiek... Do tego mamy wymówkę w postaci ciągle nadwerężonego kolana.

W końcu dają nam spokój. Dzień przed wyruszeniem odbierają sprzęt do wspinaczki: raki, czekany, liny, ciepłe ciuchy.

– I dali nam nawet takie okulary przeciwsłoneczne, chyba jeszcze z lat osiemdziesiątych... – opowiadają wieczorem w trakcie kolejnej imprezy.

– Taaak? Takie odblaskowe, różowe i zielone? Marta, to może jednak pójdziemy...

Daliśmy się przekonać. Następnego dnia wypożyczamy dodatkowy sprzęt i wystrojeni w kolorowe górskie ciuchy, a przede wszystkim w szałowe okrągłe okulary z odblaskową osłonką, pakujemy się na cztery motocykle. Do bagażników przypięte plecaki i czekany. Takim egzotycznym konwojem ruszamy do przełęczy Paso Zongo (cztery tysiące siedemset metrów n.p.m.). Tam u mężczyzny zawiadującego małą tamą zostawiamy motocykle i zaczynamy wspinaczkę.

Prowadzi znający się na rzeczy Kuba, który mimo że jest z nas najmłodszy, niejedno już w życiu zrobił i widział. Między innymi jest również przewodnikiem górskim. Dzięki niemu nie musimy wchodzić z wynajętym przewodnikiem. Iza z Kamilem i my będziemy po raz pierwszy wspinać się po śniegu i lodzie.

Po południu w niezłej formie docieramy do Campo Rocas (pięć tysięcy dwieście metrów n.p.m.). Rozbijamy namioty na kamiennych półkach, gotujemy makaron z sardynkami, który smakuje jak... makaron z sardynkami, i kładziemy się spać. Noc ciężka, męczy mnie choroba wysokościowa ze wszystkimi jej

przykrymi objawami: silny ból głowy, problem z zaczerpnięciem oddechu, mdłości. Chociaż w tej ostatniej sprawie mogły równie dobrze zawinić sardynki...

Kuba, Kamil, Iza i my, szczyt Huayna Potosí – sześć tysięcy osiemdziesiąt osiem metrów

Rano następnego dnia zwijamy obóz i rozpoczyna się wejście po lodowcu. Najpierw Kuba uczy nas wiązać liny i używać czekana, więc radośnie tarzamy się w śniegu. Pogoda jak marzenie, w dole roztacza się wspaniała panorama. Wreszcie zaczynamy podejście do Campo Argentino, gdzie zamierzamy spędzić kolejną noc. Bartek idzie związany z Kamilem, Kuba z Izą i ze mną. Podobno pary nie powinny się wzajemnie asekurować z przyczyn etyczno-emocjonalnych. Wysokość daje się nam we znaki. Niby podejście nie jest bardzo strome, ale mimo to człowiek ledwo zipie. Do tego dochodzą ciężkie plecaki. Każdy krok to zmaganie ze zmęczeniem. Docieramy w końcu do miejsca, gdzie powinno znajdować się

Campo Argentino. Spodziewaliśmy się jakiegoś znaku czy miejsca na rozstawienie namiotów, ale Campo Argentino okazało się po prostu wypłaszczeniem rozciągającym się na wysokości pięciu tysięcy pięciuset do pięciu tysięcy siedmiuset metrów n.p.m. Od dawna nikt tu nie obozował.

Zejście okazuje się łatwe i szybkie

Rozbijamy się na śniegu, starannie omijając zdradliwe szczeliny lodowe. Pierwszy raz w życiu będziemy spali w takich warunkach. Ubijamy miejsce na namiot. W namiocie przygotowujemy obiad. Temperatura raptownie spada i ciężko wytrzymać poza śpiworem. Topimy śnieg, żeby mieć co pić. Zapadamy w lekki, niespokojny sen. Podobno na tej wysokości człowiek nie jest w stanie dłużej przeżyć: przestaje trawić pokarm, nie może się rozmnażać.

O czwartej rano, w temperaturze minus dwunastu stopni, po ciemku zakładamy sprzęt i rozpoczynamy atak na szczyt. Musimy zacząć wcześnie, żeby zdążyć zejść, zanim silne słońce zacznie

topić lodowiec. W dole migoczą światła La Paz. Jest bardzo ciężko, zwłaszcza mnie i Izie, mimo że tym razem idziemy bez plecaków, które zostały w Campo Argentino. Huayna Potosí ma opinię góry łatwej technicznie, możliwej do zdobycia przez początkujących, ale podejście na wysokości sześciu tysięcy metrów, choćby niezbyt strome, wysysa z człowieka wszystkie siły. Nogi się plączą, usta łapczywie chwytają rozrzedzone powietrze niczym ryba wyjęta z wody. W pewnym momencie, przed ostatnią granią, przychodzi chwila największej słabości. Kręci mi się w głowie i teatralnie padam na śnieg. Nie chcę, nie dam rady, rezygnuję, pieprzę to. Wszyscy jesteśmy u kresu sił. Po cholerę w ogóle człowiek się tak męczy? Przecież to wcale nie sprawia przyjemności! Że widoki piękne? I co z tego, zmęczenie jest tak ogromne, że nawet nie ma się siły ich podziwiać! Wszystko boli i cały organizm, każda komórka ciała błaga o to, żeby zawrócić.

Wszystko przez te okulary...

Odpoczywamy. Na szczęście wstaje świt i dodaje nam energii. Różowe światło rozświetla Huayna Potosí. Jest już tak blisko do

szczytu, że żal byłoby się teraz poddać. Jeszcze kawałek, po najtrudniejszej szczytowej grani, ostrożnie, bo po obu stronach przepaść. Ta grań nazywana jest Granią Polaków, na pamiątkę wypadku z udziałem naszego rodaka.

Nareszcie!!! Weszliśmy wszyscy, zipiemy i śmiejemy się, szczęśliwi, że się udało. Obłędny widok, nad nami tylko niebieskie niebo, w dole biel, niższe szczyty i płaskie Altiplano...

Mimo zmęczenia zejście okazuje się łatwe i dosyć szybkie. Teraz możemy podziwiać roziskrzone, kryształowe lodowe bloki i szczeliny, które minęliśmy po ciemku w drodze na szczyt. Wkoło biało i pięknie. Po drodze zwijamy obozowisko pozostawione w Campo Argentino, zjadamy po chińskiej zupce i znowu w dół.

Do Paso Zongo dochodzimy po południu. Po ciemku wracamy kilka godzin krętą szutrową drogą do La Paz. Dojeżdżamy skonani, ale ostatkiem sił doczołgujemy się jeszcze na pizzę i zasłużone piwo.

Przez następny dzień schodzi z nas zmęczenie. Mięśnie w zasadzie nie bolą, tylko człowiek jakiś taki skołowany i rozmemłany. Mamy jednak wielką satysfakcję, że weszliśmy wszyscy razem, że zrobiliśmy to po swojemu, że było przy tym tyle pozytywnej energii, śmiechu, ale i wzajemnego wsparcia. Od dawna chcieliśmy spróbować wspinaczki, jednak dzięki Kubie, Izie i Kamilowi to nie było tylko zdobycie nowego doświadczenia, ale przede wszystkim świetna zabawa od początku do końca, nawet w najtrudniejszych momentach. No i te okulary...

Wyjeżdżamy z La Paz. Iza i Kamil chcą na północ do Brazylii, Kuba na południe do Uyuni, a my planujemy motorowe kółko Coroico–Mapiri–Sorata–La Paz w oczekiwaniu na kolejne odwiedziny Podgóra. Jednak nie możemy się tak po prostu rozstać. Jeszcze kawałek, chociaż chwilę, pojedziemy razem.

I znowu motocykle, szutrowa droga, przystanek w starym zamku w środku dżungli... Potem do Coroico, gdzie kończymy imprezę, tańcząc nad ranem na chodniku z miejscowymi boliwijskie przeboje.

W końcu się żegnamy. Tymczasem niestety w motocyklu Kamila padł amortyzator, a na nowy będzie musiał czekać w La Paz. Wyruszamy sami na małą wycieczkę, ale wiemy, że za parę dni, gdy wrócimy po Podgóra, znów się pewnie spotkamy.

Pierwszy kawałek drogi paskudny. Ciągle mijają nas ciężarówki wzbijające w powietrze potworne tumany kurzu, które zasłaniają na kilka sekund całą widoczność. Jedziemy prawą stroną, kiedy nagle zza zakrętu wyskakuje na nas samochód. Potem drugi. Ratujemy się, zjeżdżając na pobocze, po czym wydzierając się, wymieniamy z kierowcami dosadne uwagi na temat naszych mam. Postanawiamy jednak jechać lewą stroną. Dopiero po kilku kilometrach pojawia się – niespodzianka – znak zmiany kierunku ruchu. W Boliwii wiele wąskich dróg wiedzie nad przepaścią i celowo zmienia się kierunek ruchu tak, aby szofer jadący po zewnętrznym pasie siedział od strony krawędzi przepaści i widział, ile ma jeszcze miejsca. Jeśli ktoś jeździ tędy regularnie, to wie, jeśli jedzie pierwszy raz, jak my, musi się po prostu domyślić.

Drugiego dnia docieramy do małej wioski Mapiri. Na mapie wydawało się blisko, ale droga prowadzi przez góry, więc miejscowości oddalone w linii prostej o dwadzieścia kilometrów dzieli tak naprawdę minimum sześćdziesiąt kilometrów szutru i zakrętów. Już wiemy, że się przeliczyliśmy. Mała runda wkoło La Paz będzie w rzeczywistości wymagającą, kilkusetkilometrową przeprawą. Teraz jednak już za późno, żeby się wycofać. Musimy się zmobilizować, żeby zdążyć na czas na spotkanie Podgóra.

Za Mapiri pogoda kompletnie się psuje. Przed nami najtrudniejszy odcinek, pełen błota i śliskich kamieni. Wąska ścieżka prowadzi zygzakiem stromo pod górę, co chwila zakręty prawie o sto osiemdziesiąt stopni. Potem jedziemy po skalnej półce, tuż nad przepaścią. Następnie w dół, by za chwilę znów pokonywać kolejną górę. Możemy się tylko domyślać, jak musi być tu pięknie, bo cały czas otacza nas gęsta, mokra chmura. Motocykle non stop wpadają w poślizg. Siąpi drobny, przenikliwy deszcz. Na jednym ze zjazdów nie udaje mi się wyprowadzić xl-a.

Upadam na bok, a motocykl na mnie. Stopa w dziwnej pozycji, zmiażdżona między kamieniem a motocyklem. Potworny, przenikliwy ból.

Bartek podnosi xl-a, uwalnia moją nogę. Zdejmuję but. Z powodu deszczu i konieczności pokonywania licznych strumieni jechałam w kaloszach, które chronią wprawdzie idealnie przed przemoczeniem, ale ich miękka podeszwa słabo zabezpiecza stopę w razie upadku. Noga błyskawicznie puchnie i zaczyna sinieć. Co jednak robić, jesteśmy na pustkowiu, z dala od szpitala i pomocy. Znajdujemy się dokładnie w połowie trasy, wokół nas tylko góry i prymitywne wioski. Do La Paz zostało ponad trzysta kilometrów w wyjątkowo ciężkich warunkach. Wsiadamy na motocykle, muszę jakoś dojechać.

Jakby było mało problemów, na domiar złego w xl-u coś się psuje. Silnik przestaje działać w najmniej odpowiednich momentach. Dodaję gazu, żeby wyprowadzić lekko pochylony motocykl z zakrętu, a tu xl gaśnie. Wywracam się na bok. Tym razem, widząc, że już się nie wyratuję, odskakuję dalej od motocykla, żeby znowu mnie nie przygniótł. Rozglądam się... Miałam dużo szczęścia. Leżę dosłownie na krawędzi przepaści. Gdybym wylądowała dziesięć centymetrów dalej, byłoby po mnie. Tak nie da się jechać. W jakiejś wsi pod daszkiem chroniącym od deszczu rozkręcamy motocykl i Bartek znajduje przyczynę: zatkał się filtr paliwa. Po pięciu miesiącach już całkiem nieźle poznaliśmy nasze hondy. Bartek potrafi sam wiele rzeczy wyregulować, wymienić i naprawić. To, co kiedyś wydawało się czarną magią, dziś nie stanowi problemu. Gdybym dziś wrzuciła coś do baku, szybko byśmy sobie z tym poradzili... Ale tym razem

próby przeczyszczenia filtru spełzły na niczym. Obcinamy zatkany kawałek, przykręcamy pozostałą część i maszyna odpala. Straciliśmy jednak bardzo dużo czasu. Zapadł zmrok, a do większej miejscowości, Soraty, gdzie mieliśmy nadzieję dotrzeć na noc, zostały co najmniej dwie godziny jazdy. Lepiej przespać się tu, gdzie jesteśmy, niż ryzykować kolejną wywrotkę w takim stanie. Do Soraty dojeżdżamy dopiero następnego dnia. Pojawia się wreszcie asfalt, ale mgła jest tak gęsta, że nie ma mowy, żeby jechać szybciej niż czterdzieści kilometrów na godzinę. Potem zaczyna padać grad... Kulki lodu są tak duże, że ich uderzenia stają się bolesne. Gdy grad ustaje, zaczyna się dzika ulewa. Przemoczone ubrania i wiatr przy kilku stopniach ciepła – gorzej być nie może.

Wikunia z boliwijskiego Altiplano

W rezultacie dojeżdżamy do La Paz dwa dni po upadku. Małe kółko okazało się trudną, siedmiusetkilometrową trasą, do tego

przy wyjątkowo marnej pogodzie. Jedziemy do szpitala sprawdzić, co z nogą. Tylko profilaktycznie, bo jesteśmy przekonani, że nic złego nie mogło się stać. To przecież niemożliwe, żebym znowu złamała nogę. Robią mi rentgen.

– Że co??? – nie potrafimy uwierzyć w diagnozę. Lekarz powtarza.

– Wieloodłamowe złamanie kości śródstopia z przemieszczeniem. Konieczna operacja i ześrubowanie.

Jesteśmy kompletnie załamani. Takiego zakończenia podróży się nie spodziewaliśmy. Rozżaleni i wściekli na cały świat zaczynamy organizować powrót do domu. Ja polecę na operację do Polski, Bartek zostanie, sprzeda hondy i wróci później.

Na wszelki wypadek wysyłamy rentgen do konsultacji w Polsce. Mamy już opracowaną metodę: kładziemy zdjęcie na podświetlonym na biało monitorze komputera i wykonujemy fotografię, którą następnie wysyłamy e-mailem.

Następnego dnia rodzice, którzy poruszyli niebo i ziemię, przysyłają wspaniałe wiadomości: polscy lekarze absolutnie odradzają operację, sugerując „jedynie" gips. W tej sytuacji idziemy do jeszcze jednego miejscowego ortopedy, który potwierdza diagnozę z Polski. Gips na cztery tygodnie. Nie stawać na nodze. Kupić kule.

Na pewien czas zostaniemy w La Paz. Nastrój marny, ale nie ma takiej tragedii jak poprzednio w Indiach. Dwa lata w podróży nauczyły nas pokory i optymizmu nawet w najgorszych chwilach. Wspólnie jakoś damy radę. Bartek śmieje się, że to jest „nasza" złamana noga, a nie moja. Najlepiej ujęła to chyba moja osiemdziesięciopięcioletnia ciocia.

– Co u dzieci? – spytała mamę w rozmowie telefonicznej.

– Niedobrze, Marta znowu złamała nogę...

– O Boże... Bartek to ma pecha.

– Ale to Marta złamała nogę, a nie Bartek!

– No tak, ale to on będzie musiał teraz się nią opiekować...

Są Iza z Kamilem czekający na amortyzator, Szymon, Karol. Na chwilę wpadają Agnesz i Michał. Pojawia się znienacka Willy, dolatuje Podgór, więc mimo gipsu robi się nam raźniej.

Noga ciągle unieruchomiona, ale już nie możemy usiedzieć w miejscu. Dla zabicia czasu zapisałam się nawet na lekcje hiszpańskiego, żeby nieco usystematyzować to, czego się nauczyliśmy po drodze. W końcu jednak zaczyna nas roznosić. Jedziemy nad jezioro Titicaca. Ja autobusem, Bartek na dwa kursy przeprowadza obie hondy. Ładne widoki, na jednym motocyklu objeżdżamy okolicę. Płyniemy też na całonocną imprezę rave na wyspę Isla de la Luna. Opychamy się pstrągami, wylegujemy w hamakach i jakoś niepostrzeżenie mijają nam kolejne gipsowe dni...

Chrzest samochodu nad jeziorem

Tymczasem w spokojnej i cichej Copacabanie, miasteczku położonym nad brzegiem jeziora Titicaca, gdzie założyliśmy nasz polowy szpital, nagle zaczyna roić się od ludzi. Sznury przystrojonych samochodów z całego Peru przybywają na doroczne święcenie pojazdów. Wszyscy to wszyscy... Zwłaszcza po ostatnich wypadkach przyda się kilka kropli święconej wody.

Najpierw jednak nasze motocykle wypada należycie przystroić. Buszujemy wśród kolorowych straganów w poszukiwaniu odpowiednich ozdób. Decydujemy się na dwa papierowe motyle niezwykłej urody. I jeszcze dzwoneczki na kierownicę. I konfetti na zderzaki...

Ubieramy nasze hondy.

Potem szukamy wolnego miejsca w rzędzie samochodów na brzegu Titicaca. Zadanie trudne, bo chętnych do święcenia jest wielu, usiłuję nawet wepchnąć się na litość, „na gips”. Dzięki

pomocy dziarskiej właścicielki naszej ulubionej budy z pstrągami wciskamy się między oczekujących.

Wreszcie pojawia się *padre* z wiadrem święconej wody. Zmęczony, biedak, od rana biega po mieście i święci. Najpierw sumiennie skrapia naszych sąsiadów. I po masce przeleciał, i po kołach, i po silniku... Nie ma żadnej fuszerki, wszystkie części pojazdu muszą dostać błogosławieństwo. Wreszcie kolej na nas.

Żeby zakręty były proste! I drogi szersze! I grawitacja nieco mniejsza!

Teraz część nieoficjalna, ale nieodzowna. Idąc w ślady innych, oblewamy motocykle piwem. Za księdzem podąża akredytowany szaman, żeby kadzidłem i zaklęciem na wszelki wypadek poprawić po *padre*... W Ameryce Południowej tak właśnie wygląda katolicyzm. Niby wszyscy ochrzczeni, ale lokalne wierzenia co krok prześwitują przez katolicką zasłonę. Matka Boska ma sukienkę cholity, Chrystus na obrazie w czasie Ostatniej Wieczerzy zajada świnkę morską, Lucyfer zaś nie wzbudza takiego strachu jak złowieszcza *bruja*, czyli czarownica.

Gdy pojazd poświęcony, sprawę trzeba opić. Tu pije się inaczej niż u nas. Znajomi stoją w kilkuosobowych grupach, między nimi na ziemi stoi skrzynka piwa. Otwierają butelkę. Do tego jedna mała szklaneczka. Pierwszy nalewa do niej trochę piwa, po czym przekazuje butelkę kolejnej osobie. Wypija szklankę na raz, resztkę napoju zaś strząsa na ziemię, dla Pachamamy (Matki Ziemi). Dopiero wtedy przekazuje naczynie temu, który trzyma już butelkę. Teraz kolej na niego. Nalewa piwo do szklanki, podaje butelkę koledze, sam wypija to, co jest w szklance, kropla dla Pachamamy... i tak w kółko, aż do osuszenia butelki.

Impreza trwa prawie cały tydzień. W dzień święcenie, w nocy balanga, a rano w samochód i z powrotem do domu. A że po wczorajszym jeszcze co poniektórym kierowcom szumi w głowie? Co tam, w końcu pojazdy poświęcone, teraz to można jeździć i na gazie, Chrystus i Pachamama będą przecież czuwać...

PERU: BYŁY SOBIE ŚWINKI TRZY

– Chcę spróbować – decyduje tata.

– Oj nie, proszę... – wzdryga się mama.

– Jak nie chcesz, to nie jedz. Najwyżej zamówisz sobie kurczaka. – Tata jest zdeterminowany i żądny folkloru. Idziemy

więc do restauracji.

– Które państwo życzą? – pyta obsługujący chłopak i prowadzi nas do malutkiego drewnianego domku w ogrodzie.

– Wedle uznania, tak, żeby było smacznie...

Bo jak tu zdecydować, skoro wszystkie takie śliczne? Kelner wyławia zatem wybrane przez siebie trzy futrzaste okazy. Jeden szybki ruch rozciągająco-wyżymający i po krzyku.

Znika w kuchni. Gdy my czekamy przy stoliku, obok pieką się trzy świeżutkie... świnki morskie.

Wreszcie po długim czasie na stół wjeżdża danie. Nie ma złudzeń, to one. Z talerza śmieją się do nas ostre ząbki. Niepewnie zabieramy się do jedzenia. Mama odwraca wzrok, nie chce mieć z nami nic wspólnego...

Po tygodniu spędzonym nad jeziorem Titicaca zaczynamy się niespokojnie wiercić. Nie możemy za długo usiedzieć w jednym miejscu. Ta nieustanna chęć przemieszczania się zaczyna być chorobliwa. Chciałoby się jechać dalej, do Peru. Lecz jak to zorganizować? Co zrobić z motocyklami? Może zostawimy je nad jeziorem Titicaca i wrócimy po nie, jak zdejmą mi gips? A może ktoś pomógłby nam przeprowadzić xl-a do Peru?

Wtedy znienacka odzywa się Karol, którego poznaliśmy jeszcze w La Paz. A że też zaczyna rozmyślać nad podróżą motocyklową, na przejażdżkę nie daje się długo namawiać.

Naszym celem jest Arequipa, słynne peruwiańskie „białe miasto”. Ustalamy, że chłopaki pojadą na motocyklach, ja wraz z większością bagaży autobusem i spotkamy się za dwa dni na

miejscu. Jedyny problem to przeprawa przez granicę. Żeby uniknąć nieporozumień z celnikami, dobrze by było, żebym to ja jako właścicielka odprawiła xl-a, a nie Karol. Wobec tego w Copacabanie wsadzamy bagaże do autobusu, którym będę jechać, a sami we trójkę z wyprzedzeniem ruszamy dwoma motocyklami na pobliskie przejście graniczne. Po odprawie przesiądę się do autobusu, który w tym czasie dojedzie do granicy, chłopaki zaś ruszą już dalej sami.

Niestety celnicy boliwijscy mają akurat godzinną przerwę i nie możemy zgłosić wyjazdu motocykli. Szlaban zamknięty, nie da się przejechać. Boimy się, że w tej sytuacji nie zdążymy wszystkiego załatwić przed odjazdem mojego autobusu. Żeby nie tracić czasu, kuśtykam trzysta metrów na stronę peruwiańską: skoro i tak czekamy, przynajmniej spróbuję przebrnąć przez formalności wjazdowe. Jestem gotowa na wyjaśnienia i prośby. Tymczasem ku mojemu zdumieniu celnicy peruwiańscy, którzy wyglądają, jakby właśnie zostali wyrwani z błogiej drzemki, z nieprzytomnymi minami wystawiają mi wszystkie papiery, o jakie proszę. Zupełnie nie zastanawia ich fakt, że baba ze złamaną nogą przeprowadza przez granicę motocykl, który nawet nie stoi przed ich budką, xl bowiem chwilowo czeka po stronie boliwijskiej. Dyktuję im dane motocykla. Wstukują wszystko do komputera, nawet nie unosząc wzroku. To się nazywa współpraca.

Wobec tego wracam na stronę boliwijską, gdzie akurat otworzyli posterunek, zgłaszam wyjazd xl-a i wskakuję w autobus do Arequipy, który w tej sekundzie podjechał. Wszystko zgrało się idealnie.

Klasztor Santa Catalina w Arequipie

Arequipa wybudowana jest z białych wulkanicznych skał, pełna przepięknych kolonialnych kamienic, kościołów i kawiarenek.

Całość przywodzi na myśl raczej południe Europy niż Peru. Zniknęły warkoczaste cholity, gwarne bazary. Największa atrakcja Arequipy to konwent Santa Catalina. Podobno wśród bogatych hiszpańskich rodów, które przybyły do Peru, panował zwyczaj, aby drugiego potomka oddać na służbę Bogu. Pewna majętna wdowa wpadła zatem na pomysł założenia elitarnego klasztoru, gdzie pechowe, skazane przez rodziny na zakon arystokratki znalazłyby azyl. Tak powstał klasztor Santa Catalina. Za jego murami bogate siostrzyczki bawiły się z fantazją, nie stroniąc od wszelakich uciech, aż pewnego dnia zaniepokojony donosami papież Pius IX nasłał na nie groźną i surową przeoryszę. Ta zaś, niewiele myśląc, niezwłocznie rozpędziła towarzystwo: skonfiskowała majątek młodych dam, zwolniła niewolników i służących, zesłała zrozpaczone siostry do prowincjonalnych klasztorów i zaprowadziła surowy, by nie rzec klasztorny, porządek. Otoczony wysokimi murami konwent funkcjonuje do dziś. Wygląda jak miasto w mieście i zajmuje kilka ulic w sercu Arequipy. Jego urzekające, intensywnie czerwono-niebiesko-białe budynki wręcz proszą o fotografię.

Kanion Colca, jeden z najgłębszych na świecie

My jednak zapamiętamy Arequipę z zupełnie innego powodu. Nareszcie po miesiącu oczekiwania nadchodzi dzień zdjęcia gipsu! Czekamy w napięciu na rentgen. W końcu mamy go. Magiczne czarne zdjęcie z werdyktem. Niewiele na nim widać, ale z opisu wynika, że wszystko zrosło się cudownie.

Zaczynam stawiać pierwsze kroki. Na razie jestem w stanie jedynie wolno kuśtykać o kulach. Wprawdzie każde stąpnięcie boli jak diabli, ale to kwestia czasu. Najważniejsze, że dźwignia zmiany biegów w motocyklu jest po lewej stronie, można je zatem zmieniać zdrową nogą. Bo chociaż z chodzeniem mam jeszcze problem, na motocyklu mogę już jechać. Po miesiącu postu nareszcie wskakuję na xl-a. Znowu w trasę... Tym razem do Cuzco, na spotkanie z rodzicami! Na myśl o tym, że za kilka dni się zobaczymy, noga przestaje mi dokuczać.

Z Arequipy do Cuzco wiedzie nieco okrężna, ale dobrze utrzymana asfaltowa droga. Nuda i spaliny. To nie jest dobre przywitanie motocykli. Dlatego decydujemy się na skrót przez góry. Nie będzie asfaltu, ale z naszego wywiadu wynika, że trasa powinna być dobrze utrzymana. Najpierw zahaczamy o słynny kanion Colca, jeden z najgłębszych na świecie. Pierwszy raz został zdobyty dopiero w 1981 roku przez polskich kajakarzy. Piękna okolica, choć sam kanion oglądany z góry nie wywarł na nas aż takiego wrażenia. Możemy się jednak domyślać, że z perspektywy kajaka sprawy mają się zupełnie inaczej.

Za kanionem kończy się asfalt. Droga kiepska, stromo, serpentyny, duże kamienie. Wjazd na Altiplano, delikatnie mówiąc, nie należy do najłatwiejszych. Na całe szczęście większość bagażu wysłaliśmy do Cuzco autobusem, żebym mogła przez pierwsze dni jechać bez obciążenia. Dzięki temu dużo łatwiej jest manewrować motocyklem, chociaż miesiąc bez jazdy zrobił swoje. Na dodatek prowadzę z wręcz obsesyjną ostrożnością w obawie przed kolejną wywrotką. Po trzydziestu kilometrach wjeżdżamy wreszcie na Altiplano. Robi się płasko, poprawia się nawierzchnia. Znowu pędzimy złotoszarym pustkowiem, mijając lamy, wikunie, niebieskie jeziora. Zimno i pięknie.

Przed wizytą rodziców wszystko dopięte na ostatni guzik. Zdążyliśmy na czas do Cuzco, noga zdrowa, hotel zarezerwowany, plan wycieczki ustalony. Nic nie ma prawa zawieść, cała strategia została precyzyjnie dopracowana, żeby jak najpełniej wykorzystać wspólny czas, jak najwięcej zobaczyć.

Czekamy na lotnisku. Nareszcie są! Wymęczeni wielogodzinną podróżą i zmianą czasu, ale kto by o tym myślał w takiej chwili. Nie widzieliśmy się półtora roku!

Jest tylko jeden drobny problem. Z rodzicami nie doleciał niestety ich bagaż. A w nim pasztet własnoręcznie zrobiony przez mamę Bartka, śledziki, żołądkowa... Ech...

– *Mañana* – odpowiada panienka na pytanie, kiedy dotrze do nas zguba.

– *Mañana* – odpowiada następnego dnia. Prosimy. Grozimy.

– *Mañana* – informuje ta sama niewiasta dnia trzeciego. Tym razem stawiamy na głowie pół lotniska. Obiecują, przepraszają, ale mało przekonująco. Mimo braku bagażu postanawiamy realizować nasz plan. Dwa dni na aklimatyzację i zwiedzanie Cuzco wystarczą. Kupujemy podstawowe ubrania dla rodziców i ruszamy na wcześniej zaplanowaną pętlę przez Valle del Secreto. Nie ma co tracić wakacji.

Jeszcze przed przyjazdem tata postawił twardy warunek. Przyjadą, ale jak już będą na miejscu, pożyczę mu xl-a... A że nigdy wcześniej nie jeździł na motocyklu?

– Przecież ty też nie jeździłaś przed tą podróżą – tata nie daje za wygraną.

Cóż robić... W rezultacie panowie pakują się na motocykle, panie zaś podążają ich śladem transportem klasycznym.

Odwiedzamy zapierające dech Machu Picchu, złociste tarasy w Pisaq, stare uliczki Ollantaytambo, olbrzymie kręgi Moray – jednym słowem wszystko, co należy zobaczyć w okolicach Cuzco. Mimo że imperium Inków upadło stosunkowo niedawno, ich kultura nadal jest pełna zagadek. Jedno za to jest pewne: wszystko kręciło się wokół Słońca. W każdym kompleksie najważniejszy punkt stanowi kamienne obserwatorium, Intihuatana (miejsce, gdzie przystaje Słońce), służące do

wyznaczania przesilenia zimowego 24 czerwca. Tego dnia odbywało się bowiem Inti Rami, święto ku czci boga Słońca Inti. Jeśli nie wiadomo, czemu dokładnie służył dany obiekt, można strzelać w ciemno: albo celom sakralnym, albo astronomicznym. Te dwa słowa powtarzają jak mantrę wszystkie przewodniki i ulotki.

Inkaskie ruiny, choć niewątpliwie majestatyczne i ciekawe, same w sobie nie robiłyby aż takiego wrażenia, gdyby nie ich bajeczne położenie. Ukochane miejsca inkaskich budowniczych to przełęcze i strome zbocza, z których roztacza się wspaniała panorama na otaczające góry i doliny. Bez dwóch zdań, Inkowie potrafili zadbać o ładny widok z okna.

Dla nas jednak ważniejsze od inkaskich zabytków jest to, że jesteśmy wreszcie z rodzicami i możemy się sobą nacieszyć po tak długim czasie.

Tata okiełznał hondę, choć nie obyło się bez wywrotek. Zaczynam się domyślać, skąd się u mnie wzięła ta skłonność do upadków... Ale z każdym dniem radzi sobie coraz lepiej. Zwłaszcza szutrowe, boczne drogi bardzo się mu spodobały. Lecz ostatni dzień dał mu mocno w kość. W pół godziny słoneczna pogoda zmieniła się w potworną burzę i zaczął padać grad. Na drodze zrobiło się biało i ślisko, co na górskich stromych serpentynach nie jest najmilsze. Tata jednak się nie poddał, przemoczony i zmarznięty dojechał honorowo do mety.

Machu Picchu

– Wiecie, chyba jednak pozostanę na przyszłość przy samochodzie – przyznał, ociekając wodą, a ja zobaczyłam kątem oka, że mamie kamień spada z serca i po cichutku dziękuje inkaskim bogom za ten grad i ulewę.

Tymczasem doleciał także zaginiony bagaż. Ładunek polskości nietknięty, uff...

Na zakończenie zabieramy rodziców w cieplejsze rejony. Przenosimy się nieopodal Puerto Maldonado, nad jezioro Salavan, prawie cztery tysiące metrów niżej niż Cuzco, żeby zobaczyć, jak wygląda dżungla. Nareszcie chwila lata, za którym od tak dawna tęskniliśmy. Znikają objawy choroby wysokościowej, które w Cuzco męczyły niekiedy rodziców. Chodzimy po dżungli i pływamy po jeziorze, wypatrując zwierząt. Mnóstwo wodnego ptactwa, papugi, małpy, kajmany, wydry olbrzymie, żółwie,

tarantule... Sceny jak z filmu przyrodniczego na wyciągnięcie ręki.

Od góry: tarantula i kajman z jeziora Salavan

Czas zleciał nie wiadomo kiedy. Żegnamy rodziców. Tęsknota trochę zaleczona. Bez tych odwiedzin chyba nie bylibyśmy w stanie podróżować tak długo.

Rodzice odlatują, a my znowu w drogę. Część kulturalną Peru mamy za sobą. Największe atrakcje obejrzane. Możemy więc bez poczucia winy zagubić się w rzadziej odwiedzanych zakątkach kraju. Trasę na północ przemierzymy górskimi, szutrowymi drogami, z dala od Panamericany. Potem zjedziemy do selwy, tropikalnej amazońskiej dżungli.

Przemieszczamy się w stronę Ayacucho. Obłędne widoki, puste, wąskie drogi prowadzące nad urwiskami, co pewien czas mijamy małe wioski. Gdy przejeżdżamy, chmary dzieciaków pędzą za nami, krzycząc: *Gringo, gringo*! Mieszkańcy są dla nas bardzo serdeczni. To się jednak prawdopodobnie wkrótce skończy. Za kilka lat powstanie tu asfaltowa droga i nieodwracalnie zmieni krajobraz i ludzi.

Sielanka w jednej chwili potrafi zmienić się w piekło. Gdy popada, szutrowa nawierzchnia rozmięka w pół godziny. Robi się błotniście i ślisko. W takich warunkach jedzie się ciężko. Motocykle tańczą na mokrych kamieniach, w każdej chwili grozi wywrotka. Przed oczami staje nam wspomnienie pechowej drogi z Mapiri do La Paz w Boliwii... Temperatura raptownie spada – wszak to Andy, wysokość ponad trzy tysiące metrów n.p.m. Nie ma hotelu, ciepłego łóżka, pożywnej zupy, tylko długie, trudne kilometry w zapadających ciemnościach. Rozważamy, czy nie rozbić namiotu i nie przeczekać do rana, ale skoro zostało już

tylko dwadzieścia kilometrów, lepiej przemęczyć się jeszcze trochę i dojechać do miasteczka. Dostałam lekkiej paranoi i na ostatnim odcinku jadę wolniej, niż gdybym szła na piechotę. Zmoknięci, przemarznięci i wymęczeni do celu docieramy późno w nocy.

To jest właśnie cena, jaką niekiedy trzeba zapłacić za niezależne podróżowanie. O takich momentach, kiedy nic specjalnie ciekawego się nie dzieje, tylko człowiek dostaje w kość, rzadko się wspomina, a przecież są tak częste. Ludzie myślą: jazda na motocyklach, piękne krajobrazy, bezkresne przestrzenie, wolność... Tak, ale nie zawsze. O tej gorszej stronie podróży myśli się rzadziej. Rzadko też o niej opowiadamy, bo kto by chciał słuchać? Wolimy zapomnieć o trudnych, nieprzyjemnych chwilach. Wystarczy wtedy jedno niewłaściwe słowo i awantura gotowa. To ty chciałeś tędy jechać! Nie, to twój pomysł! Kurtka mi przemokła! Mówiłem ci tyle razy, żebyś ją wreszcie wymieniła! Miałeś mi naprawić światło! Dlaczego zawsze musisz upchnąć zapasowe dętki na dno plecaka?! I tak dalej... Nie ma nikogo pod ręką, więc wyżywamy się wzajemnie na sobie.

Tęskniliśmy za ciepłem. Dotychczas tak się układało, że od wielu miesięcy ciągle przemieszczaliśmy się po wysokich, zimnych Andach. Do równika już tak blisko, a my wciąż marzniemy. Gdy zamierzaliśmy zjechać w doliny w Boliwii, zjawili się Iza, Kamil i Kuba, którzy namówili nas na wspinaczkę. Zamiast do selwy weszliśmy na sześciotysięcznik. Potem złamana noga, wizyta rodziców, zabytki Cuzco... Po prostu nie było okazji. Teraz jednak nadszedł czas na ocieplenie klimatu.

Nareszcie... To takie proste, a zajęło nam kilka miesięcy. Wystarczyło przejechać z zimnej przełęczy nad Taramą sto kilometrów na wschód, za to prawie cztery tysiące metrów w dół, aby znaleźć się w parnej, wilgotnej, gorącej dolinie... To niesamowite, jak raptownie zmienia się klimat. Mroźne, często ośnieżone Andy ciągną się przez całą długość Ameryki Południowej. Poruszając się górskimi drogami, nigdy nie zaznasz prawdziwego ciepła, nawet na samym równiku. Jednak gdy zjedzie się w doliny, już na wysokości dwóch tysięcy metrów n.p.m. zaczyna się las tropikalny. Najpierw jest to tak zwany las mglisty: pagórkowaty, gęsty, nierzadko pokryty chmurami. W koronach drzew uwijają się maleńkie kolibry i tysiące innych gatunków ptaków. Szumią wodospady, dające cudowne wytchnienie w ciągu gorącego dnia. Nad wodą unoszą się barwne motyle. Na tych wysokościach uprawia się wspaniałe, soczyste owoce. Targi w miasteczkach obfitują w tanie ananasy, banany, papaje, marakuje, mandarynki, owoce pepino (jest to przepyszny słodki melon wielkości jabłka). Pewnego razu zobaczyliśmy wózek wypełniony dziwnymi, gigantycznymi strączkami fasoli. W łupinie siedzą brązowe pestki otoczone białym, włochatym, słodkawym miąższem. To jeden z dziwniejszych owoców, jakie mieliśmy okazję spróbować. Zupełnie oddzielnym tematem są banany. Te, które idą na eksport do Europy i Stanów, muszą być nieskazitelne i wymiarowe. Dlatego na drzewach owoce przekłada się cienką bibułką, a dodatkowo całe kiście opakowuje się w specjalne torby. Wszystko po to, żeby nie zaatakowały ich szkodniki, dzięki czemu trafią na stół idealnie żółte. Potem zrywa się jeszcze niedojrzałe, zielone kiście i eksportuje. Jaki jest tego wynik, każdy wie. Na

południowoamerykańskich bazarach można kupić wyłącznie brzydkie, małe i pstrokate banany, które nie muszą spełniać surowych norm. Za to jaki mają smak! Cieniutka skórka, a pod nią dojrzała, jędrna, rozpływająca się w ustach słodycz.

Przedziwny owoc przypominający gigantyczną fasolę

Nasze podniebienia bezapelacyjnie podbiły natomiast nie tyle owoce, ile peruwiańskie *ceviche*. Surową rybę filetuje się, usuwa pozostałe mniejsze ości, kroi na małe kawałki, następnie zalewa mieszaniną soku z wyciśniętych limonek, bardzo drobno posiekanej ostrej papryczki, kolendry, odrobiny imbiru. Całość można wzbogacić odrobiną czosnku i szczyptą soli. Pokrojone mięso układa się na kawałkach świeżej sałaty i zalewa wcześniej przygotowaną marynatą – białko ryby lekko się ścina pod wpływem kwasu z limonek. Całość przystraja się pokrojoną w cieniutkie półtalarki cebulą i ziarnami prażonej kukurydzy. Lekkie, smaczne, idealne na upały. *Ceviche* serwują zarówno nad

morzem, jak i nad rzekami (z suma) czy w górach (z pstrąga). Po takim talerzu człowiek długo pozostaje syty, choć nie czuje się ciężki i przejedzony.

Przed nami czterysta kilometrów drogi przez dżunglę

Na noc zatrzymujemy się w miasteczku La Merced. Zasiadamy na ryneczku w koszulkach z krótkim rękawkiem, w klapkach. Wkoło krążą chmary kolorowych tuk-tuków. Taki transport rzadko występuje w górach, jednak na nizinach stał się niezwykle popularny. Tuk-tuki to nie tylko taksówki, jak nam się początkowo wydawało. Ludzie kupują je zamiast samochodów. Doskonałe, przewiewne, niedrogie auto rodzinne.

Przed nami czterysta kilometrów drogą przez dżunglę. Jedzie się dobrze. Gruntowa nawierzchnia przygotowana przed porą deszczową. Tropikalne deszcze jeszcze nie nadeszły. Gdy się zaczną, będą stopniowo niszczyć przejazd. Odcinek, który teraz pokonujemy w dwie godziny, niebawem zajmie co najmniej pół

dnia. Jeśli deszcze się przeciągną, mogą uniemożliwić transport na tej trasie na wiele długich tygodni.

Z każdym kilometrem ruch zamiera. Po pewnym czasie kończą się wzniesienia. W dole rozpościera się płaskie, zarośnięte nieprzebytym lasem tropikalnym, poprzetykane pajęczyną brunatnych rzek największe rozlewisko świata: Amazonia. Wilgotność taka, że nie da się wysuszyć ręcznika. Trudno tu cokolwiek uprawiać: banany, papaja, juka – niewiele więcej jest w stanie wyrosnąć i nie zgnić. Podczas jazdy powietrze nie chłodzi, tylko parzy jak gorąca suszarka. W południe najlepiej się schować i nie wykonywać zbędnych ruchów. Panuje potworny skwar. Mamy ogromny dylemat: czy lepiej jechać w ochronnych motocyklowych ubraniach, w których gotujemy się jak jajka na twardo, czy zaryzykować T-shirt. Jedzie się wtedy znacznie przyjemniej, lecz w razie upadku może być niewesoło. W ramach kompromisu wyjmuję z motocyklowej kurtki ochraniacze na łokcie i wkładam je pod bawełnianą bluzkę. Nie wiem, czy to cokolwiek pomoże, ale czuję się lepiej.

– Ale jakby co, umiesz pływać?

W małym Puerto Bermúdez, jednym z niewielu miast na tej trasie, robimy postój. Jedna ulica, skromne drewniane domostwa, skupisko łódek przy brzegu Río Pichis. W centrum osady, po zmroku rozstawiane są stragany z jedzeniem: prosta zupa, ryż z kawałkiem kurczaka, makaron z sosem pomidorowym. Menu niezbyt wyszukane, za to doskonała okazja, żeby przyjrzeć się tutejszej społeczności. Ludzie żyją jakby w letargu. Niewiele mają i niewiele potrzebują. Taki klimat nie sprzyja postępowi. Własny tuk-tuk i sklepik to szczyt tutejszych ambicji. Wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Zaczyna nas kusić, żeby na pewien czas zostawić motocykle i zanurzyć się w selwę głębiej, zobaczyć, jak wygląda życie bez generatorów, radia, telewizora i coca-coli. Amazonia, jeden z najmniej dostępnych rejonów świata, działa na wyobraźnię. Tam można dostać się jedynie drogą wodną. Sieć dróg zastępują rzeki. Jednak jeszcze nie teraz.

Po całym dniu jazdy zakurzoną, szutrową drogą przez upalną, wilgotną selwę marzy nam się tylko hamak i coś do zjedzenia. Już myśleliśmy, że jesteśmy na miejscu, a tu niespodzianka. Puerto Inca, mała osada, w której chcemy spędzić noc, leży na drugim brzegu wartkiej, brunatnej rzeki. Trzeba przeprawić się łódką. Na brzegu stoją wąskie, chybotliwe, drewniane pirogi.

– Że niby tym? – Trudno nam uwierzyć, że ta łupina ma przewieźć nas i motocykle. Przewoźnik potakuje. Wygląda na takiego, który wie, co robi, więc wstawiamy motocykle do łódek. Każdy do innej, obydwa nie zmieściłyby się w jednej.

– To teraz usiądźcie na motocyklach – dyryguje mężczyzna.

– Że niby jak? – przewoźnik chyba stroi sobie z nas żarty. Stojący na pirodze motocykl przechyla się to w lewo, to w prawo. Jedno mocniejsze bujnięcie i wylądujemy w rzece.

– Musicie na nich siedzieć i balansować, gdy będziemy się przeprawiać, żeby utrzymać równowagę. Inaczej motocykl wpadnie do wody.

Niepewnie siadamy na naszych maszynach. Zapieramy się stopami o burty i odbijamy od brzegu.

– Ale jakby co, to umiecie pływać, *verdad*? – rzuca przez ramię nasz przewoźnik, gdy prąd zaczyna unosić łódkę.

Przeprawa odbyła się jednak „na sucho”. To kolejna zaleta niewielkich motocykli: można je wszędzie zapakować, wsadzić na łódkę bez większego wysiłku i logistyki.

Ostatnie kilometry drogi przez dżunglę. Niebawem odbijemy na zachód, do Tingo María, by znowu wjechać w górzysty teren

i ruszyć ku północy, w stronę Ekwadoru.

Nagle zatrzymuje nas furgonetka policyjna. Macho, który wygląda bardziej jak lokalny zbir niż stróż prawa i dla podkreślenia autorytetu co chwila wymachuje kałaszem, zaczyna nas wypytywać: kto my, dokąd i po co jedziemy. Wyjaśniamy uprzejmie.

– Do Tingo María? Tam nie dojedziecie, od tygodnia droga jest zablokowana przez producentów koki. Nikogo nie przepuszczają, trudno powiedzieć, ile to jeszcze potrwa. Musicie albo zawrócić do La Merced tą samą drogą, którą przyjechaliście, albo skręcić na wschód do Pucalpy.

Uroczo. Zawracać nie chcemy, więc zostaje nam nieplanowana wizyta w Pucalpie. Problem tylko w tym, że to i tak niczego nie rozwiązuje. Pucalpa to wysunięty daleko w dżunglę port rzeczny, z którego można się wydostać na trzy sposoby: albo przez zablokowaną drogę do Tingo María, albo zawracając do La Merced, albo płynąc barką do Iquitos. Co robić, postanawiamy popłynąć do Iquitos. Jedziemy do portu dowiedzieć się, czy coś dziś odpływa. Stoi jedna barka, podobno powinna jutro wyruszyć. Przez trzy dni codziennie rano stawiamy się na brzegu gotowi do wypłynięcia, ale rejs ciągle przekładają, bo barka czeka na towar z ciężarówek stojących na blokadzie. Skoro tak, transport rzeką traci dla nas sens. Tymczasem ludzie w mieście zaczynają gadać, że jutro odblokują drogę do Tingo María. W tej sytuacji chyba odpuścimy sobie statek i pojedziemy tak, jak początkowo planowaliśmy.

Wyjeżdżamy z Pucalpy. Nawet autobusy wyruszyły do Tingo María. To znak, że droga rzeczywiście powinna już być

przejezdna. Leje deszcz, widoczność koszmarna. Na szczęście jest ciepło. Po godzinie docieramy do małej miejscowości San Alejandro. Deszcz ustał. Za to na drodze ustawił się sznur czekających ciężarówek.

– Na co one czekają? – pytamy.

– Blokada nadal trwa. Negocjacje z protestującymi są w toku, ale rząd jak dotąd zaproponował producentom koki jedynie zmianę upraw na inne rośliny. W ten sposób to szybko się nie dogadają – ktoś podaje nam najnowsze informacje.

Po chwili zaczynają nas mijać zawracające autobusy. Jeden ma rozbitą szybę. Zatem znowu utknęliśmy.

– Może was, jako turystów, przepuszczą... – spekuluje jeden z kierowców, będący w takiej samej sytuacji jak my.

– Dajcie spokój, to niebezpieczne, lepiej czekajcie. W najlepszym przypadku poprzebijają wam koła, a kto wie, co jeszcze gorszego...

Co człowiek, to inna rada. Postanawiamy więc sami sprawdzić, jak wygląda sytuacja. Jeśli protestujący powiedzą, że pod żadnym pozorem nie możemy przejechać, to nie będziemy się upierać i zawrócimy. Ale może się jakoś uda...

Najpierw manewrujemy między stojącymi w poprzek drogi ciężarówkami, które od wielu dni czekają na przejazd. W końcu docieramy do pierwszej blokady. Nie sprawia zbyt groźnego wrażenia: przejazd tarasuje zwalona kłoda, obok której koczuje kilku miejscowych rozrabiaków.

– To jak będzie, możemy przejechać? Jesteśmy tylko turystami...

– Hmm, w sumie możecie, ale na następnej blokadzie już na pewno was nie puszczą, tam jest więcej ludzi, mogą przedziurawić

koła...

Jedziemy do drugiej blokady. Tu rzeczywiście sytuacja wygląda poważniej. Protestujący to prości rolnicy, tyle że adrenalina aż z nich bucha. Teraz oni rządzą, nikt im nie podskoczy. Trzymają w dłoniach swój oręż: szpikulce do dziurawienia opon i metalowe pręty. Część mężczyzn wygląda naprawdę nieobliczalnie: wioskowe zakapiory, niektórzy pijani albo naćpani.

Dolina Belen, okolice Chachapoyas

– Chcemy rozmawiać z przywódcą blokady – oznajmiamy zdecydowanie.

– My tu wszyscy jesteśmy przywódcami. Równi sobie – odpowiada buńczucznie jeden z ważniaków.

Brak osoby decyzyjnej, z którą można wiążąco coś ustalić, nie wróży dobrze. Nic to, uśmiechamy się czarująco i dalej swoje: że my turyści, że rozumiemy sytuację, ale plantacje koki to wewnętrzny problem Peru i nic nam do tego, że jedziemy tylko

małymi motocyklami, a nie wielkim samochodem... Bredzimy nawet coś o wizerunku Peru w Europie... Dyskutują.

– Dobrze, możecie przejechać, ale bez włączania silnika, tylko pchając motocykle.

– Okej, niech będzie. Ale może jednak señoricie pozwolicie jechać, bo ona słabowita, nie da rady pchać swojej maszyny?

Chłopaki kombinują.

– Nie, silnik musi być wyłączony. Ale w takim razie my señoricie pomożemy!

Paranoja pełną gębą: zabronili mi włączyć silnika, ale zamiast tego ja siedzę na xl-u, a oni go pchają...

Nabieramy wprawy. Kolejne blokady mijamy gładko. Czasami protestujący mają radio i informują następną blokadę, że przyjedziemy, i proszą, żeby nie robili problemów. Niekiedy jednak straszą nas szpikulcami do przebijania kół. Męcząca to przeprawa: jeżeli akurat nie użeramy się z chłopami, to musimy wymijać drzewa, którymi zawalili przejazd. Pełno rozbitego szkła. Jeden odłamek wbija się w Bartkowe koło. Paradoks: uniknęliśmy szpikulców, a mimo to musimy zmieniać dętkę. Na szczęście zdarzyło się to przy jakichś przydrożnych chałupach, a w jednej z nich mieścił się warsztat.

– Nic nie zrobimy, nie mamy łatek, wszystkie zeszły przez ten protest... – żali się właściciel.

– To ubijmy interes: my panu zostawimy kilka łatek, a pan nam pomoże przy wymianie, użyczy kompresora.

Tuż przed zachodem dojeżdżamy do ostatniej blokady. Zbiegła się cała wieś. Oczy im błyszczą, bo przecież blokada to świetny pretekst do zakrapianej fiesty. Tłum obstępuje nasze motocykle.

Niby przyjaźni, dzięki nam mają rozrywkę, ale nie czujemy się komfortowo. Zaczynają łapać nas za ręce, interesować się bagażami... Cisną się wszyscy naraz, motocykle kilka razy kołyszą się pod naporem tłumu. Rezolutna pijana babcia wyjmuje Bartkowi z rąk kask, wkłada go sobie na głowę, tłum rechocze...

Tym razem nie mamy ochoty się bratać. Jesteśmy potwornie zmęczeni po całym dniu negocjacji i przeprawy przez blokady.

– Miło was poznać, ale musimy jechać. Padamy z nóg, prosimy, przepuśćcie nas – Bartek mówi do nich spokojnie, lecz stanowczo, tak, żeby ich nie zdenerwować, ale również dać do zrozumienia, że koniec zabawy.

Poskutkowało. Nareszcie po pięćdziesięciu kilometrach docieramy do miasteczka Aquaytia. Przed nami sznur ciężarówek czekających na przejazd po przeciwnej stronie blokady. Udało się! Kierowcy witają nas jak bohaterów, wiwatują, gratulują. Pytają o sytuację, jesteśmy teraz najcenniejszym źródłem informacji o konflikcie.

Ekwador coraz bliżej. W drodze na granicę trafia się nam okazja, żeby spróbować jednej z dziwniejszych egzotycznych potraw. Motocyklista, którego poznaliśmy kiedyś po drodze, dał nam namiary na swoją znajomą.

– Jeśli będziecie w północnym Peru, koniecznie ją odwiedźcie i powołajcie się na mnie. Ona przyrządza najlepsze mrówki na świecie!

W Moyobambie odszukujemy Sophię.

– O... niestety dziś nie mam mrówek... – zmartwiła się. – Musicie jechać dalej już jutro? Dobrze, to wpadnijcie rano, przygotuję wam pudełko na drogę.

Gdy zjawiamy się następnego dnia, czeka już na nas pakunek świeżutkich mrówek. Chrupią. Chyba smażone. Mają łebek, odwłok, nóżki i wszystko jak trzeba. Taka przekąska do piwa. Bartek zachwycony, dla mnie mają zbyt dziwny i intensywny smak.

Ostatnie chwile w Peru spędzamy w rejonie zamieszkanym niegdyś przez Indian Chachapoyas, czyli „ludzi chmur". Niemal w każdej wsi przedinkaskie ruiny, skalne grobowce. Najważniejszy kompleks to Kuelap, często porównywany z Machu Picchu, chociaż naszym zdaniem nie mają ze sobą wiele wspólnego. Kuelap jest starszy, znacznie mniejszy, gorzej zachowany i skromniej położony. Za to mało tu turystów, więcej spokoju i klimatu zagubionej cywilizacji. Cytadelę otacza ogromny, kilkunastometrowy mur. Domy ustawiano wokół okręgu, często ozdobione były płaskorzeźbami. Objazd wszystkich zakątków rejonu Chachapoyas zajmuje nam kilka dni. Niesamowite widoki, spektakl cieni w wykonaniu chmur – nie na darmo tutejsi mieszkańcy noszą swe miano.

Smażone mrówki z Moyobamby

Nam jednak spieszno do Ekwadoru. Od kilku dni wymieniamy e-maile z Izą i Kamilem, którzy już tam są. Za parę dni znowu się spotkamy.

EKWADOR: W AMAZOŃSKIEJ DŻUNGLI

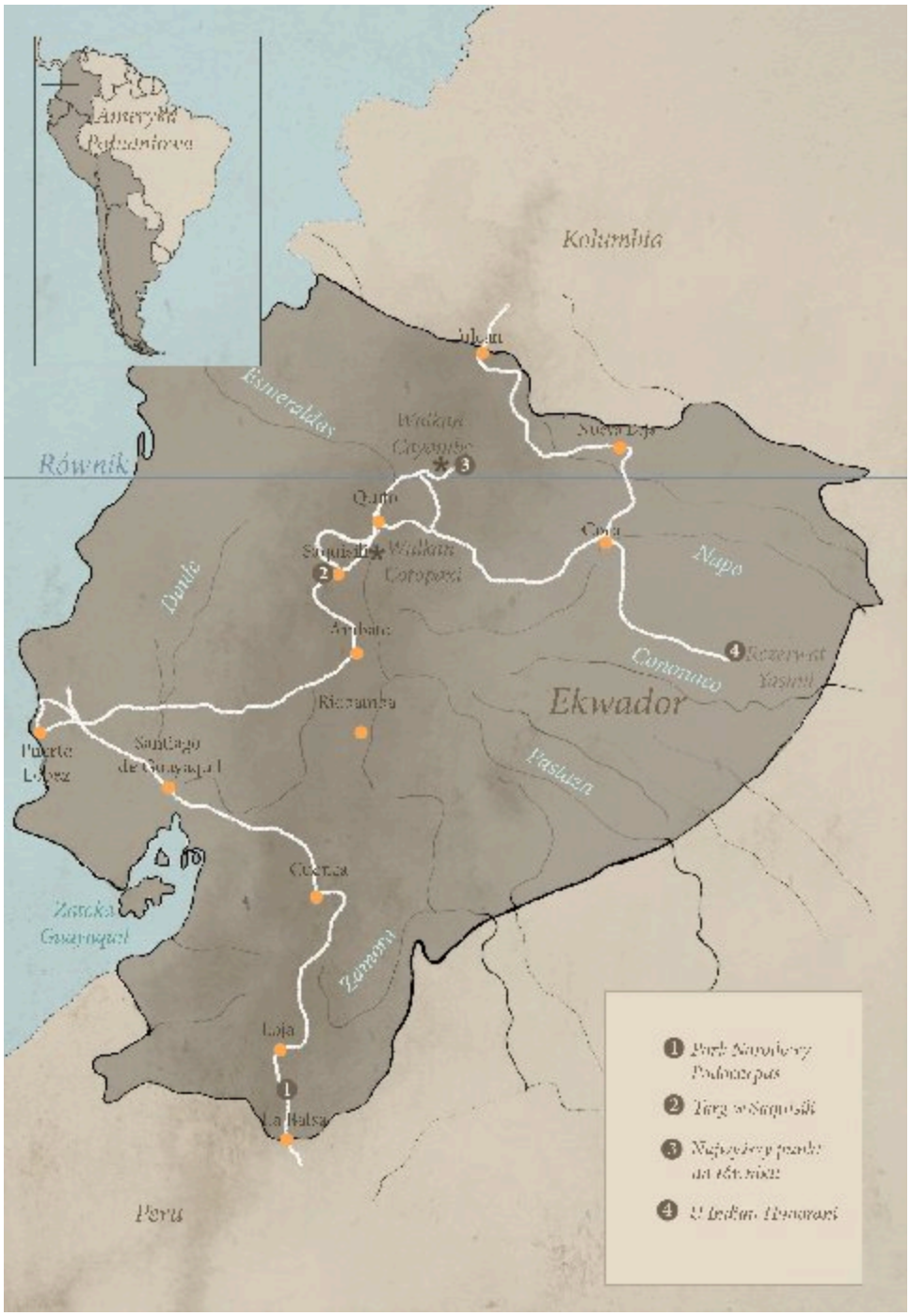

Siedząc w szałasie nad jednym z dorzeczy Amazonki, wsłuchujemy się w dyskusję Indian. Porozumiewają się we własnym narzeczu i nic nie rozumiemy, lecz co pewien czas wychwytujemy hiszpańskie słowa: liczebniki, nazwy miesięcy

i dni. Te słowa kiedyś w dżungli nie istniały, nie miały swoich odpowiedników w lokalnym języku. Czasem w trakcie rozmowy Indianie wydają dźwięk, który brzmi jak „brrum brrrum".

– Co to znaczy „brrrum brrrum"? – pytamy zaciekawieni mężczyznę, który trochę zna hiszpański.

– Silnik, motor – odpowiada. Kiwamy ze zrozumieniem głowami, ale chichoczemy w duchu. Motor to „brrrum brrrum"! Przednie! W zasadzie, co w tym śmiesznego, przecież my też często mówimy: „Jutro do ciebie drrryndnę"...

Ekwador – już sama nazwa brzmi kusząco. Środek świata. Dżungla, wulkany, Galapagos – kogo by nie zaczarowały takie słowa.

Wyjeżdżamy z Peru przez małe górskie przejście graniczne w La Balsa. Przy odprawie ekwadorskiej tradycyjnie trochę emocji, czy się nie przyczepią: nie mamy ubezpieczeń, a moje argentyńskie prawo jazdy, wydane tylko na trzy miesiące, też już dawno straciło ważność. Wszystko jednak przebiega płynnie. Każą nam tylko wrócić na stronę peruwiańską, żeby zrobić ksero paszportu i dowodu rejestracyjnego motocykli.

Mieszkaniec parku Podocarpus

– A, i jeszcze kopia praw jazdy! – krzyczy za nami celnik. Jak my tego nienawidzimy! Już witaliśmy się z gąską, a oni w ostatniej chwili wszystko psują. Robimy zatem niewyraźne odbitki, zupełnie niechcący rozmazane w miejscu, gdzie widnieje data ważności, i wracamy z nadzieją, że się nie będą zbyt intensywnie wczytywać. Udało się, niczego nie zauważyli.

Pierwsze ekwadorskie dni spędzamy w pięknym, rzadko odwiedzanym, rajskim Parku Narodowym Podocarpus. Tropikalny las, wodospady zamiast prysznica, a na kolację własnoręcznie złapane ryby upieczone nad ogniskiem. Gdy tak błogo spędzamy czas, nie mamy świadomości, że w tym samym momencie w stolicy Ekwadoru, Quito, trwają poważne zamieszki wywołane przez bunt policji. Dopiero potem dowiedzieliśmy się, że wjechaliśmy do tego kraju w ostatniej chwili – kilka godzin później Peru zamknęło granicę. Wszyscy mówią tylko o jednym,

przed każdym telewizorem gromadzą się ludzie i słuchają wieści z niespokojnej stolicy. Na ulicach sporo wojska, ale w zasadzie nic groźnego się nie dzieje. Widać przewrót nie dotarł z taką mocą na prowincję. Ekwadorczycy masowo opowiedzieli się za prezydentem. Co najważniejsze, pozostało przy nim wojsko. W tych warunkach pucz skazany był na klęskę.

Tak właśnie w Ekwadorze powstają kapelusze panamskie

Zmierzając w stronę miasta Cuenca, zatrzymujemy się w małym Sig Sigu. Schludne uliczki, zadbane domy. Dojeżdżamy tu po południu. Po miasteczku chodzą kobiety w ludowych strojach, z wiązkami słomy w ręku. W pewnym momencie, prawie równocześnie, zaczynają wyplatanie. Niemal w każdych drzwiach czy po prostu na krawężniku siedzą kobiety i przebierają zwinnie palcami, często w grupach, żeby sobie poplotkować przy robocie. Tak właśnie powstają kapelusze... panamskie. Robi się je nie w fabrykach, ale ręcznie. Nazwa wzięła się stąd, że nosili je

robotnicy przy budowie Kanału Panamskiego. Do wyrobu kapeluszy używa się specjalnej rośliny, która rośnie tylko w Ekwadorze. Po pracochłonnej obróbce można rozpocząć wyplatanie. Wyplatać należy rano lub wieczorem, gdy słomki są najbardziej elastyczne. Idealny kapelusz nie powinien mieć żadnych prześwitów. Gdzieś wyczytaliśmy, że dobry egzemplarz to taki, który po napełnieniu go wodą nie przecieka. W Ekwadorze kosztują około pięćdziesięciu–stu dolarów, ale najlepsze sztuki mogą osiągnąć cenę około pięciuset, a w innych krajach nawet kilkakrotnie wyższą.

Cuenca okazuje się ładnym miastem. Kolonialne kamienice, kościoły, ryneczki. Bogato, europejsko. Czasem przemknie ulicą tradycyjnie ubrana cholita, ale to już nie to, co w La Paz.

Ptaki rzucają się na skrzynie pełne ryb

Skoro już mowa o La Paz... Odbieramy e-maila od Izy i Kamila. Są na ekwadorskim wybrzeżu, w Puerto Lopez. Nie koniec na

tym. Po drodze spotkali Gabę i Dominikę, dwie Polki, które także poznaliśmy w La Paz. Dziewczyny kupiły kaski typu orzeszek, zabrały najpotrzebniejsze rzeczy, wskoczyły na tylne siedzenia motocykli i w ten sposób wszyscy razem czekają na wybrzeżu.

Nie było więc czasu na zbyt dokładne oglądanie Cuency. Gaz do dechy i w jeden dzień trzaskamy ponad czterysta kilometrów, co dla naszych niedużych motocykli jest sporym dystansem, zwłaszcza że po drodze trzeba było pokonać Andy, a dodatkowo na wielu odcinkach mgła niemal całkowicie przesłaniała widoczność.

Radość, prawie dwa miesiące po wyjeździe z La Paz znowu się spotykamy! Świętujemy hucznie, robimy furorę w miejscowej knajpie z karaoke, wyjąc z miejscowymi wniebogłosy przeboje Manu Chao. A że z plażowania raczej nici, bo niebo pochmurne, korzystamy z morza w inny sposób. Na przedmieściu Puerto Lopez codziennie po południu przypływają na plażę rybacy i wynoszą z łodzi na brzeg ciężkie skrzynie ryb. Nad nimi krążą chmary żarłocznych ptaszysk, pelikanów, mew i jeszcze innych, których nazw nie poznaliśmy, ale możemy powiedzieć o nich jedno: usposobienie mają złodziejskie. Gdy tragarze napełniają skrzynie rybami, stawiają je sobie na karku i niosą ładunek na brzeg, ptaki rzucają się na skrzynie, próbując wyrwać z nich choć jeden darmowy kąsek. Nad rybami kotłuje się czarna, rozwrzeszczana ptasia chmura. Tragarze trzymają w ręce kij, którym usiłują odgonić skrzydlate darmozjady.

Rybacy z Puerto Lopez złowili gigantyczną płaszczkę

Przy jednej z łodzi widzimy małe zamieszanie. Z czymś się mocują, wszyscy zgromadzili się w jednym miejscu. Złowili gigantyczną płaszczkę, tak wielką, że dwóch mężczyzn nie jest w stanie jej udźwignąć. Gdy ładunek znajdzie się na brzegu, podjeżdżają samochody kupców. My też przystępujemy do targów. Pierwszego dnia wracamy z naręczem świeżych ryb. Następnego kupujemy trzy kilogramy gigantycznych krewetek wielkości dłoni i ucztujemy za wszystkie czasy.

I znowu nie sposób się rozstać... Wobec tego wszyscy na motocykle i w trasę. Kierunek – Quito, ale niespiesznie, naokoło, po zapomnianych, szutrowych drogach.

Najpierw przejeżdżamy przez nadbrzeżny Park Narodowy Machalilla. Zakurzone drogi, kilka strumieni do pokonania, olbrzymie, bezlistne, majestatyczne drzewa, przywodzące na myśl afrykańskie baobaby. Potem przeprawa przez góry. Śpimy

w namiotach, tam gdzie akurat zastanie nas zmierzch. Kąpiele w wodospadach, ogniska, pieczone kiełbaski, ziemniaki, mleko prosto od krowy, które rano przynoszą nam miejscowi wieśniacy. Coraz mocniej utwierdzamy się w przekonaniu, że stanowimy dobry zespół, o podobnej filozofii podróżowania.

Górale z okolic Saquisili

Dominikę i Gabrysię na tylnych siedzeniach wytrzęsło na wertepach za wszystkie czasy. O ile na africa twin Kamila

dziewczynom jechało się komfortowo, o tyle bross Izy, podobny do naszych motocykli, nie jest raczej maszyną dla dwóch osób i po takiej podróży pasażera solidnie bolą kości. Iza dokonuje cudów, przemierzając na nim w dwie osoby wszystkie najtrudniejsze górskie odcinki i głębokie strumienie.

Naszym celem był czwartkowy targ w Saquisili, na który co tydzień zjeżdżają się ludy Keczua z okolicznych gór. Trudno tu zresztą w ogóle mówić o targu: całe miasteczko zamieniło się po prostu w wielobarwny, hałaśliwy bazar. Wszyscy handlują żywymi zwierzętami, rybami, a także warzywami, owocami, serami i milionem innych produktów. Co dwa kroki stragany z prostym, lecz smacznym jedzeniem: serowe placki, empanady (odmiana pierożka), smażone ryby, zupy. Sporym powodzeniem cieszą się też grillowane kurze łapki. Wędrujemy wśród stoisk, przypatrując się tradycyjnie odzianym Indianom. Najpopularniejszy strój kobiet to myśliwski kapelusz ozdobiony pawim piórem, wokół szyi pozłacane korale, warkocz owinięty na całej długości kolorową wstążką, spódnica i białe podkolanówki. Mężczyźni także w kapeluszach, do tego zarzucają na ramiona ciepłe poncho. Oprócz nas przewija się w tłumie kilku innych turystów. Trzeba przyznać, że odziany w goreteksy i uzbrojony w imponujący sprzęt fotograficzny *gringo*, który przemyka pomiędzy straganami w poszukiwaniu najlepszego ujęcia świnki morskiej albo świńskiego łba, wygląda nieco kuriozalnie. Miejscowi są do takich „fotołowów" przyzwyczajeni, a niektóre kobiety zaczęły na nich zarabiać: wkładają wyjściową kreację i zaczepiają *gringo*, namawiając, żeby zrobili im zdjęcie za pieniądze. Bazar zachował jednak autentyczność. Fakt, turyści

przyjeżdżają go oglądać, ale to nie jest bazar dla turystów. Nie ma kiczowatych pamiątek, tu naprawdę się handluje. To miejsce ciągle tętni swoim własnym życiem.

Wulkan Cotopaxi

To jeden z większych paradoksów naszej podróży. Z jednej strony za każdym razem strasznie nas drażni i smuci, gdy widzimy, jak przemysł turystyczny z dnia na dzień zabija dziewicze, autentyczne zakątki. Z niesmakiem spoglądamy na kobiety pozujące przed obiektywami *gringo*, na stragany z tandetnymi pamiątkami czy restauracje serwujące dania przystosowane do „białego" podniebienia. Z drugiej strony nie da się ukryć, że przecież my również jesteśmy turystami. Co prawda staramy się zachowywać tak, aby nie zaburzać zastanego porządku i aby nasza wizyta nie stała się inspiracją do rozkręcenia turystycznego biznesu. Ale czy tak jest faktycznie?

Czy przypadkiem niechcący nie piłujemy sami gałęzi, na której siedzimy?

Gdy budzimy się następnego dnia, po targu w Saquilisi nie pozostał żaden ślad. Puste ulice, śnięte sklepiki, codzienny prowincjonalny marazm. Intrygująca, nagła metamorfoza, którą miasto przechodzi raz na tydzień.

Dominika i Gaba muszą się od nas odłączyć, żeby zdążyć na spotkanie z koleżanką. My z Izą i Kamilem szwendamy się na motocyklach po pięknej okolicy: targach, zapomnianych, ubogich wioskach. Zaglądamy również nad lagunę Quilotoa, czyli głębokie, otulone chmurami jezioro w kraterze wulkanu.

– Słuchajcie, odezwała się do mnie koleżanka z dawnych lat, która teraz prowadzi hostel pod wulkanem Cotopaxi, zaprasza nas do siebie... – mówi pewnego dnia Iza. Nie trzeba nam było powtarzać dwa razy.

Karolina wita nas na progu chlebem, solą i gorzałką, aż wzruszenie chwyta nas za gardło. W hostelu luksusy jak rzadko: europejskie jedzenie, jacuzzi, ale przede wszystkim widok na całą panoramę wulkanów, ze słynnym Cotopaxi na czele.

Za namową Karoliny zostajemy na doroczne rodeo. Na środku maleńkiej wioski Rumibamba jest spory plac, wkoło rozstawione trybuny. Wszędzie mężczyźni na koniach, odziani w odświętne poncha i kapelusze. Gdzie nie spojrzysz, stoiska z prostym jedzeniem, butelki z piwem. Atmosfera odpustowa. Wreszcie się zaczyna!

– *Torro a la plaza*, byk na arenę! – wrzeszczy wodzirej.

Konkurencja polega na tym, że dwóch kowboi musi jak najszybciej złapać byka na lasso za rogi. Rozdrażniony zwierzak

często atakuje przy tym trybuny, niekiedy trafia rogami konia. Gdy zwierzę zostaje schwytane na dwa lassa, trzeba je powalić, związać nogi i wyprowadzić z placu. Zabawa jest bezkrwawa. Byk jest wielorazowego użytku, musi starczyć dla wszystkich drużyn. Zawody trwają długo, kończą się późnym popołudniem. Teraz czas na korridę. Zrywa się niestety straszna ulewa. Ponieważ jednak alkohol płynie strumieniami od rana, wszyscy stali się „kuloodporni" i deszcz nikomu nie przeszkadza. Ci, co jeszcze są w stanie ustać na nogach, włażą na plac i drażnią byki, a potem przed nimi uciekają. Impreza z wolna dogasa.

Skoro jesteśmy w Ekwadorze, jak sama nazwa wskazuje, jedną z najbardziej oczywistych rzeczy, jakie należy tu zrobić, jest przekroczenie równika. Żeby było efektownie, wybieramy wulkan Cayambe, najwyższy punkt na całym równiku.

Zatem na motocykle i do góry. Jedziemy we czwórkę: Iza z Kamilem i my. Zawsze nam się wydawało, że na równiku będzie upał, nieruchome, rozgrzane powietrze. Nic z tych rzeczy. Ziąb jak nie wiem co i leje deszcz. Trasa, delikatnie mówiąc, wymagająca. Jest tak stromo, że motocykle ledwo ciągną. Cała droga w głębokich koleinach albo usłana wielkimi kamieniami. Co chwila któryś motor leży.

Wreszcie droga się kończy. Dalej już się nie da na motocyklach.

– No i gdzie ten równik?

– Niestety tam... – Bartek pokazuje ręką na przepaść, przy której zaparkowaliśmy nasze pojazdy.

Zgodnie z mapą najwyższy punkt na równiku jest gdzieś pod nami. Zawracamy więc i przekraczamy półkulę w innym miejscu na zboczu wulkanu.

Nadchodzi w końcu nieunikniony dzień pożegnania. Iza z Kamilem postanawiają przez miesiąc spróbować szczęścia w pojedynkę. Rozdzielą się: Kamil popłynie na wschód rzekami Amazonii, Iza zaś wróci na południe, żeby samotnie przejechać na motocyklu chilijskie i argentyńskie Andy.

To najszybsze pożegnanie świata, żeby nie było widać, że każdemu pod kaskiem kręci się w oku łezka...

A my?

Wypad w głąb amazońskiej dżungli chodził nam po głowie od dawna. Teoretycznie nie jest to rzecz skomplikowana. W każdej turystycznej miejscowości położonej na obrzeżach Amazonii, czy to w Boliwii, w Peru czy w Ekwadorze, jest wiele agencji, które za słoną opłatą zabierają *gringo* do znajomych indiańskich wiosek. Mieszkańcy robią wówczas wszystko, żeby turysta był usatysfakcjonowany, zaznał „dzikości" i nie czuł się rozczarowany, że rzeczywistość wygląda inaczej niż w książkach sławnych podróżników i na Discovery.

Nasz budżet jednak się kurczy i nie możemy zafundować sobie takiej wycieczki. Zresztą nawet gdybyśmy mogli, i tak nie zdecydowalibyśmy się na tego rodzaju imprezę. Owszem, chcemy podejrzeć, jak żyją mieszkańcy Amazonii, ale zależy nam również na tym, żeby zobaczyć prawdę, nawet jeśli będzie miała ona oblicze tubylca siedzącego przed telewizorem z miską chipsów. Musimy więc znaleźć własny sposób, żeby do nich dotrzeć, tak żeby nikt z okazji naszej wizyty nie zmieniał swojego zachowania, nie ubarwiał rzeczywistości.

Na wschodzie Ekwadoru, w rezerwacie Yasuni, żyją Indianie Huaorani. Niegdyś dzicy i niebezpieczni, dziś walczą o przetrwanie z koncernami paliwowymi, które skutecznie wdzierają się coraz głębiej w selwę w poszukiwaniu surowców. Terytorium Huaorani zmniejsza się z roku na rok. Wielu z nich, zwłaszcza młode pokolenie, opuszcza las, wybierając cywilizację. Podobno jednak istnieją jeszcze wioski żyjące tradycyjnie. Są nawet takie, które odmówiły jakiegokolwiek kontaktu ze światem zewnętrznym, a tereny, na których mieszkają, uzyskały status „strefy nietykalnej". Oznacza to, że nie wolno prowadzić wypraw mających na celu odszukanie ukrywających się plemion. Jak długo ich wybór będzie respektowany? Zależy to pewnie od cen ropy.

Już dziś rezerwat Yasuni wzięły w kleszcze drogi wybudowane przez koncerny paliwowe: Via Auca od zachodu i Via Maxus od wschodu. Wielkie firmy próbują wywalczyć zgodę na wybudowanie od południa trzeciej drogi, która połączyłaby dwie pozostałe. Jeśli to się uda, w zasadzie będzie równoznaczne z wchłonięciem rezerwatu. Po cichu, drobnymi krokami, koncerny przygotowują się do ofensywy. Próbują zaskarbić sobie przychylność naczelników plemion, dając im różne upominki czy finansując naukę dzieci. Niby bezinteresownie, ale to nic innego niż przygotowanie gruntu pod przyszłe negocjacje. Co na to rząd? Cóż, Jerzy Waszyngton ma większą siłę przekonywania niż ekolodzy.

Pojedziemy na motocyklach jedną z „paliwowych" dróg tak daleko, jak tylko się da. Gdy znajdziemy odpowiednie miejsce,

zostawimy motocykle i poszukamy łodzi, która zabierze nas w głąb rezerwatu.

Zatrzymujemy się w mieście Coca położonym na skraju amazońskiej selwy. W drodze do Coki Bartek złapał gumę, więc najpierw odwiedzamy wulkanizatora, żeby naprawić dętkę. Właściciel warsztatu jest miłym gadułą. Opowiadamy, że chcemy jakoś wjechać do rezerwatu, ale na własną rękę, żeby podejrzeć, jak rzeczywiście żyją Huaorani. Mechanik patrzy na nas z namysłem.

– Na osiemdziesiątym trzecim kilometrze Via Auca, na rzece Shiripuno, jest most. Omińcie posterunek wojskowych. Za mostem zobaczycie drewnianą chatę. Szukajcie złotozębego Manuela, naczelnika pobliskiej wioski Huaorani, który często tam przesiaduje. Manuel może wam pomóc wjechać do rezerwatu.

Mamy więc jakąś wskazówkę. Jedziemy niedawno wybudowaną, świetnie utrzymaną drogą. Równolegle do niej ciągną się kilometrami rdzawe rury koncernów paliwowych. Gdzieniegdzie na poboczu sterczą kominy szybów naftowych, w których pali się ogień. Całe obszary tropikalnego lasu powycinane pod inwestycje. Wielki kapitał zaciekle walczy o każdy metr kwadratowy cennej ziemi. Co więcej, krok po kroku wygrywa.

Dojeżdżamy do mostku. Przed nim jest mały sklepik, przy którym kręci się kilku Indian. Pytamy o Manuela. Wskazują na wesołego, długowłosego człowieka – uśmiecha się do nas, a w jego zębach mieni się istne Eldorado. Nie ma wątpliwości, to on.

Zaczynamy rozmawiać, co nie jest takie proste, gdyż Manuel posługuje się swoistą mieszanką hiszpańskiego i lokalnego

narzecza. Jego wioska położona jest poza rezerwatem, jakieś dwie godziny łodzią od mostu. Nam jednak zależy, żeby wpłynąć głębiej... Indianie chwilę dyskutują. Po chwili pojawia się facet o imieniu Otobo.

– Mogę was zabrać do Bameno, mojej wioski, trzy dni drogi stąd, w centrum rezerwatu Yasuni.

Negocjujemy cenę. Tłumaczymy, że chcemy przez parę dni pomieszkać z nimi, jeść i robić to, co oni na co dzień. Okazuje się, że chłopaki i tak muszą przewieźć towar. Ustalamy więc, że zasponsorujemy benzynę. Dzięki nam zwróci im się kurs.

Wsiadamy na łódkę. Razem z nami inni mieszkańcy Noneno – wioski Manuela – którzy tego dnia wybrali się do mostu po zakupy. Jest już po południu. Dziś będziemy płynąć tylko dwie godziny i zatrzymamy się na noc w Noneno. Wysiadamy na brzeg. Wioska jest dziwaczną mieszaniną tradycji i cywilizacji: murowana szkoła, na boisku mecz piłki nożnej, drewniane domki, ale też szałasy z paleniskami. Wiele osób zna odrobinę hiszpańskiego, co jakiś czas bywa w mieście. Ludzie nastawieni do nas całkiem obojętnie. Siedzimy razem przy ognisku w szałasie u wujostwa Otobo, ale nie proponują nic do jedzenia: nam w brzuchach burczy, bo od śniadania niczego nie mieliśmy w ustach. Wyraźnie jednak spóźniliśmy się na kolację. Trudno, zjemy ostatnią paczkę herbatników, która zaplątała nam się w plecaku, nie chcemy się narzucać na dzień dobry.

Następnego dnia o świcie ruszamy dalej: my, Otobo i jego dwaj bracia. Od dawna nie padało. Duszno i gorąco, temperatura przekracza trzydzieści sześć stopni. Łódka jest co prawda wygodna, ale nie ma gdzie się schować przed palącym

równikowym słońcem. Woda jest bardzo niska, a rzeka pokręcona jak kiełbaska. Co chwila trzeba przepychać łódkę przez zwalone drzewa tarasujące nurt, przez co płynie się strasznie wolno. Jesteśmy głodni jak diabli.

– Wy bardzo mało jecie... – dziwi się Otobo. A to dobre.

– Słuchaj, przecież ustalaliśmy, że będziemy jeść razem z wami. Nie zabraliśmy własnych zapasów – wyjaśniamy zaniepokojeni.

– Aha... Nie martwcie się, w selwie z głodu nie zginiecie... – uspokaja nas Otobo.

Przybijamy do piaszczystej plaży. Najpierw chłopaki spacerują po parzącym piasku, badając jego twardość, a po chwili zaczynają kopać i wyciągają z dołka kilkadziesiąt białych piłeczek pingpongowych. Patrzymy zdumieni.

Indianie Huaorani uwielbiają jajka rzecznych żółwi

– To są jaja żółwi na nasz obiad. Pyszna tortilla będzie, zobaczycie! – wyjaśnia Otobo. – W selwie z głodu nie zginiecie...

Sytuacja powtarza się co piętnaście minut. Zakole, piaszczysta łacha, kopanie dołu. Uzbierali dwa wielkie garnki jajek.

– Ej, może już wystarczy? – oponujemy w imieniu rzecznych żółwi.

– Nie, nie, potrzebujemy dużo, bo to dla ludzi z wioski, którzy nie mają łodzi i nie mogą sobie sami nazbierać, a wszyscy bardzo lubią jajka!

Kolejny przystanek. Nareszcie, będziemy robić obiad.

– To teraz jeszcze rybkę sobie złapiemy. – Zakładają na haczyk jedno z żółwich jajek. Ma miękką, elastyczną skorupkę i nie pęka po wbiciu w nie haczyka. Po kilku sekundach jeden z Indian wyciąga z wody pokaźnego suma.

– W selwie z głodu nie zginiecie... – przypomina Otobo, zdejmując rybę z haczyka.

Obiad wyszedł wspaniale. Tortilla okazała się po prostu mocno wysmażoną jajecznicą. Ryba bajeczna, bez ości, pełno mięsa. Do tego gotowany platan i resztka naszego ryżu.

Wieczorem dopływamy do pojedynczego, pozbawionego bocznych ścian szałasu, właściwie wiaty, w którym od lat mieszka samotne małżeństwo. U nich spędzimy noc. Obdarowujemy ich jajkami, uszczęśliwiona gospodyni rewanżuje się kolacją z wędzonych piranii i gotowanej juki. Rozbijamy namiot w rogu szałasu. Już prawie przysypiamy, gdy nagle kobieta zaczyna śpiewać. Monotonne rytmiczne zwrotki w języku Huaorani. Koncert trwa ze dwadzieścia minut. Może śpiewa dla męża, może dla nas, a może przywołuje deszcz – trudno stwierdzić. W każdym razie po godzinie nadchodzi burza. Selwę rozświetlają pioruny, wkoło

huczą grzmoty, leje, leje, leje... Jak dobrze, że nad głową mamy palmowy dach.

Rano nadal siąpi, ale to chyba koniec ulewy. Tymczasem przez noc rzeka zmieniła się nie do poznania: woda przybrała, stała się jeszcze bardziej mętna i żółta. Zwalone pnie zniknęły pod powierzchnią. Płynie się o niebo łatwiej niż poprzedniego dnia.

Przez większość dnia mieszkańcy wioski przesiadują w palmowym szałasie

Jest wcześnie rano, a to dobra pora, żeby wypatrywać zwierząt. Z wody łypią na nas żółwie i kajmany. Nad głowami latają kolorowe papugi, tukany z ogromnymi dziobami, zimorodki i dziesiątki innych ptaków. Po drzewach skaczą małpy. Nagle na łódce poruszenie.

– Tam, tam, na brzegu, patrzcie, tapir!

Faktycznie, w krzakach buszuje duże, szare zwierzę.

– A takie tapiry są smaczne? – podpuszczamy.

– Ooo, smaczne, smaczne, ale nie polujemy na nie, bo to za dużo mięsa, zmarnowałoby się.

Dobijamy do osady. Tu mieszkają rodzice Otobo. Bogato u nich. Mają dwa silniki do łodzi, generator. Powoli wszystko się wyjaśnia. Otóż Otobo połapał się jakiś czas temu, że na białasach można nieźle zarobić. Kilka razy w roku awionetka przywozi do selwy grupę bogatych turystów, a mieszkańcy robią przedstawienie: malują twarze, owijają kuśki w tasiemki, zakładają korale, serwują owocowe drinki z wody mineralnej i grillują kurczaki. Taka przyjemność kosztuje dwieście dolarów od osoby za dzień. Ale ponieważ nie zapłaciliśmy, więc dla nas nie ma przedstawienia. I dobrze, o to chodziło.

Śpią w drewnianych podwyższonych domkach, ale przez większość dnia przebywają w olbrzymim szałasie, służącym za kuchnię i świetlicę. W rogu palenisko. Nad ogniem wędzi się mięso: głowa dzikiej świni, małpa i żółw. Jedzenie nie przyjeżdża z miasta. Sami hodują jukę, platany, banany i polują. Co chwila popijają chucurę, czyli wodę z rozgniecionym bananem. Ojciec Otobo przez cały czas śmieje się i opowiada o czymś w swoim języku, nawija też do nas, i chociaż nie rozumiemy ni w ząb, o czym mówi, emanuje tak pozytywną energią, że słucha się go jak muzyki.

Do polowania na ptaki i małpy służyła niegdyś długa dmuchawka. Dziś Huaorani mają także broń, ale ojciec woli tradycyjny sposób.

– Bo jak strzelisz z broni i spudłujesz, wystraszysz wszystkie zwierzaki wokoło i po polowaniu... – Otobo tłumaczy słowa ojca.

Próbujemy strzelać. Ledwo możemy utrzymać kilkumetrową rurę. Wkładamy do środka strzałkę nasączoną kurarą na jednym końcu i owiniętą bawełną na drugim. Dmuchamy. Naszym celem jest banan położony na środku szałasu. Pudło, pudło, pudło... i bingo! Banan przeszyty. Do zabicia człowieka potrzeba „aż" trzech takich strzałek, na małpę wystarczy jedna. Strzałki dodatkowo nadpiłowuje się ostrą szczęką piranii około dwóch centymetrów za ostrym końcem. Gdy trafiona małpa próbuje usunąć strzałkę, łamie ją w nadpiłowanym miejscu, przez co grot z trucizną zostaje pod skórą.

Znowu na łódkę. Wieczorem dopływamy do celu podróży – wioski Bameno. Nie spodziewali się *gringo*. Część mieszkańców nigdy nie wyjeżdżała poza wioskę i cywilizowany świat znają tylko z opowieści. Na nasz widok większość nagich kobiet wkłada w pośpiechu koszulki. Znowu szałas, ognisko, popijanie chucury. Szałasy wyglądają wprawdzie ubogo i prymitywnie, ale Huaorani zaskoczyli nas higieną. Kąpią się kilka razy dziennie w strumykach albo nagromadzonej deszczówce, nie czuć żadnego zapaszku. Niejeden *gringo* mógłby brać z nich przykład. W ogóle w Ameryce Południowej panuje powszechne przekonanie, że białas śmierdzi, co zresztą często jest prawdą. Europejczycy na wakacjach, którzy użalają się nad biedą i brudem Latynosów, a sami noszą kilkudniowe zapocone koszulki, nie należą niestety do rzadkości.

Rano idziemy na przechadzkę do lasu. Bartek zabiera dmuchawkę, spróbujemy upolować coś więcej niż banana. Prowadzi brat Otobo. Zatrzymuje się i nasłuchuje. Coś wytropił.

– *Rico*, smaczne – cieszy się i pokazuje gdzieś w górę. Zwija rurkę z liścia i nawołuje. Mimo elementów cywilizacji, jakie widzieliśmy w wiosce, mimo utrzymywania kontaktów ze światem zewnętrznym, ci ludzie w dalszym ciągu należą do dżungli. Rozumieją jej mowę, rozpoznają każdy dźwięk, odróżniają rośliny, które dla nas wyglądają identycznie.

Widzimy spore ptaszysko. Bartek podnosi dmuchawkę do ust... celuje... dmucha... strzałka przeszła pięć centymetrów od ptaka. Niestety obiad spłoszył się i odleciał. Ale niewiele brakowało.

Pora wracać. Dziś zatrzymamy się na noc jeszcze raz u rodziców Otobo, żeby podrzucić babcię, która korzystając z okazji, chce odwiedzić córkę. Kobieta ma w uszach wielkie dziury, podobnie jak większość starszych mieszkańców. Młodzi odeszli już jednak od tej tradycji.

Nauka polowania

Wysiadamy. Przed szałasem podekscytowany ojciec wykrzykuje, gestykuluje i pokazuje nam kępkę sierści jakiegoś zwierzaka.

Oczy mu się świecą, klepie się z uciechy w kolana i papla bez końca. Ogólne poruszenie.

Mężczyźni wyciągają z dziupli wyrywającego się mrówkojada

– Szybko, szybko, chodźcie, zobaczycie coś! – rzuca do nas podekscytowany Otobo.

Nie wiemy, o co chodzi, ale lecimy za nimi do lasu. W biegu tłumaczą nam, co się stało. Pies pogonił za zwierzakami, które uciekając, przypadkiem schowały się do tej samej dziupli. Mrówkojad i jakiś duży gryzoń. Teraz siedzą tam razem uwięzione.

Dochodzimy do dziupli. Mężczyźni za pomocą piły i siekiery próbują dostać się do środka. Nie jest łatwo. Wreszcie wkładają rękę i wyciągają z dziury wyrywającego się mrówkojada. Zwierzę jest ledwo żywe ze strachu. Ma jednak szczęście: jest niesmaczne. Puszczają go wolno. Teraz kolej na gryzonia. Znowu dłubią

w dziupli, ciągną – wydobywają drugiego stwora. Zanim się zdążyliśmy zorientować, dostaje pałką w łeb.

– Pyszne mięso – mówią nasi gospodarze, pokazując drgające w konwulsjach zwierzę.

Faktycznie niezłe. Smakuje jak wieprzowina. Dziczyzna palce lizać. Zanim jednak szczur trafił do gara, martwe zwierzę wzięła w obroty kilkuletnia dziewczynka. Złapała je na ręce, tańczyła i rzucała po całym szałasie. Z pewnością nie robiła tego pierwszy raz. Taka zabaweczka, zamiast lalki Barbie...

Świeżo upolowany gryzoń zamiast lalki Barbie

Po tygodniu dopływamy z powrotem do mostu. Za nami prawie pięćset kilometrów rzekami Shiripuno, Cononaco i Tiguino. Coś

widzieliśmy. Kawałek świata, który niebawem odejdzie w zapomnienie. Pewnie już nie jest taki, jaki był, gdy docierali tu Fiedler czy Halik, ale mimo to mieliśmy poczucie podróży w czasie. Huaorani to nie są dzicy ludzie tańczący rytualne tańce przy ognisku i odprawiający czary. Część z nich odwiedza miasto. Ciągle są jednak w dużym stopniu samowystarczalni. Sami polują, łowią, uprawiają jukę i banany. Zachowali swój język. Zamiast radia słuchają głosów dżungli, potrafią je odczytywać i zrozumieć. To miejsce zdecydowanie różni się od wszystkiego, co dotąd widzieliśmy. Nie sposób oprzeć się jego magii. Dni spędzone w dżungli były dla nas czymś, czego wcześniej nie doznaliśmy. Nigdy jeszcze otaczający nas świat nie był tak zagadkowy i tajemniczy jak tutaj.

KOLUMBIA: CZERWONY BATYSKAF

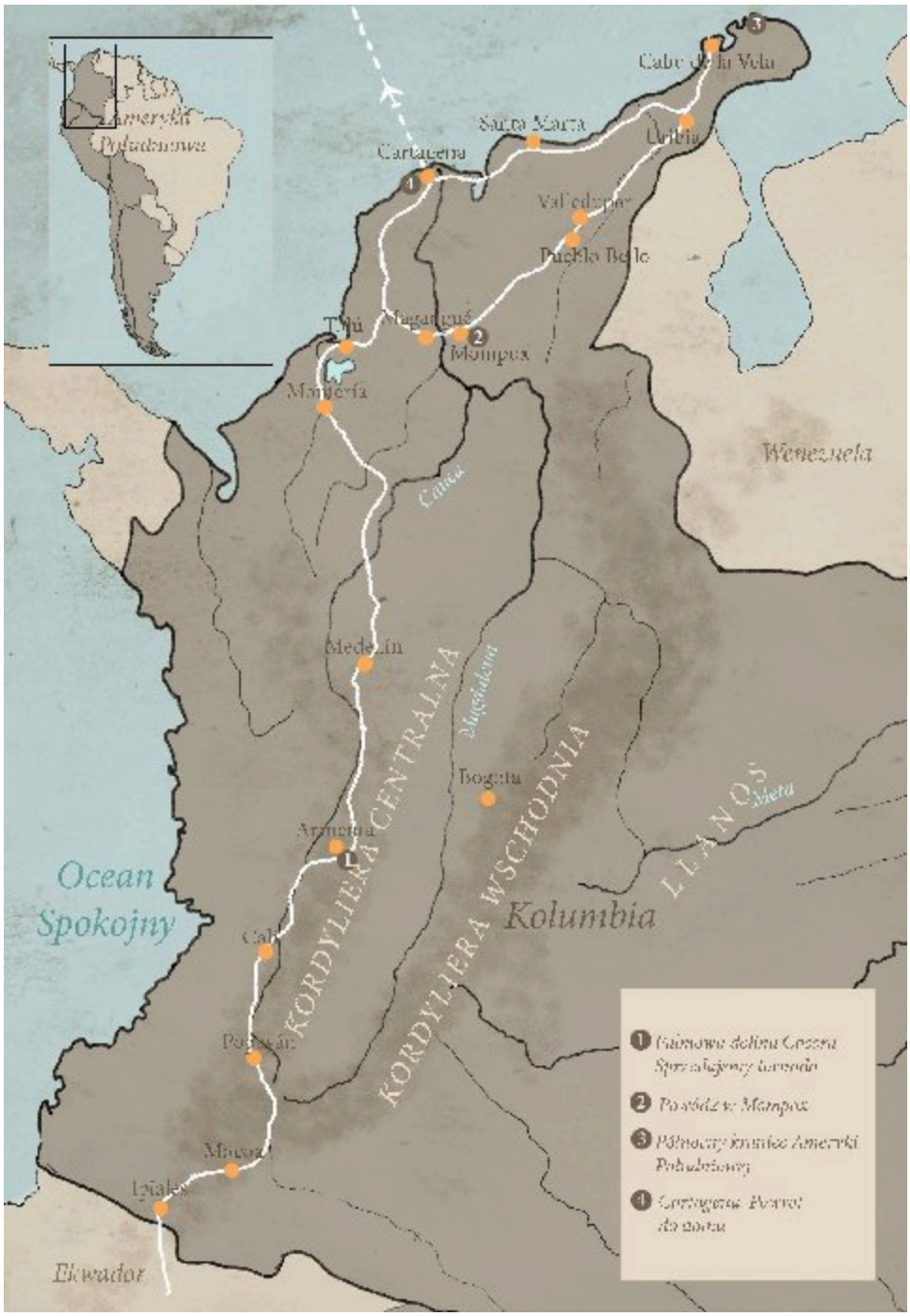

Przed nami stoją na drodze uzbrojeni żołnierze. Zagrodzili przejazd. Zatrzymują motocykle.

– Zsiadaj. – Jeden z nich podchodzi do Bartka i wymachuje karabinem. – Podnieś ręce.

Bartek robi, co mu żołnierz każe. Wojskowy tymczasem dokładnie go przeszukuje.

– A w torbach co macie?

– Ubrania, namiot, sprzęt turystyczny...

Otwierają nasze torby, oglądają zawartość.

Takie wojskowe posterunki to w Kolumbii norma. Powoli się do nich przyzwyczajamy, choć przy pierwszym zatrzymaniu skacze nam adrenalina. Kontroli jest jednak tak wiele, że zaczynamy odbierać je jako coś normalnego, acz nieco irytującego, trochę jak czerwone światła na skrzyżowaniu.

Co kilkadziesiąt kilometrów zatrzymują wszystkich bez wyjątku, sprawdzają dokumenty. Obszukują samochody, motocykle, autobusy. Kierowcy ciężarówek muszą wypakowywać cały towar i pokazać, co wiozą.

W ciągu pierwszych trzech dni zatrzymali nas więcej razy niż podczas całej dotychczasowej podróży.

Ostatni kraj Ameryki Południowej.

Jeszcze do niedawna do Kolumbii przyjeżdżało niewielu podróżnych. Państwo to dorobiło się opinii niebezpiecznego i pogrążonego w chaosie. Prawdziwa władza pozostawała w rękach bossów karteli narkotykowych. To się jednak zmienia. Oddziały guerilli schroniły się w najbardziej niedostępnych rejonach dżungli na wschodzie kraju. Dziś po jego zachodniej części można podróżować w miarę bezpiecznie. Wszystkie drogi i miasta są obstawione wojskiem skutecznie pilnującym porządku. W telewizyjnych reklamach wycieczek po Kolumbii

seksowna Latynoska z silikonowym biustem wyjaśnia, że obecnie, przyjeżdżając do tego kraju, ryzykujesz jedynie to, że... zakochasz się w nim i nie będziesz chciał nigdy wyjechać.

Skoro mowa o silikonie... Kolumbia stała się również światową stolicą chirurgii plastycznej. Niemal każda zamożniejsza dziewczyna dostaje w prezencie na osiemnaste urodziny jeśli nie okrągły tyłeczek, to przynajmniej kształtny nos albo wydatne usta. Lekarze mają dzięki temu pełne ręce roboty i zdobyli ogromne doświadczenie. A że ceny są podobno bardzo przystępne, zagraniczne damy często odwiedzają Kolumbię nie w celu poznania walorów jej kultury i przyrody, lecz z dużo bardziej prozaicznych przyczyn.

Niebawem zakończymy nasz przejazd przez kontynent. Od dłuższego czasu pogoda nam nie sprzyja, prawie codziennie leje, co na motocyklu jest wyjątkowo nieprzyjemne. Co robić, taka pora roku. Na tej szerokości geograficznej tak po prostu jest, i już. Trudno podróżować przez dwa lata i całkowicie uniknąć mniej przyjaznych pór roku, choć dotąd i tak udawało nam się to całkiem nieźle.

Zaczynamy z wielkim żalem zastanawiać się nad sprzedażą motocykli. Niestety żaden Kolumbijczyk nie jest zainteresowany kupnem.

– Maszyny niczego sobie, ale argentyńska rejestracja to kłopot, nie da rady jeździć tym na stałe po Kolumbii – odpowiadają właściciele komisów z używanymi motocyklami.

Wygląda na to, że będziemy musieli znaleźć cudzoziemca, który podobnie jak my chce przejechać motocyklem Amerykę i rozpoczyna podróż w Kolumbii. Dajemy ogłoszenie na forum

motocyklowym, ale niestety cisza... Większość Europejczyków czy Amerykanów w ogóle nie bierze pod uwagę jazdy na sprzęcie o silniku mniejszym niż sześćset pięćdziesiąt centymetrów.

Trochę się obawiamy, że ciężko będzie ze sprzedażą. No nic, to przecież dopiero przymiarka, jak dotrzemy na północne wybrzeże, zabierzemy się porządnie do kampanii reklamowej. Na razie jedźmy sobie spokojnie przez Kolumbię.

Zatrzymujemy się w malowniczej dolinie Cocora, porośniętej tysiącami cienkich, wysokich palm. Leje tak, że wbrew pierwotnym planom rezygnujemy z namiotu i nocujemy w hostelu. Przed budynkiem stoi zaparkowany motocykl. Podróżuje na nim para: on Kanadyjczyk, od roku w drodze, ona pochodzi z Norwegii, dopiero zaczyna swoją przygodę. Poznali się dwa miesiące temu. On złożył jej propozycję nie do odrzucenia, a ona po krótkim namyśle wskoczyła na tylne siodełko.

– Jest fajnie, ale chyba wolałabym jechać na własnym motocyklu. W Ekwadorze pewnie sobie coś kupię – mówi Jenny.

– Taaak? Bo wiesz, my właściwie przymierzamy się do sprzedaży... Może chcesz kupić jeden z naszych? – rzucamy pół żartem, pół serio.

– Może...

– Jak masz ochotę, jutro się przejedziesz, zobaczysz, czy ci któryś odpowiada.

Czujemy się źle. W głębi duszy liczymy na to, że z transakcji nic nie wyjdzie. Co my najlepszego zrobiliśmy!

– Bartek, myślisz, że ona mówi serio? Że niby mamy tak znienacka zakończyć?

– Eee, tylko tak gada, zobaczysz, jutro wszystko odwoła...

Następnego dnia jedziemy na przejażdżkę. Pogoda paskudna, błoto i ślisko. Jenny najpierw próbuje mojego xl-a. Trochę walczy ze sprzęgłem, które jest dosyć „krótkie" i trzeba do niego przywyknąć. W końcu jednak łapie, w czym rzecz. Idzie jej naprawdę dobrze. W powrotnej drodze przesiada się na tornado. Bartkowy motocykl zdecydowanie bardziej jej odpowiada. Rozpędza się pewnie... zakręt... z przeciwka nadjeżdża ciężarówka. Jenny hamuje, ale akurat wjechała na mokre, śliskie liście. Upadek na asfalcie przy czterdziestu kilometrach na godzinę. Podnosimy ją, kolano solidnie zdarte i potłuczone, ale chyba nic strasznego. Noga, poza sińcami i zadrapaniami, cała. Myśleliśmy, że po tej przygodzie dziewczyna sobie odpuści – a tu ku naszej rozpaczy trafiła się twarda sztuka.

Następnego dnia notariusz i łza w oku... I tyle widzieliśmy tornado...

Poszło jakoś za szybko. Patrzymy na siebie, czujemy się głupio. Jakby ktoś nas wysadził z fajnej, rozpędzonej karuzeli. Musimy się ogarnąć. Przeorganizować. Jeden motocykl nie udźwignie nas obojga i bagaży. Wobec tego zabieramy tylko najpotrzebniejsze rzeczy, a resztę wysyłamy pocztą do Cartageny na północy Kolumbii.

Jazda w dwie osoby na jednym siodełku to już nie to samo. Niewygodnie, ale nawet nie w tym rzecz. Najgorsze jest nieprzyjemne poczucie, że zbliża się koniec podróży. Przez to i na Kolumbię patrzymy mniej przychylnym okiem. Wcale nie jest taka cudowna, jak opowiadali. Ludzie nie są aż tacy mili. Kawa nie jest aż tak smaczna... A w ogóle to chcielibyśmy z powrotem na dwa motocykle!

Pogoda obrzydliwa. Przez ulewę ledwo cokolwiek widać. Bartek jedzie w kaloszach, jednak ja po przygodzie w Boliwii kategorycznie odmawiam. Owijam buty w torebki foliowe i za żadne skarby nie daję się przekonać do gumiaków. Pniemy się na szczyt wzniesienia, prowadzi Bartek. Przed nami ostry zakręt w lewo. Przeciwnym pasem jedzie ciężarówka. Nagle zza zakrętu wyskakuje rozpędzony, jadący całym naszym pasem duży terenowy samochód, który właśnie wyprzedza ciężarówkę. Idziemy prosto na czołówkę. Kierowca nie ma gdzie zjechać, bo jego pas zajmuje ciężarówka. Hamujemy z piskiem opon i wlatujemy na trawę po prawej stronie. Mieliśmy niesamowite szczęście, że akurat w tym miejscu była przerwa w metalowej barierce przy drodze i dzięki temu mogliśmy uciec przed samochodem. Gdyby nie to, rozniósłby nas na strzępy. Zatrzymujemy się. Jakimś cudem nie wywróciliśmy się i stoimy na ostatnim skrawku pobocza. O metr dłuższa droga hamowania i zlecielibyśmy w przepaść. Przez minutę stoimy w deszczu i nic nie mówimy. Jesteśmy w szoku. To była chyba najniebezpieczniejsza sytuacja podczas całej naszej motocyklowej podróży.

Popularne riksze rowerowe, miasteczko Tolú

Nasz stosunek do Kolumbii zmienia się w jednej chwili, gdy docieramy na karaibskie wybrzeże. Trudno określić, w czym rzecz, ale po wjeździe do małego miasteczka Tolú patrzymy na siebie i uśmiechamy się bez słów – tak, to jest nasza Kolumbia...

Leniwe karaibskie życie w miasteczku Tolú

Miasteczko Tolú nie jest atrakcyjnym kurortem. Niezbyt czyste, niezbyt ładne. Wybrzeżu także daleko do ideału: bo i plaża za wąska, i piasek za ciemny, i woda zbyt mętna... Do tego koniec pory deszczowej – codziennie po południu zaczyna lać i tak do wieczora.

A jednak wciąga... Czy to za sprawą czarnych kobiet noszących na głowach miski z towarem, czy rowerowych riksz zastępujących taksówki, czy malowniczo odrapanych budynków, czy sączącej się zewsząd karaibsko-afrykańskiej muzyki, sami nie wiemy, ale czujemy się tu na swoim miejscu. W powietrzu jest coś leniwego, radosnego, beztroskiego, wakacyjnego... Idziemy ulicą i uśmiechamy się bez powodu.

Czas ruszać do Cartageny. Nasz bagaż już tam pewnie jest. Z Tolú to zaledwie sto trzydzieści kilometrów po asfalcie, więc nie spieszymy się zanadto. Chwila moment i będziemy na miejscu. Tak nam się przynajmniej wydawało. Tymczasem dwadzieścia kilometrów przed Cartageną miejscowi zatarasowali drogę. Znowu blokada. Czarnoskórzy protestujący zagrodzili przejazd i nikogo nie puszczają. Wypróbowujemy patenty przetestowane na blokadzie w Peru: tłumaczymy, że my turyści, że nie jesteśmy stroną konfliktu, motocykl to nie pojazd, a w ogóle to możemy go przepchnąć bez włączania silnika – jednak tym razem bez skutku. Podobnie jak w Peru, nie ma przywódcy. Za to panuje zupełnie inna atmosfera. Karaibski protest jest niemal sympatyczny, przypomina radosną fiestę. Idą w ruch bębny, stojący na wielkich oponach ludzie podrygują i śpiewają, pozują do zdjęć. Niestety,

mimo pozornej przychylności są niezwykle uparci i o dalszej jeździe możemy zapomnieć.

Przeprawa czółnem przez zatopione pola

Tracimy cierpliwość i decydujemy się na objazd. Nie jest to łatwe, bo mieszkańcy doskonale wiedzieli, w którym miejscu zablokować trasę. Objazd po dobrej drodze wymagałby nadłożenia prawie dwustu kilometrów. Po szutrach będzie znacznie krócej, tyle że po ostatnich ulewach wiele dróg zostało zatopionych.

Zaryzykujemy jednak szutrówkami. Padało tu mocno ostatnimi czasy, wszędzie dużo kałuż i błota, nie jest łatwo, ale w sumie da się jechać. Nagle jednak droga wjeżdża do... jeziora. Przed nami wielkie powodziowe rozlewisko. Na brzegu przy malutkich drewnianych czółnach uwijają się ludzie – zanim się spostrzegliśmy, motocykl już stoi na łódce, a my siedzimy obok. Powoli zachodzi słońce, odbija się w tafli wody. Po paru przeprawach łódką i kilkudziesięciu kilometrach po koszmarnym błocie jesteśmy na miejscu.

Minutki, czyli komórkowa budka telefoniczna

Odbieramy bagaż. Dojechał cało i zdrowo. Zaczynamy organizować sprzedaż xl-a. Szczęście znowu nam sprzyja:

znajdujemy nabywcę, tym razem Kolumbijczyka. Uzgadniamy cenę i umawiamy się na dostarczenie motocykla za dwa tygodnie. Możemy zatem bez stresu spędzić ostatnie chwile w Ameryce Południowej na karaibskim wybrzeżu, którym jesteśmy coraz bardziej zauroczeni.

Kierujemy się na wschód, w stronę granicy z Wenezuelą. Niestety tylko na jednym motocyklu. Umawiamy się, że co pięćdziesiąt kilometrów będziemy zmieniać się za kierownicą. Na tylnym siedzeniu straszna nuda. Ten, komu akurat przypadła rola pasażera, sumiennie zerka przez ramię kierowcy, żeby nie oszukał ani o kilometr. To dobra taktyka. Dzięki częstym zmianom nie jesteśmy zmęczeni i czas mija szybko. Oczywiście na dwóch motocyklach byłoby jeszcze lepiej, ale cóż, cieszmy się, że na ostatnie chwile naszej podróży mamy przynajmniej jeden.

Co rano jemy tradycyjne śniadanie z ulicznego straganu: arepę, czyli smażony placek z mąki kukurydzianej, często okraszony serem. Arepę popijamy kubeczkiem czarnej, słodkiej kawy (*tinto*). Kawa kolumbijska jest sławna na cały świat, ale ta najlepsza idzie na eksport. Przeciętny Kolumbijczyk musi zadowolić się zwyczajną małą czarną. Kawę można kupić wszędzie, wystarczy się rozejrzeć, na pewno w zasięgu wzroku ktoś toczy wózek wypełniony termosami, po dwieście pesos za kubeczek. Do tego można zjeść na deser soczysty kawał arbuza albo ananasa. Albo popić mrożonym mleczkiem kokosowym.

Pierwszy postój to nadmorski Park Narodowy Tayrona położony u stóp pasma Sierra Nevada de Santa Marta, słynący z rajskich

plaż. Jesteśmy trochę rozczarowani. Na najbardziej znanej plaży Capo de San Juan jest po prostu tłoczno, bardziej przypomina to nadmorski kurort niż park narodowy. Brakuje tylko motorówki z bananem. Wystarczyło jednak odejść kilka kilometrów dalej, żeby znaleźć zupełnie pustą, dziewiczą plażę, całą dla nas, na którą z niewiadomych przyczyn nikt nie zagląda.

Naszym celem jest jednak nie Park Narodowy Tayrona, lecz półwysep Guajira, najdalej wysunięty na północ cypel Ameryki Południowej, przy granicy z Wenezuelą. Od samego początku, gdy studiowaliśmy mapę Kolumbii, to miejsce działało na nas jak magnes. Odludne, pustynne, otoczone morzem. Tu zrobimy nasze pożegnanie Ameryki.

Lokalni „przedsiębiorcy" sprzedają szmuglowane wenezuelskie paliwo

Dojeżdżamy do stacji benzynowej.

– Do pełna poproszę.

Przed nami osiemdziesiąt kilometrów w błocie, droga do Cabo de la Vela

– *No hay*, nie ma. – Facet patrzy na nas tak, jakbyśmy zażądali paczki kokainy, a nie paliwa.

Sytuacja się powtarza. Stacje benzynowe pozamykane, nikt tu nie pracuje, dystrybutory zdezelowane albo okratowane i zamknięte na kłódkę. O co chodzi? Gdzie mamy zatankować?

Tu, na wschodzie Kolumbii, niedaleko granicy z Wenezuelą, nikt nie kupuje benzyny na stacjach. Bo i po co, skoro na każdym rogu lokalni „przedsiębiorcy" sprzedają z baniaków tanie paliwo przeszmuglowane z Wenezueli, które kosztuje dwa razy mniej? Dla „importerów" to złoty interes, bo w kraju Cháveza benzyna tania jak barszcz, a przy tym i radość dla kolumbijskich kierowców, którzy płacą tu za gasolinę tyko połowę normalnej ceny. Nam, nie ukrywajmy, również w to graj.

– A to legalne?

Na nasze pytanie tylko się uśmiechają.

– Policja też u nas tankuje...

Na ten niby-nielegalny przemyt wszyscy przymykają oczy, sprzedawcy wcale nie ukrywają się ze swoim towarem, ciężarówki z wielkimi baniakami kursują w tę i z powrotem. Wojskowe i policyjne posterunki porozstawiane gęsto na wszystkich drogach Kolumbii dziwnym zbiegiem okoliczności nie mogą się uporać z przemytnikami. Podobno co jakiś czas robią pokazową łapankę i to wszystko.

Teoretycznie półwysep Guajira jest suchy i pustynny. Jednak w Kolumbii od dłuższego czasu leje, nawet tam, gdzie deszcz oglądają rzadko.

– Teraz się tam nie dostaniecie. Wszystko zalane, pełno błota, nie ma przejazdu – mówią ludzie, których pytamy o drogę. Ale niektórzy uważają, że na motocyklu moglibyśmy spróbować.

Pewnie, że spróbujemy. Za miasteczkiem Uribia wjeżdżamy na drogę gruntową. Przed nami osiemdziesiąt kilometrów w błocie, wzdłuż torów prywatnej kolei węglowej. Szybko orientujemy się, że tuż przy torach jest dodatkowa, całkiem dobra, nierozmoczona ścieżka. Niestety stojący co kilka kilometrów strażnicy kolei pilnują, żeby nikt obcy nią nie jeździł, i zganiają nas z nasypu. Zostaje więc nam walka w błocie. Ślisko, a tam, gdzie błoto wyschło, potworzyły się głębokie, wyboiste koleiny. I tak źle, i tak niedobrze.

Obfitsze niż zwykle deszcze całkowicie zmieniły krajobraz półwyspu. Wkoło dużo zielonych krzaków, które prawie przysłoniły rosnące tu zwykle kaktusy. Całość przypomina australijski busz wiosną, a nie jałową pustynię.

Po drodze mijamy tradycyjne domostwa Wayuu, ludów zamieszkujących półwysep. Są to proste domy wykonane z gliny i drewna kaktusa. Kobiety Wayuu noszą długie, obszerne suknie, przywodzące nam na myśl modę z Wysp Marshalla. Nieodłącznym elementem stroju są ręcznie plecione, wzorzyste włóczkowe torby.

Po całym dniu jazdy docieramy do celu, wioski Cabo de la Vela. Dziwne miejsce. Jedna piaszczysta ulica przy plaży, wzdłuż niej drewniane lub kaktusowe chałupy. Niemal na każdej z nich szyld „Hostel" lub „Restaurant", tyle że wszystkie opustoszałe.
W sezonie potrafi tu być tłoczno, ale teraz, zwłaszcza z powodu ostatnich ulew, nie ma nikogo.

Oddalamy się od wioski, wolimy nasz własny namiot i ognisko. Ze szczytu skały obserwujemy, jak w morskich głębinach tonie słońce i stopniowo półwysep ogarnia mrok.

Miejsce jest surowe, skaliste i piękne. U stóp klifów złotopomarańczowy piasek. Dla motocykla prawdziwy raj. Wyrywamy sobie z rąk xl-a i wyżywamy się na piasku i wertepach.

Cabo de la Vela przed burzą

Czas na pożegnalną kolację. Kupujemy od rybaków za parę groszy trzy dorodne langusty. Dlaczego aż trzy? Ano baliśmy się, że będzie w nich więcej pancerza niż mięsa. Gotujemy je na ognisku w garnku z wodą morską, do tego przyrządzamy naszą ulubioną salsę z oliwy, pomidorów, limonek, kolendry i czosnku. Możemy śmiało powiedzieć, że to jeden z najlepszych obiadów, jakie kiedykolwiek jedliśmy. Wbrew obawom mięsa jest w bród, ilość nie do przejedzenia. Białe i delikatne. Prosto przygotowane, prymitywnie podane, ale za to jaki smak! Najsmaczniejszy z całej trójki jest egzemplarz o czerwonawej barwie, tak jak powiedział rybak. Przez pierwsze chwile nawet nic do siebie nie mówimy, tylko pałaszujemy. Ech, będziemy tęsknić...

Dni upływają, więc pora opuścić półwysep. Planowaliśmy objechać go w całości, jednak jasno widać, że na przejazd innymi drogami nie ma żadnych szans, bo najzwyczajniej przestały

istnieć. Pozostaje zatem powrót tą samą trasą. Niestety od rana mocno pada, sytuacja pogarsza się z minuty na minutę. Droga, która kilka dni temu była jedynie podmokła, teraz jest kompletnie zalana. Czekać, aż ulewa ustanie, czy jechać? Postanawiamy mimo wszystko wyruszyć, bo jeśli taka pogoda się utrzyma, następnego dnia będzie jeszcze trudniej się przedostać. Przez kilka kilometrów jedziemy dosłownie rzeką, w którą przeistoczyła się droga. Woda sięga powyżej kolan, lecz nasz dzielny, niezniszczalny czerwony batyskaf jeszcze raz udowadnia, że nie istnieją dla niego drogi nieprzejezdne.

DODGE
VAG 240

oasis

W drodze do Mompox zatrzymujemy się w wiosce Pueblo Bello

Gdy już myślimy, że najgorsze za nami, widzimy przed sobą rzekę błota. Jeśli wydawało nam się, że w tamtą stronę trasa była

wymagająca, teraz jest po prostu koszmarna. Nieważne jak ostrożnie byśmy jechali, i tak co kilka kilometrów lądujemy na ziemi. Wyglądamy jak dwa błotne potwory, cali oblepieni brunatną breją. Prawie nie widać, jakiego koloru jest nasz motocykl. Prowadzimy na zmianę po dwadzieścia kilometrów.

Powódź w Mompox

Dopiero wieczorem dobijamy wreszcie do asfaltu. Nie była to łatwa wycieczka, ale opłacało się. Guajira to jeden z piękniejszych i ciekawszych zakątków Kolumbii, jakie odwiedziliśmy. Żal, że nie było nam dane objechać go w całości.

Musimy wracać do Cartageny. Zrobimy jednak małe kółko, nie będziemy jechać tą samą trasą. Tankujemy do pełna wenezuelskim paliwem i ruszamy. Po dwóch dniach ulewy stan dróg tak się pogorszył, że ciężarówki przemytnicze z beczkami utknęły na trasie. Brakuje benzyny, a ci spryciarze, którym jeszcze trochę zostało, sprzedają galon już o jedną trzecią drożej. Tak czy inaczej, to wciąż bardzo korzystna cena.

W tym roku deszcze się przeciągnęły. Pada zbyt często i zbyt obficie jak na tę porę roku. Od wielu dni powinno świecić słońce,

bo grudzień to teoretycznie jeden z najładniejszych miesięcy i pora deszczowa powinna już dawno się skończyć. Koryta rzek nie zmieściły takiej ilości opadów i pół Kolumbii zatopiła powódź. Chcemy jechać przez Mompox, kolonialne miasteczko nad Río Magdalena, o którym pisał Marquez w *Kronice zapowiedzianej śmierci.*

– Mompox pod wodą, odpuśćcie... – ostrzegają nas.

Mimo to spróbujemy. Cabo de la Vela też miał być pod wodą i jakoś dojechaliśmy. Znowu dużo wody i błota, w którym kilka razy wylądowaliśmy, ale powiodło się. Do tego przeprawa łodzią na drugi brzeg. To aktualnie jedyna droga dojazdowa do Mompox, wszystkie inne przykrył wartki nurt Rí o Magdalena.

Mompox to czarujące miasto, w którym chwilami można odnieść wrażenie, że czas się zatrzymał. Panuje atmosfera spokoju i stagnacji, ale na każdym kroku widać ślady minionej świetności. Wszak niegdyś był to jeden z trzech najważniejszych ośrodków handlowych Kolumbii. Przez ten rzeczny port transportowano w głąb kraju towary, które przybywały statkami do Cartageny. Tutaj także chronili się hiszpańscy arystokraci w czasie ataków na to miasto. Piękne kolonialne kamienice, zacienione patia, wewnętrzne ogrody i przede wszystkim tysiące drewnianych bujanych foteli, które stały się znakiem firmowym Mompoxu.

Miasto znajduje się jednak o krok od klęski żywiołowej. Mimo że w centrum sytuacja jest jeszcze w miarę stabilna, na niektórych skrzyżowaniach już stoi woda. Kilka centymetrów więcej i Río Magdalena przeleje się przez nadbrzeżne wały, definitywnie zatapiając miasto. Ludzie przygotowują domy przed

nadejściem fali powodziowej, zamurowują drzwi wejściowe, okładają nabrzeże workami z piaskiem. Na jednej z ulic pewien człowiek skonstruował tratwę z baniaków po oleju.

Prom to jedyny sposób, aby wydostać się z zatopionego Mompox

– Możemy się z panem zabrać na drugą stronę ulicy? – żartujemy. Mężczyzna śmieje się i zaprasza nas na pokład.

– Tylko pojedynczo, bo dwóch osób naraz pewnie nie uniesie!

Jesteśmy pierwszymi testowymi pasażerami tej jednostki pływającej.

Na przedmieściach nie ma już miejsca na żarty. Tu sytuacja wygląda kiepsko. Domy zatopione po okna, niektóre po dach. Ludzie opuścili swoje mieszkania i przenieśli się razem z dobytkiem na główną drogę. Na poboczach ustawili namioty z folii, w których koczują już od wielu dni. Tutaj toczy się teraz życie: ludzie śpią, piorą, gotują, kupują w prowizorycznych sklepikach, grają w karty, bilard. I przede wszystkim dużo piją.

Co chwila przez środek foliowego miasteczka przetacza się zalany w trupa powodzianin.

Jest gorąco i wilgotno. Brudno i ubogo. Wszyscy obawiają się epidemii. Jeszcze nie zarejestrowano przypadków chorób zakaźnych, ale groźba wisi w dusznym powietrzu.

Czas nieubłagalnie ucieka. Aby ułatwić sobie nieco drogę, zamiast przeprawiać się znowu przez zabłocone szutry, dogadujemy się z kapitanem barki, żeby zabrał nas do najbliższego asfaltu. Płyniemy nienaturalnie szeroką Río Magdalena. Wzdłuż obu jej brzegów sterczą dachy zatopionych wsi, kościołów, ludzie pływają ulicami na czółnach, łowią ryby. Rozmiary kataklizmu są ogromne, a jego skutki dotknęły najuboższych. Taką powódź oglądamy z bliska pierwszy raz.

Zatem dojechaliśmy do Cartageny. Oddajemy xl-a.

Na jednym motocyklu było nam jakoś dziwnie. Ale teraz, gdy zostaliśmy w ogóle bez środka transportu? Strasznie głupie uczucie...

Już grudzień 2010 roku. Za nami dwa lata i pięć miesięcy podróży. Zbliżają się święta Bożego Narodzenia, które przyrzekliśmy spędzić wreszcie w domu z rodziną. Za chwilę wsiądziemy w samolot do Polski.

POLSKA, CZYLI JAK SIĘ ODNAJDUJEMY W „NOWEJ RZECZYWISTOŚCI”

– Jak się odnajdujecie w nowej rzeczywistości? – to pytanie słyszymy po powrocie najczęściej.

Jak się zatem odnajdujemy? Najpierw w ogóle do nas nie docierało, że to powrót. Oboje mamy uczucie, że zaczął się po prostu kolejny etap podróży. Trudno uwierzyć, że przez pewien czas nie spakujemy plecaków i nie pojedziemy nigdzie. Że przed domem nie będą stały gotowe do drogi motocykle. W sumie jednak powrót do Polski nie był dla nas zbyt wielkim szokiem. Jest trochę zmian. Pojawiły się nowe dzieciaki, a maluchy, które żegnaliśmy dwa lata i pięć miesięcy temu, potrafią już mówić. Zabroniono palić w miejscach publicznych, za to pozwolono chodzić po trawnikach. Poza tym jednak mamy wrażenie, jakbyśmy wrócili z nieco dłuższych wakacji.

– A dlaczego wróciliście?

Bo skończyły się nam fundusze. Założyliśmy sobie, że ta podróż będzie wyłącznie przyjemnością. Że nie będziemy zbierać winogron w Australii ani pracować w barach, a jedynie żyć z tego, co zgromadziliśmy przed wyjazdem. A gdy w skarbonce dostrzeżemy dno, zaczniemy organizować powrót. I tak stało się to znacznie później, niż przewidywaliśmy.

– Dlaczego osiemset osiemdziesiąt osiem dni?

Zbieg okoliczności, który, nie ma co ukrywać, bardzo nam się spodobał. Kilka miesięcy po naszym powrocie Bartek wpisał w internetowym programie liczącym dni datę naszego wyjazdu i powrotu i właśnie tyle wyszło. Ósemka to dobra liczba, kojarzy się z nieskończonością, sukcesem i realizacją celu. A co dopiero trzy ósemki...

– Jakie macie teraz plany?

Pisaliśmy książkę. Wkrótce będziemy się musieli zabrać do uczciwej pracy. Potem pewnie pomyślimy nad jakąś nową podróżą...

– Ale przecież wy już chyba wszystko widzieliście!

Nieprawda. Dopiero w trakcie podróży człowiek sobie uświadamia, jaki ten świat wielki. Że nie starczy życia, żeby go poznać, że choćbyśmy podróżowali nie wiem jak długo, zawsze coś zostanie. A my na dodatek lubimy podróżować powoli, zatrzymać się tu czy tam, chwilę pomieszkać w danym miejscu, lepiej je zrozumieć. Nie ma obaw, mamy dokąd jechać.

– Zmieniła was ta podróż? Czegoś się nauczyliście?

Z wymiernych, namacalnych korzyści – nauczyliśmy się hiszpańskiego i jazdy na motocyklach. Spróbowaliśmy wspinaczki

i latania na paralotni, podszkoliliśmy się w nurkowaniu. Zaczęliśmy się interesować fotografią. Poszerzyła się nasza wiedza ogólna, znajomość świata, kultur, religii.

Wiemy, że mało jest rzeczy niemożliwych. Trochę bardziej tolerancyjnie podchodzimy do innych ludzi. Trochę lepiej widzimy i słyszymy, co dzieje się wokół nas. Trochę częściej się uśmiechamy. Trochę spokojniej reagujemy. Trochę mniej się spieszymy. I trochę mniej się ze sobą kłócimy.

– No właśnie, a jak wytrzymaliście ze sobą dwadzieścia cztery godziny na dobę przez ponad dwa lata?

Przez ostatnie miesiące było łatwiej, bo jechaliśmy każde na własnym motocyklu, w kasku, więc mieliśmy od siebie trochę wytchnienia... Ale poważnie – prawda jest taka, że wytrzymać ze sobą to absolutnie nic trudnego. Mamy tak wiele wspólnego, podobne pasje i światopogląd, że żadne z nas nigdy nie miało ochoty uwolnić się od tej drugiej osoby. Co oczywiście nie znaczy, że nie było awantur. Nauczyliśmy się jednak w krótkich żołnierskich słowach streszczać wzajemne żale i szybko rozwiązywać konflikty.

– Czy ta podróż była trudna i niebezpieczna?

Znacznie łatwiejsza i bezpieczniejsza, niż przypuszczaliśmy. Przed wyjazdem czasami zastanawialiśmy się, jak to będzie, czy poradzimy sobie z tym czy z tamtym. Zupełnie niepotrzebnie. Żyjemy w epoce globalizacji. Skończyła ci się gotówka w Laosie? Nie przejmuj się, w najbliższym miasteczku właśnie założyli bankomat. Potrzebujesz płynu do soczewek kontaktowych w Ekwadorze? Sprzedają go prawie w każdej aptece. Przyszła ci w Wietnamie chęć na kanapkę z nutellą? Nie ma sprawy,

wystarczy pójść do supermarketu w większym mieście. Poczytałbyś „Newsweeka” w Nepalu? Żaden problem, w dzielnicy turystycznej na pewno będzie najnowszy numer. Prawie wszystko, co trzeba załatwić lub kupić, zarówno z rzeczy ważnych i niezbędnych, jak i zachcianek, da się bez większych problemów zorganizować po drodze, gdziekolwiek by ona akurat wiodła. W większości miasteczek na całym świecie jest telefon i internet, pozwalający zaplanować i zorganizować dalszą podróż, poprosić o pomoc czy radę, a przede wszystkim skontaktować się z bliskimi, którzy zostali w domu.

Niebezpieczeństwo ze strony ludzi czyha głównie w dużych miastach i przy sławnych atrakcjach turystycznych. Tymczasem im bardziej „dziko” i „egzotycznie”, tym bezpieczniej. Raz nas okradziono, ale to po prostu kiedyś musiało się zdarzyć. Dreszcz przebiegł nam po plecach, gdy przejeżdżaliśmy przez blokadę producentów koki w Peru. Jednak nic złego się nie stało. Trzeba po prostu stosować kilka podstawowych zasad ostrożności i to zwykle wystarcza. Oczywiście zawsze można mieć pecha, ale nam się udało.

Ominęły nas również poważniejsze problemy zdrowotne, nie licząc dwukrotnie złamanej nogi.

Najtrudniejsze chwile fundowaliśmy sobie właściwie na własne życzenie. Zdaliśmy sobie bowiem sprawę, jak łatwo jest popaść w rutynę: przewodnik, polecany hotel, świątynia, pamiątka na bazarze. Dlatego często staraliśmy się w trakcie podróży – czasami za cenę bezpieczeństwa – poszukiwać tego, co inne, niepowtarzalne i wyjątkowe. Spać i jeść tam, gdzie miejscowi, odwiedzać mało znane miasteczka i wioski, przejechać przez góry

czy tropikalny las. Najlepszym środkiem transportu do tego rodzaju eksploracji okazały się motocykle. Ta forma podróżowania bez wątpienia najbardziej przypadła nam do gustu.

Świat jest jednak dużo bardziej przyjazny i przystępny, niż to się wydaje zza biurka. Samodzielne podróżowanie nie jest trudne. Największej odwagi wymaga podjęcie decyzji. Później wszystko jakoś samo się układa. Wystarczy więc powiedzieć „tak” i wystartować, a potem już tylko dobrze się bawić i jechać, byle dalej i dalej...

Byle dalej

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

POLSKA: TRZY, DWA, JEDEN...

MONGOLIA: PIECHOTĄ NA ZAĆMIENIE SŁOŃCA

CHINY: ELEKTRYCZNY PING-PONG

NEPAL: ŚCIEŻKI NIEZNANE

INDIE: NA TRZECH NOGACH

TAJLANDIA I KAMBODŻA: ODWIEDZINY

WIETNAM I LAOS: SŁUCHAJĄC, JAK ROŚNIE RYŻ

WYSPY PACYFIKU: ATOMOWY RAJ

MALEZJA I INDONEZJA: POD PRĄD

AUSTRALIA: OUTBACK NA CZTERY KOŁA

NOWA ZELANDIA: ROWERY NIE SĄ Z CUKRU

ARGENTYNA: NADCIĄGA TORNADO

CHILE: *TERREMOTO*

BOLIWIA: MARSJAŃSKIE BEZDROŻA ANDÓW

PERU: BYŁY SOBIE ŚWINKI TRZY

EKWADOR: W AMAZOŃSKIEJ DŻUNGLI

KOLUMBIA: CZERWONY BATYSKAF

POLSKA, CZYLI JAK SIĘ ODNAJDUJEMY W „NOWEJ RZECZYWISTOŚCI”

Karta redakcyjna

Projekt graficzny
Maciej Liese

Wydawca
Daria Kielan

Redaktor prowadzący
Beata Kołodziejska

Redakcja
Dominika Cieśla-Szymańska

Fotoedytor
Marta Broniarek

Mapy
Anna Sobocińska

Redakcja techniczna
Lidia Lamparska

Korekta
Maciej Korbasiński
Jadwiga Przeczek

Źródła zdjęć
Marcin Podgórski, Michał Nowicki, Autorzy

Copyright © by Marta Owczarek
and Bartłomiej Skowroński, Warszawa 2012
Copyright © by Weltbild Polska Sp. z o.o.,
Warszawa 2012
Copyright © for the e-book edition
by Weltbild Polska Sp. z o.o., Warszawa 2012

Świat Książki
Warszawa 2012

Weltbild Polska Sp. z o.o.
ul. Hankiewicza 2, 02-103 Warszawa
księgarnia internetowa: Weltbild.pl

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych - jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

ISBN 978-83-273-0005-8
Nr 90452574

Plik ePub opracowany przez firm eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
http://www.eLib.pl